ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ROK XVIII. — OGÓLNEGO ZBIORU TOM LXX.

TOM II. – ZESZYT I.

Kwiecień.

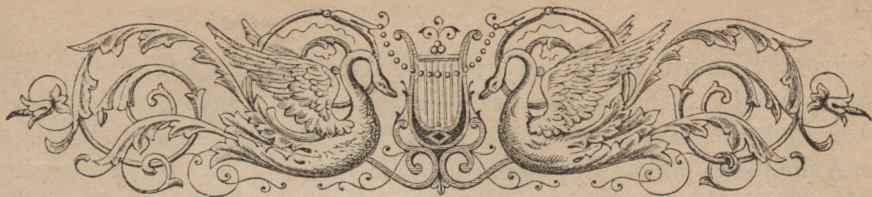
WARSZAWA.

1893.

DRUK JANA COTTY, W WARSZAWIE.
29. Senatorska 29.

SPIS RZECZY.

Druk ukończono d 20 Kwietnia 1893 r.



OKRES RYCERSKO-ROMANTYCZNY
W ŻYCIU
JULIUSZA SŁOWACKIEGO

(1840 — 1842).

(Ciąg dalszy) *).

IV.

Ta scena czytania, tak dramatyczna przez to, że w pierwszéj zaraz połowie przerwana spowiedzią pani Bobrowéj, miała w rozwoju uczuć dla niéj Słowackiego bardzo ważną zapoczątkować epokę, mimowoli bowiem stała się przyczyną nieprzewidzianéj zupełnie w poecie metamorfozy psychicznéj, metamorfozy, pod wpływem któréj miłość jego, o ile mu już krystalizować się zaczynała na dnie duszy, inny całkiem przybrała charakter. Dotychczas był to sentyment łagodny, spokojny, rzewny, anheliczny, którego nie plamiła ani odrobina zmysłowości, ani odrobina pożądania fizycznego. Teraz miał pod tym względem nastąpić przewrót gwałtowny.

Przekonawszy się, że ten jego „anioł złoty“, będący dlań, jak dotąd, rodzajem anioła-stróża [1]), rodzajem opiekuńczego „ducha dobréj rady“, jest bądź co bądź, zaprzeczyć się nie da, aniołem... upadłym, postanowił Juliusz (co mu się zresztą nie chwali bynajmniéj)

*) Ob. „Ateneum“ zesz. lutowy r. b., str. 526.

[1]) Zob. Beniowski, Pieśń III, str. 405. W „Złotéj przędzy poetów i prozaików polskich“ (Warszawa, 1884), t. I, str. 370.

wkroczyć na utorowaną już przez Zygmunta drogę i raz chociażby, po tylu miłościach, co „jako próchna“ świeciły, kochać „po ziemsku, bez złudzeń“, jak człowiek, jak mężczyzna, jak... Krasiński, słowem, z Anhellego, jakim w stosunku do pani Bobrowéj był aż do chwili obecnéj, i który „nie żądał nic innego“ tylko, żeby mu „przyjaźni świętéj z serca dała trochę, a na toć jedynie, by mógł nieco ulgi jéj przynieść“ [1]), przedzierzgnąć się w... uwodziciela ze szkoły Pietra Negri [2]). *La matière a aussi son mérite.*

Jak Krasiński w r. 1834 w Wenecyi — również dzięki pani Bobrowéj—nabrał przekonania, że „są rozkosze i jest poezya materyalna“ i że „chcąc dobrze pisać“, nie trzeba „w chmurach“ przebywać, ale zstąpić na ziemię i żyć, „po ludzku kochać, po ludzku cierpiéć“ [3]); podobnie zaczął dziś rozumować i Słowacki także, on, autor Anhellego i Ellenai. Powiedziawszy sobie, jak niegdyś przyjaciel jego z willi Mills: „biorę się do życia“, uwierzył nagle, że „miłość nie jest taką narkotyczną, niedowiedzioną istotą“ i że, chcąc o niéj powziąć wyobrażenie prawdziwe, trzeba tę gwiazdę zobaczyć „przez alabastry płci“ jakiéj Tycyanowskiéj Wenus, „w oczu skrze i na koralu ust gorączkowych...“ [4]). Ażeby celu tego dopiąć, postanowił nie być już dłużéj „Danaidy beczką“, w którąby dawna kochanka Zygmunta zléwała wszystkie swojego serca rdzawego „niedokwasy“, lecz zdobyć sobie „tę perełkę cudzą“.

Uwiedziony tém „uczuciem dość płochém i lekkiém“, zapomniał lub téż, co jeszcze prawdopodobniejsze, nie przypuszczał zgoła, że „kobiéty to rzecz i jéj prawo z jednego uczucia, z jednego przywiązania zrobić wielką sprawę całego życia“; a pamiętał natomiast o aforyzmie Dantego, który w Pieśni VIII Czyśca, na widok margrabiny d'Este, wyraził się zjadliwie, że

Przez nią to łatwo zrozumiéć, jak długo
Ogień miłości trwać może w kobiecie,
Gdy go nie żywi wzrok lub dotykanie [5]).

Tego samego zdania o stałości niewieściéj zdawał się być Szekspir, ten największy z poetów znawca serca ludzkiego, Szekspir, którego Hamlet na oświadczenié Ofelii z powodu prologu w akcie

---

[1]) Niedokończony poemat, str. 171.

[2]) Zob. Beatrix Cenci, monolog Pietra Negri. Akt II, sc. V.

[3]) Por. Listy do Gaszyńskiego, list z d. 10 lipca 1834 r.

[4]) Niepoprawni, akt I, scena IX.

[5]) Purgat. VIII, 76, 78. Przekład Ant. Stanisławskiego.

trzecim [1]), że „to było krótkie“, odpowiada sarkastycznie: „Jak miłość kobiét“.

Z podobnego raz wyszedłszy założenia, założenia, które stosując *in extenso* do pani Bobrowéj, wielką jéj tém samém wyrządzał krzywdę, ona bowiem nie miała nic wspólnego z margrabiną d'Este, nie dziw, jeżeli mu się niebawem — jak Krasińskiemu w swoim czasie—roić zaczęły „fantazmata różne w sercu i w mózgu, nieskończone żądze, niewymowne upragnienia“ i jeżeli nie wątpił, że ostatecznie stanie się im prędzéj czy późniéj zadosyć [2]).

Kobiéta — myślał sobie Słowacki — cóż dopiéro tak piękna, jak pani Bobrowa, stworzoną jest do kochania. Zadaniem jéj: kochać i być kochaną. Co do Krasińskiego, to kto wié, czy go tak kocha istotnie, jak się jéj zdaje, że go kocha. Będąc młodą jeszcze i pełną życia, ona potrzebuje coś kochać. Uczuciem macierzyńskiém się nie zadawalnia. Dusza jéj, ognista, namiętna i egzaltowana, wymaga czegoś więcéj. Myśl jéj musi jak bluszcz oplatać się koniecznie około jakiegoś mężczyzny... Nie mogąc kochać męża, do którego nie miała przekonania, ani Zygmunta, który ją „opuścił“, kochała swoje marzenia, swoje wspomnienia o nim. Te wspomnienia chwil, jakie spędzili razem, przy sobie, w Rzymie, Wenecyi i Ischl, były dla niéj, jak sama się przyznawała, wszystkiém. „Nic mi jest wszystkiém i wszystko mi niczém.“ To *nic*, czyli marzenie, choć o nicości jego nie wątpiła, zastępowało jéj przecież w s z y s t k o, a więc rzeczywistość. Że zaś, kobiétą będąc, „pieścić się“ czémś musiała bezwarunkowo, pieściła się zatém owém n i c, które, jako wspomnienie dni szczęścia, nowego znów stawało się przyczyną „bólu“.

A zadawała sobie pani Joanna — w mniemaniu Słowackiego — ból ten dobrowolnie, jak fakir indyjski; przed niczém bowiem takiéj nie czuła trwogi, jak przed „bezbolesnością“, będącą, jak utrzymywała, „piekłem boleści“.

— Póki ból, póty duch się jeszcze pieści.

Wspomnienia te, jakkolwiek nieuchwytne, dawały jéj przynajmniéj możność zapominania chwilami o rzeczywistości, pod któréj brzemieniem upadała. A może też zdawało się jéj tylko, że chyli się pod ich ciężarem... Cokolwiekbądź, marząc tak *del tempo felice nella miseria*, upajała się tém poczuciem niedoli swojéj, jak haszyszem. Był to poprostu — zdaniem Słowackiego — rodzaj morfinizowania się moralnego.

---

[1]) Hamlet, akt III, sc. II.
[2]) Por. Krasińskiego, listy do Konst. Gaszyńskiego, str. 52.

Skazana od urodzenia na bezczynność, opływająca we wszystko, bogata, nie mając żadnych tak dalece obowiązków, ani kłopotów, nie dziw, jeżeli, chociażby tylko dla urozmaicenia sobie czémś monotonności i nudy wielkoświatowego życia, chwyciła się téj miłości, jak rozbitek deski zbawienia, i jeżeli wspomnienia jéj, „święte i czyste, jak pierwsze kochanie,

Niezaburzone błędów przypomnieniem,
Niepodkopane nadziei złudzeniem,
Ani zmienione wypadków strumieniem,

ukochała nadewszystko. Nic po za tém nie widziała dla siebie „na téj smętnéj ziemi“.

Nie dowodziło to jeszcze — ciągle w mniemaniu Słowackiego — ażeby te wspomnienia przeszłości nie uległy kiedy w walce z wrażeniami teraźniejszości, gdyby się przypadkiem zdarzyło, żeby teraźniejszość mogła sprostać przeszłości, niemniejszém nęcąc szczęściem i upojeniem. Wiadomo przecież, że „nim raz pęknie budowa zewnętrzna, żyły prysną, rozprószą się kości, kilka razy dusza wnętrzna może umiérać i zmartwychwstawać“ [1]); czemużby więc ta „dusza wnętrzna“ pani Joanny, choć umarła na pozór, nie miała raz jeszcze „zmartwychwstać“ dla niego, dla Słowackiego? Czyż nie posiadał dość mocy po temu, on, któremu się zdawało, że glina, z któréj go Bóg ulepił, „nabrała jakiegoś magnetycznego pociągu“, jednającego mu serca kobiét? Któż mógł tę „duszę wnętrzną“ pani Bobrowéj wskrzesić i do życia, jak święty Stanisław Piotrowina, powołać, jeżeli nie on, przyjaciel Zygmunta i tak samo, jak Zygmunt, wielki poeta? [2]). On jeden mógł cudu tego dokazać. On jeden posiadał dane, ażeby jéj teraźniejszością wyplenić z myśli wspomnienia przeszłości, związanéj z osobą twórcy Irydiona i Nieboskiéj. Nikt oprócz niego nie mógł, ba, nie miał prawa poważyć się na to, ażeby z przed oczów duszy pani Joanny rozwiać cień Zygmunta, w który ona zapatrzywszy się jak w tęczę, nic zresztą nie widziała dokoła siebie.

Tu mimowoli przypomniały mu się cyniczne podszepty Massynissy, kiedy namawia Irydiona, ażeby się starał zyskać miłość Kornelii Metelli, zakochanéj w Chrystusie.

— Słuchaj, przeprowadź jéj myśl od niego do siebie. On daleki, on nie wróci nigdy. Ty żyjesz i jesteś przy niéj...

---

1) List Krasińskiego do Słowackiego z d. 16 marca 1841 r.

2) Por. Sternal, *op. cit.*, str. 7. Dodatek do „Kraju“, Nr. 6, z r. 1890.

Alma Wenus i Eros, sprzyjajcie! Czego się wahasz i wątpisz? Ona twoją być musi... [1]).

W tym celu będzie jéj dużo mówił o miłości — czém ją rozmarzy — aż w końcu wyzna swoją. Wyznaniem tém rzuci posiew w „duszę wnętrzną“ pani Joanny, posiew, który, trudno przypuścić, ażeby przy sprzyjających okolicznościach nie zaczął zwolna kiełkować. Reszty dokona „czas, uczuć morderca“, ten, jak go nazywa w Nocy letniéj Krasiński, „róż świeżych na dawnych gruzach przemierzły ogrodnik“, a który, jako uczący ludzi „szydzić z ułud młodości“, można spodziéwać się, że i w danym wypadku, stopniowo, nieznacznie, „wszystko zjedna, pogodzi, zabije“.

Tym sposobem—wyobrażał sobie Słowacki — „po pewnéj walce z pamięcią o pierwszéj miłości“ pani Joanna nie pozostanie „zimną wobec nasuwającego się drugiego szczęścia“ [2]).

Z marzeń tych—nie przynoszących mu zresztą zaszczytu — nie omieszkał się nawet zwierzyć „w poufnym liście“ przed bawiącym podówczas w Rzymie Zygmuntem, liście, pełnym „facecyi, sekretów, i szaleństw“, a który, jako pisany bezpośrednio pod wrażeniem spowiedzi pani Bobrowéj i owéj sceny czytania z nią Nocy letniéj, niemało zawierał „facecyi“ na temat „niestałości uczuć w ludzkich sercach“ [3]).

Bardzo wymownym niestałości takiéj przykładem był, niedaleko szukając, sam Krasiński, który przestawszy kochać Maryę, „omdlał“ ponownie i „na zawsze“, jak twierdził, dla Delfiny Potockiéj. Czemuż-by więc nie przypuścić, że i ta Marya nie odpłaci mu z czasem piękném za nadobne? Nie sposób przecież wymagać od kobiéty, ażeby się okazała stalszą w miłości od mężczyzny. Cóż dopiéro, jeżeli się znajdzie człowiek nie gorszy od tamtego... Byłby to nawet ciekawy pod względem psychologicznym „eksperyment“. On téż się przed nim cofać nie myśli, témbardziéj, że i tak jest już na dobréj drodze... Od przyjaźni bowiem do miłości *il n'y a qu'un pas*. On zaś przyjaźni jéj może być pewnym. Dowodem, że go lubi, że mu sprzyja jest chociażby to tylko, że nie ma przed nim tajemnic, że opowiada mu o wszystkiém. A że mu opowiada o wszystkiém, tego do-

---

[1]) Irydion, str. 56, 57.

[2]) Zob. Sternal, *op. cit.*

[3]) Por. Odpowiedź Zygmunta Krasińskiego na ten list, z d. 16 marca 1841 roku. List Słowackiego, ten, jak i wszystkie wogóle jego listy do autora Irydiona, zaginął, albo téż pozostaje gdzie w ukryciu.

wodzi niezbicie fakt, że nie zawahała się opowiedzieć mu o swojéj miłości dla autora Irydiona...

W podobnym stylu utrzymany był cały list, od początku do końca. Nie traktując rodzącego się uczucia — w téj chwili przynajmniéj—poważnie, o tém bowiem, żeby je traktował „idealnie", mowy być już nie mogło [1]), ubrał Słowacki w tym „poufnym" liście [2]) wszystko, co wiedział i myślał na razie, we właściwą sobie szatę, „niejedno poniżył, niejednego dotknął ironią i sarkazmem..." Przekonany, że mu się tę „zagmatwaną tragedyę" szczęśliwie, na swoją korzyść naturalnie, rozgmatwać uda i że, odszedłszy sam [3]), „koniec" jéj zostawi im, t. j. Krasińskiemu i pani Bobrowéj; przekonany o tém, nie przewidując zupełnie, że się sam przy téj sposobności bardzo „zagmatwać" może, z rozkoszą i upodobaniem „anatomika" kreślił Zygmuntowi obraz jego uczuć, które mu podyktowały, nietyle Noc letnią. ile poprzedzającą ją dedykacyę. Nawiasem mówiąc, wykazał w téj „kwilącéj serca dysekcyi" tyle przenikliwości, tyle szekspirowskiéj prawdziwie znajomości charakteru człowieka, tyle „wieszczéj" intuicyi, że mimowoli wprawił tém Krasińskiego w zdumienie. Ten ostatni nigdy się nie spodziéwał po Julku takiego „wzroku s z t y l e t o w e g o, sięgającego w głąb dusz ludzkich i o d k r y w a j ą c e g o, c o t e d u s z e k r y ć c h c ą, p r a g n ą, n i e z d o ł a j ą." Dobrawszy się „nożem wspomnień" aż do serca swojego „największego przyjaciela", którego teraz wyprzéć zamierzał z wyobraźni kochanki, ażeby samemu zająć jego miejsce; i przeniknąwszy „aż tam, gdzie z niewidzialności zaczynają powstawać owe kryształki myśli, czucia, natchnienia", kryształki, z których w człowieku zrastają się późniéj „struny harfy wewnętrznéj", dotykał palcem „każdego z tych wymoczków kryształowych", a oblewając je przejrzystém, „gorzkiém światłem", kazał im się „kąpać w falach ubiegłych, niepowrotnych przeszłości."

Listu tego nie zdążył jeszcze Słowacki oddać na pocztę, kiedy mu się przypomnieli nagle jego... antagoniści. Zaabsorbowany sprawami, serca własnego dotyczącemi, nie pamiętał o innych, niemniéj

---

[1]) Por. Sternal, *op. cit.*, str. 4 (Dodatek do „Kraju" z r. 1890, Nr. 5), ...„bądź co bądź rodzące się uczucie nie było przez niego poważnie, nie mówiąc już idealnie, traktowane."

[2]) Prof. St. Tarnowski, opierając się na opowiadaniach Małachowskiego i Lubomirskiego, utrzymuje, że list ten napisany był poprostu „w sposób obraźliwy i znieważający." Zob. *op. cit.*, str. 535.

[3]) Zob. Odpowiedź Krasińskiego z d. 16 marca 1841 roku. Listy, t. III, str. 18.

ważnych; przedewszystkiém zaś nie zwracał uwagi na intrygi i plotki swych przeciwników. Dumny z odniesionego zwycięstwa, „usadowiony w swojém krześle ze słoniowéj kości“, niczém Jowisz olimpijski, pochlebiając sobie, że nieobecność jego na uczcie z dnia 1 stycznia 1841 roku była największą klęską, jaką stronnicy Mickiewicza, z Januszkiewiczem na czele, ponieść mogli; kontent, że ostatecznie „otrząsł się zupełnie z tego ruchomego brudu“ i że ich teraz „wszyscy dyabli biorą“: ani przypuszczał nawet, że „zrąbani antagoniści“ tymczasem, nie zapominając o odwecie, postanowili go za tę jego „dumę szatańską“ i „zarozumiałość“ srodze ukarać...

Dnia 28 lutego, w sam popielec [1]), nadszedł do Paryża Nr. 8 poznańskiego Tygodnika literackiego, zawierający artykuł p. t. „Improwizatorowie“, artykuł, podpisany literami N. O., a będący niczém więcéj, jeno źle bardzo i niepoprawnie pod względem stylistycznym skreśloném opowiadaniem o pierwszéj uczcie u Januszkiewicza, ze szczególném naturalnie uwzględnieniem improwizacyi Słowackiego i Mickiewicza. Tych ostatnich, nawiasem mówiąc, nie wymieniał autor z nazwiska, tylko nazywał ich „sobie“: pierwszego Juliuszem, drugiego Adamem.

„Otóż dnia 25 grudnia upłynionego roku, opiewał rzeczony artykuł, zeszło się razem do 40 osób, przyjaciół lub znajomych, dla obchodzenia imienin jednego poety, którego nazwiemy sobie Adam.“

Aluzya więc dosyć wyraźna. Niemniéj wyraźną, lubo o wiele zgryźliwszą, była aluzya do Słowackiego:

„....Potém wezwany od przytomnych drugi poeta, którego nazwijmy sobie Juliuszem, wystąpił z całą dumą szatańską, którą jednakże geniuszowi Adama kładł u nóg.“

Ze wszystkiego, co mówił, a mówił tylko „o sobie“, „wszędzie przebijała się jego duma i zarozumiałość.“

Kiedy znużony usiadł, obecni „dawali mu oklaski, choć w sercu szemrali na niego, jak na zwolenników Mickiewicza przystało.“

Tyle o Juliuszu. Obszerniéj daleko i pompatyczniéj, bo z widoczném dążeniem do obrazowéj poetyczności stylu, co mu się w zupełności nie udało, opisywał ów pan N. O. (pod któremi to inicyałami

---

[1]) Nr. 8-my Tygodnika nosi datę d. 22 lutego 1841 r., że zaś z Poznania do Paryża przy ówczesnéj komunikacyi pocztowéj potrzebowały listy, jak i wszelkiego innego rodzaju przesyłki, ażeby dojść, tydzień czasu, mógł więc Słowacki artykuł ten o sobie przeczytać d. 28 lutego mniéj więcéj...

ukrywał się sam Eustachy Januszkiewicz) improwizacyę drugiego poety, „którego nazwiemy sobie Adam“.

„Zdało się nam, iż jakaś dziwna, niepojęta światłość skronie jego otoczyła. Wszyscy mimowolnie powstali, jakby bóstwo jakie między nas wstąpiło, chcąc odwiedzić śmiertelnych.“

Po tych słowach, najwymowniéj świadczących o uwielbieniu autora Improwizatorów dla Mickiewicza, a zaciekłości stronniczéj i nienawiści dla Słowackiego, następował ustęp, niedługi, lecz wiele mówiący, ustęp, który miał być właśnie owym ciosem śmiertelnym, wymierzonym przeciw autorowi Lilli Wenedy:

„Mickiewicz odpowiadał Juliuszowi: wyrzucał mu jego grzechy poetyckie. Oświadczył wręcz, że on *nie jest* poetą. Tłómaczył, co go zgubiło. *Nie jesteś poetą*, mówił, bo nie masz wiary i miłości“, etc.

Łatwo sobie wyobrazić rozpacz, oburzenie i wściekłość Słowackiego, skoro to przeczytał [1]). Choć wogóle o przeciwnikach swoich trzymał nie wiele, nie przypuszczał jednak, ażeby bezczelność „téj ciemnéj zgrai“, uzbrojona w „kamienie kłamstwa“, sięgała tak daleko. Prędzéjby się spodziéwał, że „z bladością Lary“ trupa jego wrzucą w nurty Sekwany, aniżeli, że go się „w osobie poety zabić“ poważą [2]).

Na szczęście, pozostawała nadzieja, że Mickiewicz, który bądź co bądź nie użył w improwizacyi swéj tych samych słów, które mu teraz ci „fałszerze“ włożyli w usta, że Mickiewicz ujmie się za nim i że wiadomość w artykule N. O. podaną, publicznie „odepchnie“.

„Powinien odepchnąć.“ Inaczéj, gotówby ściągnąć na siebie podejrzenie, że nizki ten paszkwil napisany został nie bez jego wiedzy i że „o tém kłamstwie dla niego uczynioném“ tylko „niby nie wiedział“, w istocie zaś... [3]).

Powinien odepchnąć. Bezwarunkowo!

Myślami temi nie zaniedbał Słowacki podzielić się z autorem Irydiona, w przekonaniu zaś, że go oprócz pani Bobrowéj, o któréj były trzy czwarte listu, interesują także sprawy litarackie, a przede-

---

[1]) Najprawdopodobniéj w klubie, w którego czytelni znajdowały się wszystkie wychodzące podówczas pisma peryodyczne polskie.

[2]) Zob. krytyka „Nocy letniéj“. T. M., Nr. z d. 29 kwietnia 1841 r.

[3]) Zob. Listy do matki, t. II, str. 76. Prof. Małecki w t. II-im na str. 255 powiada, że „ów artykuł poznański, jako dany wszem wobec a czarno na białém, najwięcéj dał mu się uczuć, jako krzywda wyrządzona publicznie. w interesie („o tém kłamstwie dla niego uczynioném“) i jak nasz *irritabilis vates* przypuszczał, nie bez wiedzy, a kto wié, czy nie na żądanie Mickiewicza.“

wszystkiém to, co on, Słowacki, pisze lub pisać zamierza, doniósł mu również i o Beniowskim, którego pięć pierwszych pieśni wykończył właśnie (myśli je nawet oddać w tych dniach do druku), a w którym, stosownie do jego niegdyś wskazówek, „zrąbał“ Litwę, co się zowie.

W chwili, kiedy Słowacki list ten do Krasińskiego wysyłał, opowiadał sobie cały *beau monde* paryski o ojcu Lacordaire i jego kazaniach pasyjnych, kazaniach, które stenegrafowane słowo w słowo i tłómaczone potém na wszystkie języki europejskie [1]), budziły entuzyazm nietylko w Paryżu i we Francyi, ale i daleko po za jéj granicami. W tym roku zainteresowanie się osobą ojca Lacordaire — ulubieńca sfer dystyngwowanych, a zwłaszcza pięknych kobiét — było większe jeszcze, aniżeli zazwyczaj, miano go bowiem usłyszéć teraz po kilku latach milczenia... W niemałym także stopniu do podniecenia ciekawości ogółu przyczyniał się biały habit dominikański [2]), w którym wielki mówca, podobny do nieśmiertelnego Savonaroli, miał się obecnie ukazać na ambonie... Że zaś demostenesowska jego wymowa, żywo ilustrowana aktorską trochę gestykulacyą i mimiką— jak o tém świadczą współcześni — magiczny wywierała wpływ na słuchaczów, nieprzebrane więc tłumy pobożnych i... ciekawych zgromadziły się pierwszego zaraz piątku pod gotyckiemi arkadami katedry *Nôtre Dame*, ażeby zobaczyć i usłyszéć tego romantycznego Skargę.

Szczególnymi wielbicielami kazań ojca Lacordaire byli Polacy, a z nimi—naturalnie—Słowacki i pani Bobrowa.

Słowackiemu jednakże, pomimo wszystkiego, nie przestawały snuć się po głowie różne myśli „złe i zdrożne, o których książki mówią już nabożne“, a które owładnąwszy nagle całą jego istotą, coraz bardziéj wytrącać go zaczęły z równowagi.

---

[2]) Na polskie tłómaczył je A. Nowosielski „O społeczności katolickiéj“ konferencye miane w kościele N. P. Maryi w Paryżu. Kijów, 1860 r.

[1]) „W kwietniu 1840 r. przywdział w Rzymie habit dominikański i usiłował nadać zakonowi kaznodziejskiemu we Francyi nowe życie i powagę. Pozostał zawsze ulubionym kaznodzieją znakomitszéj damskiéj publiczności.“

„Im Februar 1841 erschien er in der Kutte des Dominikaners wieder auf der Kanzel von Nôtre Dame und gewann durch seine feurigen Predigten, in denen sich nationale und religiöse Begeisterung in seltsamer Weise mischten, nicht bloss ein ungemein grosses Zühörer publicum, sondern auch seinem Orden zahlreiche Mitglieder.“

Zob. jego „Conferances de Nôtre Dame de Paris“ (1835—1850), 3 tomy.

Więc mi chłopczyna biedny oszaleje,
Ciągle pod twojém rozwidnionėm licem
Na białe, srebrne strzały wystawiony [1]).

Uczucie, zrazu „dość płoche i lekkie“, natrafiwszy na opór, stanowczy i niezłomny, zaczęło — pod wpływem tego właśnie oporu — przeobrażać się powoli w poważną, prawdziwą miłość, która, podsycana nieustannie gorączkową grą wyobraźni Juliusza (wyobraźni bujnéj niezmiernie, a nasuwającéj mu przed oczy obrazy z rodzaju tych, jakie za wdaniem się Mefista widywał Faust w zaczarowanych zwierciadłach) mogła bardzo łatwo przy jego nerwowéj i niezaprzeczenie chorobliwéj trochę organizacyi przerodzić się z czasem w zabójczą, nieprzezwyciężoną namiętność.

W takiém téż mniéj więcéj usposobieniu zastała go po upływie miesiąca blizko [2]) odpowiedź Krasińskiego, datowana z Rzymu, dnia 16 marca 1841 roku.

— Skąd ten akord? Gdzie się ta harfa odezwała?

Oto słowa, od których się zaczynał list autora Nocy letniéj, słowa, świadczące bądź co bądź o pewném rozdrażnieniu chwilowém, o jakie przyprawiła Zygmunta wiadomość, zakomunikowana mu przez Juliusza, a zwłaszcza ów „wzrok przenikliwy, sztyletowy“, którym Słowacki zapuściwszy go, niby sądę, „w głąb duszy“ przyjaciela, „odkrył“ niejedno, coby on może nazawsze „ukryć chciał, pragnął, nie zdołał“. Nie zupełnie było mu to na rękę spowiadać się przed Julkiem—szczególniéj po jego pełnym facecyi liście ostatnim—przyparty jednak do muru, musiał, chcąc nie chcąc. Przywykły, jak dotąd, ażeby się drudzy, jak przed księdzem, spowiadali przed nim, nie zaś, ażeby on się komuś spowiadał, jak „grzesznik“, żądający absolucyi, wolałby zapewne spowiedzi téj uniknąć. Ale nie było sposobu. *Nolens volens* nie pozostawało, jeno zrzuciwszy pychę z serca, przyznać się do winy i, jak grzesznik, domagać się jéj odpuszczenia. Wszak i „każdy ksiądz, choć ma prawo słuchania spowiedzi świeckich, musi znów księdzu drugiemu się spowiadać“. Tylko, że istnieje różnica, i wielka, pomiędzy spowiedzią księdza przed księdzem, a poety przed poetą. Tutaj „spowiedź nie wymyka się z ust grzesznika“, lecz „rodzi się w zwierciedle duszy poetyckiéj, która drugą w sobie odbija, chwyta, więzi, przenika, przejrzystém a gorzkiém

[1]) Sen srebrny Salomei.

[2]) Około 26 marca, zważywszy, że list z Rzymu do Paryża szedł wtedy od 8 do 10 dni.

światłem oblewa, i każe się jéj kąpać w falach ubiegłych, niepowrotnych przeszłości.“

Przeszłość tę wspominał Krasiński niechętnie. Cóż dopiéro pisać o niéj. Dlatego:

„Słuchaj! Chciałbym na godzinę, na godzin dwie, byśmy ty i ja stali się starcami; chciałbym, by nas sześćdziesięcioletnich ta sama znów willa róż otoczyła.“ Siedząc wtedy „na starościach Cezarowych ruin“ z większą, aniżeli dzisiaj, mógłby mu odpowiadać swobodą „zerwawszy symbol z prawdy“, dzieje swéj przeszłości. „Wtedy nie ty jużbyś nożem wspomnień sięgał pod serce moje, ale jabym serca tego ostatki rzucił, roztrząsł przed tobą“ otwarcie i „szczerze“, bez symbolicznych obsłonek umyślnie zaciemniających treść, a niezbędnych, kiedy się pisze list. *Verba volant, scripta manent.*

„Istota, którą oczy twego ciała ujrzały, a na którąś oczyma już duszy był spojrzał oddawna [1]), jest najsłodszą, najszlachetniejszą z dusz, którym ten planeta już czyścem i męką ciągłą. Ona nigdy a nigdy szczęścia nie zaznała: niesprawiedliwość, oto jéj był pokarm ciągły, chléb powszedni [2]). Nie umiała nigdy w jednę chwilę skupić Wieczności,“ kto zaś tego nie potrafi, ten „na ziemi niech nie pragnie szczęścia, bo w niebie chyba jest pogodzenie trwania i uniesienia“, stałości i namiętności. Ona, t. j. pani Bobrowa nie potrafiła tego, „stąd téż wszystkie jéj smętki i boleści.“ Nie chciała i, na swoje utrapienie, aż do dziś dnia zrozumiéć nie chce, że „w niebie chyba“ ludzie kochają wiecznie, jak ona, że „na ziemi“ wszelkie „uniesienia“ trwają niedługo, często chwilę tylko, że trzeba z téj chwili korzystać, a rozkoszując się nią, nie wymagać, ażeby trwała wieczność całą, namiętność bowiem „niewzruszoną“ nie jest i, jako taka, nie zawsze, u mężczyzn przynajmniéj, chodzi w parze ze stałością.

Co zaś do pani Bobrowéj osobiście, to „jéj nadewszystko teraz przyjaznéj, męzkiéj, a jednak, że tak powiem, siostrzanéj ręki potrzeba; bo zupełnie męzka dłoń tylkoby palce te białe i miękie przełamała.“

Dlatego — radził Słowackiemu Krasiński w dalszym ciągu, — jeżeli się nie chce zagmatwać, to niech nie roi o takiém dotknięciu

---

[1]) To znaczy, że, znając panią Bobrową i przyjaźniąc się z nią oddawna, teraz dopiéro patrzéć zaczął na nią oczyma ciała, co równa się pożądaniu...

[2]) Por. z tém dedykacyę do „Nocy letniéj“.

tych palców białych „zupełnie męzką dłonią“. Bo łudzi się, jeżeli przypuszcza, że mu się potém uda odejść bezkarnie, im zostawiając do rozgmatwania koniec téj zagmatwanéj tragedyi. „O nie, ty się mylisz, ty zostaniesz i sam się zagmatwasz, sam, jeżeli ci czasu stanie! A nie myśl, Julu, by tu się odzywał ze mnie *Furiis agitatus Orestes*. Nie, cichym teraz, jak dziecię, i martwym, jak trup.“ Nie przeszłości się lęka, ale przyszłości, wiszącéj mu, jak miecz Damoklesa, nad głową.

„Więc jestem spokojny bardzo i wdzięczny Ci z głębi serca za list twój“, tudzież za „szczegóły w nim zawarte“; duchowi zaś twemu „za wzrok przenikliwy, który on rzucił w samą iściznę ducha mego, tam, aż tam, gdzie z niewidzialności zaczynają powstawać owe kryształki myśli, czucia, natchnienia“, z których się późniéj zrastają w człowieku struny jego „harfy wewnętrznéj“.

— Dotknąłeś palcem każdego z tych wymoczków kryształowych, położyłeś dłoń całą, jako szeroka, na duszy mojéj; tak, że dusza odjękła: „prawda!“ i jedynąś może nagrodą, jaką tu wezmę, nagrodził mi za tyle cierpień, w jedną pieśń związanych [1]. Ale teraz, o poeto, nie dotykaj rany śmiertelnéj; nie kalécz wiecznie skaleczonych, ty sam krwią i ranami okryty, nie pytaj się krwawych i rannych: „co to za purpurowe centki u was na piersiach?“ Niech ci z jednéj strony Bóg, z drugiéj przepaść odpowié.

Potém następowała zapowiedź rehabilitacyi Słowackiego po napadzie nań w artykule N. O.

Dowiedziawszy się o tém z listu Słowackiego, uważał Krasiński za stosowne wystąpić w jego obronie. W tym celu, nie zwłócząc, dopełnił gdzieniegdzie napisaną przez siebie jeszcze rok temu apologię poezyi Słowackiego, apologię, którą zatytułował: „Kilka słów o Juliuszu Słowackim“, i żeby mu nie „tęchła“ już dłużéj „w biurku“, wysłał ją czemprędzéj do Poznania, do tegoż Tygodnika, w którym się niedawno pojawił paszkwil o Improwizatorach.

— Jeśli macie tam z księstwa dzienniki, tak koło kwietnia, maja i aż do pół czerwca, pilnuj, czy w nich nie znajdziesz pewnych myśli bratnich a szczerych, już nie w biurku zatęchłych [2]), lecz wolném okąpanych powietrzem. Gdy je czytać będziesz, nie myśl o ich treści, bo to, co w sobie masz,

---

[1]) Ma tu Krasiński na myśli „Noc letnią“, szczególniéj dedykacyę do niéj.

[2]) „Kilka słów o Juliuszu Słowackim“ napisane było w tym samym czasie mniéj więcéj, co i list do Romana Załuskiego (również o Juliuszu Słowackim), a więc około miesiąca maja 1840 roku, czyli rok temu. Artykuł ten wywołały najprawdopodobniéj zjadliwe, z uprzedzeniem i niesprawiedliwością pisane krytyki w różnych pismach z powodu poezyi Słowackiego, Balladyny zwłaszcza, Anhellego i Trzech poematów.

znasz przecież, a tam o tém tylko mowa; ale pomyśl, że w Willi Róż było niegdyś dwóch ludzi, co sobie ślubowali przyjaźń i dochowali jéj, a wtedy to może rozwidni twoje niektóre marzenia o niestałości uczuć w ludzkich sercach.

Ostatnie słowa były złośliwą trochę aluzyą do „niektórych marzeń“ Juliusza Słowackiego o względnéj i w jego mniemaniu możliwéj do przezwyciężenia stałości uczuć w sercu pierwszéj Beatrice Zygmunta...

— Nie probój zanadto niezgłębionych serc. Gdy wpuścisz w morze kotwicę, nie widzisz gdzie poszła, bo głąb morska ciemna; ale czy wiesz, czyś tam na co żyjącego żelazem nie trafił i tego nie rozdarł, nie rozranił, nie przebił? Długo czekać musisz, aż krew z przepaści wzniesie ci się ponad fale i krzyknie: „okrutnyś!“ Może nie doczekasz się jéj nawet: odejdziesz wprzódy, nigdy nie dowiedziawszy się o ranie, którąś zadał! Wierz mi, bądź raczéj jak anioł światła i dźwięku, a eksperymenta zostaw Staremu Wilowi[1]) i anatomikom. Rozwiedź tęczę cichą a promienną nad tymi, którym życie gorzką było rzeczą[2]) i t. d.

Na list ten odpisał Słowacki niezwłocznie po otrzymaniu go [3]). Wyrozumiawszy zeń, że mimowoli sprawił Zygmuntowi przykrość i że niechcący zupełnie „zakrwawił mu serce,“ zbyt gorzkiém niejedno oblewając światłem, postanowił czémprędzéj błąd swój naprawić i dlatego nie zwlekał z odpowiedzią.

A miał o czém pisać...

Chociażby o tém tylko, że za jakie dwa tygodnie, za trzy najdaléj, przyjdzie mu się rozstać z panią Bobrową, na długo, może na zawsze. Zaraz bowiem po Wielkiéj Nocy wyjechać postanowiła do Frankfurtu nad Menem. On zostaje w Paryżu.

Na samą myśl o tém—pisał—myśl, którą, o ile może, odpędza, jak natrętną osę, ogarnia go rozpacz, melancholia, zniechęcenie. Nic go nie bawi, nie cieszy, nie wzrusza: ani teatr, ani koncerty w konserwatoryum, ani kazania ojca Lacordaire, ani wykłady Mickiewicza, na które chodzi czasami przez ciekawość, ani Beniowski, którego oddał właśnie do druku, ani zebrania w *cercle*'u, ani rozmowy z kolegami, słowem, nic. Jedynie przy niéj bywa mu „dobrze,“ jedynie przy niéj chciałby niekiedy płakać i śmiać się zarazem, jedynie przy niéj „biją mu krwią wszystkie żyły...“

---

[1]) Szekspirowi.

[2]) Por. St. Tarnowski „Zygm. Kr.“ na str. 535.

[3]) A więc około dnia 26 marca 1841 r. tak, iż go przebywający w Rzymie Krasiński otrzymać mógł w początkach kwietnia, szóstego lub siódmego. Odpisał 10-go (w wigilią Zmartwychwst. Pańskiego).

Co zaś go trapi najbardziéj, to przeświadczenie, że pani Joanna, opuszczając Paryż, czyni to głównie ze względu na niego, który ją, jak szatan Ewę, wiedzie na pokuszenie i ostatecznie (choć nie kochała go) potrafił już tak dalece sprowadzić na pochyłość, że teraz „jéj serce nieszczęśliwe szuka tęskno jeszcze jednéj chwili wiosny i życia na ziemi.“ Nieugięta z początku nakształt kolumny marmurowéj, coraz bardziéj zaczyna się stawać podobną do... cyprysu, nadto smutnego wprawdzie, aby nim ruszył wiatr, ale już poddającą się — może bezwiednie nawet — jego powiewom. A powiewy to o tyle niebezpieczniejsze, że niosą z sobą odurzające jakieś, obezwładniające zapachy raju...

Tym sposobem, nie wiedząc sama, kiedy i jak, znalazła się niespodziewanie nad „przepaścią“ (tak przynajmniéj zdawało się Słowackiemu) nad przepaścią, do któréj on nieustannemi „popchnięciami“ podszeptów spychać ją usiłował, perswadując przewrotnie, że z chwilą, kiedy mu uwierzy, „słodko-syropowy optymizm z téj wiary wyniknie...“ Nie przeszkodziło jéj to wszelako zdawać sobie dokładnie sprawy ze wszystkiego; że zaś, kiedy pomyślała (pod wpływem jego „nakłaniających rad“) o możliwości „jeszcze jednéj chwili wiosny i życia na ziemi,“ mimowoli jakiś owładał nią lęk; postanowiła więc, póki czas, uciec z „tego miasta rozbłotnionéj zabawy,“ które się zowie Paryżem, a które właściwie zwać by się winno Sodomą lub Babyloném, i przenieść się do Frankfurtu, nad Men, gdzie atmosfera nie tak jest przesiąkła miazmatami zepsucia i zgnilizny, gdzie „brud rzeczywistości“ nie zakaża tak, jak tu, „anielstwa“ w kobiecie, i gdzie istota nieszczęśliwa, wśród spokoju i ciszy, może znów dojść powoli „do opanowania własnéj całości“ [1]).

Taką — w przybliżeniu — była treść drugiego listu Juliusza do Zygmunta.

Nie obeszło się w nim téż i bez skarg na Mickiewicza. Ten ostatni, choć mu otworem stały wszystkie wychodzące podówczas pisma polskie i choć już upływał miesiąc od czasu ukazania się artykułu N. O. zamiast sprostować publicznie i „odepchnąć“ to „wielkie kłamstwo,“ wymierzone ze szpalt Tygodnika przeciwko Słowackiemu, milczał jakoś, jak gdyby nie wiedział zupełnie „o tém kłamstwie d l a n i e g o uczynioném.“ Autor Beniowskiego, zniecierpliwiony, nie mogąc się tego — należnego mu zresztą — zadosyćuczynienia doczekać, wytłómaczył sobie rzecz całą po swojemu, to znaczy, że

---

1) Porównaj z tém odpowiedź Krasińskiego. Listy t. III str. 21 — 27.

tłómacząc ją sobie, nie starał się bynajmniéj uniewinniać Mickiewicza... Przeciwnie, posądziwszy go raczéj o litewską prawdziwie... zaciętość i mściwość, doszedł do wniosku, że artykuł ów poznański, napisany został „w interesie i nie bez wiedzy“ Mickiewicza. Przypuszczenie to, jakkolwiek ryzykowne, zaczęło mu się — w miarę wzrastającego oburzenia — coraz bardziéj wydawać, nietylko prawdopodobném i trafném, ale nawet licującém najzupełniéj z... wallenrodyczném usposobieniem twórcy „doktora“ w Dziadach; poszedłszy zaś raz w przypuszczeniach swych tak daleko, nie dziw, jeżeli w końcu nabrał nieledwie pewności, że paszkwil ten ukuto poprostu „na żądanie“ poety-profesora [1]).

Ależ mógł nie wiedzieć o niczém. Zajęty wykładami w *Collège de France* nie miał poprostu czasu na przeglądanie pism, nawet paryskich, cóż dopiéro poznańskich. W Klubie, gdzie znajdowały się dzienniki, nie bywał, a przynajmniéj nie bywał tam tak częstym, jak Słowacki, gościem. Numeru Tygodnika z owym artykułem o Improwizatorach mógł wcale nie widzieć, a tém samém nie wiedzieć, że coś podobnego napisano [2]).

Nieprawda! Zdaniem Słowackiego „powinien był wiedzieć i odepchnąć.“ Nie sposób zresztą, ażeby mu życzliwi jego, jak Eustachy Januszkiewicz np. nie donieśli o tém. Skoro zaś donieśli, w przekonaniu naturalnie, że go to uraduje, a on pomimo tego milczał, więc milczenie to tłómaczyć sobie należy jako potwierdzenie, jako godzenie się na sąd wyrażony w Improwizatorach. W przeciwnym razie zaprzeczyłby temu „wielkiemu kłamstwu.“ Takby przynajmniéj uczynił każdy na jego miejscu...

— Nie jesteś poetą — miał mu powiedzieć Mickiewicz — bo nie masz wiary i miłości. Fałsz! Albowiem, gdyby się był tak wyraził istotnie, rzeczywiście, nie byliby wieczoru tego, jak bracia.

---

[1]) ...to jednak ów artykuł poznański, jako dany wszem wobec, a czarno na białém, najwięcéj dał mu się uczuć, jako krzywda wyrządzona publicznie — w interesie i jak nasz *irritabilis vates* przypuszczał, nie bez wiedzy, a kto wié, czy nie na żądanie Mickiewicza! — (Małecki t. II. str. 255).

...Mickiewicz o tém kłamstwie, dla niego uczynionéin, niby nie wiedział, przynajmniéj tak mi to teraz (około 10 listopada 1841) mówił, ale powinien był wiedzieć i odepchnąć, on, który w improwizacyi nietylko mi przyznał, i t. d. (Zob. Listy do matki t. II str. 76).

[2]) Zob. P. Chmielowski (Mickiewicz) t. II, str. 329.

„Co sobie o tém wszystkiem myślał Mickiewicz? Nie wiem. Sądzę, że siedząc dumnie na swoim tronie jako pierwszy narodowy poeta, ignorował, co zaszło, i miał to wszystko za dzieciń每stwo. (Małecki t. II, 235).

„Nie jesteś poetą...“ Słowa te nie dawały Słowackiemu spokoju ani na chwilę. Gdziekolwiek się obrócił, szły za nim.

Myśląc tak o nich nieustannie — o ile był sam i o ile nie miał myśli zaprzątniętéj panią Bobrową — i starając się wytłómaczyć sobie, co jednak mogło dać powód autorowi Improwizatorów do napisania tego „wielkiego kłamstwa?“: który mianowicie ustęp improwizacyi Mickiewicza upoważniał owego N. O. do włożenia w usta Mickiewiczowi tych słów tak dla niego, Słowackiego, okrutnych i niesprawiedliwych? myśląc tak o tém, a będąc zawsze skorym do posądzenia swego „wielkiego pierwszego“ o „złą wolę“ i niechęć, podobną, jaką on pałał ku niemu (każdy bowiem człowiek zwykł sądzić po sobie) wpadł nagle na tego rodzaju pomysł, że mu nietylko wszystko tłómaczył, ale i rzucał jeszcze niesympatyczny cień na sam charakter Mickiewicza.

Oto rozumowanie Słowackiego: Mickiewicz „odpowiadał Juliuszowi“ mówi autor Improwizatorów. Główną zaś osnową improwizacyi Juliusza co było? „Mówił długo o sobie, o swojém wejściu w świat poetyczny, o zimném przyjęciu, którego doznał.“ Jak dotąd, wszystko zgadza się z prawdą. I cóż mu na to odpowiedział Mickiewicz? „Tłómaczył co go zgubiło.“ Cóż go więc — w mniemaniu Mickiewicza — zgubiło? „Nie masz wiary i miłości.“ Co przez to rozumiał? Odpowiedzi na to pytanie dostarczała część druga improwizacyi wieszcza Dziadów, w któréj mówił o sobie, „o powołaniu poety“ wogóle, i w któréj tłómaczył, co jest przyczyną, że „jemu Bóg błogosławił w jego zawodzie.“

Z improwizacyi téj Mickiewicza utkwiło Słowackiemu w pamięci kilka ostatnich wierszy, a między innemi następujące:

> Ja rymów nie dobiéram, ja zgłosek nie składam,
> Tak wszystko napisałem, jak tu do was gadam.
> W piersi tylko uderzę, wnet zdrój słów wytryśnie,
> A jeśli na tym prądzie iskra boża błyśnie,
> Nie wynik to rozumu, ani płód marzenia

ale „natchnienie“ czyste, które on od samego Boga „przejął“ na skrzydłach geniuszu [1]). Dlatego

> Wiedzcie, że dla poety jedna tylko droga:
> W sercu szukać natchnienia i dążyć do Boga.

---

[1]) Od Boga je przejąłem na skrzydłach natchnienia;
Niem widzę przyszłość, chwytam myśli, czuciem rządzę,
Niem silny, grzechy nasze i przeszłość osądzę etc.

On tą drogą „wiary i miłości“ poszedł i dlatego — jedynie dlatego—„j e m u Bóg błogosławił w jego zawodzie.“ On nie potrzebuje— jak Słowacki — uskarżać się na obojętność tłumu. Ale bo też on „W sercu szuka natchnień,“ a nie mozoli się nad dobiéraniem rymów.

Któż więc — według jego mniemania — rymy dobiéra i zgłoski składa, pisząc? Boć musiał tu miéć jakiegoś poetę na myśli, któremu się przeciwstawiał i pomiędzy którym a sobą różnicę zaznaczał?

Tu zdało się Słowackiemu, że nie ma na to pytanie dwóch logicznych odpowiedzi. Jest tylko jedna, tak samo, jak j e d n a j e s t t y l k o, zdaniem Mickiewicza, droga dla p o e t y, jeżeli się p o e t ą nazywać pragnie: „W sercu szukać natchnienia i dążyć do Boga.“ On tymczasem—w przekonaniu Mickiewicza—dobiéra rymy i składa zgłoski. Temu zawdzięczając, poezya jego — zdaniem Mickiewicza — kunsztowna i błyskotliwa pod względem formy wiersza, co uważać należy za „wynik rozumu,“ nie jest w gruncie rzeczy niczém innem, jeno „płodem marzenia,“ podobnym do wspaniałego „gmachu, piękną architekturą stawianego, jak wzniosły kościół, ale w kościele... Boga nie ma,“ to znaczy, że w architekcie nie ma wiary, nie ma miłości, nie ma natchnienia. Jest kunszt, są kunsztownie dobrane rymy, ale téż i nic więcéj. Słowacki — ciągle w przekonaniu Mickiewicza — nie pisze tak, jak on, t. j. tak, jakby tu do nich „gadał;“ tworząc zaś, nie w natchnieniu, zaczerpniętém z s e r c a, ale na zimno, postępuje i n n ą drogą, aniżeli Mickiewicz. A że „dla poety j e d n a t y l k o droga,“ więc wynika z tego oczywiście, że on, Słowacki, jako n i e idący tą drogą, bo szukający natchnienia w r o z u m i e i w m a r z e n i u, zamiast go „w s e r c u szukać,“ n i e j e s t właściwie p o e t ą p r a w d z i w y m, z bożéj łaski.

Oto są jego „grzechy poetyckie,“ które go „zgubiły.“

Jakiż z tego wszystkiego da się wyciągnąć wniosek? Jeden tylko, a mianowicie, że Mickiewicz w odpowiedzi swéj na improwizacyą Juliusza, wywdzięczając się za to, że go ten przed chwilą „największym poetą Słowian ogłosił,“ miał „piołunem zaprawne usta“ [1]), że improwizacya jego „na Boga!“ nie improwizacyą była, „ale długo i dobrze pomyślanym poematem“ [2]), i że, choć nie powiedział w r ę c z:

---

[1])
„Czy widzieliście? I on ma piołunem
Zaprawne usta...“ Ben. V.

[2]) „Na Boga! jeżeli tak było, to przynajmniéj wyrok ów improwizacyą nie jest, ale długo i dobrze pomyślanym poematem, który to poemat zapewne Grabowski w krytyce za kamień węgielny L i t e w s k i é j s z k o ł y położy.“

Nie jesteś poetą,“ jak opiewał artykuł N. O., to przecież dał mu to w sposób wcale nie dwuznaczny do zrozumienia.

Dlatego nie protestował przeciwko artykułowi N. O. Nie protestował, ponieważ w głębi duszy godził się nań zupełnie.

Tak sobie to dziś wytłómaczył autor Beniowskiego.

Dzięki podobnemu rozumowaniu, nie dziw, jeżeli „odżyła dawna niechęć, jaka w nim do autora Pana Tadeusza (nietyle Pana Tadeusza ile Dziadów) wrzała“ i jeżeli mu się przypomniały raptem wszystkie jego dawne z Mickiewicza „zatargi.“

Wspomnienia tych zatargów i tych, tak licznych, przykrości, jakich aż po dziś dzień ze strony twórcy Dziadów doznał, opadły go teraz, jak furye, i kołując nad nim w szalonym jakimś harcu, głosem, przypominającym „zgrzyt żelaza po szkle,“ powtarzały raz po raz:

— Nie jesteś poetą!!! On ci to powiedział, on, Mickiewicz! Na jego żądanie i z jego upoważnienia napisał N. O. Improwizatorów. On cię nie uważa za poetę! W jego przekonaniu dobiérasz tylko rymy i liczysz zgłoski. Dzieła twoje to chorobliwe płody marzenia! Takie jest zdanie Mickiewicza o tobie. Nie łudź się, dla niego jesteś poprostu zręcznym tylko rymopisem, bo nie masz wiary ani miłości. On o tém rozpowiada wszystkim i wszyscy mu wierzą, naturalnie! To twój wróg największy! On cię tak samo nienawidzi, jak ty go nienawidzisz, z tą różnicą, że ty jemu tak, jak on tobie, zaszkodzić nie możesz, choćbyś chciał. Zawsze dążył do tego, żeby cię zetrzéć i zmiażdżyć. Kiedyś w roku 1832 wydał pierwsze tomy swoich poezyi, on, zapytany, co myśli o nich, powiedział, że „jest to gmach, piękną architekturą stawiany, jak wzniosły kościół, ale w kościele Boga nie ma“ [1]). On, „umiejący dobrodusznie a głęboko urągać,“ przeczuł, że ta plotka, „gorsza stokroć, niż artykuł, dowodami wsparty,“ będzie biegała po kraju... „Ludzie leniwi wzięli ją i przyjęli za zdanie powszechne;“ przez lata całe stanowiła ona w niejednym „niby szacunek“ t. j. ocenę twojéj osoby. „Niejeden już na słowo Mickiewicza nigdy nie zajrzał do pustego kościoła poezyi“ twoich. I aż po dziś dzień „ta plotka, jak nietoperz czarny,“ ulatuje nad wszystkiemi domami polskiemi, gdzie czytają poezye [2]). W rok późniéj, kiedyś wydał

[1]) Zob. Listy t. I, str. 77.

[2]) Zob. Listy t. II, str. 142. „Grzech popełniłaś, cytując mi zdanie Mickiewicza, które on, umiejący dobrodusznie a głęboko urągać, rzucił przed piętnastu laty, przeczuwszy, że taka plotka, gorsza stokroć niż artykuł dowodami wsparty, będzie biegała po kraju. Ludzie leniwi wzięli ją i przyjęli za zdanie powszech-

tom trzeci swoich poezyi, z Lambrem na czele, wyjątek z twojéj przedmowy on „obciął i umieścił w pisemku, ale tak obciął, że mu dał całkiem inne znaczenie, pozór jakiejś uszczypliwości...“ Przedmowa tym czasem jest raczéj twojém „usprawiedliwieniem“ i — pamiętasz — wszyscy, którzy ją przeczytali, przyznawali, „że Mickiewicz ze złą wiarą postąpił, on bowiem o dziełach literackich w pisemku pisał“ [1]). A i o tém także nie zapominaj, że on jest autorem Dziadów, poematu, w którym rzucił kalumnię na pamięć twojego ojczyma, doktora Becu! Patrz oto duch jego, zniesławiony, blady i, choć niewinny, z piętnem niesławy na czole, stoi przed tobą, jak przed Hamletem duch jego ojca, i tak samo jak tamten, domaga się... zemsty [2]). Przypomnij sobie tylko ile cię wtedy kosztowało „przełamanie pierwszego popędu dumy.“ Pamiętasz, jakeś po przeczytaniu Dziadów, „chciał się koniecznie strzelać z nim“ i natychmiast posłałeś list do Michała, przyjaciela twojego niegdyś, aby ci pomocy swojéj użyczył... Przyszedł Michał wieczorem i różnemi radami odwiódł cię od zamiaru. Nie zapominaj, że była to jedna z przyczyn, dlaczego wyjechałeś do Genewy... [3]). Teraz, ledwo przyjechał do Paryża, oświad-

ne. Przez lat piętnaście stanowiła ona w niejednym niby szacunek mojéj osoby. Niejeden już na słowo Mickiewicza nigdy nie zajrzał do pustego kościoła poezyi moich. Jam to wszystko przełamał, upornie idąc krok za krokiem, nie artykułami gazetowemi, ale samem wnętrzem pism moich. Ta plotka, jak nietoperz czarny, gdzieś ulatywała w kąt niebios, a ty mi ją z całą świeżością nową oddałaś w liście.“

[1]) Zob. Listy do matki t. I str. 121. „Przedmowa, krótka i... gryząca, trochę obraziła Mickiewicza: zemścił się w jednėm z małych pisemek, ale dosyć niezgrabnie.“ Na str. 145. „Wyjątek z mojéj przedmowy on obciął i umieścił w pisemku, ale tak obciął, że mu dał całkiem inne znaczenie, pozór jakiejś uszczypliwości (alež sam Słowacki na str. 121 nazywa tę przedmowę „gryzącą“) a przedmowa moja jest zarazem mojém usprawiedliwieniem i wszyscy, którzy ją całą przeczytają, przyznają, że Mickiewicz ze złą wiarą postąpił, on bowiem o dziełach literackich w pisemku pisał.“ Oto w dosłownėm brzmieniu ten, w mniemaniu Słowackiego, Mickiewicza artykulik. Nawiasem mówiąc, p. Władysław Mickiewicz w t. II na str. 222 swojéj biografii o ojcu, utrzymuje, choć na potwierdzenie tych słów żadnego nie przytacza dowodu, że recenzyi téj nie pisał Mickiewicz.

[2]) Hamlet, akt I, scena V.

[3]) „Więc wiecie o Mickiewiczu... Ach! teraz dopiéro powiem, ile mię kosztowało przełamanie pierwszego popędu dumy. Skorom przeczytał, chciałem się koniecznie strzelać z nim i natychmiast posłałem list do Michała, przyjaciela mego niegdyś, aby mi pomocy swojéj użyczył. Przyszedł Michał wieczorem i różnemi radami odwiódł mię od zamiaru. Była to jedna z przyczyn, dlaczego do Genewy wyjechałem i teraz nie uwierzycie, ile męki cierpię, ilekroć ludzie chcą zdanie moje o Mickiewiczu usłyszeć. Nienawidzę go...“ Listy t. I, str. 145.

Jak wielką z powodu Dziadów miała rodzina doktora Becu urazę do Mickie-

czył ci wszem wobec, a przynajmniéj dał ci to aż zbyt wyraźnie do zrozumienia, że dobiérasz rymy i składasz zgłoski. Kiedy zaś napisano w Tygodniku, jakoby miał ci powiedziéć wręcz, że nie jesteś poetą, to patrz: on ani myśli ujmować się za tobą. Zamiast odepchnąć to wielkie kłamstwo, które cię w osobie poety zabija [1]), on milczy, jak gdyby ci têm milczeniem urągał! I ty to zniesiesz? Pozwolisz ujść temu bezkarnie? Darujesz tym fałszerzom i ich bożyszczu? Przebaczysz im, im, którzyby chętnie z bladością Lary trupa twego wrzucili w nurty Sekwany, ażebyś nie ukazywał się odtąd na świata widowni [2]). Obrzucili cię „kamieniami kłamstwa“ i szczują wszystkich przeciw tobie, a tybyś miał patrzéć na to z założonemi rękoma? Chyba byś nie był Słowackim?.. Pomawiają cię o „dumę szatańską,“ dowiedź im więc, żeś naprawdę dumny, że się ich potwarzy nie lękasz i że pogardzasz nimi! A nie oszczędzaj nikogo, a przedewszystkiem Mickiewicza! Tnij go w głowę piorunem, tak, jakeś wczoraj go w piersi uderzył! Powiedział ci: „Niech idzie tam, gdzie my idziemy!“ A gdzież to oni idą? Jaka im świéci, gdzie portowa wieża? I ty miałbyś pójść z nimi, tą ich drogą kłamną? Ty, któryś skinął tylko i... wieszcza wskrzesił? Dalejże, bądź Achillesem, zabij tego litewskiéj szkoły Hektora! Bądź dlań bez łez, bez litości! Czy nie widzisz, że na jego korze pęknięcie serca znać? Nie dostrzegasz, że mu coś próchno duszy porze? Niech raz przynajmniéj poczuje ciężkość twéj dłoni! Obmyj laur jego w słów ognistych deszczu! [3]).

Ulegając tym podszeptom wewnętrznym, podrażniony w najwyższym stopniu w swojéj miłości własnéj, rozgoryczony na wszystko i na wszystkich, rozstrojony nerwowo, a przytém opętany przez demona miłości, nieszczęśliwy, jak każdy, co „próżno o wzajemność

---

wicza, o têm świadczy chociażby ten tylko ustęp z listu Hersylii Januszewskiéj (córki doktora Becu) do Józefa Mianowskiego (swojego szwagra) z Krzemieńca, d. 10 marca 1833 r. Poemat Mickiewicza wyszedł z początkiem grudnia r. 1832. (Zob. Chmielowski, Adam Mickiewicz, t. II, str. 158). Na papierze znak wodny 1832).

— Czytałeś D z i a d y M...? na każde wspomnienie ich wszystko się burzy we mnie; zawsze miałam jakiś wstręt od (sposób mówienia wołyński) tego dziwacznego poety, tak, jakbym przeczuwała jad jego złośliwości: ma jeszcze rozkosz po śmierci zatruwać jadem swoim osoby, co po nim pozostały.

Kompletny zbiór listów Hersylii Januszewskiéj, posiada p. Leopold Méyet w Warszawie.

1) Zob. krytyka Nocy letniéj.

2) Tamże.

3) Zob. Beniowski, pieśń V (W Złotéj przędzy, Warszawa 1884, str. 386—388.

woła,“ targany rozpaczą na myśl o mającym niebawem nastąpić wyjeździe pani Bobrowéj do Frankfurtu, szamocąc się tak z samym sobą i z „szyderskim, niewidomym losem,“ chwycił któregoś wieczoru w napadzie wściekłości za pióro i rzucił na papiér kilkanaście zjadliwych oktaw, w których obok poetyczno-sarkastycznego opisu owéj uczty u Januszkiewicza, rzucił się, jak zraniony tygrys, na autora Dziadów, wylewając nań całą nienawiść, jaką ku niemu pałał w téj chwili.

Oktawy te, tak jak mu się napisały same, w stanie gorączkowym, w przystępie oburzenia i gniéwu, zaniósł nazajutrz do drukarni i kazał je umieścić na końcu piątéj pieśni, drukującego się właśnie Beniowskiego.

W tak niewesołém usposobieniu zastała go Wielkanoc, roku tego przypadająca na dzień 11 kwietnia, wkrótce zaś po Wielkiéjnocy, a już po wyjeździe pani Bobrowéj, otrzymał z Rzymu od Krasińskiego odpowiedź na drugi swój list [1]).

„Nie znasz mnie, Julu! Twój list nie zakrwawił mi serca. Radziłem ci tylko, byś go drugim [2]) nie zakrwawiał. A teraz przydam inną radę: jeśli możesz, ocal ją, a jeśli nie możesz, odwróć się i żadném własném popchnięciem nie zbliż jéj do przepaści.“

Po tych słowach następował formalny traktat filozoficzny, stylem Hegla skreślony, zawiły i ciemny (umyślnie ciemny), traktat, w którym Zygmunt, usiłując dowieść Słowackiemu, że mu list jego nie zakrwawił serca, usprawiedliwiał się zarazem „z wielu rzeczy.“

Co do niéj, to „broń co boskiego w niéj znajdziesz,“ od zaguby.

Niechaj ją uczy pogardzać światem i ludźmi, zupełnie już „do rzędu zwierząt upadłymi.“ Niechaj dba o jéj godność, niech się stara być jéj Aniołem Stróżem, jéj pocieszycielem i niech nie igra z miłością. Niech nie zaleca „braku szlachetności i urody nieśmiertelnéj,“ byle dogodzić swym „chwilowym chętkom lub słabostkom.“ Niech nie namawia do szczęścia, gdyby ono miało „wysnuć się z materyi przez ducha opuszczonéj.“ Słowem, niech postępuje inaczéj, aniżeli — jak pisze — postępuje dotychczas. Niech w niczyjém sercu, zwłaszcza, jeżeli to jest serce stroskane i biedne, „wiary nie niszczy;“ przeciwnie, niechaj „osłabłą krzepi, nieistniejącą stwarza, umarłą —

[1]) List ten (t. III, str. 21—27) pisany 10 kwietnia 1841 r. „w wigilią Zmartwychwstania Pańskiego“ musiał Słowacki w Paryżu otrzymać około 20 tegoż miesiąca.

[2]) t. j. pani Bobrowéj.

jeżeli umarła — wskrzesza.“ Niechaj nie poi jéj, jak Mefistofel, przewrotnemi naukami, że „człowiek nie powinien być aniołem, nie winien czuć się boskim i dążyć, odepchnąwszy podłość wszelką, w wznioślejsze okręgi.“ Niechaj natury bliźnich swoich nigdzie „o włos jeden nie poniża.“ Niech nie „przystaje w drugim — cóż dopiéro w kobiécie — na jedną chwilę niegodności, niedumy, niepowagi,“ zwłaszcza, gdyby to za sobą pociągnąć miało „poniżenie“ czyjeś.

— A poniżeniem nie zowię ja troski serca nieszczęśliwego, szukającego tęskno jeszcze jednéj chwili życia i wiosny na ziemi; nie, nie! bom ani pedant, ani ksiądz, ani dziecko, ani młodzieniaszek; ale poniżeniem zowię, przystać na zabawę, kiedy szczęście znikło; poniżeniem zowię cały świat, który krąży koło ciebie.

Niechaj się nie stara, broń Boże, naśladować ich.

Nie, nie, ty nie jesteś z nich, ty z nich być nie możesz: *non fiant sed nascuntur.* Szlachetnąś się duszą urodził, masz kryształową naturę: biały marmur nie gips wchodzi w skład kości twoich. Ty mnie pojmiesz! Ty mnie pojmiesz!

A zatém raz jeszcze powiadam ci: zbaw, jeśli możesz. Niech pająki, ślimaki, szerszenie, węże, skorpiony, niech plugastwo stworzenia nie przyprzęże się do anioła obłąkanego i w chwili rozpacznéj nie powiezie go do kałuży piekielnéj... Pytasz się: czego żądam od ciebie? Oto tego, byś się nie bawił, o to jedno cię proszę. A jeśli masz kochać, kochaj; ale pamiętaj, że kto kocha, ten szanuje. Zresztą, ty nie jesteś z tych, którzy mogą się bawić: ty musisz być albo bogiem szczęśliwym, albo człowiekiem potępionym i pełnym bólu.

Za „płochy“ i nie zawsze stosowny ton listów jego, listów, w których wyraz „zabawa“ powtarza się zbyt często, nie ma doń żalu. „Zapalczywym i namiętnym w dalszéj chwili, jako człowiek żyjący tu; ale w oddali jest coś sędziowskiego i wiecznie usprawiedliwiającego w duchu moim.“ *Tout comprendre c'est tout pardonner.* „Wiem, co życie, wiem, co fale czasu, mogę często zapłakać nad innymi i sobą samym, ale potępić nigdy, ni siebie ni innych, byleby mieli duszę.“

„To moje ostatnie słowo do ciebie o przeszłości“ [1]).

Jednocześnie prawie [2]) z listem tym od Krasińskiego doszedł Słowackiego Nr. 14 Tygodnika, w którym pomiędzy innemi „donie-

---

[1]) List ten kończył się czule: „Ściskam Cię, Julu mój, ja szczerze cię kocham, kochałem i kochać będę.“

[2]) „Jednocześnie prawie“ t. z. na kilka dni przed otrzymaniem listu od Krasińskiego. Nr. 14 Tygodnika nosi datę 5 kwietnia 1841, że zaś z Poznania do Paryża szedł mniéj więcéj tydzień, mógł go więc Słowacki przeczytać już 12 kwietnia. List Krasińskiego tymczasem, jako wysłany z Rzymu 10 kwietnia, mógł dojść Słowackiego w Paryżu, około 20 kwietnia, czyli, w jakiś tydzień po nadejściu Tygodnika.

sieniami literackiemi“ na ostatniéj stronie, znajdowało się także i następujące:

„W Paryżu wyszło dzieło Noc letnia. Słabe naśladowanie stylu Krasińskiego. Bez myśli i ładu!“

Tego było już Słowackiemu nadto. Ceniąc Noc letnią bardzo wysoko i nie uważając jéj bynajmniéj za utwór „bez myśli i ładu,“ postanowił ująć się za nią, przy sposobności zaś „zrąbać“ poznański Tygodnik, który, nie tylko, że drukuje paszkwile w rodzaju „Improwizatorów,“ ale pomieszcza również i kardynalne nonsensy, w rodzaju powyższego sądu o Nocy letniéj.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności, prosił go w tym właśnie czasie Woronicz, o krytykę Nocy letniéj, napisaną o ile możności „lekko, zgrabnie i stylem brylantowym.“ Korzystając z tego pochlebiającego mu zresztą zaproszenia, sporządził Słowacki „feljeton,“ w którym „z dowolnością feljetonisty,“ co „radby się dziennie ściérać i wygrywać bitwy,“ zanim przystąpił do oceny Nocy *letniéj*, zaczął od sprostowania, niesprostowanéj przez Mickiewicza, a pełnéj „wielkich kłamstw“ wiadomości poznańskiego Tygodnika „o jednéj sławnéj nocy *zimowéj*, o improwizujących dwóch poetach, o łzach słuchaczy, o mdleniu krytyków, o ściskaniach się wieszczów, którzy długo rozdwojeni okolicznościami, zbliżyli się duszą nareszcie,“ przyczem „miała nawet rozlać się w sali woń konwalii,“ oraz rozpromieniło się wszystko jutrzenką i „dusz różaném światłem“ [1]).

Odpowiedź na artykuł N. O. zjadliwa i niemiłosierna, a bolesna nietylko dla Tygodnika, ale i dla Mickiewicza, nie mówiąc już o „ciemnéj zgrai“ jego zauszników, ochrzczonych przez Słowackiego mianem „fałszerzy,“ zajęła sobą blizko połowę feljetonu, poczem następowała gorąca, prawdziwie „brylantowym stylem“ napisana apologia Nocy letniéj.

Artykuł ten [2]) przypadł snać Woroniczowi do smaku, wydrukował go bowiem w następnym zaraz numerze swojego pisma.

Słowacki tymczasem pisał trzeci list do Zygmunta, donosząc mu nietylko o téj krytyce, i o wszystkiem, co myślał, czuł, robił, ale i o tém także, co nadal, w najbliższéj przyszłości uczynić z sobą zamierzał.

Przedewszystkiém, ponieważ pani Bobrowa była już we Frankfurcie, postanowił rzucić wszystko i udać się tam za nią. Ostatnie

---

[1]) Ustęp powyższy — zwracam uwagę — jest dowcipną i... złośliwą parodyą stylu „Improwizatorów.“

[2]) Napisany między 12 a jakim 25 kwietnia, skoro 29 ukazał się już w druku.

korekty Beniowskiego porobi Niedźwiecki, co, kto wié, może wyjdzie nawet na dobre poematowi, jemu bowiem, od chwili, kiedy pani Joanna opuściła Paryż, nie korekty w głowie... Zrazu, kiedy wyjechała, chciał przezwyciężyć się i zapomnieć... Nie mógł. Na domiar złego, o ironio! przypomniał sobie, że przecież parę miesięcy temu otrzymał z domu, od matki, przypadającą mu część majątku ojcowskiego [1]) i że gdyby mu tak przyszła np. fantazya przeniesienia się na czas jakiś do... Frankfurtu, z łatwością mógłby fantazyi téj zadosyć uczynić...

I zdecydował się pojechać.

Możebném jest, że kroku tego, bądź co bądź, szalonego, gorzko żałować będzie, że wróci złamany i zniechęcony, że rojenia jego, na podobieństwo fal morskich, rozbiją się o granitowe skały rzeczywistości... Wszystko to, niestety, jest więcéj, niż prawdopodobnem, a jednak — niech się dzieje wola nieba — istnieje jakaś siła niewidzialna a magnetyczna, która mu każe nie wahać się dłużéj, siła, z którą daremna walka. Wobec uroku, jaki od anielicy téj wieje — anielicy i demona zarazem — on czuje się słaby, bezwolny. Ona pierwsza „swojém zrobiła zjawieniem,“ że dusza jego „na nowe się wzmogła loty,“ ona pierwsza dokazała, że „srodze rozkochany“ stał się w końcu jéj „wiernym cieniem“ i dlatego

Choćby aż w piekło wiodła, pójdę za nią [2]).

---

[1]) Zob. Małecki, t. II, str. 183, tudzież listy do M. t. II, str. 57. „Smuci mię to, że zamiast 1700 rubli, odebrałem tylko 1200 i t. d.

[2]) List ten pisany pomiędzy 20 a jakim 25 kwietnia, na wyjezdnem do Frankfurtu doszedł do Krasińskiego w pierwszéj połowie maja. Jakie na nim zrobił wrażenie, o tém nas informuje dostatecznie list do Sołtana, datowany z Rzymu d. 21 maja 1841 r., gdzie czytamy między innemi, co następuje: Słowacki zakochał się wściekle w pani Bobrowéj i poleciał za nią do Frankfurtu. Co téż to za ogrom dziwactw, szaleństw, głupstw i ciągłych sprzeczności dzieje się na świecie! etc. Że się Krasińskiemu podobny obrót rzeczy nie podobał, o tém nie można wątpić. Myśl, że jednak pani B. musiała Słowackiego upoważnić poniekąd do tak szalonego kroku, jak ta podróż do Frankfurtu, była mu przykrą. On pragnął, ażeby ona „co była tak piękną w objawieniu swojém znikomém,“ była „równie piękną w duchu,“ ażeby się to stało jéj dumą oraz żeby zaczęła „pogardzać światem, by kiedyś doszła do wyższego daleko uczucia, do litości nad nim.“ „Niech pamięta, że jeśli moje czyny były gwałtowne, popędliwe, to mój duch jednak, zawsze pragnął objąć ją czystemi skrzydłami i unieść do nieba! Jak człowiek się w niéj kochałem, ale zarazem kochałem ją, jak dusza, i nie mogę wspomnieć o niéj, żeby łzy mi óczy nie ćmiły — żeby serce mi nie zaczęło się lękać o nią! Nie ma we mnie żadnéj zazdrości, ale dbam o jéj godność więcéj, niż o jéj życie (por. z tém list do Słowackiego, t. III, str. 26) dlatego właśnie, żem sam pierwszy tę jéj

V.

> ...Tymczasem, kiedy się mój malutki pokazał, a ja byłem we Frankfurcie, gdzie przepędziłem całą wiosnę, jak szaleniec bardzo dręczony przez pewną osóbkę...
>
> Listy do matki t. II, str. 77.

Przybywszy do Frankfurtu, zajął się przedewszystkiém wyszukaniem sobie odpowiedniego mieszkania. Jakoż, po niedługich zachodach, udało mu się znaleźć ładny i niedrogi pokoik, z fortepianem i usługą, usługą — nawiasem mówiąc — w postaci bardzo przystojnéj i bardzo sympatyczne wrażenie czyniącéj *Dienstmädchen* [1]).

Do mieszkania przywiązywał Słowacki tym razem wagę nadzwyczaj wielką, albowiem nie o niego tu chodziło...

W głowie paliło mu się od różnego rodzaju iluzyi... [2]).

Rozproszyła je dopiéro pani Bobrowa. Zdziwiona niepomału— można sobie wyobrazić — tém nagłém zjawieniem się wielbiciela swojego we Frankfurcie, przyjęła go, jak siostra, życzliwie i serdecznie. Dlaczego, a raczéj dla kogo podróż tę przedsiębrał? Oto pytać nie potrzebowała...

Że ją kochał, że uczyniła go „swoim wiernym cieniem," że rozbudzić w nim potrafiła — mimowoli — namiętność szaloną, jaką ku żadnéj jeszcze kobiécie, póki żył, nie zapłonął; że, pozbawiony jéj widoku, nie mógł sobie poprostu miejsca znaleźć w Paryżu; że po za nią nic go nie nęciło na razie; że zobojętniał nawet dla poezyi, o ile ta poezya była jéj obojętną; że gotów był, jak Musset, za jeden pocałunek, za jeden uścisk, oddać talent i sławę — *j'aime et pour un baiser je donne mon génie* — że byle ją posiąść, byle pozyskać jéj wzajemność, gotówby się ważyć na wszystko; że garnął się do niéj, jak ćma do ognia, choć zdawał sobie sprawę najdokładniéj, czém mu to grozi; że chciał jéj wygluzować z duszy wspomnienie Zygmunta, siebie ofiarując wzamian: o wszystkiém tém wiedziała pani Joanna aż nadto dobrze.

---

godność nadwerężył. Ja dla jéj godności dzisiaj możebym własną poświęcił, kiedy za jéj życie dałbym tylko moje życie."

Listy do Jaroszyńskiego (wyd. Gorzkowskiego), str. 31.

1) Rozdział ten skreślony został na podstawie niewydanych dotąd listów Juliusza Słowackiego z Frankfurtu do Leonarda Niedźwieckiego w Paryżu. Ostatnio ogłosił je p. Leopold Méyet. Zob. „Bibliot. Warsz." z lutego r. b. *(Przy. pred)*

2) Zob. Beatrix Cenci, Monolog Pietra Akt II, sc. 5, str. 24. 5.

To téż, kiedy Słowacki, zostawszy z nią sam na sam, znowu zaczął powtarzać swoje, nie pozostawało jéj, tylko go od czasu do czasu, jeżeli się uniósł zbytnio, hamować w zapale i studzić...

Zawiedziony w swoich nadziejach, opanowany zwątpieniem, widząc, że przepaść bezdenna przedziela marzenie od jego urzeczywistnienia, zbolały i rozdrażniony, upokorzony przytém, że napróżno porzucał Paryż, rozdrażniony i „jak zwaryowany,“ kiedy mu przyszło podzielić się myślami z przyjacielem — Niedźwieckim — napisał do niego list, pełen, jak sam powiada, utyskiwań i skarg, na nieszczęśliwe położenie, w jakie się sam dobrowolnie wtrącił, biegnąc w ślad za tą nieuchwytną bańką mydlaną, któréj na imię: Miłość [1]).

Myślał, że przyjechawszy tu, przestanie cierpiéć, jak cierpiał w Paryżu; tymczasem, niestety, nic się dla niego pod tym względem nie zmieniło. *Mon martyre ne finit pas.*

Choć, z drugiéj strony, gdyby go zapytano: czy żałuje swojéj podróży? odpowiedziałby stanowczo: nie, nie żałuje. Dni bowiem — po większéj części — upływają mu przyjemnie, choćby dlatego tylko, że, nie mogąc widziéć jéj dziś, wié, iż zobaczą się jutro, nie rano, to wieczorem, nie przed, to po obiedzie, albo téż... przy obiedzie, na który go zapraszała często; a jeżeli nie przy obiedzie, to podczas przechadzki lub w teatrze.

— Mes journées se passent agréablement: je la vois je sens les battements accelérés de mon coeur et du sien; son visage se colore d'une rougeur qui me rappele la clarté diaphane de l'aurore en Grèce; j'apprends à parler le langage d'amour, je vis et je rayonne. Que faut-il de plus?

Któregoś dnia — a było to w niedzielę — przeczytał jéj swoją Beatrix Cenci [2]).

Podobnie, jak owi kochankowie W Szwajcaryi, i oni także

---

[1]) Je vous ai écrit il y a quelques jours et ma lettre était remplie des plaintes sur l'état malheureux où je me suis placé moi même, en suivant cette boule de savon, qui se nomme: Amour.

List drugi, z wtorku d. 18 maja 1841 r. Czemu listy te pisane są po francusku, choć pisał je Polak do Polaka i choć jednemu jak drugiemu łatwiéj było niezawodnie tłómaczyć się w swoim rodzinnym języku? Na pytanie jedna jest tylko odpowiedź: ówczesne stosunki pocztowo-policyjne, w Niemczech zarówno jak i we Francyi. Pierwszy list Słowackiego (wspomniany tu, jako pełen *des plaintes sur l'état malheureux* etc.), pisany był, jak o tém wiem od samego Niedźwieckiego, po polsku. Ten ostatni podarował go Bronisławowi Zaleskiemu. Co z nim zrobił Zaleski? Gdzie go zapodział! Nie wiadomo. Zob. mój artykuł „o Słowackim i pan Bobrowéj“ w Tygodniku ilustrowanym z r 1893, Nr. 163, str. 84.

[2]) Dnia 16 maja. W liście bowiem z d. 18 maja pisze Słowacki: „*Avant-hier* j'ai lui ai lu ma Beatrix C...

byli „niczém niestrwożeni, sami,“ a że tragedya była „pełna łez,“ należało się więc spodziéwać, że czytanie to również połączone będzie „ze łzami,“ przynajmniéj u strony słuchającéj. A „łzy nastrajają serce do miłości,“ jak mówi Pietro Negri [1]).

Pamiętał o tém Słowacki i dlatego, wyjeżdżając z Paryża, nie omieszkał zabrać z sobą rękopisu téj krwawéj „pełnéj łez“ tragedyi, która, jako taka właśnie, z łatwością mogła wrazie potrzeby odegrać rolę Galeotta... Osnuta zaś, jak szekspirowska historya Romea i Julii, na tle nieszczęśliwéj, beznadziejnéj miłości pomiędzy malarzem Giano Giani a piękną hrabianką Cenci, powinna — zwłaszcza na kobietę — działać tak samo, jak niegdyś na Franczeskę da Rimini i Paola oddziałała powieść o przygodach Lancelotta i Zinewry [2]).

Oto *arrière pensée* Słowackiego, kiedy pani Joannie czytał swoją Beatrix Cenci.

Utwór ten, istotnie, jak to było zresztą do przewidzenia, nadzwyczaj silne czynił na niéj wrażenie. „Była, jak anioł, co myśli i słucha.“ Nie obeszło się téż i bez tego, by Słowackiemu „duch jakiś“ nie szepnął czasami „do ucha, ażeby na nią z książki przeszedł okiem...“ Zupełnie jak W Szwajcaryi, chociaż nie tak, jak u Dantego.

— Ty mię oddalasz? Lecz miłośnik hardy,
Jeśli się waży raz zrobić wyznanie,
Jak bluszcz przyczepia się do powiernika
I ssie go listki wszystkiemi... Mój ojcze,
Ja kocham! Jam ją widział, kocham duszą,
Kocham z rozpaczą, kocham ją szalenie,
A jednak mądrze kocham! Bo z tysiąca
Ona najczystszą jest i najpiękniejszą!
Pomyślał o niéj Bóg, gdy tworzył słońce
I z myśli światła ją stworzył; a ona
Dała początek tęczom i kolorom,
Które ze słońca duszy mają duszę!..
Gdy myślę o niéj, braknie mi powietrza.
Jestem jak człowiek, który we śnie lata
I czuje, że mu nie stanie błękitu
Albo odwagi...

Wszystko to czytał Słowacki takim tonem, jak gdyby mówił o sobie i o pani Bobrowéj. A ona? Ona słuchając, rozumiała dosko-

---

[1]) Zob. Beatrix Cenci, akt II, sc. V (pism. pośm. wyd. z r 1885, str 24, 25).

[2]) Zob. Dante, Boska komedya, Piekło, pieśń V.

nale jego myśli i dlatego niejeden rumieniec smutny twarz jéj umalował.

Beatrix. Słuchaj! Nie wiem, kto ty jesteś!
Ale przez twoje ręce pragnę skonać!
Ale przez twoje ręce — być zabitą!
A przez twe oczy, tak smutne! płakaną,
A przez twe serce czyste przebaczoną...
Czy ty masz sztylet? O, daj, daj!

Giani. Sztylet?
O! co ty mówisz? co mówisz? O, patrzaj!
Ja na kolanach proszę, abyś żyła,
Abyś mi dała życie z twojéj ręki,
Abyś mi dała oczu twoich niebo,
A jednêm słowêm twojem — nieśmiertelność!!

Głos poety, przy czytaniu téj sceny drżał ze wzruszenia, jakgdyby to nie chodziło o malarza Giani i o Beatrix Cenci, ale o niego i o panią Bobrową.

Przyszła wreszcie koléj na słynną scenę w więzieniu, scenę, gdzie Giano wchodzi do celi więziennéj, w zamku Anioła, ażeby się pożegnać z ukochaną i żeby razem z nią usłyszéć wyrok śmierci.

Beatrix (*Spostrzega Giani'ego*). Ach! Giani!..

Giani. Beatrix!.. (*Roztwiéra ręce. Beatrix rzuca się w jego objęcia*).

Beatrix. Usta twoje!

Giani. Twoje usta!

Beatrix. Czy ty mój jesteś kochanek?..

Giani. Beatrix!

Beatrix. Ziemio! Pochłoń nas!

Giani. Śmierci! Teraz śmierci!!!
Jaki to nagły dreszcz?.. Czemuś wzdrygnięta?

Beatrix. Jak ty przyszedłeś tu? prócz spowiednika
I Barygiela, nikt tu nie przychodzi,
A kto przychodzi, śmierć go wyprowadza!

Giani. Kto?

Beatrix. Wychodź, blady mój kochanku, wychodź!
Ja tu zostanę sama... Kto cię wpuścił?

Giani. O, bądź spokojna! Miłość mię przywiodła.

Beatrix. Ty spokojniejszy, niźli *mój* kochanek.

Giani. Ja cię spokojnie kocham, ale wiecznie.

Beatrix. Jeśli mię kochasz, uciekaj na słońce!

Giani. Słońce? Ty moje słońce! Ja cię kocham,
Dlaczego ty mię odsyłasz do ludzi?..
O, zapomnijmy o nich, duszo moja!

Beatrix. O zapomnijmy o nich... Siądź tu, Giani,
A ja upadnę na kolana, drżące
Tutaj na różach, i będę mówiła,
Jak ty masz o mnie pamiętać... O, Giani,
Jestem spokojną teraz i szczęśliwą..
Pamiętaj o mnie! Pamiętaj ty o mnie
Inaczéj, niż lud, który się lituje,
Inaczéj, niż Bóg co patrzy bez żalu.
Pamiętaj o mnie, jako o Rzymiance
Nieskazitelnéj, strasznéj, nieszczęśliwéj,
Którą — splamioną — miłość oczyściła
Ze wszelkiéj zmazy. Ja się czuję czystą.
Lecz miłość przyszła późno... Przebacz, Giani,
Że ci rozdzieram serce, ale muszę.
Dzisiaj wieczorem ty... będziesz. Nie mogę
Wystawić sobie, dziś, tam, w twojéj celi,
Ciebie, bezemnie, ha!.. Lecz bądź spokojny,
Zaklinam ciebie, dziwnie rozczulona;
Bo nie myślałam nawet, żem ja zdolna,
Tak miękko i tak łzawo mówić z tobą;
Lecz ta godzina jest bez drugiéj dla mnie,
I ty nareszcie znikniesz mi z przed oczu,
I Bóg mnie weźmie, o, tak, rozpłakaną!..

Nie zapominając ani na chwilę o piątéj pieśni Dantejskiego Inferno, zdobywał się Słowacki przy czytaniu tych i tym podobnych scen na intonacyę głosu tak przejmującą, z takim talentem deklamacyjnym uwydatniał najdrobniejsze odcienia uczuć Giani'ego i Beatrice, ich obawy, tęsknoty, rozemdlenia i smutki, że pani Joanna, słuchając, niejednokrotnie miała łzy w oczach. Dusza jéj, nadzwyczaj wrażliwa i czuła, niczém dusza biednéj Beatrix Cenci, dużo mająca z nią cech pokrewnych, wspólnych, tak samo, jak tamta, kochająca, tak samo, jak tamta, cierpiąca, tak samo, jak tamta, nieszczęśliwa, i tak samo, jak tamta, mogąca powiedziéć o sobie, że ją, splamioną, miłość oczyściła ze wszelkiéj zmazy, dusza jéj, podrażniana co moment w najdroższych swoich uczuciach, drżała, jak struna. Każde słowo, jeżeli to było słowo smutne i rzewne, znajdowało w niéj oddźwięk, obijało się echem [1]).

Po skończonéj lekturze, która przeciągnąć się musiała dość długo, pani Joanna, zapytana o zdanie, co myśli o téj tragedyi, czy uwa-

---

[1]) „Il est vrai, qu'en lisant, je trouvais des inflexions de voix qui faisaient vibrer toutes les cordes de son âme. La commotion éléctrique qu'elle en a ressentie ne peut se comparer qu'à celle qu'on reçoit en se baignant d'une torpède“ (w liście z d. 18 maja 1841 r.).

ża ją za dobrą, piękną, podziwiała szczególniéj genialną intuicyę i znajomość serca — niewieściego zwłaszcza — z jakiemi skreślone tu zostało uczucie miłości. *Elle a trouvée la passion superieurement bien peinte.* A któż mógł, jak w danym wypadku, kompetentniejszym być sędzią, aniżeli ona, która przez to sama przechodziła kiedyś, ona, którą nauczyło doświadczenie,

co miłość, co długa tęsknota,
Co bój zacięty z myślą o kochanym,
Co szczęście niebios, co piekieł zgryzota,
I brak łzy cichéj w oku wypłakaném [1]).

Takich scen jednakże, jak ta, scen, będących smutnym wprawdzie, ale harmonijnym duetem, nie miał Słowacki wiele przez czas swojego we Frankfurcie pobytu.

— Les calmes sont rares sur la mer où je vogue...

Nierównie częściéj, bo prawie ciągle, z bardzo krótkiemi przerwami, szalał na morzu tém huragan nie odzwajemnianéj miłości, huragan, miotający duszą Słowackiego, jak łupiną orzecha, na wszystkie strony i nie dający mu ani chwili wytchnienia, ani chwili spokoju.

— La dame de mes pensées ne me laisse pas un instant de repos.

Trawiony żądzą, któréj zaspokoić nie mógł, cierpiał wskutek tego Tantalowe iście katusze, które mu szarpały wnętrzności.

— Je suis seul, à sa merci, ayant des entrailles dechirés par elle...

Wizyty jego u niéj kończyły się najczęściéj obustronném rozgoryczeniem, tak dalece, że przychodziło nawet do scen bardzo gwałtownych, scen, które się późniéj odbiły w Śnie srebrnym Salomei [2]), a które teraz, dla Słowackiego przynajmniéj, prawdziwą się stawały torturą.

Tak upłynęło trzy tygodnie. Widząc, że go ten płaszcz Don Juana, niczém „Dejaniry paląca koszula“, o niewysłowione tylko przyprawia męczarnie, postanowił Słowacki, wyczerpany ostatecznie tą bezowocną walką, powrócić znów do „smętnéj“ roli Werthera. Jakoż uspokoił się trochę...

— Maintenant je suis plus prudent et elle aussi. Que Dieu nous garde et nous sauve!

---

1) Wrażenie z Kampanii. Pisma Zyg. Krasińskiego, t. III, str. 14.

2) Zob. Sen srebrny Salomei (wyd. lwow. z r. 1885 pism pośmiertnych Słowackiego, t. IV), str. 100, 101, 106, 108, 136, 137, 138, 139, 140, 141, 142, 163, 164, 168, 170, 196.

Do niedawna łudził się był jeszcze nadzieją, że czego nie zdołała dokazać miłość, tego dokaże w końcu... przyzwyczajenie; teraz zwątpił o wszystkiém i cierpiał.

— Je souffre et je ronge mon frein en écumant...

Uczucia ulgi doznawał jedynie wtedy, kiedy był u niéj, przy niéj, z nią, kiedy patrzył w jéj oczy błękitne i kiedy mu od tego spojrzenia (jeśli to było spojrzenie „bez szyderstwa" i jeżeli nie szło w parze z „uśmiechem urągającym politowania") stawało się jak gdyby widniéj w duszy... Niestety, zdarzały się takie dni, te mianowicie, w których panna Lolly, mieszkająca nie z matką razem, ale na pensyi, przychodziła do domu, że nie widywał pani Joanny „prawie wcale". Dni takie były mu piekłem. Zmuszony spędzać je sam, ze swojemi książkami niemieckiemi, których czytanie przychodziło mu trudno, z pianinem, które było całkiém rozstrojone, i ze służącą, która, może dlatego, że zakochana w nim, przestała go interesować, pogrążony w swoich *pensées noires*, jak Lara lub Korsarz Byrona, nie wiedział, co robić z sobą, czém zapełnić dwanaście pustych godzin, i „wściekał się" często z rozpaczy, a często i ze złości. Nic go wtedy nie pociągało ku sobie: ani książki, ani pianino, ani *la petite servante* [1]).

Jeżeli mówił, że dni takie były mu piekłem, to nie przesadzał. Rzucony niespodziewanie na bruk bankierskiego, w najwyższym stopniu prozaicznego miasta, w atmosferę, przesiąkłą zapachem banknotów i weksli, trawiony tęsknotą za ukochaną, która była tak blizko, a któréj mu chwilowo zobaczyć nawet nie było wolno, roznerwowany tém, nie mogąc usiedzieć w domu (nuda go bowiem wypędzała z mieszkania) włóczył się godzinami całemi, jak „błąkający się cień", po ulicach i usychał z żalu...

Jak gdyby dla kontrastu z tém ponurém usposobieniem poety, wiosna tego roku była prześliczna [2]). Słońce grzało, jak w lecie;

[1]) Il y a des jours où je ne la vois presque pas; ce sont ceux, où sa fille vient à la maison. Ces jours là sont un veritable enfer pour moi. Je suis obligé de les passer tout seul, avec mes livres allemands et mon piano, qui est tout discord, et une petite servante allemande, qui est amoureuse de moi... Vous sentez bien, que j'enrage et que je ne touche souvent ni à mes livres, ni à mon piano.. Je reste plongé dans mes pensées noires, comme Corsaire ou Lara. Aujourd'hui Samedi, je suis precisement dans la position ci depuis décrite: j'ai encore douze heures à passer et je ne sais pas comment... (w liście z d. 22 maja).

[2]) Zob. Gazeta Warszawska, Nr. 145, z d. 3 czerwca 1841 r., korespondencya z Niemiec, datowana d. 20 maja (a więc z czasu, kiedy Słowacki bawił we

drzewa, niedawno jeszcze ogołocone z liści, zazieleniły się nagle; w powietrzu zapachniały fiołki, bzy, akacye i kasztany; wszystko zdawało się uśmiéchać, odradzać i, jak zwykle na wiosnę, marzyć o miłości, o pieszczotach, o pocałunkach [1]).

Vom Eise befreit sind Strom und Bäche
Durch des Frühlings holden, belebenden Blick;
Im Thale grünet Hoffnungsglück! [2])

Słowacki tymczasem, czytając to (nie mógł bowiem, mieszkając we Frankfurcie, mieście rodzinném Goethego, nie czytać Fausta), upiłby się chętnie, byle tylko o rzeczywistości i o swéj trosce zapomniéć. Choć, z drugiéj strony,

W sercu mi teraz tak głucho
I tak ciemno, żem nie do kielicha [3]).

Wszystko go nudziło, niecierpliwiło, drażniło. Dom, w którym się urodził Goethe, pomnik Guttenberga świéżo odsłonięty [4]), dom Rotschilda, stara katedra, malownicza *Alte Main-Brücke*, przenosząca myśl w średnie wieki, eleganckie sklepy na *Zeil*, rozgardyasz przed gmachem giełdy, świat literacko-dziennikarski, tragedye Goethego, Schillera i Szekspira, dawane w *Schauspielhaus*'ie, opera, wszystko to mogło dla niego dzisiaj nie istniéć, tak było mu obojętne, zimne, nie wzruszające.

O niéj tylko myślał...

W teatrze, jeżeli był sam, często, zamiast na scenę i na grę aktorów, odtwarzających bohatérskie postaci dramatów Goethego i Schillera, poglądał ku loży, pustéj dzisiaj — dla niego przynajmniéj, — a w któréj parę dni temu (jak niegdyś w Dreznie, pani generałowéj Dąbrowskiéj i jéj córce) asystował pani Bobrowéj i pannie Lolly.

Literaci miejscowi, z którymi zdarzała mu się sposobność bliżéj zapoznać, robili na nim wrażenie ludzi przeżytych, wyjałowionych, stetryczałych i nudnych, bez odrobiny fantazyi i sił żywotnych [5]).

Frankfurcie). „Od dawnych lat nie mieliśmy po tak ostréj zimie tak pięknéj, prawie letniéj wiosny.“

[1]) „A chaque printemps, c'est dans toute la nature une sorte de fièvre de fecondation qui s'empare de tous les êtres; partout, où il y a la vie, apparait l'amour.“ Charles Richet, „L'amour“, Revue d. d. mondes, 1891.

[2]) Goethe, Faust, I.

[3]) Sen srebrny Salomei.

[4]) 24 czerwca 1840 r.

[5]) Je ne suis pas tenté de faire connaissance avec les hommes des lettres d'ici. Ce sont tous des gens décrepits, usés, sans aucune force vitale.

Któregoś dnia, kiedy mu opowiadano o pewnym uczonym, bardzo głębokim myślicielu, a dla którego ci, co mówili o nim, z nadzwyczajném byli poważaniem, ba, z uwielbieniem, dał odpowiedź tak erotyczno-cyniczną, tak drwiącą z ascetyzmu naukowego, że sobie nią zwolenników nie zjednał... prędzéj wywołał oburzenie. Mało mu zresztą zależało na sympatyi frankfurtczyków.

Cynizm ten miał swoje źródło w zwątpieniu i rozpaczy. Najlepszy dowód, że, kiedy się poeta od przejeżdżającego w tym czasie przez Frankfurt, a do Poznania zdążającego ówczesnego vice-prezesa klubu, dowiedział się o śmierci Juliana Ursyna Niemcewicza, zmarłego w Paryżu d. 21 maja, mimowoli wyrwał mu się z piersi żałobny okrzyk: *Invideo!* Zazdroszczę!

— I ja wkrótce położę się, jak on, ale bez pokoju, jaki daje życie długie i dobrze spędzone, *mais sans cette tranquillité que donne une vie longue et bien passée.*

Na wiadomość zaś, że Ursyn zostawił podobno długi bardzo testament, pomyślał, że jego ostatnia wola nie będzie wymagała zbyt wielkiego arkusza papiéru:

— *Mon testament sera plus court, que celui du bon vieux poète:* Westchnienie tym, którzy mnie kochali, przekleństwo tym, którzy mnie nienawidzili. Szlafmycę otrzyma Witwicki, aby nią sobie nakrywał głowę, wdziewając szlafrok, zapisany mu przez Mojżesza. *Ainsi ce diable d'homme est destiné à devenir l'héritier des poètes.* Szkoda tylko, że Niemcewicz nie pamiętał o jego podagrze i nie zostawił mu swych nóg, aby mógł pójść na pogrzéb [1]).

W tak pochmurnym humorze zastawały go częste dość, a zawsze wesołe i dowcipne, nacechowane pogodą, zdrowiem i równowagą ducha, listy z Paryża od Leonarda Niedzwieckiego.

— Heureux ceux qui, comme vous, restent tranquilles et calmes en regardant couler l'eau, et qui prennent en pitié leurs amis devenus fous.

I kiedy Niedzwiecki zastępował swego przyjaciela-desperata nietylko przy korektach „Beniowskiego“ i wszystkiém, co z poematem tym pozostawało w związku, jak korespondencya z nakładcą lipskim Michelsen'em, ogłoszenia w dziennikach, opłata introligatora, pertraktacye z księgarniami paryskiemi, etc., ale i w klubie polskim, gdzie zajął jego prezesowskie krzesło, przewodnicząc zgromadzeniom; Słowacki, pisząc do niego, listy swoje, pełne czarnéj melancholii i *spleen*'u, kończył w taki np. sposób:

---

[1]) Il est dommage cependant. que Niemcewicz, n'ait pas pensé à lui léguer ses jambes pour pouvoire aller à l'enterrement.

— Gardez-moi votre amitié et attendez-moi avec un coeur d'ami. J'en ai bien besoin! bien besoin!...

Temi słowy kończył się ostatni list Słowackiego z Frankfurtu, datowany dnia 1 czerwca 1841 r., list, w którym poeta (tak *nota bene* roztargniony, że zamiast napisać 1 czerwca napisał 1 maja) zawiadamia swojego druha z Rue du Fauburg du Roule Nr. 25 o odbiorze Beniowskiego.

Nareszcie! Powinien go był otrzymać już przed tygodniem, razem z listem, w którym mu Niedźwiecki o wysłaniu dwóch pierwszych egzemplarzy poematu donosił. Na nieszczęście, poczta nie śpieszyła się bynajmniéj z ekspedycyą powierzonéj sobie przesyłki i upłynęło dni kilka, zanim zniecierpliwiony oczekiwaniem autor otrzymał swoje dzieło. „To moje najmilsze, to moje ostatnie.“

Zależało mu na niém podwójnie: raz, że sam był ciekawy zobaczyć, jak téż „malutki“ ten wygląda w drukowanéj szacie — zwykła ciekawość autorska—a powtóre, że był jeszcze ktoś drugi, co się Beniowskim niezmiernie interesował...

— La comtesse polonaise pour la quelle je fais venir ces livres les attend avec impatience et moi, qui voudrais lui être agréable je ne suis pas moins inquiet de leur retard.

Otrzymawszy go w końcu, uszczęśliwiony, że ma się znów czém przed panią Joanną pochwalić, był u niéj, w jéj buduarku, jeszcze tego samego dnia i... rozpoczęli czytanie.

Tak samo, jak wtedy, kiedy czytali, t. j. kiedy on czytał, a ona słuchała Beatrix Cenci, byli i tym razem „niczém niestrwożeni, sami.“ Do pokoju, przez otwarte okna, napływały ożywcze powiewy wiosny, pomieszane z odgłosem oddalonéj wrzawy ulicznéj i wesołym szczebiotem jaskółek... Zresztą, cicho było dokoła, jak w świątyni.

Ażeby tém żywszy obudzić interes w słuchającéj, Słowacki, czytając, nie szczędził komentarzy. Bo nic tak nie zaciekawia kobiéty, jak geneza każdego wybitniejszego ustępu.

Ile było w każdéj oktawie *Wahrheit*, a ile *Dichtung?* Jakie wspomnienia i jakie okoliczności złożyły się na powstanie najpiękniejszych scen? O kim myślał, tworząc postaci Anieli, starosty, Dzieduszyckiego, Beniowskiego? Jak się w rzeczywistości nazywały Anielinki? Kogo miał na myśli w różnych bezimiennych a zjadliwych dygresyach tego aryostyczno-byrońskiego poematu? W jakiém był usposobieniu, cyzelując niektóre oktawy? O ile, pisząc Beniowskiego, stosował się do nieoszacowanych rad Zygmunta? Dlaczego

w sposób tak nieprzejednany rzucił się na Mickiewicza? Czemu był dla niego, jak sam powiada, „bez łez, bez litości“?

O wszystkiém tém opowiadał Słowacki pani Bobrowéj bardzo szczegółowo, tak, iż nieodzowną okazała się potrzeba kilka posiedzeń, ażeby zamknąć książkę.

Na pytanie zaś: jakie z lektury téj wyniosła pani Joanna wrażenie? jedna tylko istnieje, i istniéć może, odpowiedź: dodatnia. Beniowski, těmbardziéj, że czytany i interpretowany przez samego autora, nie mógł jéj poprostu nie olśnić, nie zachwycić, nie rozmarzyć.

Dość było jednéj takiéj sceny, jak np. ta, kiedy Aniela wymawia kochankowi, że chciał odjechać bez pożegnania z nią, ażeby dusza pani Bobrowéj odjękła żałośnie, ażeby serce jéj zabiło żywiéj, niespokojniéj.

Ty wyjeżdżałeś! tyś mi nie powiedział!
    Ale me serce jest miłosnym szpiegiem!
Nie mów mi, że jest między nami przedział
    Fortuny... Jestem nad przepaści brzegiem.
Usiądź! opowiem, wszystko będziesz wiedział!
    Nie strasz się tylko trudności szeregiem,
Nie strasz się! jesteś ludziom w poniewierce,
Lecz ja cię kocham jedna, ja mam serce!

Straciłeś cały majątek? i cóż mi
    Majątek? ludzi sąd? ja kocham ciebie!
Ja twego serca chcę, a nie twych dusz mi
    Potrzeba! pójdę o żebranym chlebie!...
Nie odpowiadaj mi na to! nie krusz mi
    Serca, mój los już zapisany w niebie.
Ja kocham ciebie, w twojém sercu żyję.
Kto nas rozdzielić chce, ten mnie zabije!

Dzisiaj przyjechał Dzieduszycki z drogi,
    Znów się oświadczył i o moją rękę
Prosił. Mój ojciec stał się dla mnie srogi,
    I guwernantka, jak na moją mękę,
Za ojcem trzyma. I ludzie, i bogi
    Przeciwko nam są. I wuja Sosenkę
Przekabacili już na swoją stronę,
Płakałam... Patrzaj, oczy mam czerwone.

A tu jak na złość, dla Dzieduszyckiego
    Był bal. Czy widzisz, jak jestem ubrana?
Musiałam ubrać się dla ojca mego
    W ten księżyc, lecz ja dla mojego pana,
Dla ciebie tylko! dla ciebie samego
    Ubrałam się tak w kwiaty, po kolana.

Prawda, że dobrze mi tak bez zawoja?
Ja nie ubrałam się dla nich, ja twoja!

Lecz ty wyjeżdżał. Gdzie? O! ty niewierny!
Gdyby nie Diwa, byłbyś już daleko.
Gdzieżeś ty jechał? Gdy mię ból niezmierny
Dręczy, kiedy mię przed ołtarze wleką;
Gdy nie zostaje nic, jak się w cysterny
Rzucić, lub twoją się zakryć opieką,
Ty mię opuszczał w chwilę tak okrutną!
Ja przebaczyłam już, ale mi smutno.

Czy ty nie ufasz, że ja zdołam jedna
Oprzéć się, zostać twoją? Ja nie płocha!
Ty nie wiész, co to jest kobiéta biédna,
Kiedy ją dręczą; kiedy mocno kocha,
Zgubi się, potém u wszystkich wyjedna
Łzy nad swém sercem zgubionêm i trocha
Kwiatów. I więcéj też żadnéj nie trzeba...
Cóż to? Nie mówisz do mnie? O, nieba!

Myślałam, że ty mi dodasz nadziei
etc., etc.

Ileż wspomnień, ile obrazów przeszłości, obudzić musiał w pani Joannie ten ustęp!

Dla Słowackiego oczywiście był to największy tryumf, widziéć ją rozczuloną, ze łzami w oczach.

Nie obeszło się téż i bez tego, żeby go nie zapytała, od kogo nauczył się tak miłośnie gruchać? Czy był kiedy w podobném, jak tu Beniowski, położeniu, że tak dobrze wié, jak mówi kobiéta kochająca, przy pożegnaniu z kochankiem?

Stąd poszło, że opowiedział jéj o różnych swoich miłościach, o Korze Pinard, o Eglantynie Patteg, o Elizie Morin, a wreszcie i o pannie Anieli Moszczyńskiéj, która, tak samo jak kochanka Beniowskiego, była bogata, kiedy on, podobnie jak bohatér jego poematu, nie miał prawie nic, co było głównym powodem, że się nie oświadczył, choć namawiano go do tego...

Ją to miał na myśli, kiedy pisał, że „podolanek są usta srebrną lirą“, a serca „jak aniołów dusze...“

Sam znałem jedną... Lecz nie wspomnę o niéj
Bo się nadzwyczaj mój rym rozserdeczni,
Od serca mi jéj wiało tyle woni
I tyle światła, że mi dziś słoneczniéj,
Chociaż mi zégar teraz północ dzwoni...

Ale

Ona umarła już, jest częścią Boga,
Duszą, światłością, wolą, jedną chwilą
Wieczności, wiedzą wszystkiego... O, dosyć!
Niech resztę grobu cyprysy ochylą.
Różom najbielszym jéj żałobę nosić, etc., etc.

Pisał to jeszcze w czasach, kiedy jéj (pani Bobrowéj) nie było w Paryżu, kiedy serce jego nie było jeszcze związane z pewném mieszkaniem przy Rue des Piramides [1]), a pisał pod niedawném wrażeniem śmierci panny Moszczyńskiéj, która, istotnie, w kilka miesięcy po tém, jak opuścił Florencyę, zmarła nagle... „Choroby, z któréj umarła, nie rozumieli doktorowie, a ja byłbym nadto zarozumiałym, gdybym ją memu zimnemu postępowaniu przypisywał.“

Do postaci starosty, nie mówiąc już o starym Moszczyńskim, pozowało mu kilku ojców, posiadających wielkie fortuny i... córki na wydaniu. Najwięcéj jednak rysów wspólnych posiadał starosta ze starym Wodzińskim, ojcem Maryi.

To dało Słowackiemu powód do szczegółowego opowiedzenia pani Bobrowéj o pannie Maryi Wodzińskiéj, która go natchnęła do napisania poematu W Szwajcaryi, a o któréj w czasie swojego pobytu w Egipcie, na piramidzie, tfu! dowiedział się, że za mąż idzie, za Chopina!

Po przeczytaniu kilkunastu oktaw pieśni czwartéj, poświęconych Ludwice Śniadeckiéj, wypadało opowiedzieć i o téj „kochance pierwszych dni“, któréj wspomnienie towarzyszyło mu wszędzie.

Nie obeszło się téż bez użaleń na chwilę obecną, na udręczenia ostatniéj miłości.

O to bynajmniéj nie dbam i nie stoję,
Aby wiedziano, czy moja dziewicza
Muza kochała się realnie. Roję,
Śnię, tworzę, harfy używam lub bicza,
I to jest moja poetyczna droga...
Lecz z mego życia poemat dla Boga!

---

[1]) Za pierwszéj swojéj bytności w Paryżu mieszkała pani Bobrowa (jak o tém wiem z listów Słowackiego do niéj pisanych) w pobliżu ogrodu Tuilleryjskiego, który było widać z jéj okien. Wszystko skłania do przypuszczenia, że ulicą, przy któréj mieszkała, była Rue des Pyramides, przy któréj, nie zapominajmy, mieszkał także w swoim czasie Słowacki. W każdym razie, pewném jest, że mieszkała w dzielnicy Saint-Honoré, a czy to było przy ulicy Castiglione, czy de Rivoli, czy du Dauphin, to już w historyi znajomości pani Bobrowéj ze Słowackim nie gra żadnéj roli.

On wié, on widział, nad jakiemi chmury
  Stawałem bez łez i pieśni, z myślami
Aniołów w przepaść lecących. Te chóry
  On słyszał, gdyśmy byli z Bogiem sami.
Nie zwiodły go te królewskie purpury,
  W które ja się tu, jak przed sztyletami
Cezar, obwijam, gdy mię w serce rażą,
Ażeby umrzéć z niewidzianą twarzą.

Bóg sam wié tylko, jak mi było trudno
  Do tego życia, co mi dał, przywyknąć;
Iść co dnia drogą rozpaczy odludną,
  Co dnia uczucia rozrzucać, czuć, niknąć;
Co dnia krainę mar rzuciwszy cudną
  Powracać między gady i nie syknąć;
Co dnia myśl jedną rozpaczy zaczynać,
Tą myślą modlić się i nie przeklinać.

On! i pustyni gwiazdy lazurowe,
  I zachodzące nad morzami słońce,
I jedno serce ludzkie...

Nietrudno było się pani Bobrowéj domyśléć, kogo przez to „jedno serce ludzkie“ rozumiał Słowacki.

Lecz to n o w e
Głosy dla mojéj lutni, t e c i e r p i ą c e.

Jeżeli miała jakie wątpliwości, że o niéj tu myśli Słowacki, to rozwiały je zupełnie cztery następne wiersze:

Milcz, serce! Albo się strzaskaj, echowe
Narzędzie pieśni, bólu, wiecznie drżące,
I o b ł ą k a n e, n i e z a s p o k o j o n e!
Uderzam ciebie w złości, milcz, s z a l o n e!

Przypuszczenie to potwierdzała jeszcze i następująca oktawa, wyraźnie już pisana pod wpływem miłości dla niéj...

O pryncypia! jakbym chętnie
  Powiedział prosto dziś, co o was myślę!
G d y b y m i t e r a z w s e r c a m e g o t ę t n i e
  N i e b r z m i a ł a i n n a s t r u n a... Więc przekréślę
Te strofy... D u s z a m i z a g r a ł a s m ę t n i e,
  Ś m i e c h u n a u s t a c h n i e m a m, n i w u m y ś l e
Wszystko prowadzi dziwnie boża ręka,
T a k d z i w n i e! ż e m i s e r c e w r e i p ę k a.

Pomimo tego jednak, „chociaż mi serce pęka, śmiech mię bierze.“ Tak mu przynajmniéj mówić nakazywała jego... duma. Za

dumny był, ażeby się przyznać otwarcie, że cierpi: upokarzałoby go to we własnych oczach.

Tak się rzecz miała parę miesięcy temu, w Paryżu, kiedy był na warsztacie Beniowski. Inaczéj teraz, we Frankfurcie, gdzie poeta przeszedł przez wszystkie upokorzenia, gdzie poddał się dobrowolnie urokowi tych oczu błękitnych, gdzie pozwolił się deptać, dręczyć, jak gdyby nie wiedział, co to miłość własna.

I był pokornym, on, który przed nikim zresztą nigdy nie uchylił czoła, przed nikim, choćby to był sam nawet Mickiewicz!

Że go się nie bał i że mu się nie lękał rzucić rękawicy, jemu i całéj „zgrai“ jego zwolenników, tego najlepszym dowodem Beniowski ze swojemi dygresyami i pociskami, wymierzonemi przeciwko tym „Litwinom-jezuitom.“

Odwaga ta jego nie mogła nie budzić podziwu w pani Bobrowéj. Jak mógł wystąpić tak bezwzględnie, z taką zaciętością! Jak mógł tyle na jedną stawiać kartę? Wszak mogą go za to — czego Boże broń — wyzwać na pojedynek, a czyż godzi się dla kaprysu wystawiać życie na szwank.

Co do pojedynku—odpowiadał jéj na to Słowacki—to zdaje się, że go nie uniknie. Pisze mu właśnie z Paryża Niedźwiecki, że już krytyka Nocy letniéj i zawarta w niéj odpowiedź na Improwizatorów niesłychaną w obozie mickiewiczowskim wywołała wrzawę. Można sobie wyobrazić, jakiéj dopiéro wrzawy narobi Beniowski.

Chodzi tylko o to, ażeby go zrąbani antagoniści nie posądzili przypadkiem o intencye, których nie miał bynajmniéj, wyjeżdżając do Frankfurtu, a mianowicie: że dlatego na czas wyjścia poematu oddalił się z Paryża, ażeby strzałów uniknąć.

Że zaś nieobecność jego nad Sekwaną mogła ich bądź co bądź do przypuszczeń tego rodzaju upoważniać, postanowił więc, ażeby im do żadnych podejrzeń nie dawać powodu, wracać czemprędzéj do Paryża.

Były zresztą i inne jeszcze przyczyny, które go skłaniały do wyjazdu i, co za tém szło nieodłącznie, do rozłączenia się z ukochaną. Jakie? O tém ona wiedziała równie dobrze, jak on.

— La vie que je mène ici est insupportable.

Nie czuł się już poprostu na siłach dłużéj tak cierpiéć, jak cierpiał przez tych kilka tygodni.

— Il est impossible que je souffre plus longtemps une torture pareille... Il faut que je parte. Aussi dans dix jours tout au plus mon petit appartement d'hirondelle me reverra. Oh, qu'il y a du désespoir dans cette pensée!

Przezwyciężył się jednak (do czego w niemałéj mierze przyczyczyniły się niepokojące wieści z Paryża o wrażeniu uczynioném przez Beniowskiego) i wyjechał. Dnia 8 czerwca już go nie było we Frankfurcie.

A pani Bobrowa? Jéj było go żal, stanowczo. Kiedy się z nią żegnał, płacząc przytém, jak dziecko, kiedy prosił ją o przebaczenie win (bo on, kto wié, może na to tylko jedzie już do Paryża, ażeby zginąć od kuli przeciwnika) i kiedy prosił, ażeby się czasem pomodliła za niego, nie mogła mu tego odmówić...

Mimowoli drżała o niego...

Nie widziała zresztą przyczyny taić przed sobą, że „pomimo wszystkiego“ zawsze ją przecież los jego „cokolwiek interesował...“ [1]).

Ferdynand Hösick.



---

[1]) Zob. Listy d. m. II, 77; „...zrąbani antagoniści moi zrobili collegium, co ze mną zrobić, i przekonani, że ja w niebytności mojéj dlatego wypuściłem na harc mego chłopczyka, aby strzałów uniknąć, postanowili wyzwać mię na pojedynek. Wiedziałem to bardzo dobrze i przepowiedziałem nawet, wyjeżdżając z Frankfurtu, osobie, którą pomimo wszystkiego los mój cokolwiek interesował...“



WYKSZTAŁCENIE PRAWNE W NIEMCZECH.

Stan obecny i projektowane reformy.

I.

Źródłem ruchu, jaki oddawna już, a ciągu ostatniego dziesięciolecia z niebywałą przedtém siłą agitacyjną odbywa się w niemieckim świecie naukowym, w niemieckiéj prasie potocznéj i w opinii ogółu na rzecz reformy studyów prawnych w kraju, jest ustalone powszechnie przekonanie o upadku tychże studyów, a nader niezadawalniającym poziomie wykształcenia młodzieży prawniczéj w Niemczech całych, a zwłaszcza w Prusiech. Opierając się na poglądach, wypowiedzianych w téj mierze przez licznych bardzo, a poważnych autorów, upadek studyów należy charakteryzować pokrótce jak następuje: studenci, uczęszczający na wydziały prawa pod względem rozwoju umysłowego, chęci do nauki, zdolności i poczucia obowiązku pozostawiają, ogólnie biorąc, wiele bardzo do życzenia; przedewszystkiém zaniedbują oni całkowicie wykształcenie fachowe, nie chcą i nie umieją poważnie pracować w obranym kierunku, na wykładach albo wcale nie bywają, albo bywają nieregularnie, nie mają we zwyczaju uczyć się samodzielnie z książek, od zajęć wydziałowych stronią, wszelką ścisłą teoryę jawnie lekceważą, do egzaminów przystępują bez istotnéj znajomości przedmiotów, a wiadomości niezbędne do ich złożenia pochłaniają w ostatniéj chwili przy pomocy płatnych korepetytorów. Jednocześnie nie nabywają oni wykształcenia ogólnego, są obojętni na najważniejsze zagadnienia chwili i rażą częstokroć brakiem zasadniczych pojęć z dziedziny nauk humanitarnych.

Czas pobytu na uniwersytecie w większości wypadków trwonią na zabawach, awanturach i pijatykach, pędząc, co się zwie, życie burszowskie. Studenci prawa samochcąc odtrącają środki potrzebne do studyów, jakiemi państwo stara się ich otoczyć: dwadzieścia fakultetów prawnych, istniejących w cesarstwie niemieckiém, wszędzie bogate biblioteki, znakomicie urządzone seminarya, swoboda pracy, opieka rządu i społeczeństwa i wiele, wiele przywilejów, drogą zwyczaju przyznawanych młodzieży uniwersyteckiéj — wszystko to nie bywa przez nich wyzyskiwane na własny i kraju pożytek; nie są w stanie zachęcić ich do nauki nawet niedalekie przykłady jéj kultu ze strony korporacyi profesorskich, gorliwie piastujących godność wiedzy i ze strony kolegów z innych fakultetów, mających jaknajlepszą opinię pracowitości i uzdolnienia.

Pod piórem pojedyńczych autorów zarzuty przeciwko słuchaczom prawa w Niemczech nabierają cech bardziéj jeszcze stanowczego oskarżenia. Spojrzyjmy np., co mówił o studentach pruskich znany kryminalista prof. Franciszek v. List w mowie mianéj 17 października 1886 r. w Marburgu przy objęciu rektoratu w miejscowym uniwersytecie: „Bez gruntownych wiadomości z zakresu swego fachu, z okruchami wykształcenia przyniesionego z gimnazyum, bez zamiłowania wiedzy, którą mają za suchą teoryę. utrudniającą tylko egzaminy, bez przywiązania do wykładających, których raz lub dwa razy w przeciągu semestru widzieli, bez rozumienia i interesowania się kwestyami dnia—filistrzy, mimo trójkolorowych wstęg, bezpowrotnie oddani rzemiosłu, oto w jakim stanie większość naszych młodych pracowników opuszcza świątynię nauki, z tego to materyału Prusy biorą swych sędziów i urzędników, to są ludzie przeznaczeni na przyszłych przewódców narodu w walkach życia publicznego.“ Tenże List utrzymuje, że „jeżeli na 10 zameldowanych słuchaczy, jeden regularnie uczęszcza na wykłady, to i to stanowi już rzadki i pocieszający wyjątek, zazwyczaj bowiem $^{3}/_{10}$ słucha lekcyi nieregularnie t. j. z kilkutygodniowemi pauzami, pozostałe zaś $^{6}/_{10}$ zaledwie ukazuje się w gmachu uniwersyteckim.“ Prof. Schmoller utrzymuje, że „tak leniwych, jak są studenci prawa, nie ma śród filologów, ani teologów, ani historyków. O stosunkach w Bonn odzywa się rektor tamtejszy Schultze: „Większość studentów uważa obecność na wykładach za całkiém zbyteczną. Fechtunek, jazda konna, wycieczki i swawola zdają się być jedynym celem w tym okresie młodości, który jako *dolce farniente* tak miłe wspomnienia budzi w późniejszém życiu filistra. Kiedy zbliża się koniec swobody, majętniejsi w przeciągu dwóch ostatnich semestrów udają się do pomocy *Einpauker'ów*; ubożsi na ten czas gorączkowéj pracy łączą się w kółka. Przez pierwsze dwa semestry student uwa-

ża się za wolnego od zajęć naukowych.“ O studentach prawa w całych Niemczech wogóle mówi prof. Leonhard z Marburga: „Przeważająca ich większość przystępuje do nauki bez poczucia, że wchodzi na świętą ziemię, przed dotknięciem któréj obuwie zdjąć należy, w żadnéj innéj gałęzi wiedzy nie są serca początkujących tak dalekie od zamiłowania i poszanowania przedmiotu studyów, jak między naszymi młodymi prawnikami“—a p. Blondel, Francuz, profesor z Lyonu, z podróży swojéj po Niemczech, przedsięwziętéj w celu oznajmienia się z tamtejszemi fakuletami prawnemi, notuje tego rodzaju wrażenie: „Postęp wiedzy w uniwersytetach najwidoczniejszy jest na wydziałach prawnych; to, co w nich jest najgorsze, to słuchacze; są między nimi wybitne wyjątki i tym pochwał nie szczędzę; lecz chociaż próżniactwo nie jest przywilejem żadnego kraju, żywioł próżniaczy jest jawnie uprzywilejowanym w Niemczech.... Aule macie puste, a piwiarnie pełne.... Apatyczna natura Niemca bierze tu górę; parowanie trunku i dym tytoniu tworzą naokół niego atmosferę ciężką i duszną, z którą nie chce się rozstać... Hałaśliwe zbiegowiska w miejscach publicznych, nocne awantury, zatargi z policyą i pojedynki, kończące się zwykle szramami na twarzy, których ilość świadczy o wartości osobnika — są to czynności, zapełniające życie tych małych wojowniczych respublik, zwanych burszenszaftami. Wprawdzie w statutach stowarzyszeń słowo „nauka“ zajmuje honorowe miejsce, lecz nie ma o niéj mowy na zebraniach burszów, gdzie piwo płynie potokiem“...

Złe, dochodzące do rozmiarów tak poważnych, oddawna domagało się naprawy. Dziwić się nawet trzeba, że w Niemczech, arcy-drażliwych na punkcie zasług swych dla nauki, sprawa cała dotychczas czekać musi na załatwienie. Obecnie zjawiły się nowe czynniki, naglące o pośpiech. Dzisiejsze, przyśpieszonym pulsem bijące, życie społeczne Niemczech otworzyło przed prawnikiem nowe, doniosłe a trudne zadania do spełnienia: coraz szerszy samorząd wewnętrzny, powszechne prawo głosowania, wzrost przemysłu i handlu, ruch w sferze prawodawczéj, dążący do nadania całemu państwu jednolitego prawodawstwa, wreszcie świéżo na nowe tory wprowadzona kwestya socyalna — są to objawy, do kierowania któremi głównie prawnicy są powołani. Na czyje barki spadnie kiedyś ten ciężar służby publicznéj, jeżeli dzisiejsza młodzież okazuje się tak nieodpowiednią do podjęcia zadania? Optymiści starają się wprawdzie zażegnać obawy dowodzeniem, że energia i zdolności niemieckiéj, a szczególnie pruskiéj magistratury zbyt są znane, ażeby była podstawa przewidywać złe następstwa upadku studyów prawnych. Zapatrywanie to zdawał się nawet podzielać ks. Bismarck; w mowie w izbie panów 19 grudnia 1868 roku, robiąc może słabą aluzyę do własnéj burzliwéj młodości, wyrzekł zda-

nie, że „jeżeli pomimo istniejących urządzeń państwo posiada tak znakomitych urzędników, to dzieje się to wyłącznie dzięki uzdolnieniom rasy ludzkiéj, zamieszkującéj Prusy.“ Przekonanie eks-kanclerza, tchnące iście niemieckiém zarozumieniem, z biegiem czasu traci na sile. Niedawno Gierke wytknął poważne braki biurokracyi pruskiéj, twierdząc, że sławione jéj zalety niebawem należéć mogą do przeszłości i upatrując w tém zjawisku wyraźne następstwo upadku teoretycznego wykształcenia.

Na tém tle dwojakiego rodzaju motywów: idei edukacyjnych i widoków państwowo-społecznych, prowadzoną jest w Niemczech agitacya w przedmiocie gruntownego przekształcenia studyów prawniczych. Agitacya ogarnia szerokie koła; sprawa przez nią głoszona liczy szeregi obrońców, ma bogatą literaturę, bywa rozstrząsana w dziennikach i stanowi najpopularniejszy temat do rozpraw na zjazdach prawników niemieckich.

Jeżeli atoli opinię o konieczności stanowczéj reformy uważać można za jednogłośnie ustaloną, nie da się toż samo powiedziéć o pomysłach, dotyczących jéj przeprowadzenia. Projektów powstaje mnóstwo, pochodzą one i od powołanych i od wątpliwych specyalistów, mają na widoku i uniwersyteckie wykształcenie i pozauniwersytecką praktykę, dążą do różnych celów i w założeniach swych wyrażają zasady bardzo sprzeczne. Myśl ich przewodnia zależną jest przeważnie od tego, w czém dany autor upatruje przyczynę upadku studyów. Można nawet wyśledzić kilka wybitniejszych prądów w opinii rzeczników reformy. Uczeni pisarze widzą punkt ciężkości kwestyi w nieodpowiednim doborze przedmiotów wykładowych, w wadliwym ustroju egzaminów i źle zorganizowanéj praktyce sądowéj. Publicyści i mówcy parlamentarni winę składają na profesorów, oskarżając ich o czcze abstrakcye w wykładach, nużące słuchaczy, o zbytnie specyalizowanie przedmiotu, o długie przerwy w czasie feryi, o nieumiejętność oddziaływania na młodzież i zachęcenia jéj do pracy. Sfery sądowe główny nacisk kładą na zaprowadzenie zmian w przechodzeniu pojedyńczych szczebli praktyki sądowéj, nie ufając doniosłości reformy studyów teoretycznych. Pogląd ten zdaje się podzielać i pruskie ministeryum sprawiedliwości, nieprzychylnie usposobione dla ruchu, któremu przewodniczą uniwersytety. W ścieraniu się rozmaitych zdań wychodzi na jaw ostry antagonizm między ciałem uczonych a sądownictwem, między profesurą a biurokracyą; dwa te różne żywioły zacięcie walczą o wpływy na wykształcenie młodzieży, każdy podając za zbawienne środki, będące w jego rozporządzeniu i zaprzeczając skuteczności zmian, proponowanych przez stronę przeciwną. „Przewaga teoryi

nad praktyką“—„przewaga praktyki nad teoryą“ są dwa hasła dwóch obozów, niechętnych do wzajemnych ustępstw. W sprzeczności tych dążeń tkwi główna przyczyna opóźniającego się rozstrzygnięcia kwestyi; projekty jednéj partyi rozbijają się o oporność drugiéj, a komisye sejmowe, kilkakrotnie już wyznaczane do obrad nad reformą, kończą swe prace bez dojścia do istotnego porozumienia.

Wogóle projekty reform sięgają bardzo głęboko; podawane są w wątpliwość po kolei wszystkie niemal podwaliny dzisiejszego ustroju, krytykowane najistotniejsze jego cechy. Ażeby dać jasne pojęcie o doniosłości zamierzonego przewrotu, pojedyńcze projekty roztrząsać będziemy w połączeniu z charakterystyką tych zasadniczych rysów dotychczasowych urządzeń, przeciwko którym projekty są skierowane.

II.

Jednym z takich zasadniczych rysów obecnego ustroju uniwersytetów niemieckich jest nadewszystko swoboda akademicka, doprowadzona do najdalszych granic na wydziałach prawa.

Z dawien dawna student prawa w Niemczech jest panem siebie; nikt nie zmusza go do pracy, nie kontroluje jego zajęć; według swéj woli uczęszcza on na wykłady lub nie; studyuje to lub owo; słucha u tego lub innego profesora; według woli przystępuje do egzaminów, pracuje lub bawi się; student według średniowiecznego przysłowia: „*est animal, quod non vult cogi sed persuaderi*“; z własnego instynktu powinien on stworzyć także plan nauk, wytknąć porządek kursów i określić ilość wiadomości, jaką jest w stanie posiąść. Zadanie samopomocy staje przed nim w całéj swéj rozciągłości już od chwili wstąpienia na uniwersytet, kiedy pozaimatrykulowaniu się młody student prawa otrzymuje tak zw. *Anmeldungsbuch*, t. j. notatnik, przeznaczony do zapisywania przedmiotów, jakie kto w danym semestrze ma zamiar studyować i nazwisk profesorów, na których wykłady życzy sobie uczęszczać. W obu tych kierunkach *studiosus juris* ma szerokie prawo wyboru.

Co do przedmiotów wybór polega na samodzielném ułożeniu programu nauk, przyczém ze względu na mogące w przyszłości nastąpić egzaminy, student pośrednio związany jest tylko wymaganiem, ażeby w czasie pobytu na uniwersytecie przeszedł kurs nauk wydziałowych t. j. czysto-prawnych. Pozatém student dowolnie może zapisywać się na wszystkie niewydziałowe wykłady; przepisy niczém nie krępują go w wyborze tych ostatnich, tak samo jak nie krępują go w zachowa-

niu porządku przy studyowaniu przedmiotów fakultetowych. Wprawdzie w celu ułatwienia pracy poczynającemu studentowi, fakultety zazwyczaj podają wskazówki, jaki program uważają za najwłaściwszy, robią to jednak w formie tylko doradczéj, z omówieniem *dass sie hiermit nicht zwingen, sondern nur rathen wollen*". Obrawszy pewną ilość wykładów, student może korzystać lub nie korzystać z przysługującego mu prawa uczęszczania na nie. Kontroli nie ma żadnéj, a choć profesorowie w końcu semestru obowiązani są w *Anmeldungsbuch* podpisem swym stwierdzić, że student był istotnie ich słuchaczem, środek ten jest atoli formalnością bez znaczenia, profesorowie bowiem nie przywiązują wagi do tego rodzaju zaświadczeń i podpisu swego nie odmawiają bez względu na to, czy okaziciel na wykładach bywał, czy nie, nie chcą brać na siebie roli pedela czy policyanta, która by uwłaczała ich powadze, i są tego przekonania, że rzeczą dojrzałego młodzieńca jest dbać o siebie.

Jednocześnie student ma możność wybierać i osobę wykładającego. W celu ułatwienia wyboru, wydział obowiązany jest czuwać, ażeby każdy przedmiot wykładany był co semestr lub przynajmniéj co rok i ażeby student, który trzy lata jest na fakultecie, mógł tenże sam przedmiot słuchać dwa razy. Wybór profesora nie jest ograniczony przytém składem osobistym danego uniwersytetu. Student ma prawo przenosić się z miejsca na miejsce, z jednego uniwersytetu na drugi, wpisywać się na listę słuchaczy każdego z wykładających w danéj chwili w Niemczech profesorów, przyczém do przejścia całkowitego kursu nauk prawnych obojętném jest, gdzie kto uczęszczał na dany wykład, byleby posiadał świadectwo, że każdy przedmiot wydziałowy studyował na jednym z fakultetów niemieckich.

Z tych szerokich swobód osobistych młodzież nie korzysta należycie, przeciwnie nadużywa ich w sposób najgorszy. Wychodząc z tego założenia, nieliczna, bo z dwóch tylko osób złożona grupa pisarzy proponuje kwestyę reformy studyów rozstrzygnąć w drodze pozornie najprostszéj: skoro młodzież nie chce kształcić się dobrowolnie, należy zmusić ją do kształcenia się; jako środek potemu projektowane jest częściowe uchylenie wolności akademickiéj przez zaprowadzenie ścisłéj kontroli nad uczęszczaniem na wykłady. Głównym przedstawicielem tego poglądu jest znany wydawca lipskiego czasopisma *Jahrbücher für Gesetzgebung, Vervaltung und Volkswirthschaft im deutschen Reiche*, prof. Gustaw Schmoller. „Do czego dąży — zapytuje on — nieokiełznana swoboda w uniwersytecie między karnością w gimnazyum, a karnością w urzędowaniu? Te lata bezbrzeżnéj wolności i używania życia, podkopujące siły umysłowe i fizyczne młodzieży, są

obelżywą ironią wobec zasad pedagogii“... Należy więc według Schmollera określić liczbę godzin, które student powinien być obecny na wykładach; o obecności studenta na każdéj lekcyi, profesor wykładający powinien zrobić odnotacyę w *Anmeldungsbuch*. Wrazie gdyby profesor wskutek ilości słuchaczy nie był w stanie osobiście wykonywać kontroli, ma być ona powierzona pedelom. Oprócz tego uniwersytet ma posyłać rodzicom i opiekunom studentów zawiadomienia z wykazami, na wielu wykładach student powinien był być i na wielu istotnie był obecny. Innych środków represyjnych Schmoller nie proponuje, będąc zdania, że studenci przestaną się lenić z chwilą, kiedy o ich próżniactwie wiedzieć będą rodzice i opiekunowie.

Obok Schmollera przeciwko wolności studenckiéj uzbraja się prof. Leonhard z Marburga, argumentując cokolwiek inaczéj: „Słowo swoboda olśniewa wielu, lecz samo przez się jest ono pustym dźwiękiem, który znaczenia nabiera dopiéro wtedy, gdy będzie wiadome, od czego kto ma być wolny. Nasza wolność akademicka, to wolność od obowiązku uczęszczania na wykłady. Wykłady państwo urządza oczywiście dla studentów. Jeżeli jednocześnie pozwala ono, ażeby z wykładów nie korzystano, znaczy się jedną ręką niweczy to, co buduje drugą. Państwo nie ma pieniędzy do zmarnowania, więc téż wolność powinna być uchyloną natychmiast, gdy się okazuje, że młodzież nie ciągnie pożytku z instytucyi, istniejącéj wyłącznie dla niéj.”

Na pierwszy rzut oka za powyższemi rozumowaniami przemawia ścisła ich logika i punkt istotnie krańcowego rozprzężenia się studenteryi niemieckiéj. Mimo to, oprócz dwóch zacytowanych, innych nieprzyjaciół wolności akademickiéj nie spotykamy; przeciwnie wszyscy prawie jednozgodnie potępiają radę Schmollera, jedni, mianowicie ogół publiczności, broniąc jakoby nabytych zdawien dawna przez studentów i dziś nietykalnych praw swobody, inni—mianowicie uczeni—upatrując w projekcie większe jeszcze niebezpieczeństwo dla umysłowego rozwoju młodzieży. Zobaczmy co mówią ci ostatni. „Za pomocą przymusu do uczęszczania na wykłady, lub podobnych jemu środeczków, wziętych z arsenału zardzewiałéj broni biurokratycznéj, — są słowa Lista, — można osiągnąć zewnętrzną pilność, lecz nie można podnieść ducha naukowego naszych młodych prawników. Duch naukowy dojrzéć może tylko na gruncie swobody akademickiéj... Swoboda jest to z własnéj decyzyi pochodzące poddanie się rozkazom obowiązku. Dla tego swoboda jest zasadniczém pojęciem etyki. Swoboda wyklucza przymus, lecz godzi się z najsurowszą odpowiedzialnością za niespełnienie obowiązku... Podobnie jak swoboda wykładów nie uwalnia profesorów od miewania lekcyi, tak również swoboda kształ-

cenia się nie daje studentowi prawa nic nie robić“... „Pierwszorzędni uczeni, czyni uwagę Dernburg, najgłębsze umysły narodu z dumą śpieszą uczyć młodzież tego, co sami posiadają; czyż ceniliby oni swoje powołanie również wysoko, gdyby wiedzieli, że słuchacze pod przymusem przychodzą na ich wykłady i gdyby kazano im utrzymywać kontrolę w audytoryum?“ W tymże duchu przemawiają Goldschmidt, Gierke, Ihering, Gneist, Wächter i wielu innych, w tym także duchu powziął rezolucyę IV zjazd prawników niemieckich w Moguncyi w r. 1863, formułując ją w zdaniu; „Swoboda studyów konieczną jest na równi ze swobodą wykładów;“ w tym wreszcie duchu zabierała kilkakrotnie głos wpływowa *Norddeutsche Allgemeine Zeitung.*

Będąc wątpliwym co do skuteczności, projekt Schmollera jest jednocześnie niewykonalny. Na wielkich uniwersytetach kontrola jest wprost niemożebna; np. w Berlinie, gdzie na niektóre *collegia privata* zapisanych bywa do 400 słuchaczy, a na *collegia publica* do 800, czy byłby kto w stanie spamiętać odrazu tyle fizygnomii i tyle nazwisk. Na mniéj uczęszczanych wydziałach, kontrola również nie jest łatwa; profesorowie napewno by się jéj nie podjęli, o czém sądzić można z dzisiejszego zachowania się ich względem *Anmeldungsbücher*; należałoby więc utrzymywać specyalny personel służbowy, zaprowadzić listy słuchaczy i wywoływać ich podług nazwisk przed każdą godziną. Od tak upakarzającéj kontroli studenci uciekaliby na uniwersytety wolne od niéj, lub na wydziały zagraniczne, gdyby wszystkie niemieckie fakultety poszły za radą Schmollera. Że podobne środki chybiają celu dowodzi przykład Tubingi; kiedyś istniało tam i przymusowe uczęszczanie na wykłady i repetycye semestralne i świadectwa pilności, a jednak studya pozostawiały wiele do życzenia; obecnie wszystko to zniesiono i stan rzeczy cokolwiek się poprawił. A oto inne przykłady. W roku 1827 w Prusach polecono profesorom podawać od czasu do czasu obecnym na wykładzie studentom listy do wpisywania swych nazwisk; weseli bursze obrócili ten mniemany sposób ich kontroli — w żart; obecni wpisywali nieobecnych, kilkakrotnie powtarzając jedne nazwiska, lub téż zapisywali listę imionami Kujacyusza, Leibnitza, Gajusa, Justyniana i t. d.; próba zrobiona w Erlangen w roku 1833 urządzenia eforatu, nie udała się; w Saksonii jakiś czas wydawano studentom świadectwa pilności, ponieważ jednak nik ich nie brał, musiano zwyczaj zarzucić.

Wogóle przymus do nauki w jakiejkolwiek bądź formie możebny jest tylko w zakładach z surową karnością, jak np. w gimnazyach lub szkołach wojskowych. W uniwersytecie, mającym do czynienia z dorosłymi, nie z dziećmi, jest on niewykonalny i szkodliwy; szkodli-

wy i dla tego, że niweczy moralny wpływ swobody t. j. rozwój charakterów przez dobrowolne pełnienie obowiązków. W uniwersytecie może być mowa o przymusowém sprawdzaniu wiadomości studenta, chcącego spożytkować je w praktyce, która dyletantyzmu nie cierpi i powinna być od niego zabezpieczona, lecz nie może być mowy o przymusowém nabywaniu tychże wiadomości, bo nieodzownym warunkiem pożytku i gruntowności każdéj wiedzy jest dobra wola i samodzielna praca myśli.

Z tych względów projekt Schmollera i Leonharda uważać należy za chybiony, jest on mimo to wielce charakterystyczny jako objaw, świadczący o wysokim stopniu rozdrażnienia przeciwko studentom i wprost upokarzającego dla nich traktowania sprawy przez wybitne nawet powagi naukowe.

III.

Drugim zasadniczym rysem obecnych urządzeń wydziałów niemieckich prawa jest jednostronność, można powiedzieć nawet wyłączność w programie przedmiotów fakultetowych: dobór tych ostatnich poprzestaje na umiejętnościach ściśle prawnych; za przykład po temu służyć może fakultet berliński, którego statut za przedmioty obowiązkowe uważa: encyklopedyę i metodologię prawa, prawo natury (t. j. filozofię prawa), prawo rzymskie, prywatne niemieckie, konstytucyjne (państwowe), kościelne, kryminalne, krajowe pruskie, międzynarodowe, procedurę cywilną i kryminalną. Nauki społeczne i prawno-polityczne wszędzie prawie w Niemczech należą do wydziałów filozoficznych, z wyjątkiem Würzburga i Strasburga, gdzie dzięki wpływom Francyi są one wykładane na wydziałach prawnych, — oraz Monachium i Tubingi, gdzie nauki społeczno-państwowe stanowią oddzielne wydziały (*Staatswissenschaftliche Facultät*).

Oprócz jednostronności, cywilistyczny kierunek niemieckich fakultetów prawnych ma jeszcze i tę wadę, że opiera się przeważnie na dogmatyce „dzisiejszego prawa rzymskiego“; dogmatyka przytłumia inne przedmioty, usuwając je na plan dalszy, wszędzie najwięcéj godzin wykładowych dogmatyce jest poświęconych i najpoważniejsze siły naukowe nad nią pracują. Przeświadczenie o szkodliwości tego kierunku nie jest zjawiskiem odosobnionêm; zostaje ono w ścisłym związku z bardzo ciekawym zwrotem, odbywającym się obecnie w niemieckim świecie naukowym przeciwko „teoryi dzisiejszego prawa rzymskiego“ (*das heutige römische Recht*), jako podstawie wiedzy prawniczéj w ogólności.

Dwojaką wartość pod względem pedagogicznym przypisywano czas długi w Niemczech nowożytnemu prawu rzymskiemu: uważano je za fundament przyszłéj działalności praktycznéj i za najskuteczniejsze narzędzie rozwoju myśli prawnika. Dziś obiedwie te właściwości mocno są kwestyonowane. Cel praktyczny studyów nad teoryą pandektów upada, ponieważ ani jeden z wielu rozdziałów *Corpus juris*, będącego prototypem téj teoryi, nawet w krajach tak zwanego prawa ogólnego (*das gemeine Recht*) zastosowania dziś już nie ma. „Chociaż motto: *bonus pandectista — bonus jurista*, powiada w tym względzie Schmoller, nie przebrzmiało jeszcze całkiem i pandekty dotychczas są uważane jako ogólne obowiązujące prawo w Niemczech, mimo to stary ten pogląd dziś przestał już być prawdą; pandekty nie są już obowiązującém prawem w Niemczech... Dziś są one ni mniéj ni więcéj tylko mieszaniną przestarzałych i nowych zasad bez określonéj linii demarkacyjnéj. Wchłonąwszy w siebie niektóre nowe instytuty, nie mające nic wspólnego z prawem rzymskiém, ignorują one dowolnie lecz świadomie inne, również nowe, formy, których charakter ogólnoprawny nie ulega wątpliwości; w wielu wypadkach stają się zamarłe i nie wzbudzają poszanowania w praktyce“... Uogólniając swoje poglądy Schmoller powiada: „prawa, które obowiązuje, pandekty nie zawierają, a prawo w nich zawarte nie obowiązuje.“

Pozostaje formalna czyli metodyczna wartość prawa pandektowego, która stwarza zeń jakoby najdoskonalszą „powszechną teoryę prawa.“ Wartość tę także zbyt przeceniano, do czego nie mało przyczynili się najgłośniejsi znawcy prawa rzymskiego: Savigny, Puchta i Ihering. Mniemano, że pandekty stanowią skończoną „konstrukcyę pojęć prawnych i prawnych stosunków,“ przydatną w jednakim stopniu dla Rzymian, jak i dla czasów naszych, że podana przez nie jurysprudencya niezależną jest od warunków miejsca i chwili, zupełną co do rozmaitości form, wyczerpującą wszystkie typy życia prawnego. „Jurysprudencya ta nie może obawiać się luki w zasadach prawnych; gdyby nawet ustrój cywilny w postępie swoim doprowadził do form niezwykłych, krańcowo różnych, obawa, że może on wytworzyć coś bezwzględnie nowego, coś, czego nie będzie można nagiąć do pojęć istniejących, — jest również bezzasadną, jak bezzasadném byłoby zdanie, że dziś jeszcze może być wykryte istnienie zwierząt, dla których nie okaże się miejsca w systematyce zwierzęcéj, przyjętéj przez współczesną naukę.“ Słowa te rzucił Ihering w chwili, kiedy porwany przykładem Puchty, najdaléj zaszedł w zaufaniu do dogmatyki rzymskiéj i jéj teoretycznéj doniosłości. Ale w ostatnich czasach, tenże sam, świéżo zmarły Ihering, trzeźwiéj myśląc, dał pierwszy hasło do

odwrotu. W jednym z artykułów, pomieszczonych w książce p. t. *Scherz und Ernst in der Jurisprudenz*, Ihering wprost detronizuje pandekty z zajmowanego przez nie stanowiska i ostrzega przeciwko budowaniu na sztucznie wzniesionéj podstawie pandektowéj wykształcenia prawnego dzisiejszéj generacyi: „Pojęcia prawne, utrzymuje uczony, zmieniają się z biegiem czasu i zmieniać się muszą, bo nie są zwykłemi kategoryami logiki, lecz formami materyalnych norm, które podlegają zmianom razem ze stosunkami... Koniecznèm jest oprzéć teoryę romanistyczną na innych zasadach, niż to jest obecnie;... teorya prawa musi porzucić błędne mniemanie, że jest matematyką prawa i że nie ma w sobie innego wyższego celu ponad rachunek pojęć... Kwestye prawodawcze chwili przechodzą dziś bez śladu i bez wpływu na prawo rzymskie; nie ma nowych problematów, do których rozstrzygnięcia należałoby powoływać dogmatyka, nie ma spraw życiowych, w których on mógłby wziąć udział... Dogmatyk rzymski nie zna innych kwestyi, zadań i trudności prócz tych, które od czasu glosatorów tysiące teoretyków już zajmowały“... Iheringa razi ten zastój talmudyczny i, nie będąc w stanie pokonać go, uczony dochodzi do smutnego wyznania: „Jeżeli zechcę spytać siebie, com zdziałał w przeciągu lat 30, odpowiedź wypadnie w ten sposób: żałuję czasu straconego na poznanie tak szczupłego zakresu wiedzy i z zazdrością spoglądam na inne gałęzie nauki, które w tymże czasie pochlubić się mogą wielkiemi postępami... Gdybym był młodym, wybrałbym inne powołanie.“

Jeżeli rozczarowanie mogło spotkać takiego Iheringa, to cóż dopiéro mówić o młodzieży wstępującéj na wydziały prawne, którą do przesytu karmią rzymskiemi formułami, rzymską dogmatyką i rzymskiemi *antiquitates*. 99 procent téj młodzieży szuka na ławie uniwersyteckiéj wiedzy pozytywnéj, wiadomości potrzebnych w karyerze urzędowéj lub w działalności społecznéj, do abstrukcyi nie czuje się usposobioną, zniechęca ją tu na poły archaiczna, na poły nowożytna teorya prawna, oziębia do przedmiotu i daje spaczone pojęcie o istotnéj zawartości wielkich obszarów nauki prawniczéj.

Przewaga pandektów powoduje również lekceważenie na niemieckich wydziałach prawa nauk stojących poza zakresem prawa prywatnego; postępowanie karne traktowane jest po macoszemu; nie lepiéj dzieje się z prawem publicznèm i międzynarodowèm, ekonomia polityczna pozostaje w zupełnèm zaniedbaniu, statystyka również leży odłogiem. Umiejętności tych, jako nienależących do programu wydziałowego lub stale pomijanych na egzaminach, młodzież nie dotyka prawie wcale; z poza pandektów nie dostrzega interesu i życiowych tętn, jakiemi biją wszystkie pomocnicze nauki społeczne, w ostatnich czasach tak

znakomicie naprzód posunięte. Na jednostronność dzisiejszego kierunku narzekają i Ortlof, i Stammler, i Leonhard, i Wächter, który w téj sprawie przekonywający swój głos zabierał na IV zjeździe prawników niemieckich, i wielu innych.

Nie ulega zaprzeczeniu, że w mylnym kierunku studyów tkwić może jedna z poważniejszych przyczyn ich upadku; dla tego oddzielna grupa pisarzy w celu podniesienia wykształcenia prawnego, projektuje przeprowadzić zmiany w programacie studyów, mianowicie rozszerzyć listę przedmiotów wydziałowych po za dzisiejszy cywilistyczny ich zakres.

Grupę tę otwiera prof. Ortlof, wnioski jego bowiem uważać można za najbardziéj wyczerpujące i najgłębiéj motywowane. Ortlof potępia pod każdym względem podział umiejętności prawnych i społeczno-państwowych między dwa wydziały i wskazuje szereg nauk, które powinny wejść w program obu wydziałów w jednakim stopniu. Znajomość poniewieranych dotychczas nauk socyalno-politycznych kokieczna jest dla prawnika, podług Ortlofa, z wielu bardzo powodów, które dla nas są aż nadto zrozumiałe i wydają się zbyt prostemi na to, ażeby tak wiele o nich rozpowiadać, jak to robi autor, które jednak Ortlof uważał za potrzebne rozstrząsnąć dla tego widać, że przeczuwał opozycyę ze strony konserwatywnych zwolenników cywilistyki. Rozmyślania swoje w tym kierunku Ortlof kończy zapytaniem: czy nie właściwiéj byłoby prawo prywatne umieścić daléj pod koniec okresu studyów, a zaczynać studya od przedmiotów dostępnych „bliższéj obserwacyi.“ Ortlof pytanie rozwiązuje twierdząco i radzi podzielić przedmioty wykładowe na dwie kategorye: prawo publiczne i prawo prywatne z procedurą. Do pierwszéj kategoryi zalicza nauki, mające charakter przygotowawczy i tą właściwość, że z jednéj strony oświetlają bieg spraw społecznych i politycznych, a z drugiéj — nie są całkiem obce studentowi, ktory wyobrażenie o nich mieć może sam przez się z lektury dzienników, z debatów sejmowych, z rozpraw sądów karnych i t. d. W tém wykształceniu politycznéм, będącém dalszym ciągiem wykształcenia humanistycznego, nabywanego w gimnazyum, na czele iść powinna encyklopedya nauk prawnych i politycznych, która posiada bezsprzecznie więcéj zawartości ogólno-kształcących, aniżeli rzymskie instytucye. Daléj pierwsza kategorya ma obejmować następujące grupy nauk: ekonomię polityczną, logikę, psychologię, filozofię moralną i historyę państw europejskich zwłaszcza ich ustroju; następnie — ogólne czyli filozoficzne prawo państwowe, prawo państwowe obowiązujące, prawo międzynarodwe, naukę policyi i historyę filozofii; daléj instytucye i historyę prawa rzymskiego, prawo karne, pra-

wo finansowe i krajowe prawo administracyjne; wreszcie procedurę karną, medycynę sądową, politykę państwową i filozofię prawa. Oddzielne te grupy następować mają po sobie w porządku wymienionym i utrzymywać myśl słuchacza utkwioną w obraz stosunków, na tle których powstaje właściwa idea prawa. Idea owa spoczywa najgłębiéj w prawie prywatném i ono to w różnych swoich odłamach wypełnia drugą kategoryę Ortlofa. Rozpoczynać studya w téj drugiéj fazie swych zajęć, student powinien od pandektów z praktyczną ich egzegezą, od historyi prawa niemieckiego i statystyki (? tę ostatnią chyba do pierwszéj kategoryi zaliczyć wypadało); potém ma się przerzucić do prawa prywatnego niemieckiego i prawa kościelnego, następnie powinien się poświęcić procedurze cywilnéj, prawu handlowemu i wekslowemu, prawu fabrycznemu i prywatnemu krajowemu, zaprawiając się jednocześnie do procedury karnéj i wymowy sądowéj; zamykać drugą fazę mają ćwiczenia praktyczne na seminaryach, polegające na sporządzaniu referatów, przygotowaniu mów obrończych i t. d.

Powyższy plan nauk Ortlof radzi uznać za obowiązujący, wiedząc z doświadczenia, że podawane dziś studentom doradczo programy nie są przez nich przestrzegane.

Zaznaczyć wypada, że w planie Ortlofa nowemi, t. j. dzisiaj na wydziałach prawa zupełnie niewykładanemi, są nauki: ekonomia polityczna, logika, psychologia, metafizyka, historya państw europejskich, historya filozofii, medycyna sądowa i statystyka. Podkréślam je tutaj, ponieważ o pozyskanie dla nich praw obywatelstwa na fakultetach prawnych, walczą za Ortlofem liczni bardzo szermierze, nie różniący się zbytnio w zdaniu co do koniecznych zmian programowych i mający tylko tę wadę, czy téż tę zaletę, że najgorliwiéj zwykli przemawiać na korzyść swoich specyalności. Kryminalista List z Marburga przedewszystkiém domaga się uznania dla nauk, mających związek z prawem karném: dla psychologii, psychiatryi, statystyki przestępstw i nauki o wykonaniu kar, popierając swoje żądania silną argumentacyą. Jednakowoż tenże List obstaje jednocześnie i za wszystkiemi umiejętnościami prawa publicznego i za ekonomią polityczną. Sprawę téj ostatniéj gorąco popierają także słynny ekonomista Schäffle i znany berliński profesor prawa handlowego Goldschmidt, który radby również widziéć staranniéj wykładane prawo prywatne międzynarodowe. Konieczność studyów nad naukami filozoficznemi udowodnia drobiazgowo Gierke, a głos jego brzmi zgodnie z wnioskami w téj mierze zmarłego w r. 1890 wiedeńskiego profesora Lorenza v. Steina, jednego z najświatlejszych umysłów naszéj epoki. Wprowadzenia na wydziały prawa umiejętności politycznych, domagał się czternasty zjazd prawni-

ków niemieckich; rezolucya zjazdu, redagowana przez prof. Meyera i d-ra Panna, odznacza się formą arcy-kategoryczną. Nauki te, zarówno jak i społeczne, znalazły téż gorliwych zwolenników ze strony profesorów uniwersytetu strasburskiego i berlińskiego, którzy *in corpore* oświadczyli się za niemi w petycyi, wystosowanéj do rządu. Wreszcie literatura przedmiotu prawie bez wyjątku głosuje za rozszerzeniem programów wydziałowych przez dołączenie grup nauk społeczno-politycznych w zakresie, wskazanym przez Ortlofa; można tu zacytować: Gneista, Kleinwächtera, Nassego, Muthera, Bahra, Schultego, Goepperta, Kirchenheima, Leonharda i wielu innych. Zbytecznem jest przytaczać poszczególe ich zdania, należy tylko uznać za fakt, że opinia o wysokiéj wartości, jaką dla prawnika posiadają studya nad umiejętnościami społeczno-państwowemi, staje się w Niemczech z dniem każdym powszechniejszą.

Rozumié się, że z chwilą urzeczywistnienia jéj cokolwiek miejsca dla wspomnianych nauk ustąpić będzie musiała w przyszłości cywilistyka, a zwłaszcza najszerzéj reprezentująca ją „teorya pandektów.“ To téż prawo rzymskie uczeni radzą zamknąć w ramach nauki przygotowawczéj, zwróciwszy studya nad niém ku znajomości rodzimego jego źródła t. j. prawodawstwa Justyniana; radzą prawo to wyzyskać, jako znakomity czynnik pedagogiczny, podając młodzieży świetne rezultaty myśli prawniczéj Rzymian w oryginale; powstałą na gruncie *corpus juris*, lecz wieloma późniejszemi nabytkami skażoną „teoryę pandektów“ chcą lub całkiem odrzucić, lub też w krajach prawa powszechnego pozostawić jako teoryę prawa obowiązującego. Pozatém cywilistykę chcą sprowadzić na grunt nauki, któréj zadaniem jest poznać, objaśnić, ulepszyć i wykształcić prawo prywatne obowiązujące.

Odnośnie do wykładów tego ostatniego wzrok pisarzy sięga w przyszłość i wywiązuje się między nimi spór. Idzie mianowicie o to, jaki kierunek nadać należy wykładom po wprowadzeniu w życie projektowanego kodeksu cywilnego dla rzeszy niemieckiéj. Jedni uczeni, na czele których stoi prof. Stammler, sądzą, że wówczas najwłaściwszą metodą wykładową będzie rozstrząsanie pojęć prawnych na tle paragrafów kodeksu, komentowanie tegoż w połączeniu z naukowym rozbiorem napotykanych w oddzielnych przepisach orzeczeń i norm prywatnych, t. j. ta metoda egzegetyczna, jakiéj stale hołdują Francuzi i na katedrach i w literaturze. Inni uczeni, do których ze znajomych nam już Ortlofa zaliczyć wypada, nie godzą się na takie całkowite opanowanie teoryi nauki przez tekst prawa stanowionego i mniemają, że i wówczas dla niezależności wiedzy wykładający będą zmuszeni trzymać się własnych historyczno-dogmatycznych systematów,

ilustrując je tylko komentarzami kodeksu. Spór trwać będzie prawdopodobnie długo i nawet dokonanie zapowiedzianéj reformy prawodawczéj nie przetnie go odrazu. Lecz mniejsza o jego losy, na teraz wielce znamiennym jest fakt pojawienia się między projektami reformy poglądu Stammlera. Myśl naśladowania Francuzów i ich ultra-praktycznego kierunku w wykładach i opracowaniu prawa cywilnego jest czémś tak nowém pod piórem Niemca-profesora, że stokroć lepiéj od wszelkich innych dowodów świadczy o rozgałęzieniu i sile nowych prądów, nurtujących w przekonaniu kół prawniczych współczesnych Niemiec.

IV.

Oprócz przewagi cywilistyki pandektowéj na oderwanie studyów prawnych od życia i jego potrzeb wpływają w znacznéj mierze i pewne braki w wykładach profesorów niemieckich. Zobaczmy, co mówią o nich ci, którym najbardziéj iść powinno o ukrycie swych wad t. j. sami profesorowie. Umiarkowany w zarzutach List widzi u większości wykładających zbytnie zamiłowanie szczegółów, drobiazgowość, która odrywa uwagę słuchacza od ogólnych poglądów i sprawia, że przeciętny profesor niemiecki nie jest w możności doprowadzić kursu do końca, że pod koniec semestrów zdwaja lub nawet potraja liczbę godzin a mimo to najczęściéj pozostaje w deficycie. Również umiarkowany Ortlof do powyższéj uwagi dodaje zarzut nierównomiernego traktowania pojedynczych części przedmiotu: jeżeli wykładający pracował nad monografią pewnéj kwestyi, można być prawie pewnym, że kwestya ta w jego wykładzie zbyt wiele zabierze czasu i z ujmą dla całości zbyt szczegółowo będzie traktowana. Rozwlekłości w wykładach nie zaprzecza nawet Goldschmidt, w którym stan profesorski najgorliwszego ma obrońcę. Kirchenheim upatruje w wykładach formalistykę i czczość treści: „Puste formy bez życia, frazesy prawne, wątpliwości bez rozstrzygnięcia, oto co student z wykładów tych wynosi: pragnienie, nie pokarm.“ Wreszcie postronny świadek p. Blondel robi uwagę, że pierwsze wrażenie wykładu bywa zwykle bardzo niekorzystne, przybysza razi oschła maniera, brak perspektywy w oświetleniu przedmiotów, brak wypukłości w obrazowaniu zasadniczych poglądów, trzeba dopiéro przełamać pierwsze lody, ażeby słuchać wykładu z pożytkiem; trzeba chcieć i umieć zapanować nad sobą, żeby nie poddać się mimowolnemu zuużeniu, jakie wywiera na słuchacza zewnętrzna forma wykładu.

Dobór przedmiotów w połączeniu ze sposobem ich wyłożenia stwarza tę atmosferę abstrakcyi, o jakiéj ogół może przesadne ma pojęcie, jaką mimo to w pewnéj mierze młodzież na niemieckich wydziałach prawa istotnie jest otoczoną. Nie ulega wątpliwości, że kierunek ten nie odpowiada naturze studyowanych umiejętności. Od Rzymian począwszy, nauka prawa była zawsze nauką praktyczną; celem jéj było i jest nieść pomoc prawodawcy w stanowieniu praw i sędziemu w wymiarze sprawiedliwości. O tych kardynalnych zadaniach prawoznawstwa nie powinny zapominać ani najściślejsza teorya, ani tém bardziéj poważnie pojmowane studya. Wiadomości nie przedstawiające materyału ogólnie kształcącego myśl prawnika i nie mające zastosowania w życiu, powinny być wyrzucone poza nawias systemu edukacyjnego. Wiadomości zaś, posiadające ten lub drugi przymiot, powinny być podawane słuchaczowi w formie wiedzy pozytywnéj t. j. na tle stosunków wziętych z rzeczywistości.

Z tych pobudek liczni bardzo autorowie głoszą zasadę, że podniesienie wykształcenia prawnego w Niemczech jest w bezpośredniéj zależności od wprowadzenia do studyów pierwiastku praktycznego.

Najradykalniejszą frakcyą tego obozu uosabia berliński profesor Dernburg. Podany przezeń projekt odwzorowany jest poniekąd, jak przyznaje sam wnioskodawca, na urządzeniach wojskowych zakładów pruskich, w których wykład nauk strategicznych idzie ręka w rękę z ćwiczeniami na placach mustry. Co najbardziéj razi w dzisiejszém wykształceniu prawniczém, mniema Dernburg — to brak życiowéj obserwacyi tych stosunków ludzkich, które stanowią treść nauk wykładowych: student musi uczyć się procedury, nie mając pojęcia o jéj mechanizmie i znaczeniu w prawie materyalném; musi poznać prawo wekslowe, nie wiedząc częstokroć jak weksel wygląda, studyuje zasady wykładni prawa, nie domyślając się, na czém polega praktyczne ich zastosowanie. Po części ów element abstrakcyjny jest nie do uniknienia, w znacznym jednak stopniu szkodliwość jego można i należy złagodzić przez odpowiednie zestawienie teoretycznych wiadomości z działalnością praktyczną. W tym celu radzi Dernburg pobyt na uniwersytecie i przechodzenie aplikacyi sądowéj rozbić na dwa okresy, które mają następować po sobie w takim porządku, ażeby wzajemnie przegradzały się i uzupełniały. Ma tedy młody aspirant do zawodu prawniczego rozpocząć swoje wykształcenie od studyów uniwersyteckich w przeciągu *minimum* pięciu lub niekiedy czterech semestrów; czas ten powinien być poświęcany dogmatycznym i historycznym studyom nad prawem rzymskiém, prywatném, niemieckiem i karném; poczém student może przystąpić do egzaminu *pro referendariatu*,

po którego złożeniu powinien odbyć dwuletnią aplikacyę sądową; następnie znowu ma powrócić na uniwersytet na półtora roku. „Trudno zaprzeczyć — powiada Dernburg — że większość studentów gorliwiéj weźmie się tym razem do pracy; dwuletnia praktyka wzbogaciła ich umysł osobistemi spostrzeżeniami, nadała cechę żywotności kwestyom, o których poprzednio najmniejszego poczucia może nie mieli; teraz dopiéro będą mogli ocenić należycie doniosłość wiedzy i odnaleść wytyczne punkta ich powołania życiowego“. Przedmiotem zajęć w tym drugim okresie pobytu na uniwersytecie powinno być głównie prawo cywilne obowiązujące i nauki polityczne. Po upływie trzech semestrów, student powtórnie wstępuje do aplikacyi sądowéj również na półtora roku, poczém składa egzamin asesorski.

Oryginalnie pomyślany projekt Dernburga jest jednocześnie najbardziéj jednolitym w rzędzie projektów, obecnie omawianych; inne, tu należące, mają charakter bardziéj połowiczny. Taką jest np. myśl Iheringa, będącego także zwolennikiem praktycznego kierunku wykształcenia. Zagorzały ten przez czas bardzo długi romanista, w prawie rzymskiém szukający ziarn wszelakiéj mądrości prawniczéj, Ihering przypomina, że w starożytnéj republice obowiązki nauczycieli w szkołach prawa piastowane były przeważnie przez ludzi, którzy uprzednio w działalności praktycznéj zjednali sobie sławę znakomitych prawników. Ihering radzi więc od osób, obejmujących katedry na wydziałach prawnych, żądać praktycznéj znajomości prawa, upatrując w niéj poważną rękojmię utrzymania wykładów w ramach konkretnych. Jako drugi środek, dążący w tymże kierunku, Ihering proponuje możliwie szeroki rozwój seminaryów i zdaje się nie odrzucać całkiem pomysłu tak zwanych „klinik prawnych“.

Pomysł ten powzięty był po raz pierwszy przez Folkmara, który obszerną relacyą z niego zdawał na IV zjeździe prawników niemieckich. „Klinika prawna“ na podobieństwo klinik medycznych jest to rodzaj gabinetu poglądowego, w którym powinny się znajdować wzory przedmiotów i papierów z jakiemi prawnik ma do czynienia, a więc akt sądowych, dokumentów urzędowych i prywatnych, ksiąg wieczystych, retentów adwokackich, aktów stanu cywilnego i t. d., myśl zaprowadzenia klinik podtrzymywana była później i przez innych projektodawców, do których i Wächter należał.

Większość jednak autorów obstaje wprost za wzmocnieniem pierwiastku praktycznego w saméj treści wykładów. Kładziony jest także powszechnie nacisk na zachęcenie studentów do prac w seminaryach. Rümelin z Freiburga, nie będąc stronnikiem ograniczenia swobody akademickiéj, w tym względzie robi wyjątek: chce wywrzéć

na słuchaczach prawa przymus do uczęszczania na seminarya i projektuje przepis, ażeby od kandydatów, przystępujących do pierwszego egzaminu państwowego, żądano świadectw, że w czasie pobytu na uniwersytecie brali czynny udział w ćwiczeniach prawnych.

Zgodnie z zasadniczém swojém założeniem „praktyczni“ reformatorzy radzi by także zaprowadzić pewne zmiany w programie wykładów, mianowicie usunąć na plan drugi umiejętności teoretyczne, nie mające zastosowania w karyerze prawniczéj, a podnieść natomiast wykłady nauk, których przedmiotem jest prawo obowiązujące. Tak np. Windscheid, którego imie, używające tak potężnego rozgłosu, można również zamieścić na liście propagatorów praktycznego kierunku wykształcenia, jest zdania, że w wykształceniu tém historya prawa powinna odgrywać rolę drugorzędną, że prawnikowi nie jest ona koniecznie potrzebną, że jako odłam historyi kultury, powinna być specyalnością raczéj filologów. Podobneż przekonanie głoszą prof. Hruza i Freibogen.

I zauważyć należy, że tu właśnie opinia cytowanych autorów obruszyła na nich cały zastęp uczonych, według których słowo „teorya“ winno być alfą i omegą katechizmu fakultetów prawniczych. Jakto, wołają teoretycy *par excellence*, chcecie z uniwersytetów zrobić szkoły rzemiosł, a studentom kazać w zwartych szeregach odbywać marsze do sądów! Zapominacie, że jurysprudencya to systemat, a kto nie pojął jéj w całości, temu na nic się nie przydadzą dwie godziny praktyki! Nie sądźcie, że uniwersytet jest to samo, co fachowa akademia; uniwersytet był, będzie i być musi szkołą nauki; celem jego jest rozpowszechnienie wiedzy, nie techniki. Uniwersytet tylko pośrednio może rozwijać zdolność do zapanowania nad drobiazgami, jakie nastręcza praktyka, bo bezpośredniém zadaniem jego jest ukształcić umysły naukowo, t. j. dać im szerokie poglądy na byt i cele nauki, dać wytyczne punkty przyszłych prac i samodzielność rozumowania; środkiem po temu jest wdrożenie umysłów w metodę naukową, a téj nabywa się jedynie przez studya nad teoryą.

W ogniu polemiki powyższe zarzuty nacechowane zostały pewną dozą przesady. Według naszego rozumienia, Dernburg i towarzysze nie życzą sobie bynajmniéj, żeby student prawa brał rozbrat ze ścisłą teoryą, żeby miał ją za rzecz dla siebie zbyteczną, żeby stół sądowy miał mu zastąpić wykłady i dzieła prawne; nie, — oni chcą tylko dzisiejszą teoryę sprowadzić do poziomu nauki mającéj zastosowanie w rzeczywistości, otrząsnąć z abstrakcyi, nie uwłaczając mimo to powadze jéj, jako nauki ściśléj; chcą następnie urozmaicić tę teoryę przykładami i wzorami praktycznéj działalności prawnika, uczynić

ją bardziéj przystępną dla umysłu młodocianego, który z natury swéj łatwiéj przechyli się na stronę pozytywnéj, niż oderwanéj wiedzy. Oto, cały mniemany ich zamach na nietykalność teoryi, a czy zamach ten nie da się usprawiedliwić wobec doktrynerskich zapędów niemieckich profesorów, rozwielmożnieniu „współczesnych pandektów“ i ogólnéj niechęci naszego stulecia do abstrakcyi? Sądzimy, że da się usprawiedliwić w zupełności, że wiele w niemieckim systemie wykształcenia prawnego zmienić by należało podług wskazówek powyższych projektów, że nigdy dość nie będzie powtarzać Niemcom słów Windscheida: „Nauka prawa jest nauką praktyczną i to jest jéj chwałą“.

V.

Czas pobytu na fakultecie prawnym nie jest w Niemczech ograniczony; co znaczy, że student ma prawo liczyć się, jako słuchacz wydziału prawnego dotąd, dopóki sam zechce. Zasada wolności studyów rozciąga się tu i na okres ich trwania, który może być normowany zgodnie z życzeniem szczególnéj jednostki. Tak rzecz się atoli przedstawia jedynie dla osób, które poza osobistém wykształceniem nie mają innych celów na widoku. Jeżeli zaś student zamierza poddać się egzaminom dla pozyskania kwalifikacyi naukowych lub służbowych, w takim razie jest on związany wymaganiem, ażeby spędził na wydziale prawnym pewien minimalny przeciąg czasu.

Przepisy prawodawcze, określające to *minimum*, budzą powszechne w Niemczech niezadowolenie, przedstawiają się one jak następuje: W Prusach oddawna najpierw w drodze zwyczaju, a późniéj na mocy odpowiednich przepisów studya na wydziale prawnym odbywano w ciągu sześciu semestrów. W innych krajach studya trwały wogóle dłużéj, mianowicie w Bawaryi — 4 lata; w Saksonii zaś, Badenie, Wirtenbergii, Meklemburgu, Oldenburgu i t. d.—7 semestrów. Przy pracach prawodawczych nad nowemi dla całego państwa urządzeniami sądowemi i nową procedurą cywilną w latach 1877/8, powzięto również myśl ujednostajnienia odnośnych przepisów. W parlamencie berlińskim z powodu téj kwestyi starły się wówczas dwa wrogie sobie obozy: przedstawiciele uniwersytetów, głosujący za *quadriennium* studyów, i miejscowa magistratura, obstająca przy *triennium*; ta ostatnia wzięła górę; pomimo opinii świata naukowego i opozycyi pomniejszych państw, projekt nowego prawa osnuto wyłącznie według wzoru tradycyi pruskich. Uchwalony wówczas art. 2 obowiązujących do dziś dnia „Urządzeń sądowych“ (*Gerichtsordnung*) brzmi:

„Przed przystąpieniem do piérwszego egzaminu konieczném jest przejście trzechletnich studyów prawnych na jednym z uniwersytetów niemieckich“.

Okres trzechletni powszechnie uważany jest za zbyt krótki do nabycia tych wiadomości, jakie prawnik dzisiejszéj epoki powinien posiadać. Można nawet powiedziéć, że zasada *triennium* stanowi jeden z głównych zawiązków agitacyi, prowadzonéj na rzecz reformy. Sprawę pogarsza ta jeszcze okoliczność, że młodzież w czasie pobytu w uniwersytecie odbywa zazwyczaj półroczną powinność wojskową, która z obowiązkowego trzechlecia nie wytrąca się, pozostaje tedy zaledwie pięć semestrów na kształcenie się; przypuściwszy nawet, co dziś jest wyjątkiem, że student obdarzony jest wybitnemi zdolnościami i wielką pracowitością, wątpliwém musi się wydać, czy wobec ogromu i różnorodności studyowanych przedmiotów, półtrzecia roku wystarczy na ile tyle gruntowne ich poznanie.

W tém przekonaniu znakomita większość autorów (Goldschmidt, Gneist, Muthe, Göppert, Gierke, Dernburg, Brunner, Meyer, v. Bar, v. Holtzendorf, v. Bethman-Hollweg, Windscheid, Wächter, Ortlof, Kirchenheim i inni) domaga się *quadriennium*, jako obowiązkowego okresu studyów, i w celu jego nietykalności żąda: ażeby służba wojskowa pod żadnym pozorem do czterolecia zaliczana nie była. Jeżeli zaś niektórzy, jak np. List z Marburga oświadczają się przeciw *quadriennium*, to robią to nie z przekonania, że trzy lata są okresem dostatecznie długim, lecz z obawy, że student, który dziś marnuje dwa lata i bierze się do roboty dopiéro w trzecim roku, przy *quadriennium* będzie próżnował trzy lata, a nauce poświęci również jeden, ostatni rok, czyli że straci na darmo jeszcze dwa semestry.

Przypuszczenie to nie jest niemożliwém, lecz jednocześnie nie może stanowić pobudki do zaniechania zmiany. Należy tylko czterolecie połączyć z urządzeniem, które byłoby w stanie czy zachęcić, czy pośrednio nawet zniewolić studenta do wytrwałéj jednostajnéj pracy od początku do końca pobytu na wydziale. Urządzeń tych szukać należy we właściwém rozwiązaniu nader zawiłego problematu, jakim jest kwestya egzaminacyjna.

VI.

Obecnie kwestya ta w Niemczech traktowana jest zgodnie z zasadą wolności akademickiéj: egzaminów obowiązkowych na fakultetach prawnych nie ma całkiem, tak samo jak nie ma stale określonych kursów, lub z góry wytkniętego programu zajęć. Student może

dowolną ilość semestrów uczęszczać na uniwersytet, nie wiedząc co to jest egzamin; może przerzucać się z jednego kolegium do drugiego, zapisywać się z jednego wykładu na inny, nie będąc pytanym o świadectwo należytego obznajmienia się z poprzednio studyowanemi przedmiotami. Istniejące egzaminy nie mają cech ogólnego przymusu. Obowiązek poddania im się dotyczy tylko dwóch kategoryi osób: tych, którzy chcą pozyskać stopień naukowy, i tych, którzy chcą mieć otwartą karyerę w służbie rządowéj. Pierwsi podlegają egzaminowi doktorskiemu w uniwersytetach, drudzy — egzaminom państwowym w oddzielnych komisyach.

Pomijając organizacyę doktoratu, jako nie objętego projektami reform, zaznaczyć tylko wypada, że stopień doktorski w Niemczech jest godnością wyłącznie naukową, praktycznego znaczenia nie ma i nie uwalnia nawet od piérwszego egzaminu państwowego.

Ocenę fachowego wykształcenia osób, chcących poświęcić się służbie publicznéj, państwo powierza innym instytucyom, nie mającym albo żadnéj, albo téż odległą zaledwie łączność z uniwersytetami. Instytucyą tą są komisye egzaminacyjne przy sądach państwowych i przy ministeryum sprawiedliwości; złożenie w nich egzaminów jest koniecznym warunkiem pozyskania urzędów, do sprawowania których wymaganém jest wykształcenie uniwersyteckie. Przystępowanie do egzaminów łączy się przytém w jedną całość z przejściem aplikacyi sądowéj. Tutaj ustaje już zasada swobody osobistéj, swobody, jakiéj nadużywa młodzież na wydziałach prawa. Mając na widoku dobro służby państwowéj, odpowiednie przepisy poszczególnie określają rodzaj i sposób odbywania się egzaminów, czas trwania przygotowawczéj praktyki sądowéj, jéj kierunek i t. d. Przepisy te nie są jednakowe we wszystkich państwach niemieckich, dawniéj zachodziły nawet między niemi zasadnicze różnice; od chwili jednak zjednoczenia Niemiec istnieje prąd ujednostajnienia ich, przyczém, jak i w innych gałęziach prawodawstwa prawo ogólno-państwowe za wzór godny rozpowszechnienia uznało zwyczaje i przepisy państwa dominującego—Prus, choć wedle opinii rzeczoznawców urządzenia pruskie na tym punkcie są rażąco wadliwe.

Na zasadzie prawa z dnia 6 maja 1869 r., obowiązującego dotychczas, egzamin państwowy w Prusach jest dwukrotny: pierwszy—„*Referendarexamen*“; drugi—„*Assessorexamen*“. Pierwszy z nich składany jest przed komisyami zasiadającemi po miastach, w których istnieją sądy apelacyjne („*Oberlandesgericht*“). Komisye te składają się z trzech członków: profesora uniwersytetu i dwóch sędziów apelacyjnych, z których jeden prezyduje. Kandydatowi, zgłaszającemu się do

egzaminu, prezes komisyi wyznacza przedewszystkiém temat do piśmiennego opracowania, przyczém wybór tematu ogranicza się do prawa cywilnego powszechnego (*Pandektenrecht*), prawa prywatnego niemieckiego, prawa handlowego, kościelnego, karnego lub procedury cywilnéj. Rozprawa ukończona być musi w przeciągu sześciu tygodni. Ocenę pracy przyjmuje na siebie jeden z członków komisyi i jeżeli takowa nie przedstawia tylko zbyt widocznych braków, autor bywa dopuszczany do egzaminu ustnego. Jest to druga część *Referendariat-Examen'u*—część ze względu na zakres objętych nią przedmiotów o wiele donioślejsza od pierwszéj. Kandydat powinien być przygotowany do odpowiedzi z dziedziny prawa naturalnego, instytucyi i historyi prawa rzymskiego, pandektów, historyi prawa niemieckiego, prawa prywatnego niemieckiego i pruskiego, prawa kościelnego, feodalnego, międzynarodowego, państwowego, karnego, procedury cywilnéj i kryminalnéj, powszechnéj i pruskiéj, zasad nauk politycznych, wreszcie praw nadreńskich, jeżeli ktoś ze zdających ma zamiar urzędować w prowincyach nadreńskich. Komisya zasiada w sali sądu apelacyjnego, posiedzenie jéj trwa około 5 godzin; odbywa się ono bez udziału szerszéj publiczności, bo jak w Berlinie np. wstęp na salę mają tylko studenci prawa z 6 semestru. Kandydaci, czarno ubrani, pytani są grupami po sześciu. Stopnie stawiane są: *vorzüglich* (celująco), *gut* (dobrze), *ausreichend* (dostatecznie). Otrzymawszy od komisyi dyplom ze złożonego egzaminu, kandydat do posad sądowych zwraca się z nim do prezydenta sądu apelacyjnego, który petenta mianuje „referendaryuszem“ bez pensyi i bez ściśle określonych zajęć. Nowo mianowany wykonywa przysięgę i od téj chwili liczy się początek jego aplikacyi.

Pierwsze sześć miesięcy referendaryusze pracują przy sądzie kantonalnym (*Amtsgericht*), o ile możności nie nadto ruchliwym t. j. takim, w którym czynności nie są podzielone na oddzielne sekcye, ażeby nowicyusze w swoim zawodzie łatwiéj mogli powziąć pojęcie o całokształcie działalności danego organu sądownictwa. Na rok następny referendaryusze są delegowani do trybunału okręgowego (*Landgericht*), późniéj również na rok do adwokata (*Rechtsanwalt*) i notaryusza, poczém powracają napowrót do sądu kantonalnego, tym razem jednak do ruchliwszego pod względem jakości i ilości spraw; tutaj pozostają znów rok jeden, po którego ukończeniu na sześć miesięcy, jako na ostatni etap, idą do sądu apelacyjnego. W czasie aplikacyi referendaryusze powinni być obznajmiani ze wszystkiemi czynnościami sędziów, prokuratorów, sekretarzy, adwokatów i rejentów; powinni dokładnie poznać robotę kancelaryjną, być obecnymi na po-

siedzeniach, zaprawiać się do publicznego przemawiania i za pomocą piśmiennych opracowań napotkanych w praktyce sądowéj kwestyi prawnych, nabyć umiejętności dobrego władania piórem. Każda z osób, pod któréj kierunkiem referendaryusz pozostaje, po upływie danego okresu aplikacyi obowiązana jest zdać prezydentowi sądu raport o zachowaniu się jego na służbie, o pracach przezeń dokonanych, o jego zaletach i wadach.

Po upływie tych lat czterech referendaryusz może przystąpić do drugiego i ostatecznego egzaminu państwowego zwanego „*Assessor-Examen*“. Egzamin ten składany jest przed oddzielną komisyą egzaminacyjną w Berlinie (*Justiz-Prüfungs-Comission*), datującą jeszcze z czasów Fryderyka II i złożoną z prezydującego i sześciu członków, mianowanych z pośród radców ministeryalnych. Osoby, chcące uzyskać tę wyższą kwalifikacyę urzędniczą, któréj posiadanie niezbędne jest do objęcia posady sędziego, prokuratora, adwokata i notaryusza, zwracają się z odpowiedniém podaniem do prezydującego w komisyi. Egzamin, oczekujący je, składa się również z dwóch części: piśmiennéj i ustnéj. Pierwsza polega na opracowaniu pewnéj teoretycznéj kwestyi i wygotowaniu relacyi z danych akt sądowych; rozprawka powinna być napisana w przeciągu sześciu tygodni, relacya zaś w przeciągu trzech tygodni. Obiedwie prace podlegają rozpoznaniu tych członków komisyi, którzy mają uczestniczyć w ustném egzaminowaniu kandydata, albowiem zwykły komplet na ustnym egzaminie stanawią trzéj tylko członkowie komisyi. Egzamin ustny ma charakter wyłącznie praktyczny; rozpoczyna się od ustnego referowania akt sądowych *ad hoc* wybranych i zakomunikowanych na trzy dni przedtém kandydatowi; poczém następuje zadawanie oderwanych pytań w kierunku przeważnie praktyki sądowéj. Pomyślnie złożony egzamin nadaje stopień: „*Justiz-Assessora*“.

Oto w krótkości rys urządzeń, istniejących odnośnie do egzaminów i aplikacyi sądowéj w Prusiech.

W innych krajach związkowych urządzenia te przedstawiają się cokolwiek inaczéj. Tak np. w Saksonii i Bawaryi komisye, powołane do pierwszego egzaminu państwowego, składają się z samych profesorów uniwersytetu, którym asystuje bez prawa głosu komisarz rządowy; w Hessen-Darmstadzie odbywa się nawet bez komisarza, a prezydującym w komisyi jest dziekan wydziału. W Saksonii piśmienna część pierwszego egzaminu polega nie na opracowaniu rozprawki naukowéj, lecz na rozstrzygnięciu w przeciągu kilku godzin trzech kwestyi prawnych z różnych dziedzin prawa obowiązującego. Podobnież jest w Bawaryi.

Czas trwania praktyki przygotowawczéj w państwach związkowych do niedawna krótszym był w ogóle niż w Prusiech. W Wirtenbergii, Sachsen-Altenburgu i Meiningen odbycie aplikacyi wymagało tylko roku czasu, w Sachsen-Weimarze — 1½ roku; w Bawaryi, Badenie, Oldenburgu 2 lata; w Brunświku 2½ roku. Reforma sądownictwa w r. 1877/8 zaprowadziła i w tym kierunku zmianę; zgodnie z tradycyą pruską, wspominany już art. 2 „Urządzeń sądowych“ uznał za obowiązującą dla całego państwa zasadę trzechletniéj aplikacyi sądowéj.

Wobec niewielkich różnic, zachodzących w innych krajach cesarstwa niemieckiego i wobec prądu asymilacyjnego na rzecz Prus— pruską organizacyę egzaminów i praktyki sądowéj uważać należy bezsprzecznie za typową. Organizacya ta jest dziś surowo lecz słusznie potępiana.

VII.

Na pierwszym planie stoją zarzuty, dotyczące osobistego składu komisyi. Aby egzamin, jako probierz wiadomości, prowadził do celu, koniecznêm jest, żeby egzaminujący panował nad umiejętnościami z których zakresu zadaje pytanie. Kardynalnemu temu wymaganiu, jak się pokazuje z praktyki, sędziowie apelacyjni nie odpowiadają, więc też pierwszy egzamin państwowy zeszedł na poziom formalności bez znaczenia, nie groźnéj dla najgorzéj nawet przygotowanych kandydatów. Asystencya profesora uniwersytetu nie jest w stanie podnieść powagi egzaminu, wybór bowiem osoby, pozostawiony jest uznaniu prezydentów sądu, którzy zwykli powodować się w téj mierze osobistemi sympatyami: profesorowie, nie poprzestający na milczącéj obecności i wtrącający się do zapytań, bywają pomijani, wyborem zaś zaszczycani są najbardziéj ulegli i obojętni. Za czynnych członków komisyi uważać należy tylko sędziów apelacyjnych. Co do nich zaś, już sam kierunek egzaminu, mającego charakter wyłącznie teoretyczny, podaje w wątpliwość uzdolnienie doń prawników, powołanych do praktycznego stosowania prawa. Opinia kompetentnych i przytaczane przez nich fakty w zupełności potwierdzają to przypuszczenie. „Jako członek komisyi egzaminacyjnéj—są słowa Lista, pruski sędzia apelacyjny powinien by być biegłym we wszystkich naukach prawnych, a to przechodzi jego siły; z pandektami jeszcze daje sobie radę; prawo handlowe, wekslowe i procedura cywilna nie są mu także obce; ale co dziać się może z historyą prawa rzymskiego i niemieckiego, które dla praktyka są całkiem obojętne, co z prawem

i procedurą karną, z któremi od r. 1879 sędzia apelacyjny zdaleka tylko ma do czynienia, co z prawem państwowém, kanoniczném lub międzynarodowém, których sędzia może nigdy nie miał w użyciu?" Wächter na IV zjeździe prawniczym żałował sędziów, którym każą grać rolę im niewłaściwą: „Nawet najwybitniéjszy praktyk pozostaje zawsze w ściśle ograniczoném kole naukowém i zaledwie nadzwyczajne usiłowania zdołają otworzyć przed nim szersze widnokręgi nauki". Blondel utrzymuje, że członkowie komisyi nie są *au courant* postępu wiedzy, że muszą przygotowywać się do formułowania pytań, że częstokroć tracą kontenans i kompromitują się wobec składających egzaminy. Uwaga ta brzmi zgodnie z osobistém wspomnieniem Goldschmidta, który na swoim egzaminie *pro referendariatu* nieprzyjemnie zaambarasowany czuł się wobec nieznajomości prawa rzymskiego ze strony prezydującego sędziego. Jakiś kryminalista dowcipnie odezwał się, że na egzaminie z prawa karnego obowiązuje zasada: „*quisquis praesumitur bonus*". To samo da się powiedziéć i o egzaminach ze wszystkich innych niecywilistycznych przedmiotów; wszystkie one są zbyt łatwe, a egzaminatorowie, nie czujący się na siłach do głębszéj dyskusyi, zbyt pobłażliwi. „Chociaż pytania, zadawane przy mnie kandydatom w komisyi berlińskiéj — powiada Blondel — były elementarne i choć kandydaci odpowiadali wogóle źle, egzaminujący byli stale przesadnie ugrzecznieni i łagodni". Łagodność ta notorycznie jest znaną, wskutek czego jedna z ważnych pobudek pracowitości,—obawa odpadnięcia na egzaminie—dla pruskiego studenta prawa ma znaczenie minimalne.

Nieodpowiedni skład komisyi wpływa w dalszym ciągu na zaakcentowane już poprzednio wykoszlawienie kierunku zajęć studentów na uniwersytecie, polegające na tém, że zamiast pracy samodzielnéj i słuchania wykładów, młodzież, zwłaszcza zamożniejsza, ucieka się pod opiekę repetytorów (*Einpauker*). Ponieważ egzaminy, prowadzone przez praktyków, ograniczają się praktyczną stroną przedmiotów, a fakultety dają tylko znajomość teoryi, ponieważ tedy „na egzaminach słuchają z tego, czego nie uczą na uniwersytecie, a to, czego uczą w uniwersytetach, na egzaminie jest pomijane", więc, rozumują studenci, do pozyskania stopnia referendarza, potrzebną jest pomoc nie profesorów, lecz osób, obznajmionych z wymaganiami komisyi. Tak powstała klasa repetytorów, we wszystkich miastach uniwersyteckich bardzo liczna; korytarze obok audytoryów wszędzie pozalepiane są ich ogłoszeniami, wielu z nich cieszy się takiém uznaniem, że jak ongi za wybitnemi powagami naukowemi, studenci ciągną za nimi z miasta do miasta; uznania nabywa ten, kto jaknajszyb-

ciéj umie przygotować do egzaminu; w tym celu repetytorzy gromadzą z roku na rok, jako materyał pomocniczy, repertuar pytań, zadawanych przez członków komisyi i podług tych schematów uczą swych elewów; istnieją nawet tu i owdzie piśmienne, a nawet drukowane broszurki, w których można znaleść wskazówki, o co zwykł pytać się ten lub ów członek i jakiéj żąda odpowiedzi. Największą renomą cieszą się tak zw. *Herzfeldschen Rechtsbücher*, będące podręcznikiem w równéj mierze i dla studentów i dla egzaminatorów.

Samodzielność i gruntowność sędzia apelacyjny może okazać tylko w prawie cywilném; to téż jest ogólném zdanie, że pierwszy egzamin państwowy ogranicza się właściwie na pandektach; znajomość innych przedmiotów wobec powyższych warunków prawie że nie jest kontrolowana. Jest to dalszy ciąg, a poniekąd i przyczyna owego specyalnie cywilistycznego kierunku wykształcenia, jakim grzeszą pruskie wydziały prawa.

Jednostronność egzaminu pochodzi jednocześnie i z drugiéj jeszcze wady organicznéj w urządzeniach egzaminacyjnych—z braku czasu na dokładniejsze przeegzaminowanie kandydatów. Ilustracyą w téj mierze mogą być słowa Lista: „Nie wiem jak gdzie, ale w Kassel do egzaminu, trwającego 6 godzin, staje naraz 6 kandydatów. Pandekta zabierają dwie godziny; przerwa — pół godziny, na inne przedmioty pozostaje 3½ godziny czyli 35 minut na każdego studenta“. A ponieważ prawo wymaga egzaminu z trzynastu oddzielnych przedmiotów oprócz pandektów, przeto „na każdy przedmiot wypada 3½ minuty“. Toż samo dzieje się i w innych komisyach. Kirchenheim oblicza, że egzamin z pojedynczego przedmiotu trwa wszędzie przecięciowo 4 minuty. Nie trzeba chyba dowodzić, że jest to przeciąg czasu, niewystarczający do oceny wiadomości kandydata, który staje przed komisyą po raz pierwszy w życiu, nieznany jéj i niełatwy do poznania.

Jako trzecią wadę urządzeń pruskich, należy wytknąć żądanie, ażeby kandydaci przedstawiali teoretyczną rozprawę na temat wskazany przez prezydującego. Żądanie to jest bezcelowe i nieuzasadnione. Z jednéj bowiem strony student, który nigdy poważnie nie pracował, nie jest w stanie w ciągu 6 tygodni napisać rzeczy dającéj wyobrażenie o jego zdolnościach; z drugiéj zaś strony prezydujący w komisyi, którzy nie potrafią zadawać pytań na ustnym egzaminie, tém mniéj umieją wyszukiwać odpowiednie tematy do piśmiennych opracowań, co jeszcze bardziéj utrudnia zadanie niedoświadczonemu autorowi. „Gdyby, powiada List, zebrać i ogłosić tematy, zadane

w przeciągu kilku lat ostatnich, byłaby to wiązanka, najbardziéj potępiająca obecny system".

Krytyka dzisiejszych urządzeń egzaminacyjnych nie ogranicza się na projektach zreformowania egzaminów istniejących. Na tle, z jednéj strony przeświadczenia o próżniactwie młodzieży, a z drugiéj — przekonania o potrzebie czteroletnich studyów na wydziałach prawa, projekty dążą do zaprowadzenia nowego egzaminu, który przeciwdziałając marnowaniu czasu, zmuszał by pośrednio studenta do wyzyskania na swą korzyść całkowitego czteroletniego okresu studyów. Nowy ten egzamin nosi miano próbnego czyli przejściowego (*Zwischenexamen*). Ortlof jest jednym z najgorliwszych jego propagatorów, a w oświetleniu Ortlofa i w połączeniu z jego podziałem przedmiotów wykładowych na dwie grupy — egzamin ten ma za sobą istotnie wiele przekonywających argumentów. Na medycznych fakultetach w Niemczech studenci po czterech semestrach, w czasie których obowiązani są studyować nauki przyrodnicze, przystępują do egzaminu z tych nauk, zwanego *tentamen physicum.* Ortlof porównywa znaczenie nauk przyrodniczych dla lekarza ze znaczeniem, jakie dla prawnika mają umiejętności społeczno-państwowe i radzi zaprowadzić na wydziałach prawa po czterech semestrach studyów, nad pierwszą grupą przedmiotów „*tentamen*" z nich, obowiązkowy dla wszystkich słuchaczów. Tentamen powinien być pamięciowy, ma być składany w uniwersytecie przed komisyą profesorską, zasiadającą pod prezydencyą delegata rządowego; komisya powinna orzekać, czy wiadomości studenta są wystarczające do rozpoczęcia ściśle-prawnych studyów, czy téż nie są wystarczające. Od egzaminu próbnego Ortlof oczekuje wielce zbawiennego wpływu: „Mając po za sobą połowę studyów, powiada, studenci wzmocnią się duchowo do przygotowania się do głównego egzaminu, jakim będzie dla nich *pro referendariatu;* z rozbudzeniem myśli i pojęć, podniesie się w ich oczach powaga wiedzy, a rozwiązanie napotkanych już zagadnień otoczy żywszym powabem kwestye, podlegające dopiéro roztrząsaniu". A główna rzecz, że *tentamen* ochroni studentów od marnowania pierwszych dwóch lat pobytu na uniwersytecie na pijatyki, burdy i pojedynki. Stronników egzaminu próbnego jest zastęp pokaźny, że wspomnimy tutaj tylko v. Bethman-Hollwega, Schultego, Eiselego, Nassego, Meyera, Kleinwächtera, po części i Gneista. Za takim egzaminem był także 14 zjazd prawników niemieckich, na którym głos w téj kwestyi z grona korporacyi sądowniczéj zabierał znany prezydent sądu apelacyjnego w Gryfii dr. Kühne. Przeciwników liczy *tentamen* nie wielu, a ci,

którzy przeciwko niemu powstają, mają głównie na widoku zupełną nietykalność wolności akademickiéj, którą egzamin przejściowy zlekka krępuje. Na téj zasadzie uzbraja się przeciw niemu List. Bliżéj motywowane zarzuty stawia Goldschmidt; według niego *tentamen* sztucznie oddzieli studya historyczne od dogmatycznych i społeczno-państwowe od prawnych i powtóre przedstawia to niebezpieczeństwo, że umiejętności, z których ma być wymagany, będą w czasie drugiego okresu studyów całkowicie zaniedbane. Na zarzuty te da się odpowiedzieć, że bądź co bądź pożądańszém jest studyowanie danego przedmiotu chociażby jednostronnie i tylko w ciągu lat dwóch, niż zupełna w tymże przedmiocie ignorancya, lub w najlepszym razie dyletanckie dotknięcie go się za pomocą „*Einpaukssystem*". Obrona jakoby zagrożonych interesów swobody akademickiéj nie ma wprost racyi bytu; widzieliśmy powyżéj, że swoboda ta nie jest nigdy bezwzględną, że nie uwalnia od pracy i polega tylko na dowolném rozporządzaniu czasem i kierowaniu swemi zajęciami; otóż i przy *tentamen* swoboda pozostaje nietkniętą, tylko rozciągać się będzie nie na całe lat 3 lub 4 bez przerwy, lecz na pierwsze i drugie dwóchlecie oddzielnie i nie na wszystkie przedmioty wydziałowe, lecz tylko na pierwszą i drugą ich grupę pojedynczo. Co do przymusu egzaminacyjnego, to kwestya ta powinna być traktowana szerzéj; jedno z dwojga, albo egzaminy są całkiem zbyteczne a wtedy uchylić je wypada i po ukończeniu wydziałów, albo są konieczne; a wtedy należy urządzić je tak, ażeby dawały rękojmię egzaminów seryo prowadzonych. Doświadczenie przemawia na korzyść drugiego wniosku powyższéj alternatywy: ułomności natury ludzkiéj nie pozwalają pokładać w niéj bezgranicznego zaufania, i pozostawiać wolnemi od zewnętrznéj kontroli postępy młodzieży, ilekroć na postępach tych ma być ugruntowaném dobro ogółu, dobro służby publicznéj. Pogodziwszy się zaś z egzaminami, jako koniecznością, nie ma dobrego powodu tolerować je po wyjściu z uniwersytetu, a odrzucać stanowczo w okresie studyów, jeżeli *nb.* na fakultecie egzamin ma być urządzony w ten sposób, że będzie oddzielał dwie samodzielne i całość stanowiące grupy nauk, niby dwa samoistne podwydziały. Jeden egzamin teoretyczny t. j. dzisiejszy pierwszy egzamin państwowy *pro referendariatu* jest niedostateczny; niemożebną jest rzeczą zbadać i ocenić na jedném posiedzeniu wiadomości kandydata z tylu rozmaitych umiejętności. „*Zwischenexamen*" niemożność tę usuwa; oprócz niego są atoli projektowane i inne jeszcze środki, ku temu celowi zmierzające. Projekty te dotyczą reformy samych egzaminów państwowych; o nich téż wypada z kolei wzmiankować.

Istnieje mianowicie grupa uczonych, rekomendujących podział pierwszego egzaminu państwowego na oddzielne sekcye. Pierwszy Gierke na 14 zjeździe prawników niemieckich radził przeprowadzić podział na trzy sekcye: 1-o z prawa rzymskiego i niemieckiego wespół z ich historyami i z filozofii prawa; 2-o z nauk społeczno-państwowych i 3-o z prawa karnego, procedury i praw krajowych. Większość jednak należących tu autorów przemawia za podziałem na dwie sekcye: jedną—z umiejętności prawa prywatnego; drugą—z nauk socyalno-politycznych. Tego zdania są między innymi: Gneist, Schwarze, i List. List twierdzenie swoje popiera następującą rachubą: egzamin, traktowany seryo, wymaga na prawo rzymskie pół godziny, na każdy zaś z pozostałych przedmiotów po 15 minut, czyli dla jednego kandydata potrzeba 3 godzin. Egzaminując zaś jednocześnie sześciu kandydatów, jak to się praktykuje obecnie, należałoby egzamin prowadzić bez przerwy 18 godzin. Przez osiemnaście godzin zadawać pytania lub dawać na nie odpowiedzi jest rzeczą niełatwą; znużenie wyczerpać musi uwagę i przytomność umysłu. Jedyna rada rozczłonkować egzamin na dwie połowy, przyczém obiedwie uznać za samoistne, z każdéj połowy oddzielnie stawiać stopień i we wszystkich przedmiotach do niéj należących żądać zadawalniających postępów tak dalece, że kto w jednym choćby przedmiocie okaże się nieprzygotowanym, ten powinien podlegać powtórnemu egzaminowi z całéj sekcyi.

Bardziéj jeszcze stanowczéj reformy domagają się projektodawcy w piśmiennéj części pierwszego egzaminu. Zamiast bezwartościowych kompilacyjnych rozpraw naukowych,Dernburg, Goldschmidt, Kirchenheim i inni proponują żądać piśmiennych odpowiedzi na pojedyncze kwestye prawne, zaczerpnięte z praktyki sądowéj lub ze źródeł prawa rzymskiego, albo téż na drobne tematy z historyi i dogmatyki prawa; odpowiedzi powinny być pisane pod okiem komisyi, w odosobnieniu bez zakazu jednak uciekania się do pomocy podręczników naukowych. Niektórzy jak np. Kirchenheim radzą egzamin piśmienny rozbić również na dwie sekcye, t. j. żądać piśmiennych odpowiedzi oddzielnie z dwóch głównych dziedzin przedmiotów wykładowych: z nauk społeczno-państwowych i prawnych.

Lecz najradykalniejsze zmiany, podług opinii kompetentnych, powinny być dokonane w osobistym składzie komisyi egzaminacyjnych. Wszyscy prawie jednogłośnie domagają się powołania do nich zamiast sądowników—uczonych fachowców, wskazując jako na osoby, posiadające najlepsze w tym kierunku kwalifikacye — na profesorów uniwersytetu.

Drugi egzamin państwowy ma charakter ściśle praktyczny, a ponieważ radcowie ministeryalni przedstawiają w tym względzie zupełną rękojmię kompetencyi, przeto egzamin drugi nie podlega zarzutom tak ostrym, jak pierwszy. Można nawet powiedzieć, że w literaturze przedmiotu *Assesorexamen* jest pomijany; literatura ta ma bowiem na widoku przedewszystkiém wykształcenie teoretyczne, na które on doraźnego wpływu nie wywiera. Przeciwnie rzecz się ma z dzisiejszą praktyką sądową; przewaga, jaką się cieszy ta ostatnia, bezwątpienia ujemnie oddziaływa na studya wydziałowe i dla tego kwestya aplikacyi szczegółowo przez autorów bywa omawiana.

W zdaniach objawionych w tym przedmiocie tkwi dążenie z jednéj strony wykazać braki obecnego ustroju praktyki sądowéj, z drugiéj—zaś obalić w zasadzie wygórowane mniemanie o doniosłości praktyki, jako głównego czynnika w wykształceniu prawném młodzieży; mniemanie tak bardzo rozpowszechnione w społeczeństwie niemieckiém i w niemieckiéj magistraturze. Ustaloną jest opinia, że dzisiejszy system nie daje rękojmi dobréj szkoły praktycznéj, że jest on w stanie tworzyć rutynistów i maszyny, nie zaś otwarte głowy, nie może rozwinąć talentów, raczéj spycha talenty na poziom mierności. System ten nie daje rękojmi dobréj szkoły praktycznéj: nie wszyscy urzędnicy stają na wysokości zadania, mało jest głębiéj wykształconych; a jeszcze mniéj obdarzonych zdolnościami pedagogicznemi; pod czyją opiekę dostanie się referendaryusz, czy człowieka sumiennego, czy obojętnego, czy doświadczonego, czy téż niewprawnego, czy z głębszą wiedzą, czy téż zasklepionego w papiérach, o tém decyduje prosty wypadek. Doświadczenie poucza, że dzieje się różnie, że np. wielu z tych przygodnych kierowników młodzieży wyręcza się nią w najgrubszéj, kancelaryjnéj, bynajmniéj nie kształcącéj robocie, że wielu referendarzy wskutek braku dozoru i ściśle określonych obowiązków marnuje czas podobnież, jak marnowało go na uniwersytecie, że wogóle nie wpływ urzędników sądowych, lecz osobiste zalety aplikanta stanowią główny czynnik korzystnego spędzenia przygotowawczego okresu służby państwowéj.

Zaprawianie referendarzy do pióra, wobec ustnego *par excellence* postępowania, ma zastosowanie małe i nie odnosi zamierzonych korzyści. Obecność na posiedzeniach przechodzi także bez wrażenia. Opracowanie poważniejszych kwestyi prawniczych praktykuje się bardzo rzadko. Pomoc naukowa jest prawie żadna. Wogóle te wielkie nadzieje, jakie w sądach pokładają biurokracya i ogół, uważając je za instytucye, mogące uzupełnić, udoskonalić lub nawet zastąpić wykształcenie wydziałowe — zawodzą; sądy nigdy nie będą „małym

uniwersytetem“ jak je ironicznie wobec niewczesnych usiłowań pedagogicznych nazywają dziś przedstawiciele świata naukowego i nie powinny być niemi, bo rozstrzelenie działalności w dwóch przeciwległych kierunkach odbiło by się niekorzystnie na wymiarze sprawiedliwości.

Przeświadczenie o nieudolności sądu, jako szkoły dla przyszłego prawnika i działacza społecznego, nakazuje przedewszystkiém skrócić okres praktyki do lat trzech, stosownie do art. 2 „Urządzeń Sądowych“; pozatém należy punkt ciężkości systemu edukacyjnego przenieść na wydziały prawne; do celu tego usilnie zmierzają podane wyżéj projekty reformy studyów fakultetowych.

St. Holewiński.





ŻYCZENIE.*)

NOWELLA.

I.

Sypialny pokój starego lekarza rozweselał jasno palący się ogień.

Starzec leżał jeszcze w łóżku, rozkoszując się błogiém uczuciem człowieka, widzącego przed sobą sumiennie spełnione zadanie życia. Kto, przez pół wieku, dwanaście godzin dziennie, trząsł się po kamieniach i dołach w rozklekotanym wózku wiejskiego lekarza, temu wolno czasem w biały dzień w łóżku poleżéć, tém więcéj, gdy część pracy spoczywa w młodych, dzielniejszych rękach.

Wyciągnął stare kości i zagrzebał raz jeszcze w miękkie poduszki pomarszczone, szaro-żółte oblicze, okolone ostrą, siwą brodą, jak stary granit islandzkim porostem.

Ale przyzwyczajenie, ten pan surowy, który przez lat tyle, czy była tego potrzeba — lub nie, przed świtem wypłaszał go z puchów i teraz nie dawał mu spokoju.

Westchnął, ziewnął i wymyślając na swoje lenistwo, chwycił za dzwonek, stojący na nocnym stoliku, obok węzgłowia.

---

*) Ze względu na rozgłos, jaki sobie zdobył autor téj nowelli, Sudermann, uważamy za właściwe zrobić wyjątek od zasady niedrukowania przekładów, podając utwór niniejszy. (P. R.)

Gospodyni, równie siwa i równie pomarszczona osobistość jak pan, ukazała się na progu.

— Pani Liebetreu! a która godzina? — zawołał, zwracając się do niéj.

Od dnia, w którym jako asystent starszego lekarza, przybył do Gromowa, odwieczny, szwarcwaldzki zégar, zawieszony nad jego łóżkiem i budzący go dawniéj z rannych snów chrapliwym głosem, nie był już nakręcany.

— Niechaj wiem, że i moje życie odtąd stanęło — mawiał.

— Trzy na ósmą panie doktorze, — odezwała się stara i zaczęła kręcić się około pieca.

— A toż dopiéro ze mnie leniwe zwierzę! — zawołał, podnosząc się, — proszę zobaczyć czy są listy!

— Są — kilka z poczty, a jeden przyniósł przed trzema godzinami sam młodszy pan Hellinger.

— Przed trzema godzinami? Ależ to było jeszcze zupełnie ciemno!

— Tak, ale pan Hellinger mówił, że musi na wieś jechać i nie może czekać dłużéj. Wczoraj wieczorem, kiedy pan doktór poszedł pod „Czarnego orła,“ był także i pewnie ze dwie godziny siedział.

— Dlaczegóżeście po mnie nie posłali? — zapytał doktór krzykliwym głosem dobrotliwych, starych impetyków.

— A bo nam na to nie pozwolił! — odkrzyknęła gospodyni w tym samym tonie, w którym jednak nie brzmiało zuchwalstwo a raczéj oddźwięk istoty pana przebijać się zdawał.

— W pana gabinecie siedział do 10-éj godziny, to jest co prawda wcale nie siedział, tylko biegał tam i napowrót, śmiał się i gadał do siebie, — nie mogłam go wcale poznać, on zwykle taki spokojny. I piwa musiałam mu przynieść, sześć butelek, wypił wszystkie, i ja musiałam pić z nim razem, — no mówię panu, był zupełnie jak szalony...

— Aha, to tak — mruknął stary, uśmiéchając się do siebie — zdaje mi się, że Olga... może téż w końcu... no cóż! dostanę dziś moje listy, czy nie? — krzyknął nagle, jakby był Bóg wié, jak rozgniéwany, ale uśmiéch przeczył temu.

Kiedy gospodyni, zrzędząc, spełniła jego żądanie, pochwycił z całéj paczki, jeden tylko list, nie noszący pocztowego stempla, na inne zaś nie spojrzał wcale.

Rozłożył arkusz drżącemi od radosnego wzruszenia rękoma i czytał z rozpromienioném obliczem:

„Drogi, stary mój wuju!

Jesteś pierwszym, który się o mojém szczęściu dowiadujesz. Ach, gdybyś był przy mnie w téj chwili! Gdybym mógł uścisnąć twoje zacne serce, w oczy tobie spojrzéć i powiedziéć co się w mojém sercu dzieje!

Ja sam tego jeszcze pojąć nie mogę, kręci mi się w głowie gdy o tém pomyślę!

Wuju, ty jeden stałeś przy mnie w dniach przejść najcięższych, tyś był jedynym, który się za Martą ujął, kiedy najbliżsi, nawet rodzice, z niechęcią odwrócili się od niéj. Nie mogłeś mi jéj zachować, Bóg mi ją zabrał; ale, kiedy przy zwłokach mojéj żony, z rozpaczy i bólu pękała mi głowa, tyś ręce twoje na niéj położył i przemówiłeś do mnie, jak kapłan przemawia.

I miałeś słuszność. Wprawdzie, nie myślę, żebym mógł stać się znowu takim samym, jakim byłem, zanim troski o jutro i tęsknota za Martą przytłoczyły moją głowę, nie, tego nie myślę, tego przecież i Marta, moja żona, przez trzy lata naszego, cichego szczęścia nie dokazała; ale jeśli życie chowa jeszcze dla mnie trochę spokoju i radości, zdaje mi się, że mnie teraz chce nią obdarzyć.

Wiész wuju, jak jeszcze w pośród nieobeschniętych łez za zmarłą, przywiązywałem się coraz więcéj do jéj siostry, Olgi. Wszakże ja ci się ze wszystkiego zwierzałem i u ciebie szukałem pociechy, gdy mnie wyrzuty dosięgły, że tak świéżą żałobę nosząc, staję się pamięci méj żony niewiernym. Tyś mi wtedy powiedział: Gdyby zmarła dla swego dziecka, szukała drugiéj matki, czyż wybrałaby inną niźli siostrę, którą po tobie najwięcéj kochała na świecie? Przeląkłem się, w głębi duszy, bo nigdy nie śmiałbym był oczu na Olgę podnieść. Ale ty nie przestawałeś dodawać mi odwagi, aż nareszcie, przed 8-iu dniami, zdobyłem się na tyle, żem ją, Olgę, prosił, by mój los podzielić zechciała.

Wiész, że mi odmówiła. Jakżeż ona wtedy zbladła! Podała mi obie ręce i sztywna, wyprostowana, wyrzekła: „Wybij to sobie z głowy, Robercie, żoną twoją zostać nie mogę.“ Uciekłem wtedy i powiedziałem sobie: „Dobrze ci tak, zuchwalcze!“

A dzisiaj, wuju, — nie, nie mogę napisać tego! ręka mi drży... Szczęście jest tak niezmierne, tak niespodziéwane, że mnie prawie obezwładnia!

Jutro wuju, jutro wszystko ci opowiem!

Raniutko muszę jechać do gospodarstwa, w południe wracam i zaraz nastąpi ciężka wyprawa do rodziców. Matka niczego się nie domyśla. Znów jéj się wszystkie plany pomieszały. Olga niemało

będzie miała do zniesienia. Boję się, że matka gotowa ją jeszcze z domu wypędzić. Ach, gdybym ją już miał pod moim dachem!

Godzina 3-a rano, dosyć na dzisiaj.

Twój wdzięczny i szczęśliwy

Robert Hellinger."

Stary lekarz otarł łzę z policzka.

— Dobry, dobry chłopiec — mruknął — a jak to w téj zapalonéj głowie uczucia wzbiérają! no, no, a jakie to jasne, uczciwe, aż do ostatniéj kropelki, doprawdy, wart jest ciebie, moje ty dzielne, dumne dziecko, on jest jedyny, któregobym dla ciebie pragnął... no, a teraz przekonam się czy téż i ty masz zaufanie do starego wuja. Zaraz, zaraz się o têm przekonam.

Śmiejąc się i pomrukując, kręcił głową w poduszkach. Naraz krzyknął takim głosem, że jak od pioruna dom cały się zatrząsł:

— Do kroćset! a gdzie moje spodnie?

Spodnie zostały przyniesione i w pięć minut stary stał gotowiusieński przed lustrem, jedynie pożółkłéj peruki brakowało na zwykłêm miejscu.

— Kapelusz, płaszcz, kij! — krzyczał przez drzwi.

— Ależ kawa, Chryste Jezu, kawa! — odkrzyknęła stara z kuchni jeszcze głośniéj.

— No, to prędko! zanim listy przeczytam, musi już być na stole!

Klnąc niecierpliwie, zajął się leżącą na stoliczku paczką, na którą dotąd nie zwracał uwagi. Jakieś cyrkularze, prośby, — naraz stanął zdumiony, uśmiéch znów rozjaśnił jego twarz pomarszczoną.

— Do pioruna! tego się nie spodziéwałem! A więc i ona nie mogła zasnąć nie podzieliwszy się wprzódy ze mną wiadomością o swojêm szczęściu... Ładnie to z waszéj strony, dzieciaki! o nie zapomnę ja wam tego...

Z równie radosnym pośpiechem, z jakim roztwiérał list Roberta, rozdarł i tę kopertę. Ale zaledwie zaczął czytać, kiedy z stłumionym, pełnym zgrozy okrzykiem, potoczył się w tył kilka kroków, jakby silnêm uderzeniem rażony. Jego śniada twarz pokryła się krédową bladością, oczy zdawały się z orbit wychodzić, jak szpony, wpiły się stare, kościste palce w zmięty papiér.

Kiedy gospodyni przyniosła kawę, zastała swego pana, siedzącego bez ruchu, w rogu kanapy; na czole jego perliły się wielkie krople potu, dzikie, osłupiałe oczy wpatrywały się w papiér, który ciągle jeszcze kurczowo ściskał w obudwu rękach.

— Chryste Jezu! panie doktorze! — wrzasnęła stara i z brzękiem postawiła tackę na stole. Odezwanie się jéj zbudziło go z odrętwienia. Kazał sobie przynieść wody, wypił chciwie kilka potężnych łyków, zwilżył czoło i skronie i dał gospodyni znak żeby się oddaliła.

Zamknął drzwi na zasuwkę, podniósł z ziemi zgnieciony arkusz listowego papiéru i czytał drżącym, stłumionym głosem:

„Mój wierny, ojcowski przyjacielu!

Gdy będziesz czytać to pismo, ja żyć już przestanę.

Starannie zbiérałam i przechowywałam morfinę, którą mi dawałeś, kiedy po śmierci Marty od snu odwykłam, mam nadzieję że będzie dość mocną, by mi spokój sprowadzić.

Ty, który mnie chroniłeś jak drugi ojciec, ty będziesz jedynym, który się dowié, dlaczego ja powzięłam ten krok rozpaczliwy.

Podczas długich, zimowych nocy, kiedy wicher trząsł mojém poddaszem, a ja spać nie mogłam, spełniałam to wszystko, co mnie od tak dawna męczy i spokoju nie da, aż zasnę na zawsze.

Na mojéj pułce z książkami, za tomami Heinego, znajdziesz niebieski kajet. Zabierz go tak, aby inni nie widzieli, a gdy go do końca przeczytasz, idź na mój grób i zmów za mnie: „Ojcze nasz.“

Postaraj się aby mnie obok Marty pochowano.

Kochałam ją bardzo, ona to przywołuje mnie do siebie.

Zrozumiész wszystko, gdy moją spowiedź przeczytasz.

A może więcéj wiész o mojéj tajemnicy, niżeli sama przypuszczam. Pewnie w majaczeniu, podczas ciężkiéj choroby, niejedną złą myśl wypaplać musiałam, inaczéj, czyż odsuwałbyś od mego łóżka wszystkich moich krewnych?

Czyż cię nie przejmowała zgroza wobec tego, co wypowiadały nieszczęsne moje usta? Czy litujesz się nademną, czy téż pogardzasz mną?

Nie, nie pogardzasz, gdyby tak było, nie mógłbyś mi okazywać tyle i tak wiernego przywiązania.

Przeczytaj. Tam wszystko znajdziesz.

Początkowo nie było to dla ciebie przeznaczone. Chciałam, po wielu latach, przesłać to człowiekowi, do którego należy cała dusza moja, — aby wiedział dlaczego mu odmówiłam.

Inaczéj się stało. Dziś w chwili słabości i zapomnienia rzuciłam się mu na szyję. Zapóźno spostrzegłam, że już przed nim nie ucieknę. Ale raczéj umrę, niż jego żoną zostanę.

A teraz, jeszcze jedna, serdeczna prośba. Jest to prośba umiérającéj, wiem, że jeżeli będziesz mógł, spełnisz ją.

Ukryj przed światem, a przedewszystkiém przed człowiekiem, którego kocham, żem się sama targnęła na moje życie. Niechaj myśli, że mnie szczęście zabiło.

Zatrę wszystko, coby naprowadziło na ślady samobójstwa, można będzie sądzić, że to był atak sercowy, albo uderzenie na mózg.

Błagam cię z głębi duszy spełnij tę ostatnią moją prośbę.

Umiéram chętnie, nie boję się wcale.

Już tak dawno dobrze nie spałam, że mi za odpoczynkiem bardzo tęskno.

Olga Bremer.“

Starzec był zupełnie sił i przytomności pozbawiony.

Zataczał się, zaciskał pięści, uderzał niemi w skronie i znów padał na krzesło.

— Ależ to szaleństwo, szaleństwo! — jęknął, obcierając zimny pot z czoła. — Dziecko, co tobie do głowy przyszło? co ciebie opętało? Moje ty biedne, biedne, drogie dziecko!

Zerwał się nagle żywo i szukał drżącemi rękami kapelusza i płaszcza.

— Na pomoc! na pomoc! wydrzéć śmierci ofiarę!

Na jedną chwilę błysnęła mu myśl: a może téż Olga nie spełniła strasznego zamiaru, ale myśl tę odrzucił zaraz. Zbyt dobrze znał młodą dziewczynę by mógł przypuścić, że się w niéj zbudziło wahanie jakieś lub téż osłabienie energii.

Ale może doza, jaką zażyła, była za małą, może czas osłabił działanie trucizny, przecież to już więcéj niż rok temu jak dawał to lekarstwo na sen; było to wtedy, gdy Marta umarła w połogu... Tak, tak, tak jest, tak być musi... morfina, źle zachowana, rozkłada się, przestaje działać...

— Śpiesz, ratuj!.. jeżeli jeszcze uratować można, jeżeli jeszcze jest co ratować...

Biegał po pokoju, szukał, a nie wiedział sam czego szuka. I znów za list pochwycił.

— I czego w dodatku ty żądasz odemnie? dziecko, dziecko, czy ty myślisz, że to tak łatwo przysięgę łamać? deptać obowiązki, którym się przez pół wieku wiernie służyło? Dziecię, ty nie wiész sama czego od uczciwego człowieka wymagasz...

Przybliżył papiér do oczu.

— Jestto prośba umierającéj... Błagam cię z głębi duszy, spełnij tę ostatnią moją prośbę...

Po zmarszczoném obliczu starca płynęły łzy obfite.

— Nie można, dziecię, nie można, choć tak pięknie prosić umiész, nie można. A nawet, chociażbym chciał, jabym się zaraz zdradził. Jam taki stary, słaby grat,—czyż zapanuję nad sobą? Poznają po mnie odrazu... Ale, sprobuję, żebyś ty daremnie starego wuja, nie błagała, sprobuję, — tak... ale, ty musisz być uratowaną! dla Roberta, dla siebie...

— Do krocset dyabłów, stary! bądźże raz jeszcze w życiu mężczyzną! Musisz ją uratować!—musisz, musisz!

I prędko, jak tylko pozwoliły na to jego stérane nogi, przebiegł mimo podsłuchującéj pode drzwiami gospodyni i wypadł z domu w mglisty, zimowy ranek.

II.

Prawdziwy obraz niezamąconéj wesołości i spokoju ducha przedstawiał pan Hellinger *senior*, siedzący z małżonką przy rannéj kawie.

Przez szyjkę mosiężnéj, wspaniale wyczyszczonéj maszynki, wybiegały leciuchne, niebieskawe kłęby pary, która, w maleńkich obłoczkach na stół opadając, zraszała drobnemi kropelkami srebrną cukierniczkę i duże filiżanki do kawy.

Pan Hellinger, z piękną, rumianą, prawdziwie młodzieńczą twarzą, okoloną dobrze utrzymaną, siwą brodą, z wyrazem dobroduszności i zadowolenia w niebieskich oczach, rozsiadł się w wygodnym fotelu, tureckim szlafrokiem otulił kolana i oczekiwał ze spokojném poddaniem, czém go los—upostaciowany przez czcigodną małżonkę—dziś obdarzyć zechce.

Ta ostatnia, właśnie w téj chwili, wsypała szczyptę sody w dzbanuszek do kawy i obcierała palce pięknym, białym fartuchem. Ogromny, babski czépiec, od którego wstążki, jak rzemienie od szyszaka, mocno pod pełnym podbródkiem były związane, zsunął się nieco na lewe ucho, a surowa, okrągła, iście żołnierska twarz, obramowana krésą z białych, sztywnych koronek, świeciła energią i ochotą do zaczépki, — pomimo uśmiechu, pełnego gorzkiéj urazy i niezadowolenia, błądzącego prawie bezustannie na jéj szerokich ustach, odrazu poznać było można, że przyzwyczajoną była do samowładnego rządzenia, gnębienia innych i bezwzględnego przeprowadzania własnych planów.

Żeby nie czekać bezczynnie aż kawa dostatecznie naciągnie, wzięła do ręki grubą, włóczkową robotę. Jako prezydentka w zebraniu pań i przewodnicząca w przytułku dla biédnych, nigdy nie powinna była z nią się rozstawać, — z niesłychaną téż szybkością przesuwała błyszczące druty przez kościste, do pracy przyzwyczajone palce.

— Adalbercie, czyś nie miał żadnéj wiadomości od Roberta? — zapytała ostrym, suchym głosem, który często aż do najdalszego kąta domu przenikał.

Widocznie staremu pytanie to było nieprzyjemném. Mąciło mu ono ranny spokój, — poruszył głową, jakby je chciał z niéj otrząsnąć.

— Trzeba przyznać, że nasz syn jest pełen dla nas miłości i przywiązania — ciągnęła daléj, a niemiły uśmiech uwidocznił się jeszcze bardziéj, — od tygodnia ani się pokazał, ani słyszéć o sobie nie dał, gdyby na księżycu mieszkał, nie mógłby rzadziéj przychodzić.

Pan Hellinger mruknął coś do siebie i zajął się fajką na długim cybuchu.

— Zdaje mi się, że tam nie wszystko u niego w porządku — zaczęła znów — wogóle w ostatnich czasach był taki jakiś dziwny. Czaił się nieśmiało do mnie, a słowa nie powiedział. Pewnie znowu ma na karku jakąś wypłatę, któréj podołać nie może.

— Biédny chłopiec!—odezwał się stary i mlasnął językiem, jakby tym sposobem chciał niemiłe myśli odegnać.

— Tak, biédny chłopiec!—przedrzeźniała żona — ty go jeszcze żałujesz, pewnieś mu, jak zawsze, coś pokryjomu wetknął.

Pan Hellinger podniósł białe, wypieszczone ręce ruchem zaprzeczenia i obrony, ale nie śmiał żonie w oczy spojrzéć.

— Adalbercie—przemówiła groźnie—proszę, żeby mi tego więcéj nie było. To, co jemu dajesz, dajesz z krzywdą naszą i naszych młodszych dzieci. Gdyby choć zasługiwał na to! ale kto nie słucha dobréj rady — ten cierpiéć musi. Jeżeli on przez swój głupi upór zmarnuje...

— Pozwól, Henryko...—przerwał nieśmiało mąż.

— Nie, kochany Adalbercie, nie pozwalam; powtarzam: kto nie słucha dobréj rady, ten cierpiéć musi — i jeżeli w swojéj obrzydliwéj niewdzięczności zapomina o kochającéj go matce, która całemi nocami trapi się o niego, myśli... — obtarła fartuchem oczy, jak gdyby łzy znaleść się w nich mogły.

— Ależ, Henryko!

— Adalbercie, nie przerywaj mi! Wiész, przebaczam ci wszystkie twoje słabości. Pozwalam ci przesiadywać pod „Czarnym orłem“

tak długo, jak ci się spodoba,—pozwalam ci pić tyle tego szkaradnego wina czerwonego, ile tylko znieść możesz, — przygotowywam ci zawsze coś do zjedzenia, gdy późno wracasz do domu, chociaż mógłbyś przynajmniéj nie przewracać wtedy trzech krzeseł, jakeś to wczoraj zrobił. Wogóle, uważam, że cię bardzo mało obchodzi twoja stara, wierna żona... ale—cóż to ja chciałam powiedzieć?—aha... w moje sprawy się nie mieszaj, to wymawiam, tém więcéj, że ich wcale nie rozumiész. Czy ty masz pojęcie, ile ja dla tego nicponia, Roberta, wycierpiałam? ile ja się nabiegałam, najeździłam? ile złożyłam wizyt, napisałam listów? Bóg jeden tylko wié!... Wyszukałam, namówiłam, pięć czy sześć bogatych, ale co się nazywa bogatych, dziewcząt,—potrzebował tylko rękę wyciągnąć... I cóż zrobił? No, myślę, że pamiętasz jeszcze, jak w kurczach leżałam, kiedy tu, przed czterema laty, przywiózł to mizerne, chorowite stworzenie, tę swoją Marcię! Moja cała choroba od téj pory datuje...

— Ależ, Henryko!

— Kochany Adalbercie, nie powtarzaj mi aby piosnki o świętych związkach rodzinnych. Jeżeli chciała być dla mnie kochającą i wdzięczną siostrzenicą, powinna była wnieść Robertowi tak bardzo potrzebny mu posag. Nie miała nic, naturalnie, nie miała nic! Brat mój umarł goły, jak święty turecki, a czy to się godziło dla członka mojéj rodziny? No, w końcu, niechby tam był zrobił ze swoim majątkiem, co mu się spodobało — co mi do tego? ale po cóż nam swoją córkę na kark zrzucił?

— Przecież umarła już—zauważył pan Hellinger.

— Tak, umarła—powtórzyła pani, składając ręce — powiedzieć: Bogu dzięki, byłoby grzechem, ale kiedy już taka była wola Boska, to chciałabym teraz naprawić dawniejsze głupstwa Roberta. Kiedy on przesiaduje pod „Czarnym orłem“, ja na nowo starałam się, wypytywałam, zabiegałam... niech wybiera. Jest Gertruda Lenzmann, dostaje pięćdziesiąt tysięcy zaraz i drugie tyle po śmierci staréj; jest mała von Versen, wprawdzie bardzo młoda, ale ta ma jeszcze więcéj! — prócz tych są jeszcze trzy, czy cztery! ale, czy ty wiész, co on na to wszystko? „Matko—powiedział—jeżeli mi jeszcze raz o tém wspomnisz, to się tu nigdy więcéj nie pokażę!“ Czy to słychane? Brakowałoby tylko, żeby po jednéj siostrze wziął sobie drugą,—nie, toby jego matkę do grobu wpędziło! Ale, ale—co prawda—gdzież to dziś panna tak długo się chowa? Dziewiąta dochodzi, a ona się jeszcze nie pokazała. W pięknem gospodarstwie mego pana brata może było w zwyczaju leżéć do południa, ale w moim porządnym

domu na to nie pozwalam! — czy słyszysz, Adalbercie? nie pozwalam.

— Nie rozumiem wcale, kochana Henryko — odrzekł pan Hellinger — dlaczego robisz mi wyrzuty, na które zasłużyła twoja siostrzenica.

— Ach, żebyś ty jéj choć raz jeden nie brał w obronę... ale — rozumié się—ja nie mogę nic powiedziéć, we własnym domu ja nic nie znaczę, no, ale raz przecie z tém skończyć muszę. Zresztą, trzymam ją u siebie już cały rok,—jest zupełnie zbyteczną.

— Czy nie zapracowywa się w gospodarstwie Roberta od rana do nocy? czy przejdzie choć jeden dzień, żeby na wieś nie zajrzała? Nie bądźże niesprawiedliwą, Henryko.

Spojrzała na niego z politowaniem.

— Gdybyś nie był taki dziecinny, Adalbercie, mogłabym z tobą pomówić. Otóż, to właśnie zaczyna mi się wydawać niebezpieczném! Czy myślisz, że ona nie ma powodów codzień po wsi spacerować? chce, żeby Robert i czeladź przywykli uważać ją za panią. Oho, przebiegła jest ta moja siostrzeniczka! już będzie ona umiała przyzwyczaić Roberta do téj myśli, że tylko jéj, Oldze, należy się miejsce po nieboszce. Cóż to miałaby codzień do roboty na wsi, gdyby nie to!

— Zdaje mi się, że dziecko Marty...

— Naturalnie, naturalnie! ty bo każdéj bajeczce zaraz uwierzysz, — a ja ci powiadam, że Olga wié dobrze, czemu tak to maleństwo kocha, omało go nieraz nie zjé z wielkiéj miłości, wié, którędy droga do serca ojca!

— Ależ może ona wcale nie kocha Roberta — wtrącił pan Hellinger.

Pani rozśmiała się głośno.

— Kochany Adalbercie! człowieka, który pod samém miastem ma szlachecki majątek ze starém zamczyskiem, zawsze kochają ubogie dziewczęta, i jeżeli ja teraz końca temu nie zrobię, to może przyjść do tego, że pewnego pięknego dnia nasz kochany Robert powié nam: „Matko i ojcze, proszę, pobłogosławcie nas!“ Ale zanim tego doczekam, Adalbercie...

W téj chwili dały się słyszéć w przedpokoju śpieszne, głośne kroki, poczém zapukano gwałtownie do drzwi.

— No, no—odezwała się pani Hellinger — a to się ktoś dobija jakby komornik. Chwała Bogu, jeszcze tak źle z nami nie jest. — I powoli, mierzonym głosem, wyrzekła: „Proszę wejść!“

Stary lekarz wszedł do pokoju. Kapelusz miał krzywo na kark zsunięty, krawat rozwiązany, a pierś jego pracowała od przyśpieszonego biegu. O przywitaniu się nie myślał wcale, patrzył tylko pytającym, dzikim wzrokiem dokoła.

— Na Boga, doktorze!—zawołał, śpiesząc ku niemu pan Hellinger—wpadasz jak bomba! co się stało?

Pani przybrała zwykłą, zbolałą, urażoną minę i mruknęła coś o knajpiarskiém zachowaniu się.

Gdy już stary lekarz przyjrzał się uważnie najspokojniéj przygotowanéj rannéj kawie i niezamąconym fizyognomiom swoich przyjaciół, upadł z westchnieniem ulgi na krzesło.

Ale już w następnéj chwili trwoga znów go opanowała.

— Gdzie jest Olga?—wyjąknął i utkwił wzrok we drzwi, jakby ona musiała lada chwila w nich się ukazać.

— Olga? — zapytała pani Hellinger, wzruszając ramionami — pewnie zaraz przyjdzie, cóż tak pilnego?

— Bogu dzięki! — zawołał i złożył ręce — a więc była już tu na dole?

— Nie, tu jeszcze nie była, — księżniczce podobało się dzisiaj trochę dłużéj pospać.

— Na Boga!—krzyknął—czy nikt jéj dziś nie widział? nikt się o nią nie dowiadywał?

— Doktorze, co tobie? — zapytał zaniepokojony teraz pan Hellinger.

Lekarz przypomniał sobie pewnie w téj chwili prośbę, jaką Olga kończyła swój list pożegnalny. Spostrzegł, że w ten sposób, dobre chęci stać się jéj posłusznym na nic się nie zdadzą, zdobył się więc na ostatnią, rozpaczliwą próbę.

— Co mi jest?—jąkał, śmiejąc się z przymusem,—nic mi nie jest, cóżby mi miało być? do kroćset!

Aż naraz, porzucając wszelkie udawanie, zawołał:

— Boże, Boże! dopuściłeś do tego, odsunęłeś od niéj twoją rękę!

Płacz go dławił, już chciał złamany upaść znów na krzesło, ale zebrał raz jeszcze wszystką energię i moc panowania nad sobą, wyprostował się i wyrzekł:

— Chodźmy do niéj, i—nie przestraszcie się... jakkolwiekbyśmy ją znaleźli...

Stary Hellinger zbladł, czcigodna jego małżonka zaczęła głośno płakać. Uczépiła się ramienia doktora i chciała koniecznie wiedzieć, co się stało, ale on nie rzekł już słowa.

Weszli we troje na schody, prowadzące na poddasze. W sieni zgromadzona służba przyglądała się im ciekawie zdziwionemi oczyma.

Przed drzwiami pokoiku Olgi panią Hellinger zdjęła straszna trwoga.

— Zapukaj, doktorze—załkała—ja nie mogę...

Starzec zapukał.

Nikt się nie odezwał.

Zapukał raz jeszcze i przyłożył ucho do dziurki od klucza.

I tym razem nikt się nie odezwał.

Pani Hellinger zaczęła głośno wołać:

— Olgo! moje drogie, kochane dziecko, otwórz! otwórz — to my, twoja ciotka, i wuj i drugi wuj, doktór; możesz śmiało otworzyć, otwórz, moja duszko!

Lekarz wziął za klamkę. Drzwi były na klucz zamknięte. Spojrzał przez dziurkę od klucza, była zasłonięta.

— Poślij po ślusarza, Adalbercie—wyrzekł.

— Nie!—zawołała pani Hellinger, pozbywając się naraz niepokoju i trwogi—na to nie pozwolę! tego nie ścierpię, byłoby to za wiele wstydu, nie przeżyłabym takiéj hańby!

Starzec spojrzał na nią z nieukrywanym wcale wyrazem pogardy i wstrętu. Mało ją to obeszło.

— Przecież ty mocny jesteś, Adalbercie—mówiła prędko — naciśnij drzwi, może ci się uda zamek wyłamać.

Pan Hellinger był nielada olbrzymem. Oparł się potężném ramieniem o drzwi i przy pierwszém naciśnięciu zatrzeszczały wszystkie spojenia.

— Tylko po cichu—przestrzegała żona — służące stoją w sieni. A nie pójdziecie do kuchni, próżniaki!—krzyknęła ze schodów.

Po drugiém naciśnięciu pękły cienkie drzwi. Przez szparę przedostało się dzienne światło na ciemny korytarz.

— Pozwól mi zobaczyć — przemówił stary lekarz, który, przygotowany na wszystko, oczekiwał już teraz najgorszego w spokoju.

Pan Hellinger nacisnął drzwi raz jeszcze. Przez szeroką szparę można było widzieć cały pokój.

Naprzeciw drzwi, niewiele kroków od okna, stało łóżko. Zwinięta kołdra tworzyła białą górę, z po za któréj widać było promień ciemnoblond włosów i rąbek czoła białego, jak pościel. Odkryte nogi oparły się jakby w kurczu o krawędź łóżka i—tak zastygły.

Na krześle, obok łóżka, leżało ubranie starannie ułożone. Suknia, spódniczka, pończochy—w największym porządku. Na dywaniku

stały pantofelki, odwrócone obcasami do łóżka, tak, aby przy wstaniu odrazu można było nogi w nie wsunąć.

Na marmurowéj płycie nocnego stolika, oparta o lampę, leżała otwarta książka, jak gdyby położoną tam była przed zgaszeniem lampy.

Ponad wszystkiém unosił się ów promienny, niezamącony, a bezświadomy spokój, goszczący w jasnych, dziewczęcych duszach.

Kto tutaj mieszkał, ten zasnął wczoraj z pacierzem na ustach, aby się dzisiaj z uśmiechem obudzić.

Po milczącém przyjrzeniu się, doktór odezwał się do starego przyjaciela:

— Sprobuj przełożyć rękę przez szparę, może dosięgniesz klucza. Olga z wewnątrz zamknęła.

Pani Hellinger przecisnęła się do drzwi i głośno zawodząc prosiła, żeby „duszka“ obudziła się i otworzyła sama.

Udało się nakoniec odsunąć ją i drzwi zostały otworzone. We troje podeszli do łóżka.

Z pościeli wyzierało ku nim marmurowo blade oblicze z nawpół otwartemi oczami i dziwnym uśmiechem na martwych ustach. Piękna głowa o klasycznych, czystych liniach, opuściła się nieco na lewe ramię, a rozpuszczone włosy spływały w bogatych, połyskliwych zwojach na wspaniałą pierś, wyłaniającą się z pod rozerwanego kaftanika. Biały guzik, wyrwany razem z kawałkiem płótna, który się jeszcze na niteczce trzymał, był jedynym znakiem, że sen poprzedziło silne wstrząśnienie.

— Duszko, ty śpisz, prawda? powiédz, że ty śpisz! — lamentowała pani Hellinger—przecież ty twojéj ciotce nie zrobisz tego wstydu, twojéj ciotce, która cię strzegła i wychowała jak rodzone dziecko...—szarpała przytém silnie zwieszoną, matowo-białą rękę.

Stary Hellinger zakrył twarz obiema rękami i płakał.

Lekarz nie miał czasu na żale i lamenty. Wydobył z kieszeni pudełko z narzędziami, odsunął, wcale nie uprzejmym ruchem, panią Hellinger, a nachyliwszy się nad zastygłą piersią, szybko oswobodził ją zupełnie z osłony.

Kiedy się podniósł, oblicze jego było śmiertelnie blade.

— Jeszcze jedna, ostatnia próba... — wyszeptał i zrobił szybkie, skośne cięcie na przedramieniu, gdzie przez śnieżnie białe ciało przeświecała arterya niebieskawą wstęgą.

Ranka otworzyła się, ale się krwią nie wypełniła, dopiéro po kilku sekundach wydobyło się z niéj kilka gęstych, czarnych kropel.

Starzec rzucił błyszczący nożyk daleko od siebie, złożył ręce i— ze łzami a łkaniem walcząc, zmówił: „Ojcze nasz“.

III.

W południe tegoż samego dnia, przez pole, które się na mil kilka na północ od Gromowa ciągnęło, jechał w kierunku miasteczka, lekki jednokonny powozik.

Gęste, ciężkie, a tak nisko płynące, iż zdawało się, że je ręką dosięgniesz,—tłoczyły się chmury nad płaską ziemią.

Tu i tam wierzby wyciągały sękate odrośle, przesiąkłe wilgocią i błyszczące od kropli, które w długich szeregach obsiadły nagie gałęzie.

Głęboko grzęzły koła w bagnistéj drodze, woda często pryskała aż do wnętrza powozu.

Powożący mało troszczył się o otaczający go krajobraz, zatopiony w myślach, budził się z nich tylko na chwilę, gdy lejce wyślizgiwały się z jego opieszałych palców. Wtedy wyprostowywała się jego herkulesowa postać, szeroka, wydatna pierś rozszerzała się, zdawało się, że rozsadzi obciskający ją gruby, szary płaszcz.

Wzrostem dorównywał, a nawet przewyższał starego Hellingera—rysy nosiły znamię rodzinnego podobieństwa; ale to, co u tamtego pozostało pięknem aż do późnego wieku, lecz miękkiem i jakby ospałém,—u tego imponowało surową siłą, nosiło ślady uporu i walk ciężkich. Kędzierzawa, niezbyt wypieszczona, ciemno-blond broda okalała ogorzałe oblicze.

Był to Robert Hellinger, właściciel dóbr Gromowo, narzeczony Olgi.

Szczęście, jakie go wczoraj spotkało, nie zapisało się na jego obliczu. Szare oczy patrzyły ponuro w dal, a głęboka bruzda pomiędzy brwiami nie znikała ani na chwilę. Wiedział on dobrze, jaka go jeszcze walka czeka, zanim narzeczoną do domu powiedzie, stały przed nim godziny przykrych przejść, a nawet zwycięstwo przyniesie mu nowe troski i nową biédę. Widział oczyma duszy ciężkie czasy, jakie już przeżył, a które zaledwie niekiedy jaśniejszy promyk oświecał.

Sześć lat minęło, jak ojciec jemu—jako najstarszemu—uroczyście oddał dziedziczne dobra, usunąwszy się do miasteczka, żeby tam, na starość, spokojne wieść życie. Od tego dnia zaczęły się dla Roberta kłopoty i udręczenia; narzucono mu ciężkie jarzmo, tak ciężkie, że nawet jego olbrzymie barki groziły załamaniem.

Wszystko, co wypracował, wyzyskał własnemi rękami,—wszystko, co sobie samemu od ust odejmował, wszystko to pochłaniały, pożérały pretensye rodziny. Skarżyć się nie mógł. Dziedzictwo było prawnie, jaknajskrupulatniéj podzielone pomiędzy niego i sześcioro młodszego rodzeństwa, nie licząc cząstki przynależnéj rodzicom.

Każda cegiełka domu, każda piędź ziemi, była obdłużona, na każdym dojrzewającym kłosie czuwało podejrzliwe oko matki, pilnującéj surowo, żeby ani na minutę jedną nie zaległy procenty. A czyż nie miała do tego prawa? czyż mógł wymagać, żeby jego kochała więcéj, niż inne dzieci? Miał braci, marzących o karyerze, siostry, które bez posagów nie byłyby za mąż wyszły, wszyscy oni patrzyli na niego z obawą i chciwością, jako na pana ich szczęścia i bytu!

Procenta! był to okrzyk trwogi, który spędzał sen z jego powiek, a noce jego napełniał przykremi obrazami.

Procenta! Ileż razy głuchy i niemy pędził przez gliniaste pola, żeby uciec przed rojem tych prześladujących go demonów! Ileż razy w napadzie nieokiełznanéj złości gruchotał w żelaznéj pięści pługi, dyszle, jakby tą bronią chciał goniące go widma odstraszyć! Ale one go nie puszczały, poprostu przylepiały się do niego, lgnęły i coraz chciwiéj piły jego żywotne siły, wysysały jego myśli.

I cóż pomogło, jeżeli udało mu się raz i drugi to złe zażegnać? Téj hydrze wyrastały coraz nowe głowy, z każdym kwartałem stawała się straszniejszą, potężniała, rozrastała się w jego oczach, gotowa rzucić się na niego i zmiażdżyć go swoim ogromem.

I tak od jednéj zwłoki do drugiéj wlokło się jego życie od owego dnia, obchodzonego i oblewanego tak wesoło pod „Czarnym orłem.“

Żeby téż choć matka ulżyła mu czémkolwiek! Ale ona, już zawczasu na wiosnę, zastrzegała dla siebie najpierwsze szparagi, i nie odmówiła sobie nigdy karety czy powozu na spacer, choćby podczas żniw, kiedy konie tak bardzo potrzebne są w polu.

— Kto nie słucha dobréj rady — ten cierpiéć musi, miała zwyczaj mówić. A on nie słuchał, wcale nie słuchał. Jednem, krótkiém: tak, mógł sobie okupić spokój do grobu, koniec położyć wszystkim troskom; a że przez głupi, niezrozumiały upór nie chciał, że wszystkie zabiegi o bogatą narzeczoną daremnemi pozostały — tego matka nie mogła przebaczyć mu nigdy.

Tak przeszły dwa lata. Widział jasno, że go takie życie prędzéj czy późniéj zamęczy. Postanowił więc i on sięgnąć po odrobinę szczęścia, zażądać od losu skromnéj jego cząstki, a śmiało się ono do

niego przez dwoje niebieskich, łagodnych ocząt, obiecywały mu je blade, ciche usteczka.

I przyszedł dzień, w którym ukochaną swoich młodych dni, osieroconą teraz i bezdomną, jako żonę przyprowadził do swego ogniska.

Był to smutny, mglisty dzień listopadowy. Szare obłoki sunęły po niebie, jak zwiastuny nieszczęścia. Wylękła, blada, w żałobnéj sukience, tuliła się do jego ramienia, wątła jéj postać drżała pod każdém litościowém lub pogardliwém spojrzeniem, jakiemi obrzucali ją obcy ludzie.

Matka przyjęła ją wyrzutami i złorzeczeniem i długie lata przeszły, zanim doszło do znośnego pomiędzy niemi stosunku.

Marta trzymała się dzielnie, pomimo słabego zdrowia pracowała od rana do nocy. Usiłowała do ładu doprowadzić to, co przez czas kawalerskiego gospodarstwa z ładu było wyszło.

I kiedy, po trzech latach cichego, pełnego trosk pożycia, niebo obiecywało pobłogosławić ich związek, pomimo że stan jéj wymagał największego oszczędzania się i pieczy, Marta przez dzień cały była na nogach: skrzętna, czynna w kuchni, w spiżarni i w piwnicy, jakby chciała pracą brak posagu zastąpić.

Potém, we dwa dni po przyjściu na świat dziecka, przybyła nagle Olga do Gromowa. Robert nie widział jéj od dnia swego ślubu. Aż się jéj przestraszył przy pierwszém na nią spojrzeniu, wydała mu się taka dumna, surowa, taka zamknięta w sobie i taką królewską pięknością zakwitła.

I ta kobiéta miała teraz jego żoną zostać! Ach, jakiż świat cierpień, ileż dni, pełnych tłumionéj rozpaczy, ileż nocy pełnych najstraszniejszych widzeń, leżało pomiędzy dzisiejszym a owym dniem!

Wstrząsnął się, nie chciał o tém dłużéj myśléć. Dziś wszystko na dobre się zmieniło. Świetlany obraz Marty uśmiechał się do niego ze spokojem i błogosławieństwem, i jakby kwiat wyrosły na jéj grobie, rozkwitało jego nowe szczęście.

Coraz bardziéj przybliżały się wieże miasteczka, coraz wyżéj wysuwały się z po za olszowych gajów. W kwadrans późniéj turkotał powóz po grubym bruku ulicy.

Zaraz przy wjeździe Robert spostrzegł, że dzisiaj ludzie jakoś dziwnie zachowują się względem niego. Jedni ustępowali mu z drogi, drudzy, z pomieszaniem unosili czapki i jaknajprędzéj uciekali przed nim. W każdym domu, mimo którego przejeżdżał, do drzwi i okien

tłoczyły się głowy, przyglądające mu się ciekawie, na jego zaś ukłon znikały za firankami, jakby przestraszone.

Poruszył głową ze ździwieniem, ale ponieważ myśli jego przepełnione były czekającą go przeprawą z rodzicami, nie wiele więc zwracał uwagi na zachowywanie się mieszkańców miasteczka — i nie patrzył już na prawo, ni lewo.

Przy rogu rynku stała stara gospodyni, pani Liebetreu. Ręce schowała pod niebieski fartuch i patrzyła w niego z taką miną, jakby na pogrzéb zapraszać miała.

Kiedy powóz się zbliżył, dała znak, by się zatrzymał.

— Dzień dobry, pani Liebetreu! — zawołał Robert wesoło — przynajmniéj pani jedna nie uciekasz dziś przedemną!

Stara podniosła oczy w niebo, żeby na Roberta nie patrzéć.

— Ach, paniczu — przemówiła (dla odróżnienia go od ojca, nazywała zawsze Roberta paniczem, choć już dawno trzydziestkę po za sobą zostawił)—pan doktór kazał pięknie prosić, żeby panicz najprzód do niego wstąpił; ma paniczowi coś powiedziéć...

— Czy to coś bardzo pilnego?

Kobiecina przestraszyła się, zlękła się, aby właśnie na nią nie spadło zadanie zwiastowania nieszczęścia.

— Ach, mój Boże—jąkała—panu się tak zdaje...

— No, to proszę pokłonić się pięknie wujowi odemnie i oznajmić, że wprzódy jeszcze mam do powiedzenia słówko rodzicom,—zaraz potém będę u niego.

Stara coś odmruknęła, słowa uwięzły jéj w gardle.

Powozik potoczył się szybko ku willi państwa Hellinger, ukrytéj jak pod zieloném sklepieniem, pod rozłożystemi, staremi lipami. Wesoło śmiały się do Roberta czyste, lustrzane szyby, — dachówki lśniły się w słońcu. Uwiązał konia u furtki, wiodącéj do ogródka i ciężkim krokiem wszedł na stopnie, prowadzące do przedsionka. Przy wejściu, w szerokich urnach na wpół zgniłe astry zwieszały smutnie głowy.

Dzwonek w sieni rozległ się ostrym dźwiękiem, ale nikt się nie ukazał, aby gościa przyjąć.

Robert sam drzwi otworzył, — w przedpokoju zrzucił od deszczu przemokły płaszcz na jedną z dębowych skrzyń, w któréj złożone były matczyne skarby płótna i wszedł do bawialni — była pusta.

— Starzy pewnie odprawiają popołudniową drzémkę — pomyślał—należy im pozwolić wyspać się dzisiaj.

Rzucił się w róg kanapy i patrzył na drzwi, — spodziéwał się,

że Olga spostrzeże jego zaprzęg w podwórzu i zejdzie, aby rękę mu uścisnąć.

Zaczynał się niecierpliwić. Czyżby na wieś pojechała? przecież wiedziała, że on przyjedzie i że się ma z rodzicami rozmówić.

— Zapukam do drzwi—postanowił w końcu i wstał.

Uśmiechnął się i wyprostował potężną postać. Od wczorajszego wieczora tak bardzo tęsknił, a teraz, w chwili, kiedy ją miał znów zobaczyć, stanąć przed jéj obliczem, dziwny jakiś niepokój nim owładnął. Pełna pokory nieśmiałość, która go zawsze w obecności Olgi opanowywała, i teraz się budziła. Czyż to podobna, żeby ta kobiéta wczoraj na jego szyi zawisła? A jeżeli, jeżeli—ona dziś tego żałuje, jeżeli mu dzisiaj zwróci jego słowo?

Ale w téjże chwili zbudziła się cała energia jego upartéj, śmiałéj natury. Wyciągnął ramiona i zapatrzony w obraz szczęścia, który z najmłodszych, promiennych wspomnień, śmiał się do niego, zawołał:

— Niech jeno sprobuje! temi rękoma porwę ją i uniosę do mojego domu! Jeżeli ona „tak“ wyrzekła, chciałbym widzieć tę siłę, która poważyłaby się mieć coś przeciwko temu!

Na palcach, żeby rodziców nie zbudzić, wstępował po schodach, które pomimo to trzeszczały pod jego ciężarem.

Przed drzwiami pokoju Olgi stanął zdumiony, bo zobaczył światło, przedostające się na korytarz przez pęknięte drzwi.

I tu na jego pukanie nikt nie odpowiedział, — nie zważając jednak na to, wszedł.

W chwilę późniéj cały dom zatrząsł się w posadach,—rzekłbyś, dach runął.

Państwo Hellinger, którzy schronili się do sypialnego pokoju, aby po strasznych wrażeniach odpocząć i siły pokrzepić, porwali się wylękli z miejsca.

Zaczęli wołać na dziewczęta. Ale te wybiegły z domu, w obawie, by nowina o smutném zdarzeniu nie zadługo pozostała ukrytą.

— Idź ty na górę — odezwała się rezolutna pani do swego małżonka, sięgając po flaszeczkę z trzeźwiącemi kroplami.

Pierwszy raz w życiu bała się.

Kiedy nareszcie stary Hellinger wszedł do pokoju na poddaszu, zobaczył obraz, który mu krew lodem w żyłach ściął.

Ciało syna jego leżało wyciągnięte na podłodze. Padając, musiał schwycić za brzegi mar, na których złożono zmarłą i pociągnął

za sobą całe nosze. Na jego piersi, pomiędzy strzaskanemi deskami, leżał trup w długiéj białéj szacie, zastygła twarz spoczywała na jego twarzy, a obnażone ręce przerzucone były przez jego głowę.

W téj chwili ocknął się z omdlenia i chciał powstać, głowa umarłéj osunęła się i uderzyła o deski.

— Robercie, moje dziecko! — krzyknął stary, rzucając się ku niemu.

Ten patrzył w koło siebie szeroko rozwartemi, szklanemi oczami, widocznie, przytomność jeszcze mu nie wróciła.

Naraz spostrzegł jedną z rąk, która, przy osunięciu się ciała, pozostała przez jego pierś przełożoną, — po téj ręce wzrok jego sunął, daléj, do ramienia, do szyi—i aż do białego, nieruchomo uśmiechającego się oblicza.

Wsparty na obu rękach ojca powstał. Chwiał się na nogach, jakby ugodzony obuchem.

— Boże! ależ dziecko przyjdźże do siebie! — wołał stary, chwytając syna za ramię. — Stało się nieszczęście, to prawda, ale przecież jesteśmy mężczyźni, musimy panować nad sobą!

Robert spojrzał na ojca, jakby go nie rozumiał,—bezradnie, jak dziecko. Potém schylił się nad umarłą, podniósł ją, położył na łóżku, szczątki mar nogami na stronę odrzucił.

Usiadł przy niéj na poduszce i promień rozrzuconych włosów obwijał bezmyślnie na palcu.

Stary zaczął się obawiać o rozum syna.

— Robercie, — przekładał — chodź stąd, ty jéj i tak już nie wskrzesisz...

Robert roześmiał się teraz jakimś strasznym, przeraźliwym śmiechem; osłupienie zniknęło odrazu, podniósł się żywo, oczy gorzały mu ponuro, na skroniach wystąpiły grube żyły.

— Gdzie matka?—krzyknął.

— Ależ, na Boga! bądźże cierpliwym—uspakajał ojciec—poczekaj, opowiemy ci wszystko...

Pani Hellinger, która już oddawna podsłuchiwała na schodach, wychyliła właśnie w téj chwili głowę przeze drzwi. Robert poskoczył ku niéj, jakby ją chciał za gardło pochwycić. Ale miał jeszcze tyle rozwagi, że spostrzegł w porę potworność swego zamysłu; ręce opadły mu bezsilne, dusił się, hamowane uniesienie dławiło go.

— Matko—przemówił—musisz mi zdać rachunek, od ciebie żądam odpowiedzi, d l a c z e g o ona umarła?

Stara zbliżyła się z pieszczotą i ubolewaniem i miała minę, jakby chciała z płaczem rzucić się synowi na szyję.

Szorstkim ruchem odsunął ją.

— Zostaw to, matko. Żądam od ciebie odpowiedzi.

— Ależ, Robercie—zajęczała stara — czyż to tak syn obchodzi się z matką? Adalbercie, powiédzże mu, jak on się ma z matką obchodzić.

Robert ujął obie ręce ojca.

— Zostaw to, ojcze—powiedział.—Rachunek, którego od matki żądam, mnie i ją tylko obchodzi. Matko — pytam raz jeszcze: dla c z e g o ona umarła?

Oparł się o ścianę i wpatrywał się w matkę krwią nabiegłemi oczyma.

Pani Hellinger zaczęła płakać.

— Czyż ja wiem?—łkała — czyż ktokolwiek wié? Znaleźliśmy ją w łóżku nieżywą—oto wszystko. Hańbę wniosła do mojego domu! nieszczęsna, dzięki...

— Nie znieważaj jéj, matko!—przerwał, dziki gniéw hamując— wiész dobrze, że ona była moją narzeczoną!

Stara wydała okrzyk zdziwienia, mąż jéj ruchem zaznaczył téż zdumienie.

— Jakto, ty nie wiész tego, matko? — Robert przycisnął obie ręce do skroni—ona nie powiedziała ci o tém? nie przyszła do ciebie wczoraj wieczorem i nie opowiedziała ci, co pomiędzy nią i mną w dzień zaszło?

— Broń Boże!—jęknęła stara—zaledwie słowo do mnie przemówiła, zamknęła się w swoim pokoju...

— Matko—rzekł i blisko przystąpił do niéj — gdy ci wszystko opowiedziała, nie przemawiałaś wtedy do jéj sumienia? nie prawiłaś jéj, że jeżeli mnie naprawdę kocha, to powinna się mnie wyrzec, bo stanie się mojém nieszczęściem, i Bóg wié, co tam jeszcze! Matko! tyś tego nie mówiła?

— Mój rodzony syn mi nie wierzy! mój rodzony syn oskarża mnie!—wyrzekała stara—oto jest wdzięczność, jaką się dziś od własnych dzieci zbiéra!

Uchwycił jéj prawą rękę.

— Matko — mówił z dziwnym spokojem — wieleś mi cierpień wyrządziła przez ostatnie lata. Wszystko, co najgorsze, najbardziéj przykre, spotykało mnie od ciebie...

— Miłosierny Jezu! — zaskrzeczała stara — oto podziękowanie, oto podziękowanie...

— Ale wszystko złe, coś mnie i Marcie wyrządziła, przebaczę ci, matko—ciągnął daléj — tak, więcéj jeszcze! na kolanach cię prze-

proszę, żem kiedykolwiek z goryczą o tobie myślał, — ale... tu, przy jéj trupie, musisz przysiądz, żeś o niczém nie wiedziała, żeś przed chwilą mówiła prawdę...

I ciągnął ją do zmarłéj, któréj oblicze wciąż się uśmiechało, narzeczona śmiała się do narzeczonego...

— Więc aż to potrzebne pomiędzy nami, — pani Hellinger z gorzkim wyrzutem i gniewem spojrzała na syna zapuchniętemi oczami.

Pozwoliła jednak, że jéj prawą rękę położył na czole umarłéj. Pogłaskała je i zaszlochała: „Przysięgam. Duszko, przecież ty wiész najlepiéj, żem o niczém nie wiedziała i nic złego nie żądałam od ciebie...“

Poczém westchnęła z ulgą, jakby nagle przejrzała, ile przez ten smutny wypadek zyskała cała jéj rodzina. Niekłamana wdzięczność leżała w czułém pogłaskaniu, którém dotknęła oblicza zmarłéj.

W téj chwili wpadł do pokoju stary lekarz. Chciał po Roberta wstąpić, przygotować go... przerażony zobaczył, że przybył za późno.

Pan Hellinger pośpieszył ku niemu i szepnął mu do ucha:

— Wyprowadź go stąd—szaleje! nie wiemy, co z nim począć.

Robert stał teraz bez ruchu i głosu, ręce wpił w poręcz od łóżka, oczy miał suche, jak skamieniałe z bólu było jego oblicze.

Doktór oparł ostrą brodę na jego ramieniu i mruknął w ten szorstko pocieszający spósób, który ludziom silnym najbardziéj do serca przemawia:

— Chodź stąd chłopcze, nie rób głupstw, nie mąć jéj spokoju.

Robert wstrząsnął się i kiwnął parę razy głową.

Aż nagle, jakby pokonany bólem, upadł przy łóżku z krzykiem:

— Dlaczegoś ty umarła?!

IV.

Dlaczego ona umarła?

Od dwóch dni to jedno pytanie zajmowało wyłącznie całe miasto. Na ulicy, przy stoliku w cukierni, na ławce w piwiarni — o niczém więcéj nie mówiono. Prześcigano się w najśmielszych przypuszczeniach, zestawiano najzawilszy zbieg okoliczności, i — ani na włos nie był nikt mądrzejszy.

Jedni mówili o nieszczęśliwéj, drudzy o nazbyt szczęśliwéj mi-

łości, inni mieli podobno już oddawna przewidywać, że Olgę zły koniec spotka.

Za życia jeszcze, dumna, smętna, milcząca jéj postać była dla poczciwych mieszczuchów prawdziwą zagadką, śmiercią swoją zadała im jeszcze trudniejszą do rozwiązania. To było nie do darowania.

Tymczasem dowiedzieli się, że stary lekarz był pierwszym, który o samobójstwie został zawiadomiony — i jedynym, któremu młoda dziewczyna sama zwierzyła się ze swego zamiaru.

Tłoczono się do niego, oblegano prawie jego dom, — milczał jednak uparcie. Szorstko, jak tylko on jeden umiał, usuwał z drogi natrętnych. List Olgi spalił jeszcze tegoż dnia, bał się, by sąd miejscowy nie zażądał go od niego. Zresztą, przyczyna śmierci była tak jasna, że nawet można było uniknąć sekcyi. Jak było do przewidzenia, nie udało się zmarłéj zatrzéć śladów swego czynu. Na dnie szklanki, stojącéj na nocnym stoliku, pozostało kilka kropel płynu, którego smak jasno otrucia morfiną dowodził. Istotę czynu potwierdzały jeszcze znalezione w ogrodzie, pomiędzy krzakami głogu, szczątki flaszeczek, w szyjkach których resztki trucizny osiadły w postaci białych kryształków. Oczywiście, były one przez okno wyrzucone,—przy nich znaleziono téż recepty, na których data i sposób użycia wypisanemi były.

Rzeczy tak stały, że poprostu szaleństwem byłoby ze strony lekarza, gdyby usiłował zatrzéć zamiar samobójstwa. Niemniéj przecież trapił się srodze wyrzutem, że ostatniego życzenia umierającéj wypełnić nie był w stanie — i przyrzekł sobie święcie tém wierniéj dochować tajemnicy, która pokrywała przyczynę nieszczęsnego czynu.

Gdyby przynajmniéj on sam mógł dojść do jéj wyjaśnienia! Dni mijały, a jemu nie udawało się do rąk dostać owego zapisu, pozostawionego mu przez Olgę.

Pani Hellinger nie dowierzała mu, mówiła mu w oczy otwarcie, że on zawsze miewał jakieś zmowy z nieboszką; za jego zaś plecami dodawała, że gdyby był nierozsądnie nie zapisywał tak silnéj dozy morfiny, biédna Olga byłaby jeszcze długo w szczęściu i spokoju żyła. Brakowało niewiele, by staremu przyjacielowi domu przypisała całą winę samobójstwa siostrzenicy.

W każdym razie nie mogła ścierpiéć, by choć na sekundę pozostał sam w pokoju na poddaszu. Drzwi były zawsze troskliwie zamknięte, — tłómaczyła, że nie mogłaby znieść, aby pozostałość

po zmarłéj, którą ona za świętość uważa, profanowały obce oczy, lub ręce.

Z każdą godziną rosło niebezpieczeństwo, że niebieski kajet wpadnie w ręce pani Hellinger. Niech tylko, pewnego pięknego dnia poweźmie ochotę przejrzenia książek na pułce, a nieszczęście gotowe.

Do tego niepokoju przyłączyła się jeszcze wzrastająca troska o Roberta, który od owéj strasznéj godziny popadł w ponure, rozpaczliwe osłupienie.

Zdawało się, że zupełnie mowę utracił, nie znosił przytém nikogo przy sobie i nawet jemu, staremu przyjacielowi, milcząco i trwożliwie z drogi się usuwał. Przez dzień cały błąkał się po polach, w nocy siedział przy łóżeczku dziecka i wpatrywał się w nie bezprzytomnie zaczerwienionemi oczyma.

Tak opowiadali słudzy, którzy niejednokrotnie rano w pokoju malca go znaleźli.

V.

Świece się wypaliły przy trumnie Olgi. Goście, którzy już dość długo, w uroczystém milczeniu, stali wokoło katafalka, zaczęli się poruszać i za jadalnią oglądać.

Pani Hellinger przyjmowała kondolencye. Nie żałując łez i białéj chustki, podnosiła cnoty umarłéj a przy całéj swéj boleści okazała się nader zabiegliwą, skrzętną gospodynią. Goście głęboko odetchnęli, gdy się drzwi jadalni otworzyły, a z obficie zastawionego stołu wzniósł się ku nim zapach przeróżnych pieczeni, kompotów i śledziowéj sałaty.

Pan Hellinger pochwalił Pana i zapijał z wybranymi przyjaciołmi doskonałe czerwone wino, poświęcone uroczystości tego wieczoru. Zaproszeni nie byli jeszcze jednozgodni co do kwestyi: czy niewinna gra w bostona nie uwłaczałaby ogólnéj żałobie, — postanowiono w końcu wysłać delegata do gospodyni, aby raczyła udzielić pozwolenia.

Życie i ruch panowały w domu Hellingerów, iście jak na weselu.

Stary lekarz późno już bardzo wpadł pomiędzy to wesołe grono i z niepokojem szukał Roberta. Nigdzie nie mógł go znaleść.

Wziął jednego z gości na stronę, aby go o nieszczęśliwego wypytać. Tak—był, dziwnie wylękłemi oczyma spoglądał wokoło i mil-

cząc usuwał się na stronę, jeżeli kto rękę do niego wyciągnął. Ale już po kilku minutach spostrzeżono jego zniknięcie.

Doktor wyszedł do sieni i szukał pomiędzy okryciami zebranych płaszcza Roberta. Leżał tu porzucony. Ze swobodą starego przyjaciela domu, udał się na poszukiwania w drugiéj części domostwa. Ta była teraz cicha, spokojna, bo i służba była podawaniem uczty zajęta.

W ciasnéj, ciemnéj komorze, gdzie niepotrzebne sprzęty, jedne na drugich się piętrzyły, znalazł starzec Roberta, siedzącego na przewróconéj skrzyni, z głową ujętą w obie ręce i dziko patrzącego przed siebie.

— Robercie, chłopcze mój drogi! co ty tu robisz? — zawołał do niego.

Robert powoli podniósł głowę i zamiast odpowiedzi, rzekł:

— Jakoś wesoło bawicie się tam na dole.

Lekarz położył ręce na jego ramionach.

— Boję się o ciebie, chłopcze. Od trzech dni słowa nie przemówiłeś do nikogo... jesteś na drodze do utraty zmysłów...

— Cóż chcesz, wuju? — odrzekł Robert, a westchnienie podobne do bolesnego krzyku wydobyło się z jego piersi. — Jestem spokojny, zupełnie spokojny.

I znów obie ręce zatopił w gęstéj czuprynie i do poprzedniego milczenia powrócił.

Stary usiadł przy nim i zaczął do jego rozsądku przemawiać. Nie zapomniał o niczém, co się zwykle w takich razach mówi, dodając do tego niejedno dosadne a krzepiące słowo.

Robert siedział bez ruchu, zaledwie od czasu do czasu dawał znak jakiegoś zajęcia, ale gdy starzec nie myślał wcale kończyć, przerwał mu z pewną niecierpliwością:

— Zostaw to wuju. To są cukierki dla małych dzieci. Na jedyne pytanie, od którego moje życie zawisło i ty nie możesz mi dać żadnéj odpowiedzi.

— Na jakie pytanie?

— Wuju, widzisz, jestem teraz spokojny... Nie mówię ani pod wpływem gorączki, ani téż nie jestem szalony, uwierzysz mi więc, gdy ci powiem, że nie wiem, czy ja tę noc przeżyję...

— Na miłość Boga! co zamierzasz?

Robert wzruszył ramionami.

— Nie wiem — odpowiedział — co mi w danéj chwili do głowy przyjdzie, tego się chwycę. Żal mi jeno mojego robaczka, który bez

ojca będzie żyć daléj, może wezmę go z sobą w drogę, nie wiem. Wiem tylko jedno: dłużéj tak nie wytrzymam!

Stary drżąc na całém ciele, zarzucał go wyrzutami. Toć to byłoby tchórzostwem, słabością, godną jedynie nędznéj, marnéj natury.

Spokojnie słuchał go Robert.

— Miałbyś słuszność, wuju — rzekł — gdyby to jéj śmierć sama pogrążała mnie w takiéj rozpaczy, gdyby mnie tak o to moje utracone szczęście chodziło. Ale, miły Boże! — rozśmiał się z goryczą — praw do szczęścia już dawno jam się przecież wyrzekł. Byłbym nosił ciężką po niéj żałobę, znam i to, i byłbym daléj pchał to nędzne życie, i byłbym pieniądze pazurami chwytał, jak to już oddawna robię, jakem to w największych cierpieniach robić musiał; bo wiesz, procenta nie kłopoczą się o to, jak tam u kogo w głowie i w sercu, i czy mu ręce nie ustają z bólu i z wyczerpania, te muszą być zapłacone! Ale to nie to wuju, tak mi w mózgu wierci, ach, tak nieraz wierci, że aż iskry sypią się przed memi oczami, ciało moje drży, a krew jak ogień płynie w moich żyłach. A przecież jestem zupełnie spokojny i widzę jasno, jakbym poprzez wszystko mógł patrzéć. Tylko jednego nie mogę zrozumiéć, objąć, a to jedno, jak straszne widmo stoi przedemną we dnie i w nocy, a kiedy to chcę pochwycić, wymyka mi się jak cień, to jedno... to jedno: dlaczego ona umarła?

Wstrząsnął się starzec, przypomniał sobie list i przyrzeczenie, którego Olga żądała od niego.

Robert ciągnął daléj:

— I jest głos, który mi ciągle szepce do ucha: tyś temu winien! Jak? tego nie wiem, bo choć szukam, aż do głębi mojéj duszy nie znajduję najmniejszego przeciw Oldze wykroczenia, a jednak nie mogę uciszyć tego głosu... mówię sobie: to mania, przywidzenie, powtarzam, że sam się zamęczam, że głupcem jestem i występnym, występnym względem mego dziecka; ale wuju, to nic nie pomaga, głos się nie ucisza! Bo powiédz sam, czy gdyby nie ja, Olga nie żyłaby dotąd? tak, gdyby się to nie było stało, co w przeddzień wieczorem...

Wzdrygnął się cały i przerwał, zakrywając twarz rękami, łkanie bez łez wstrząsało nim, po chwili znów zaczął:

— Wuju, ja nie powinienem, nie mogę o tém myśléć; czuję, że tracę zmysły... chciałbym wszystko wokoło siebie połamać, podruzgotać...

— A jednak musisz zapanować nad sobą, chłopcze i opowiedzieć mi wszystko po kolei, bo tylko wtedy będziemy mogli znaleźć rozwiązanie téj okropnéj zagadki.

Milczenie zapanowało w ciemnéj komorze.

Starzec drżał całém ciałem, widział zarysy potężnéj postaci, odbijające się na słabo oświetloném oknie komory, widział podnoszącą się i opadającą ciężko pierś, w któréj jęczało jak w kraterze wulkanu, czuł na twarzy gorący oddech Roberta.

— Zapanuj nad sobą, chłopcze — powtórzył doktór cicho.

Robert walczył z jakiémś postanowieniem, poczém wyprostował się jakby nową zbudzony siłą i zaczął:

— Dobrze, wuju, będziesz wszystko wiedział.

Od dnia, kiedy tak zimno i dumnie odrzuciła moją prośbę, nie spotkałem jéj więcéj. Wprawdzie, tak po, jak i przedtém, przychodziła na wieś żeby dojrzéć gospodarstwa i dziecka, ale wiedziałem, że to dla Marty czyni, nie dla mnie. I było jakby ciche między nami porozumienie, żeśmy sobie wzajemnie z drogi schodzili. Ona wybiérała godziny, w których wiedziała że jestem w stajni lub stodole, ja nie wracałem wcześniéj do domu aż ją zobaczyłem w bramie, czekającą. We wtorek robota jakaś czekała mnie na folwarku. Jadę, gdy wtém, o pół mili, na złéj drodze, oś mi się złamała. Ponieważ nie wziąłem ze sobą furmana i nikogo nie dostrzegałem na prawo ni na lewo, wsiadłem więc na konia i pocwałowałem z powrotem, by sobie pomoc sprowadzić. Na podwórzu powiada mi rządca, że panienka poszła już do domu.

Zciemniło się znacznie.

— Kiedy jéj nie ma, to mogę wejść do siebie — myślę — i wchodzę.

W chwili, gdy otwiérałem drzwi bawialnego pokoju, spostrzegłem w zmierzchu czarny jakiś cień, śpiesznie się wymykający.

— Kto to może być? — myślę — i biegnę za nim.

W pokoju dziecka, znajduję ją, jak właśnie usiłuje z pośpiechem drzwi na korytarz otworzyć, wiész, te, co to z powodu cugów zawsze są zamknięte.

Zląkłem się i chcę się oddalić, ale nie mogę... jakby mi nogi wrosły w ziemię...

Kiedy mnie spostrzegła, zatrzymała się i jakby zawstydzona, zakryła twarz rękami.

Wtedy, wuju... chciałem się rzucić ku niéj, porwać ją... ale jeszcze w porę zastanowiłem się, kto ona jest i kto ja jestem...

Widzę jak jéj rączki drżą.

— Nie gniéwaj się na mnie, Olgo, — przemówiłem, z biédą głosu dobywając, — ja nie chciałem ci nic przykrego zrobić. Wypadkiem tutaj jestem... już nigdy więcéj mnie nie spotkasz...

Wtedy ona opuszcza ręce i patrzy tak na mnie, że mi gorąco i zimno robi się pod jéj wzrokiem.

— Marta nigdy tak na mnie nie patrzyła — myślę.

Chciałem coś mówić, ale byłem tak zmięszany, że słów znaleźć nie mogłem.

Ona przycisnęła wysoką swą postać do drzwi, jakby tam szukała obrony przedemną.

Czuję jéj szybki, gorący oddech... Nareszcie odważam się i...

— Olgo, — mówię — wiem, była to zuchwałość z mojéj strony, żem po ciebie wyciągnął rękę; wiem, nie jestem ciebie godzien, ale... proszę cię serdecznie, zapomnij... ja tobie tego nigdy, niczém nie przypomnę...

W téj chwili, wuju, jakżeż ja to opowiem?... pozwól chwilkę... to wspomnienie, ha, trudno! będę silny, wuju, będę panować nad sobą... otóż, w téj chwili rzuca mi się na szyję i okrywa moją twarz pocałunkami!.. i nagle z westchnieniem upada przedemną i leży przy moich nogach, jakby w nią piorun uderzył. Jak we śnie spoglądam na nią. Ależ to nie prawda! to szaleństwo! — myślę — jak do bóstwa, do niéj wyciągałeś ręce, a ona, tu, przy twoich nogach.

Nie śmiałem prawie dotnąć jéj, ale podnieść musiałem ją przecie. I kiedy ją tak trzymam w moich ramionach, zaczyna tak łkać i gorzko płakać, jakby duszę z siebie wypłakać chciała.

— Olgo, czemuż płaczesz? — pytam — wszak już dobrze będzie teraz wszystko. Ale i ja, ten olbrzym, beczę jak małe dziecko.

— Przebacz mi, Robercie — słyszę jéj głos przy mojém uchu — ciężko cię zmartwiłam, ale już nigdy, nigdy więcéj tego nie uczynię.

— I będziesz mnie odtąd kochać? — pytam.

— Och! ty, ty, — odpowiada — przecież ja ciebię kocham jak nikogo na świecie! i chowa twarz na mojéj piersi.

Wuju, słuchaj teraz daléj! Kiedy zobaczyłem tę cudną, lokami okrytą główkę, z takiém poddaniem spoczywającą na mojém ramieniu, powstaje we mnie pytanie: czy to ta sama Olga, która przed kilkoma dniami, blada i dumna, odwróciła się odemnie, gdym ją nieśmiało i pokornie prosił o przychylne słowo?

Więc mówię do niéj: Olgo, jak mogłaś mnie tak dręczyć, ja się zmieniłem przez ten krótki czas?

Patrzę, a ona blednie jak wapno na ścianie i słyszę znów jéj głos przy mém uchu:

— Nie pytaj mnie! na miłość Boga, nie pytaj!

We mnie budzi się obawa, że ją może jutro tak utracę, jak dziś pozyskałem.

— Olgo — powiadam — czyżeś ty tak zmienna w twoich postanowieniach, któż mnie zapewni...

Urywam, bo w jéj twarzy czytam coś, co mi milczenie nakazuje. Ona tymczasem wyrywa się z moich objęć i rzuca się na krzesło.

— Kiedy chcesz wiedziéć — mówi i patrzy przed siebie, ze ściągniętemi brwiami — oto, byłam nędzna, wątpiłam o tobie, o twojéj miłości... myślałam... że mi może dasz uczuć... że biédną mnie poślubiasz...

Kłamstwo jak płomień, rumieni jéj czoło.

— Olgo! — wołam — tyś mogła to o mnie myśléć? Czyż nie pamiętasz?

I przypomniałem jéj, jak kiedyś, na wsi, u jéj ojca, po przyjeździe w celu starania się o Martę, smutny, w przewidywaniu odmowy, szykowałem się do odjazdu, (Marta bowiem chciała poświęcić swoje szczęście, abym mógł bogatszą poślubić), i jak wtedy ona, Olga, wśród nocy do mnie przybiegła i mnie, ślepemu głupcowi oczy otwiérała i mówiła do mnie słowa pełne takiéj pogardy dla nędznych pieniędzy, że mnie jak zwycięska pieśń miłości w uszach brzmiały.

To jéj przypomniałem, bo niezapomniane pozostało każde jéj słowo, bo każde, zapisane było na dnie duszy mojéj.

— Wtedy więc, gdyś przemawiała za Martą — zawołałem — myślałaś tak odważnie i szlachetnie, a teraz, gdy o ciebie chodzi...

Spojrzałem na nią, usiłowała się uśmiechnąć, uśmiechnęła się téż i uśmiéchała ciągle, ale ten uśmiech skamieniał, z nim na ustach, zamknęła oczy i zemdlona, runęła jak pień.

Kosztowało mnie niemało trudu, zanim ją zdołałam do życia przywołać, nie chciałem nikogo na pomoc sprowadzać.

Pewnie tak z kwandrans leżała, a nie wiele różniła się od téj, jaka teraz tam leży... W końcu otworzyła oczy i długo, w milczeniu, patrzyła we mnie, a patrzyła z taką boleścią, z taką jakąś rozpaczą, że mnie niepokój i trwoga o nią zdjęły.

I złożyła ręce i mówiła do mnie cicho i błagalnie:

— Zostaw mi trochę czasu, Robercie, przeceniłam moje siły, muszę się przyzwyczaić...

Ale ja byłem taki przepełniony mojém szczęściem, taki niém

rozzuchwalony, iż myślałem, że i ją będę mógł gwałtem do szczęścia zmusić.

— Jeżeli się kochamy, Olgo, — zawołałem — to i na kogóż zważać będziemy? któżby mógł mieć coś przeciw temu? Bądź wesołą i odważną, dziecko moje kochane!

Wesołą jednak i odważną już nie była. I teraz dopiéro, kiedy jéj nie ma, widzę jasno jaka ona biédna i złamana leżała tam na poduszkach, ona zwykle tak dumna i surowa dla siebie i innych, leżała teraz pokorna, bezsilna, jakby jakiś ból straszny przeciął nagle nerw jéj życia. Dziś jest mi to wszystko jasne, wtedy nic nie widziałem, nie chciałem nic widziéć...

I daléj przemawiałem do niéj, przekonywająco jak mi się zdawało. Słuchała mnie, ale nie wyrzekła słówka, parę razy tylko kiwnęła głową i uśmiechnęła się... ach, jaki niewypowiedzianie smutny był ten jéj uśmiech...

Składałem to wszystko na gwałtowne wrażenie chwili i na tyle ciężkich zmartwień, przeżytych w ostatnich latach, które raz jeszcze zbudziły się w jéj duszy, może właśnie tém silniéj, gdy się ukazywał promyk nowego szczęścia, który je miał rozegnać...

— Pierwszą naszą wędrówką, Olgo — mówię — będzie wędrówka na cmentarz. Gdy połączymy nasze ręce nad grobem Marty, nie będziemy się już troszczyć o przeszkody ze strony matki i niechęć całego świata.

Odjęła ręce od twarzy, spojrzała na mnie wielkiemi, wylękłemi oczyma i zapytała bezdźwięcznie:

— Chcesz ze mną iść na cmentarz?

— Tak — odpowiedziałem — choćby zaraz.

Dreszcz wstrząsnął jéj ciałem i dziwnie ochrypłym głosem wymówiła:

— Bądź cierpliwym, do jutra, Robercie, jutro zrobię to, czego żądasz...

— Dobrze, moje drogie, kochane dziecko — odrzekłem — odpędź do jutra wszystkie przywidzenia... My przecież o niéj nie zapomnimy! Jéj obraz będzie zawsze ponad nami! Wierz mi, że z całego serca błogosławiłaby naszemu związkowi, gdyby z nieba na nas patrzéć mogła. Czyż nie pozostawiła nam w spuściźnie dziecka, abyśmy wspólnie nad niém czuwali i obcéj nie powierzali go opiece?

Upadła wtedy na kolana przed łóżeczkiem, w którém maleństwo spokojnie spało i przytuliła twarz do jego główki.

Długo tak pozostała, nie przeszkadzałem jéj...

Kiedy powstała, ten kamienny spokój, który tak dobrze pamiętasz i ty u niéj, leżał znów na jéj obliczu.

Podała mi rękę i rzekła:

— Odejdź mój drogi, zostaw mnie samą.

I odszedłem, bo chciałem odtąd spełniać każde jéj życzenie, nawet jéj nie uściskałem.

W kwandrans może późniéj widziałem ją przechodzącą przez podwórze. Czekałem przy oknie, ale się nie obejrzała.

Drugiego dnia, w południe, no — wiesz już, wuju...

Wuju, osiwiałbym, zestarzałbym się, radości nie zaznałbym już żadnéj, każdy uśmiéch zamarłby na moich ustach... żyć mógłbym jednak daléj, mógłbym to nędzne życie wlec i czuwać nad dzieckiem, aby jemu choć skromną cząstkę szczęścia zapewnić... ale... to jedno musiałbym wiedziéć, od tego strasznego szaleństwa musiałbym się oswobodzić, bo inaczéj... wuju... umrę... albo zmarnieję za życia... Musi ktoś przyjść, choćby z grobu przyjść musi... i musi mi powiedziéć: dlaczego ona umarła!?

I znowu zaległa cisza w ciemnéj komorze.

Starzec ciężko walczył z sobą.

Czyż miałby tajemnicę życia Olgi wydać tak, jak zdradził tajemnicę jéj śmierci? A czyż nie chodzi tu o spełnienie dobrodziejstwa, o wyswobodzenie od mąk piekielnych tego, którego ona ponad wszystko na ziemi kochała?

Cudem, zesłaniem Bożém, zdawało się doktorowi, że usta, na wieki już zamilkłe, raz jeszcze przemówią, aby ukochanemu spokój powrócić.

Starzec odetchnął głęboko. Powziął już postanowienie.

— A gdyby ona sama pomyślała o tém, Robercie — zapytał — żeby tobie, na twoje pytanie odpowiedziéć.

Rober z krzykiem schwycił starego za ręce.

— Co chcesz przez to powiedziéć wuju?

— Gdybyś się był jak kret nie zagrzebywał w twoim bólu i nie uciekał przed każdą ludzką twarzą, byłbyś oddawna wiedział, o czém już wróble na dachach śpiéwają, t. j. że ja, rano, w dzień jéj śmierci odebrałem list od niéj...

— Ty wuju, od niéj?

— Ależ chłopcze, pogruchoczesz mi kości, posłuchaj-że mnie spokojnie...

I doktór opowiedział jaki to list otrzymał.

Robert wstał, oczy jego, patrzące w starca, świeciły w ciemności.

— A kajet? daj, gdzie go masz?

Stary objaśnił go w jakiém niebezpieczeństwie znajduje się tajemnica Olgi.

— Czekaj, przyniosę! — zawołał Robert i chciał wyjść.

Lekarz zatrzymał go.

— Klucz jest u matki. Strzeż się, żeby nie powzięła podejrzenia.

— Drzwi są nawpół wyłamane, wyłamię je zupełnie.

— Usłyszą cię na dole.

— Bawią się tam zbyt dobrze — roześmiał się Robert z goryczą.

— Chodź, pójdziemy razem.

Przez tylne drzwi, wzdłuż ciemnego korytarza, po trzeszczących schodach, prześlizgnęli się obaj, jak złodzieje, którzy przychodzą skorzystać ze sposobności, jaką zwykle bywa każda uroczystość domowa.

Otworzenie drzwi udało im się łatwiej, niż przypuszczali.

Wzruszeni, przystanęli przy drzwiach. Pokój był lekko oświetlony światłem gwiaździstéj, jasnéj nocy. Wszystkie ślady śmierci były usunięte, tylko puste łóżko, którego ciemne poręcze odbijały od szaréj ściany, wskazywało, że mieszkanka jego inne łoże sobie obrała. Lekki zapach z jéj sukien i mydła, unosił się w powietrzu. Nawet ręczniki, któremi się obciérała, wisiały jeszcze na zwykłém miejscu, świecąc fantastycznie swą białością obok ciemnego, kaflanego pieca.

Robert, niezdolny na nogach się utrzymać, upadł na krzesło, głębokim, chciwym, do łkań podobnym oddechem, wciągał nieco duszne powietrze pokoju, jakby chciał ostatnie te ślady jéj życia wchłonąć w siebie.

Nagły, jasny błysk zamigotał w pokoju, przebiegł po ścianie, błąkał się po stoliku do pisania i wyłonił z ciemności toaletkę w białych osłonach, podobną do przyczajonego widma.

Doktór zapalił zapałkę i szukał małéj lampki, która zwykle przyświecała bezsennym nocom Olgi. Stała na nocnym stoliku, w tém samém miejscu, gdzie ją Olga zagasiła, aby się pogrążyć w noc wieczną.

Szklana bańka była prawie cała wypełniona naftą. Znać, młoda dziewczyna śpieszyła się do spoczynku.

Starzec podniósł ostrożnie zielony klosz i zapalił knot.

Przyjemne półświatło oświeciło teraz cichy pokoik.

Doktór przystąpił do półki z książkami, na której rzędem stały tomy z pozłacanemi brzegami. Ręka starca szukała krótką chwilę wzdłuż ściany i wyciągnęła do światła, niebieski jakiś zwitek.

— Jest, Robercie! — zawołał z tryumfem — chodźmy ztąd!

Robert potrząsnął głową, a gdy stary naglił, odpowiedział:

— Tutaj przeczytamy, wuju, tu, gdzie ona pisała.

— A jeżeli nas kto zejdzie? — przeląkł się stary.

Robert wzruszył ramionami i ruchem na dół wskazał.

Do cichego, oddzielonego pokoiku dochodził niekiedy stłumiony gwar głosów, czasem zmieszany z przyciszonym śmiechem, nie głośniejszym jak na przyzwoity dom, okryty żałobą, przystało.

Starzec ustąpił. Przysunęli tedy krzesła do światła lampy i po chwili słychać było monotonny, nieco chrapliwy głos czytającego, któremu wtórował przeciągły szum wiatru, kołyszącego bezlistne wierzchołki lip i od czasu do czasu wzmagający się, to znów ginący w szepcie chór żałobnego grona.

(*D. c. n.*) *Sudermann.*





FRYDERYK NIETZSCHE.

Studyum filozoficzne.

Ja! Ich weiss, woher ich stamme!
Ungesättigt gleich der Flamme
Glühe und verzehr' ich mich.
Licht wird Alles, was ich fasse,
Kohle Alles, was ich lasse:
Flamme bin ich sicherlich.
Nietzsche [1]).

Na smutne powieki Geniusza spuścił Sen ciężką, ołowianą chmurę. I Geniusz zasnął.

Zobaczył się nagle w wielkiéj, głębokiéj dolinie. Nad nim było szare niebo, pod nim ziemia-szara, z prawa i z lewa napływały ciemne smugi powietrzne, ciągnąc przez pustą przestrzeń niby wiatrem niesione kwefy żałobne, opowiadając sobie coś cichym, jękliwym szeptem, pewnie skargi jakieś, które nigdy po za ściany doliny téj wyjść nie miały. Zwolna ściany skał jęły się rozwierać: ze szczelin i z wgłębień poczęły się wysuwać ciemne, wychudłe postacie; ramiona ich były pokryte workami, w ręce każda z nich niosła dzban z popiołem... Wyrastały ze skalistych ścian tak licznie, że zdawało się, iż nawet ta niezmierzona dolina pomieścić ich nie będzie w stanie. Z pod ziemi ozwał się dzwon, w dolinie rozległ się śpiew:

„Pochwalon bądź święty Niebycie, święta Chwilo zapomnienia, bogini, na któréj ołtarzu składamy wszystko, czém doświadczał nas

---

[1]) „Ecce homo“ z cyklu „Scherz, List und Rache.“

najcięższy nasz wróg — Życie. Ognie jego zmieniły nasze wnętrza w popiół, który Tobie oto niesiemy w ofierze. Niesiemy Ci dzięki za to, żeś nas ze szpon życia wyrwała. W szalonym jego wirze ginęliśmy, niby pył, wichurą uniesiony, lecz nie ginęły nasze cierpienia. Na czołach naszych ręka życia wypaliła krwawy stygmat: dnie wasze będą wieczną walką między chceniem a możnością. Więc nie chcieliśmy, by nie doznać bólu niemocy. W tęczowe szaty przyodziana rozkosz wołała: pójdźcie tu, do snu ukołyszę wam sumienia, miłosnym żarem rozpalę serca, płomieniem podsycę pocałunki wasze i zapomnicie o bracie moim, o cierpieniu. Lecz my nie szliśmy, pomni przekleństwa, które na nas ciążyło, pomni tego, że zechcemy zapomnieć, a zapomnieć nie zdołamy. Grzechem jest rozkosz, grzechem szał, grzechem stwarzać nowych tułaczów życia, — bo życie jest pamięcią, walką, wirem, cierpieniem a szczęściem jesteś, Ty tylko o Śmierci, święta Chwilo Zapomnienia...“

I prysły skorupy z popiołem, a Geniusz zbudził się.

Lecz ze snem nie uleciał smutek Geniusza. Więc szczęściem jest zapomnienie, a jego przybytkiem owa ciemna, szara, żałobna dolina, a jego wybrańcami owe wychudłe, zbolałe, zczerniałe szkielety?... Zatonął w zadumie i zasnął ponownie.

Na głowie miał wieniec z róż, w ręce dzban ze złocistym płynem. A nie był sam. Wokoło niego, za nim i przed nim posuwali się pojedyńczo, szeregiem, grupami mężczyźni, tak jak on, we wieńce zdobni, kobiéty i dziewice, których lica o pierwszeństwo z różami walczyły, dzieci, starcy i kaleki. Posuwali się naprzód w dzikich pląsach, ścieląc drogę kwieciem, wychylając lśniące czary, wołając wielkim głosem: *Evoë Bacche!* Róże padały coraz gęściéj, pocałunki dźwięczały coraz częściéj, pląsy szalały coraz namiętniéj... Wreszcie orszak stanął przed wielkiemi wrotami, na których widniał napis: „Wrota życia“. Rozwarły się wrota i orszak wśród okrzyków wszedł do gaju róż. Geniusz podniósł swój dzban i wokoło zaległo milczenie. Jął śpiewać:

„Pochwalonêm bądź życie, święta Krynico rozkoszy i wesela. Tobie niesiemy dziś dziękczynienia, bo na czołach naszych wypisałaś: dni wasze będą wieczną harmonią woli i możności. Żądasz, byśmy na ołtarzu Twoim spalili sumienie, spalili owe okruchy dawnéj naszéj małéj litości, owego zarzewia, z którego rodziła się w nas nienawiść dla ciała i umiłowanie wszystkich katuszy, które je rychléj Tobie wydrzéć mogą. Żądasz, byśmy w zamian za dobrodziejstwa Twoje dali Ci na stra[illegible]nie to, cośmy dotąd grzechem zwali. Bo nie ma grzechu we mnie — powiadasz — więc niechaj go i w dzieciach

moich nie będzie. Wołasz: wielkimi bądźcie, silnymi, twardymi i mnie kochajcie — bo jam jest rozkoszą, uciechą, różą i winem, jam jest życie...

Więc stań się wola Twoja."

Zadźwięczały czary i zbudził się Geniusz. Na ustach jego igrał uśmiech szczęścia i rozkoszy. I wyszeptał:

Tak rzekł Zarathustra!

I.

Fryderyk Nietzsche urodził się 15-go października 1844 roku w Röcken pod Lützen. Pochodzi z rodziny polskiéj Nieckich, z rodu, który zniemczywszy się na początku bieżącego stulecia, nazwisko swoje zmienił. Mimo przymieszanéj w trzech generacyach krwi germańskiéj, zachował Nietzsche typ słowiański tak dalece, że bardzo często za słowianina go brano; na całe jego życie i na sposób myślenia cechy rasowe wywarły wpływ potężny. Lata dzieciństwa spędził w Naumburgu nad Salą, gdzie ojciec jego był pastorem: wogóle między jego przodkami dużo znajdujemy księży i duszpasterzy — tak po mieczu, jak i po kądzieli. Atmosfera, w któréj wzrósł, była nad wyraz ciasną, małomiasteczkową, filisterską i surowo religijną; wszystko to szczególnie uwzględnić należy, aby zrozumiéć późniejszą jego nienawiść dla tego, co stanowiło pierwsze jego wrażenia i wyryło na nim niezatarte piętno, aby pojąć tragizm walki życiowéj między wstrętem do owych soków, którymi go karmiono, a niemożnością zupełnego wydzielenia ich z organizmu. Otoczenie jego składało się przeważnie z kobiét—matki, sióstr, ciotek i t. d. One go wychowywały i pieściły, z niemi prawie wyłącznie obcował. I ta okoliczność wycisnęła się trwale na jego życiu, w którém afekty tak panującą odegrać miały rolę, które tak niepodatnym było gruntem dla czystego, myślenia abstrakcyjnego. Tłómaczy ona bowiem z jednéj strony jego feminizm, przejawiający się za lat młodych w nadzwyczajnie skrupulatnéj czystości ubrania i mieszkania, w tém, że przez całe życie przeważnie z kobiétami obcował i pod ich zostawał wpływem, wreszcie w wyrafinowanie subtelném pojęciu estetyczném, w intuicyjném raczéj, aniżeli w ściśle rozumowém myśleniu. Tłómaczy ona z drugiéj strony brak hartu męzkiego, płynącą stąd tęsknotę i pragnienie męzkości, tak idealizowanéj w pismach późniejszych, i — nienawiść, pogardę dla kobiecości i słabości kobiecéj.

Do gimnazyum uczęszczał w Szulpforta, następnie przebywał w Bonn i w Lipsku, gdzie pod kierownictwem słynnego Ritschla, naj-

znakomitszego podówczas filologa, studyował filologię, nie zaniedbując jednak innych przedmiotów. Od najmłodszych bowiem lat zajmowały go tezy moralności. Już w 13-ym roku życia rozmyślał nad pochodzeniem zła: „jemu to poświęciłem w wieku, kiedy serce wypełnione jest napoły dziecinnemi figlami, napoły Bogiem“, pierwszy mój figiel literacki, pierwsze filozoficzne ćwiczenie — „rozwiązałem“ zaś problemat mój podówczas w ten sposób, że jak przystoi, Boga ojcem dobrego i złego uczyniłem“ [1]).

Ritschl cenił go bardzo. Za jego to pośrednictwem i poparciem Nietzsche powołany był w r. 1868, — mając lat 24 i nie będąc jeszcze doktorem—na profesora przy uniwersytecie w Bazylei; katedrę w roku 1869 objął. Pozostał tam do r. 1878, przerywając wykłady na czas wojny francusko-niemieckiéj, w któréj brał udział. Między osobistościami, z którymi się tam stykał, byli téż: słynny historyk epoki Odrodzenia, Jakób Burkhardt i Ryszard Wagner, przebywający podówczas w Szwajcaryi. W wykładach i w pracy przeszkadzało Nietzschemu nerwowe cierpienie głowy, które odziedziczył po ojcu, zmarłym w obłąkaniu i po różnych innych krewnych obłąkanych. Cierpienie to wystąpiło u Nietzschego około r. 1870, odbierając mu przez trzecią część roku możność pracowania, wskutek czego w roku 1878 zrezygnował z profesury. Odtąd prowadził życie jak ptak wolne, przebywając naprzemian w Szwajcaryi, południowéj Francyi i Włoszech. Najczęściéj spędzał zimę w Nicei, a lato w Sils-Maria w Engadynie. W owym czasie zapadł nadto na cierpienie oczu tak silne, że znowu pracować nie mógł; wskutek tego cierpienia prawie oślepł. Ciężkie chwile ówczesne osładzał mu filozof-pozytywista, dr. Paweł Rée. Około r. 1882 odzyskał Nietzsche zdrowie, a lata od tego czasu do r. 1888 są znowu epoką wielkiéj, natężonéj pracy. Główna jego produkcyjność przypada na lata 1886 i 1887. Wskutek przepracowania się ponownie zachorował. Na umyśle jego legła ciężka chmura, zmieniając słoneczne snopy w mrok, którego dotychczas sztuka lekarska rozproszyć nie zdołała, a może już i nie rozproszy...

Nietzsche jest jedną z najpotężniejszych indywidualności naszego wieku, jedną z indywidualności najpotężniejszych wogóle. Na podkładzie nadmiernéj inteligencyi rozbujały w nim afekty, instynkty, popędy, opanowując go do tego stopnia, że warunkowały jego procesy psychiczne pod i nad progiem świadomości, że zbiérały się w nim, gromadziły, wstrząsając jego wnętrzem niby ogień, podrywa-

---

[1]) Przedmowa do dzieła „Zur Genealogie der Moral“, str. VI.

jący skorupę ziemi i wybuchały niby lawa, wyżarłszy wszystko, co dotychczas wnętrze to wyjaśniało, burząc wszystko, co wokoło niego dotąd było mu prawdą i świętością. Świéże potoki lawy składały się na nowe formacye — przewroty w jego myśleniu tworzyły nowe wierzenia. Ta zawisłość myślenia od uczucia jest przyczyną niejednolitości, nieciągłości w rozwoju Nietzschego. Myśl jego nie rozwija się wedle praw stopniowanéj ewolucyi, nie wzbija się zwolna—szczeblem po szczeblu, by dopiąć szczytu. Są to skoki, przełomy zostające ze sobą tylko w związku psychologicznym i—patologicznym. Myślenie jego jest ciągłym przypływem i odpływem zdrowia, a zdrowie ciągłym przypływem i odpływem myśli. Wnętrze jego nurtowała choroba nerwowa; w miarę wzrastania choroby napływały myśli, które Nietzsche nietylko rozumem przerabiał, lecz które odżywał, spotrzebowując na to cały zasób siły swego uczucia, swoich nerwów, skutkiem czego jego stan fizyczny, wolny od wpływów nerwów, polepszał się. Skoro jednak myśli były przerobione, rzucał je Nietzsche, względnie odpadały od niego—niby owoc dojrzały od drzewa. I znowu nerwy zwracały się przeciwko niemu, tocząc go, niszcząc w wyczekiwaniu nowego zwrotu.

Życie Nietzschego liczy się do owych istnień, których tło utkane jest z ponuréj przędzy tragizmu. Tragizm we wszystkiém. Olbrzymia siła umysłowa, a niemoc fizyczna; ukochanie siły i znowu wrodzona i wyhodowana miękkość i słabość; chęć „przezwyciężenia“ wszystkich dotychczasowych ideałów ludzkości, postawienia ideałów nowych, a niemożność wyswobodzenia się zupełnego z atawizmu; świadomość posiadania, nie iskry, lecz świetlanych snopów geniusza obok ciągłéj obawy i ciągłego oczekiwania strasznéj chwili obłędu; dążność do wyrzeczenia się wszelakiego bałwochwalstwa, a gorące, prawie religijne ukochanie ideałów, którym w sercu swém stawiał ołtarze, by je po pewnym czasie zburzyć i wznieść na ich miejsce nowe; pogarda dla człowieka, a miłość dla jego rozwoju—dla przyszłości; bezwzględne ukochanie życia, jego uciech i jego bólów, jego świateł i jego cieni, mimo to, że dla niego życie było tylko cieniem, nocą, mogiłą, o któréj wiedział, że zażąda od niego tego, co w sobie cenił najwyżéj—ducha... Nie znamy bardziéj przejmującéj tragedyi.

Okiem geniusza patrzał Nietzsche przed siebie i po za siebie. Przyjmując, że człowiek obecny jest produktem rozwoju tysiącoleci, jął zastanawiać się ze stanowiska ewolucyjnego nad wszystkiém tém, co współcześnie ludzie uważają za odwiecznie dane i niezmienne, wskazał źródła przez nikogo niedostrzeżone, drogi ciągłego rozwoju przez nikogo nie ujawnione i cele, ku którym drogi te prowadzą. Zajmuje go nadewszystko problemat dekadencyi i problematy moralności.

On pierwszy pojmuje samą moralność jako zagadnienie, badając jéj powstanie i rozwój i pragnąc nowe dla niéj znaleść tory. Pod działanie swéj intuicyi i skalpel swego krytycyzmu bierze pojedyńcze pojęcia moralne, obecnie ogólnie przyjęte, pojęcia, które zwykliśmy uważać za wynikłe z natury ludzkiéj i jéj najlepiéj odpowiadające, wykazuje zaczątki tych pojęć, wykoślawienie ich w biegu wieków, wzajemne przystosowywanie się ludzi i pojęć tych do siebie, wreszcie zaznacza konieczność wyzwolenia się z ich więzów, gwoli przyśpieszenia ewolucyi ludzkości — potrzebę przyjęcia nowych, wyższych ideałów. Nowéj ocenie poddaje wartości wszystkie, poddaje samo pojęcie „człowiek“.

Nietzsche przetłómaczony na nasz język znaczy—przewrót.

Pragnienie przewrotów jest ową nicią czerwoną, snującą się przez wszystkie fazy rozwoju Nietzschego. Faz tych możemy zaznaczyć trzy. Każdą warunkują wpływy zewnętrzne i przewaga uczuciowości nad czystém myśleniem. Pierwszą fazą jest okres szopenhauerowsko-wagnerowski, drugą — okres pozytywistyczny, trzecią wreszcie i ostatnią—okres nowych ideałów.

Zastanówmy się nad każdym z tych okresów zosobna.

II.

Żaden może z niemieckich filozofów nowszych czasów nie czaruje tak swoją żelazną konsekwencyą w myśleniu, niecofaniem się przed żadnym rezultatem myśli, jak Schopenhauer. W nim tkwi najwyższy czar osobistości, prostość drogi, najwyższa odwaga w obronie prawdy. Tkwi téż w nim dusza poety, która go chroni przed ciężkością i niezrozumiałością, dając mu piękność formy i siłę uczucia. Wpływu tego doświadcza na sobie każdy, — témbardziéj dał mu się porwać miękki i uczuciowy Nietzsche. Nie byłby może jednak zupełnie zatonął w metafizyce filozofa frankfurckiego, gdyby nie osobiste poznanie się z Ryszardem Wagnerem, przejęcie się jego indywidualnością, gorące dlań uwielbienie, a co zatém idzie apostołowanie jego pracy. Wagner wywarł na Nietzschego wpływ przepotężny, wpływ, którego prawie opisać niepodobna. Nie tu miejsce wdawać się w ocenę poezyi i muzyki Wagnera, wystarczy zaznaczyć, że i on dziwnie umiał czarować, tak muzyką, jak i osobą swoją. A dwom tym potęgom—Schopenhauerowi i Wagnerowi — Nietzsche daje się porwać, widzi w nich niedoścignione ideały, godzi się entuzyastycznie na ich myśli i poglądy, upatrując w nich pokrewne sobie

struny i występuje wraz z nimi do walki przeciwko wszystkiemu, co dotąd było pewnikiem.

Pierwszą pracą Nietzschego w tym okresie jest krytyka Straussa w dziele *„David Strauss, der Bekenner und des Schriftsteller“*; rozbiéra tu Nietzsche stworzone przez siebie pojęcie filisterstwa w wykształceniu. Filisterstwo to jest dla niego odpowiednikiem najmictwa. Takiego filistra, najmitę umysłowego, plebejusza duchowego cechuje głównie — dogmatyzm. Filistrowi zdaje się, że sławne jednostki wśród narodu postawiły już niezbite pewniki w każdym kierunku; dalsza praca duchowa jest dla filistra niepojętą, niepotrzebną, bo współczesność jest najwyższym i ostatnim wyrazem kultury. Jedyne, co umié i co uznaje, jest naśladowanie. Całe otoczenie — wszystkie instytucye towarzyskie i społeczne potwierdzają takie zapatrywanie filistra, spotyka się wszędzie z temi samemi zapatrywaniami, jakie sam żywi odnośnie do religii, małżeństwa, form społecznych i t. d., a jednolitość tę uważa za kulturę. Filister nie ma pojęcia, że cała przez niego uwielbiana kultura jest bagnem, w którém każda myśl nowa, wyższa, zanika, zabagnia się, spotkawszy się z oporem zwartéj falangi filistrów. W takiéj kulturze, w takiéj pseudokulturze nie ma miejsca dla bohatérów ducha (*scil.* Schopenhauer, Wagner). Straussa Nietzsche uważa za przywódcę, twórcę takiego filisterstwa — za boga filistrów, a księgi jego za ich ewangelię.

Krytyka ta jest pierwszą częścią dzieła zatytułowanego: „Uwagi nie na czasie“ [1]), którego dalsze części stanowią: „O pożytku i szkodliwości historyi dla życia“ [2]), „Schopenhauer jako wychowawca“ [3]) i „Ryszard Wagner w Bayreucie“ [4]).

Badając wartość współczesnéj kultury i ziarna jéj przyszłego rozwoju, przychodzi Nietzsche do przekonania, że wielką wadą obecnego wykształcenia jest nadmierne studyum historyi. Usiłuje wykazać, dlaczego nauka, nie pobudzająca do działalności, zabija, dlaczego cierpimy na zbytek historyi i jakie stąd płyną skutki szkodliwe. Zwierzę różni się od człowieka brakiem pamięci, zapomina w téj saméj chwili, co mu się zdarzyło, co myśli—jeśli myśli, bo żyje „niehistorycznie“. Człowiekowi to szczęście zapominania nie dostało się w udziale, skazanym on jest — na pamiętanie. Na pamięci jego przeszłość zawisła brzemieniem, od którego uwolnić się nie może,

[1]) Unzeitgemässe Betrachtungen. — [2]) Vom Nutzen und Nachtheil der Historie für's Leben. — [3]) Schopenhauer als Erzieher. — [4]) Richard Wagner in Bayreuth.

musi więc żyć „historycznie“. Brzemię to uciska go i utrudnia mu drogę. Dlatego Nietzsche zazdrości dziecku, które nie wié, co to znaczy „b y ł o“, któremu obcém jest to hasło walki, cierpień i bólów. A jeśli śmierć przynosi zapomnienie, to jednak równocześnie zabiéra teraźniejszość i byt, udowadniając têm samém, że byt jest tylko ciągłą „b y ł o ś c i ą“ (*Gewesensein*). Kto nie umié zapominać, nie umié odczuć szczęścia, względnie, w im wyższym stopniu osobnik zdolność zapominania posiada, têm więcéj szczęście odczuć potrafi. Wyobraźmy sobie bowiem człowieka, któryby wcale nie znał zapomnienia, a widział wszędzie tylko s t a w a n i e s i ę: człowiek taki nie wierzyłby w swój własny byt, w siebie, miałby jedynie przed oczami wieczne rozpływanie się wszystkiego w punktach ruchomych; w tym prądzie ciągłego przetwarzania się, samby się gubił. Podobnie istnieje pewna wybujałość zmysłu historycznego, szkodliwa dla całéj ludzkości, dla kultury. Chcąc oznaczyć granicę, gdzie zapominanie zacząćby się powinno, należałoby dokładnie poznać wielkość s i ł y p l a s t y c z n é j człowieka, ludu lub kultury, to jest siłę i zdolność oryginalnego wzrostu. Są ludzie, w tak małym stopniu siłę tę posiadający, że niszczy ich jedno bolesne zdarzenie, inni znowu tak łatwo najstraszniejsze przetrwać umieją wypadki, że po doznanych przejściach czują się względnie dobrze. Możnaby nawet sobie wyobrazić tak silny umysł, któremuby owa historyczność wcale nie szkodziła: człowiek taki umiałby wchłonąć w siebie przeszłość, przerobić ją i przetrawić; zdołałby zapomniéć, czegoby dla siebie zużytkować nie mógł. Trzeba więc posiadać umiejętność stworzenia sobie widnokręgu. Wszystko, co żyje, jest silném i płodném tylko w obrębie pewnego widnokręgu: brak tegoż, brak skupienia powoduje rozstrzelenie sił. Do rozwoju więc kultury potrzebną jest historyczność i niehistoryczność. A cóż dzieje się w świecie współczesnym? Panuje tu nadmiar historyi, dążność ku uczynieniu z niéj wiedzy. „Wiedza, którą ludzie przyjmują, nie uczuwając głodu, co więcéj wbrew potrzébie, nie działa już jako motyw przekształcający, uzewnętrzniający, lecz ukrywa się w jakimś chaotycznym świecie wewnętrznym, oznaczonym przez takiego człowieka nowoczesnego z dziwną dumą, jako jemu właściwe uwewnętrznienie (*Innerlichkeit*).“ W ten sposób ludzie stają się chodzącemi encyklopedyami. Koniecznym tego skutkiem są osobistości słabe, które—zebrawszy ogrom materyału—pozbywają go się jaknajrychléj i nieznaczne od rzeczywistości odbiérają wrażenia. Powstaje wtedy rozbrat między formą a treścią, stroną wewnętrzną a zewnętrzną: wskutek tego prawdziwa kultura powstać nie może, ponieważ najgłówniejszą cechą i podstawą téjże jest jedność, jednoli-

tość. Człowiek nowoczesny nie jest silną indywidualnością; stał się widzem wystawy, urządzanéj przez artystów-historyków, widzem, na którego najdonioślejsze fakty wywierają wpływ nieznaczny, stracił bowiem instynkty, uwewnętrznił się, jest słabym, biernym, wstecz zapatrzonym, bez energii: ogrom wiedzy osłabił najsilniejsze nawet tony wielkich wydarzeń. Do wytworzenia takiéj bezognistości, takiéj bezpłciowości przyczynia się i osławiona „obiektywność", zabraniająca wszelkiego przejęcia się ideałami, nakazująca tylko bezstronne ich sądzenie, zimna, „przedmiotowo" patrząca na wszystkie współczesne wielkości. Pozornie zdaje się, że taka obiektywność jest wynikiem sprawiedliwości, tymczasem jest ona może najmniéj sprawiedliwą. „Tylko najwyższą siłą teraźniejszości mierzcie sobie przeszłość: tylko wśród najsilniejszego naprężenia najszlachetniejszych waszych przymiotów odgadniecie, co w przeszłości jest wielkie, co godne poznania i przechowania. Równe mierzcie równém. W przeciwnym razie zniżycie przeszłość do waszego poziomu." Zmysł historyczny, nie trzymany w należytych karbach, wyciągający ostateczne konsekwencye, wykorzenia przyszłość, gdyż niszczy jéj iluzye i rzeczom istniejącym odbiéra atmosferę, w któréj jedynie żyć mogą; wszystko bowiem, co żyje, żyć przestaje, skoro podlega całkowitéj analizie. A spójrzmy na starożytną Grecyę. „Znajdujemy tu rzeczywistość, stojącą na podstawach wykształcenia niehistorycznego, a mimo to, albo może właśnie dlatego, jestto wykształcenie nad wszelki wyraz bogate i życia pełne." Zbytek historyczności wywołuje w danéj epoce przeświadczenie, „że najrzadszą cnotę, sprawiedliwość, epoka ta posiada w wyższym stopniu, aniżeli wszystkie inne czasy, nadmiar ten zakłóca instynkty narodu, paraliżuje dojrzewanie jednostki i całego społeczeństwa, rodzi szkodliwą wiarę w schyłkowy wiek ludzkości, w epigonizm, sprawia wreszcie, że dana epoka wpada w niebezpieczny ton ironii, którą smaga siebie samą, stąd zaś w jeszcze niebezpieczniejszy ton cynizmu; w atmosferze cynizmu dojrzewa ona coraz bardziéj dla przebiegłéj egoistycznéj praktyczności, która ubezwładnia siły życiowe i niszczy je w końcu." Środkiem więc przeciwko temu niech będzie niehistoryczność. Uzdrowienia szukajmy u Greków.

„Istniały stulecia, kiedy Grekom zagrażało podobne, jak obecnie nam niebezpieczeństwo: groziła im powódź ze strony potoków obcych i płynących z przeszłości — groził im zanik wskutek „historyi". Nie żyli oni nigdy w dumnéj nieprzystępności, przeciwnie, „wykształcenie" ich było przez długi czas chaosem form i pojęć zagranicznych, semickich, babilońskich, lidyjskich, egipskich, zaś reli-

gia ich była istną walką bogów całego Wschodu, tak mniéj więcéj, jak dziś „wykształcenie“ niemieckie i religia Niemców są walczącym w sobie chaosem całéj zagranicy, całéj przeszłości. A mimo to, kultura heleńska nie stała się agregatem dzięki apolińskim słowom: „Poznaj siebie samego.“ Grecy powoli zorganizowali ów chaos tym sposobem, że zgodnie z brzmieniem nauki delfijskiéj zwrócili całą uwagę na siebie, to jest na prawdziwe swoje potrzeby, skazując potrzeby pozorne na zagładę. Tak więc znowu posiedli siebie; nie długo byli oni spadkobiercami, epigonami całego Wschodu; dzięki praktycznemu wyłożeniu owych słów stali się sami najszczęśliwszymi wzbogacicielami i pomnożycielami odziedziczonego skarbu, oraz pierwowzorem dla całéj przyszłej kultury.

Przykład ten posłużyć może każdemu z nas; każdy z nas niech zorganizuje w sobie chaos, uprzytomniwszy sobie prawdziwe swoje potrzeby. Uczciwym, dzielnym, prawdziwym charakterom obrzydnie przecież wreszcie wieczne powtarzanie, uczenie się za kimś, wieczne naśladownictwo; zaczną natenczas pojmować, że kultura może być jeszcze czémś innem, niż dekoracyą życia, to jest czémś innem, niż maską i osłoną... Zwycięstwo nad wszystkiemi kulturami Grecy zawdzięczają wyższéj sile swojéj natury etycznéj; widzimy więc, że każde zwiększenie prawdziwości jest zarazem przygotowawczym motorem dla posunięcia prawdziwego wykształcenia.

Naturalnie więc nie mamy kultury w prawdziwém tego słowa znaczeniu, nie wiemy nawet, czém jest kultura, jakie są jéj zadania, jakie są zadania ludzkości wogóle. Nietzsche stara się nam to wykazać w ostatnich dwóch częściach „Spostrzeżeń nie na czasie,“ gdzie usiłuje postawić ideały nowéj kultury, nowych ludzi.

Przypatrzmy się któremukolwiek z rodzajów w świecie zwierzęcym lub roślinnym. Przyrodzie nie idzie bynajmniéj o to, by stworzyć jaknajwiększą ilość osobników tego rodzaju, lecz by umożliwić i uwarunkować powstanie najsilniejszych, najwyższych, najlepszych egzemplarzy. Podobnie ma się rzecz i w rodzie ludzkim. Celem ludzkości jest i celem kultury stworzenie i rozwój warunków, korzystnych dla powstania ludzi wielkich, wybawicieli i drogowskazów, jest niemniéj — samo wytworzenie owych proroków, świętych, filozofów i artystów. Dziś oczywiście nikt tak zadania kultury nie pojmuje: upatrują cel ludzkości w szczęściu wszystkich albo największéj ilości ludzi, tak jakoby liczba rozstrzygała tam, gdzie idzie o wartość i znaczenie. Nasuwa się pytanie, w jaki sposób życie jednostki uzyskuje największą wartość, kiedy marnuje się ono najmniéj? Naturalnie

wtedy tylko, jeżeli idzie na korzyść egzemplarzy, mających największą wartość, nie zaś na korzyść największéj ilości egzemplarzy, które osobno wzięte, pozbawione są wszelkiéj wartości. Takie pojęcia należałoby wszczepiać młodym, aby ci, zrozumiawszy dążność natury i pojąwszy, że co do nich chybiła, jęli pomagać jéj w wypełnianiu właściwego jéj zadania. Kto tak rozumuje, oddaje siły swoje na usługi kultury, która w dalszym ciągu — oprócz samego zrozumienia rzeczy — żąda od jednostki czynów i walki przeciw stosunkom, utrudniającym powstanie geniusza, jakoto: przeciw sobkostwu trzodowców, przeciw samolubstwu urządzeń społecznych, przeciw próżności i bezmyślności, przeciw samolubstwu wiedzy i uczonych. Nadto, kultura ta wymaga wytworzenia warunków korzystnych, ułatwiających powstanie i rozwój osobnika genialnego. Warunkami takimi są: silna męskość charakteru, wczesna znajomość ludzi, nieuczone wychowanie, niezacieśnianie horyzontów umysłowych i uczuciowych, brak kłopotów materyalnych — słowem, najdaléj idąca swoboda i niezależność. I przed umysłem Nietzschego stają dwa takie wyborne wytwory przyrody a więc dwa słupy kultury: Schopenhauer i Wagner. W dziełach Wagnera Nietzsche upatruje przedświt kultury przyszłości, który pojąć mogą tylko ludzie wykształceni w szkole Schopenhauera.

Człowiek przeciętny nie może samoistnie zostać współpracownikiem kultury przyszłości. Potrzebuje on nauczycieli, którzyby mu drogę do tego wskazali, którzyby go uczyli zapomnieć o sobie, o swéj małości, a uczyli pamiętać o wielkości i geniuszach. Takim nauczycielem jest Schopenhauer, takim — Wagner. Według Nietzschego, pierwszy jest tak uczciwym, jak może jeden tylko Montaigne i jak Montaigne — prawdziwie wesołym w najwyższém tego słowa znaczeniu. Filozof to osobnik, który działa tylko o tyle, o ile sam jest żywym przykładem: Schopenhauer był takim przykładem samoistności, niezawisłości, prostoty i wielkości. Stworzył on typ człowieka, który „bierze na się dobrowolne cierpienie prawdy, to zaś cierpienie pozwala mu zabić swoją samowolę i przygotować przewrót własnéj istoty: sprowadzenie zaś tego przewrotu winno być właściwą treścią życia.“ Stworzył typ człowieka, który sobie powiada: Życie szczęśliwe jest niemożliwe, najwyższém co człowiek osiągnąć może, jest życie bohatérskie.

Filozofię Schopenhauera uzupełnia muzyka Wagnera. Muzyka ta łączy wszystko, co u Schopenhauera jest rozdzielone w treści i barwie, jednością kultury. W słowach najwyższéj ekstazy unosi się Nietzsche nad Wagnerem, jego geniuszem i muzyką, dając tém do-

wód bezgranicznego uwielbienia, bezgranicznéj wiary apostoła w mistrza. Schopenhauerowska wola, dążąca do bytu i przejawienia się w przyrodzie, zostaje urzeczywistnioną w tonach przez Wagnera. Nietzsche upatruje między jednym a drugim jedność i łączność, wskazówki nowych form bytu, których słaby odblask jedynie w klasycznym helenizmie odnaleść można. Pod wpływem tych myśli, Nietzsche wznosi gmach metafizycznego poglądu na świat, który składa w dziele: „Zrodzenie się tragedyi greckiéj z ducha muzyki“ [1]). Rozumuje w niém w następujący sposób: Świat jest usprawiedliwiony tylko jako zjawisko estetyczne. Podobnie jak rozwój ludzkości zawisł od dwoistości płci, walczących z sobą ciągle, a łączących się peryodycznie, tak i estetyka polega na dwoistości pierwiastków: apolińskiego i dyonizyjskiego. Apollo to symbol snu, piękna, harmonii, spokoju i miary; Dyonizos — to hasło upojenia, to bóg muzyki. Pod jego czarem „łączy się znowu człowiek z człowiekiem; nawet obca, wroga lub ujarzmiona przyroda święci święto zgody ze straconym synem swoim — z człowiekiem.“ Pojęcia subiektywności i obiektywności w estetyce, są zdaniem Nietzschego — mylne. „Artystę subiektywnego uważamy za złego artystę: w każdym rodzaju i stopniu sztuki żądamy przedewszystkiém przezwyciężenia subiektywności, wyzwolenia się od „ja,“ przygłuszenia indywidualnéj woli i pożądań indywidualnych...“ tymczasem winniśmy dążyć do wyzwolenia się od takiego sądu o artyzmie. Oczywista, że te zapatrywania estetyczne znajdują się w ścisłym związku z metafizyką Schopenhauera i tragizmem Wagnera. Nietzsche występuje w dziele tém „jako romantyczny mistyk pełnéj krwi“ [2]). Nie rozum lecz intuicya geniuszu może — według niego — pojąć i zbadać cały świat nieskończony, który uważać należy za „fenomen“ estetyczny. Jest to walka przeciw racyonalizmowi, którym dla niego jest sokratyzm.

W r. 1876 wydał Nietzsche wspomnianą już apoteozę Wagnera. Nagle odwraca się od niego, zrywa z nim i kończy w ten sposób pierwszy okres swego życia i swéj twórczości. Nietzsche staje się następnie jednym z najzagorzalszych przeciwników Wagneryanizmu, jak się o tém poniżéj przekonamy. Różnie komentują przyczyny tego zwrotu. Upatrywano najpiérw, że kierowały nim pobudki osobiste. Ryszard Pohl, jeden z najstarszych adeptów Wagnera opo-

---

[1]) Die Geburt den Tragödie aus dem Geiste der Musik.

[2]) Ola Hansson: „Friedrich Nietzsche. Seine Persönlichkeit u. sein System.“ Leipzig E. W. Fritzsch.

wiada[1]), jakoby Nietzsche skomponował jakąś operę, dramat muzyczny, któremu Wagner odmówił wszelkiéj wartości. Nietzsche bowiem zajmował się též kompozycyą i napisał między innemi przepiękny hymn — apoteozę życia — na chór męski[2]). Inni znowu powołują się na jeden z aforyzmów Nietzschego, w którym tenże powiada, że „Wagner na stare lata był *feminini generis*,“ spowodowała rozdział między przyjaciółmi. W rzeczywistości gdzieindziéj przyczyny tego rozdziału szukać należy. W r. 1876 ukazał się „Parsifal“ Wagnera. Entuzyastyczny Nietzsche, widzący w Wagnerze filar kultury przyszłości, świecznik słonecznego jutra, ujrzał się nagle okropnie zawiedzionym: spostrzegł, że Wagner zaczyna bić pokłony przed katolicyzmem, przed mrokiem średniowiecznym. Uważał „Parsifala“ za apoteozę śmiertelnéj nienawiści dla poznania, dla ducha i zmysłowości, za hymn wyśpiéwany na cześć chorobliwéj zniewieściałości uczuć i na cześć reakcyi. Oprzytomniał, jął się leczyć, usiłując wytworzyć dla duszy swojéj „inny nowy klimat.“ Zajął się podówczas głębszemi studyami nad Voltaire'm i zrozumiał, że ważniejszą jest rzeczą torować drogę światłu niż śnić w mroku mistyki, pojął, że w jasności piękno zakwitnie łacniéj niż w dyonizyjskim szale.

III.

I oto przechodzimy do drugiego, pozytywistycznego okresu twórczości filozofa. Cechą tego okresu jest — jak powiada przyjaciółka autora, p. Lou Andreas-Salome — bezwzględna, niszcząca krytyka dotychczasowych ideałów — „w nim Nietzsche ma jeden tylko ideał: p o z n a n i e prawdy w całéj jego surowości i subtelności, bez względu na to, że owo poznanie niszczy najdroższe mu dotąd ideały. Dąży do jednego tylko typu, typu — człowieka o czystém poznaniu, wolném od wszelkich afektów, o sumieniu intelektualném, czyniącém go niemiłosiernym dla własnych snów i nadziei. Ten nowy ideał udowadnia nam jednak najlepiéj samoumęczanie się Nietzschego: wśród walki tylko i bólów przejął się sposobem myślenia, tak przeciwnym wszystkim instynktom jego natury.“

Lecz i w tym okresie Nietzsche nie mógł się uwolnić od swego

---

[1]) „Musikalisches Wochenblatt“ Nr. 44 z 25 października 1888, Lipsk — E. W. Fritzsch.

[2]) „Hymnus an das Leben“ für gemischten Chor und Orchester (Leipzig, Verlag von E. W. Fritzsch.

dawniejszego „ja.“ Z natury musiał być mistrzem i apostołem jednocześnie. Udało mu się połączyć dwa te stany dopiéro w okresie trzecim: w pierwszym był tylko uczniem, w drugim zaś był jeszcze uczniem, zaczynającym się już do mistrzowstwa sposobić. W epoce téj miał przyjaciela w osobie d-ra Pawła Rée. Podobnie, jak symbolem okresu metafizycznego był stosunek z artystą Wagnerem, tak — zewnętrznie — faza pozytywistyczna objawiała się u Nietzschego w przyjaźni z zimnym, trzéźwym pozytywistą Rée'm, autorem dzieła „O pochodzeniu uczuć moralnych.“ Podczas wspólnego z nim pobytu w Sorrencie, wykończył Nietzsche jedyne dzieło, jakie do téj epoki zaliczamy. p. t.: „O tém co jest ludzkie, zanadto ludzkie“ [1]), (wydane w r. 1878) poświęcone pamięci Voltaire'a. Dzieło to, jak wszystkie dalsze prace Nietzschego — z wyjątkiem jednéj — pisane jest w aforyzmach. Tę aforystyczną formę doskonale tłómaczy Ola Hansson [2]): „Łatwo pojąć, że prace jego tę, a nie inną miały formę, zważywszy w jaki powstawały sposób. Nietzsche tworzył wszystkie swoje późniejsze dzieła, stojąc lub spoczywając na świéżém powietrzu, podczas przechadzek w górach Szwajcaryi lub wśród krajobrazów włoskich. Na luźnych kartach notatnika spisywał myśli, pomysły, przywidzenia, spostrzeżenia, które podczas tego *dolce far niente* nawiedzały jego duszę. Dlatego też nie zdołał nigdy ująć genialnego swego poglądu na świat w zamknięty, zaokrąglony system: za to każde słowo ręką jego kreślone ma niezrównanie świéży aromat, ton słoneczny i barwę świéżéj zieleni.“

W dziele tém staje się Nietzsche twórcą psychologii molekularnéj. Analizuje, rozbiéra do atomów prawie najrozmaitsze uczucia, myśli, zapatrywania, poglądy, pojęcia moralne, urządzenia społeczne a okazuje wszędzie taką genialność intuicyi, taką bystrość i odwagę „wgryzania się“ w problemat, który go w danéj chwili zajmuje, że każda drobnostka w inném występuje świetle, inną się być zdaje, niż sądziliśmy dotychczas. Z największym podziwem, z najgłębszą czcią patrzymy na człowieka, który może nieraz błądzi, ale zawsze jest genialnym, zawsze uczciwym i zawsze w prawdę swego zdania wierzy.

Niemożliwém jest dać ciągły obraz myśli, w aforyzmach tych zawartych, przedstawić je, jako powiązaną w sobie całość, gdyż każdy aforyzm a względnie każde kilka aforyzmów zawiérają myśl oso-

---

[1]) Menschliches, Allzumenschliches.

[2]) Wyżéj cytowana broszura.

bną. Nicią łączącą je jest tylko gorące pragnienie prawdy, brak wszelkiéj mistyki i metafizyki i oryginalny zawsze pogląd. Nietzsche usiłuje wykazać, że życie intelektualne stoi wyżéj od życia popędów; nie podnosi jednak — jak dawniéj i późniéj — różnicy między ludźmi, stawia wszystkich na jednym szczeblu i to dość niskim. Spróbujemy więc tylko rzucić kilka pociągnień tego pędzla, malującego zawsze w *plein-air*'ze — złotem i jasnością.

Wszelkie mylne czy dziwaczne poglądy na świat, byt i t. d., pochodzą, według Nietzschego, z fałszywéj interpretacyi. Świat, to niby obraz, przed którym stając snujemy domysły o jego twórcy i usiłujemy go sądzić, patrząc nań jako na całość — gotową, skończoną. Gdybyśmy jednak chcieli zrozumiéć, że nie mamy przed sobą czegoś co jest — ale coś, co się staje, co się rozwija, sąd nasz byłby inny, nasza potrzeba przyczynowości może nie w tym kierunku, co dziś, pragnęłaby zaspokojenia. Przekonaliby się ludzie, że optymizm i pesymizm — w znaczeniu filozoficzném — są czczemi frazesami, bo skoro odpada z jednéj strony potrzeba bronienia tezy, że świat ten jest najlepszy a z drugiéj strony potrzeba udowadniania, że zło tym światem rządzi — to cóżby jeszcze wyrazy pesymizm i optymizm oznaczać miały. Byłyby formą — bez treści.

Prawda sama przez się może nie jest złudzeniem, stanowczo jest ona jednak największém niebezpieczeństwem dla życia ludzkiego, byłaby niém względnie, gdyby dla ludzi była dostępną. Błędy są koniecznym warunkiem życia a każda wiara w wartość i cenę życia polega na nieczystém myśleniu.

Historya uczuć moralnych następujące — według Nietzschego ma fazy [1]). „Najpiérw powiada się o pojedyńczych czynach, że są dobre albo złe, bez względu na ich motywy a jedynie ze względu na pożyteczne lub szkodliwe ich skutki. Wkrótce potém zapomina się o pochodzeniu tych określeń, sądząc, że czyny te same w sobie — bez względu na skutki — są „dobre“ albo „złe:“ jest to ta sama omyłka, według któréj mowa ludzka oznacza kamień — jako przedmiot sam w sobie twardy, drzewo — jako przedmiot sam w sobie zielony — omyłka tkwiąca wtedy w tém, że przyjmuje się za przyczynę to, co jest skutkiem. Poczém wkłada się pojęcia dobro lub zło w motywy i uważa się czyny same w sobie — jako moralnie dwuznaczne. Potém idzie się daléj jeszcze, przydając orzeczenie „dobre“ lub „złe“ nietylko pojedyńczym motywom, ale całéj istocie człowieka, z któréj

---

[1]) Menschliches, Allzumenschliches, str. 47 i daléj.

motyw wyrasta, jak roślina z ziemi. Tak więc stopniowo czyni się człowieka odpowiedzialnym, najpiérw za jego oddziaływanie, potém za jego czyny, potém za jego motywy, wreszcie za jego istotę. Nakoniec odkrywa się, że i ta istota odpowiedzialną być nie może, ponieważ jest stanowczém, koniecznêm następstwem i wynikiem pierwiastków i wpływów przeszłości i teraźniejszości; że więc człowieka za nic odpowiedzialnym czynić nie można, ani za jego istotę, ani za jego motywy, ani za jego czyny, ani za jego oddziaływania. A więc dochodzi się do poznania, że historya uczuć moralnych jest historyą błędu, błędu tkwiącego w pojęciu o odpowiedzialności, który to błąd opiéra się na innym błędzie — o wolności woli.“

Nietzsche odróżnia dwa typy ludzi: typ harmonijny i heroiczny, naturę jednolitą a złożoną. W typie pierwszym czucie i popędy zgadzają się z sobą, — w drugim — w ciągłéj ze sobą zostają walce. Z pierwszego skrystalizował się człowiek - działacz, z drugiego — człowiek - myśliciel. Charakterystycznêm jest w jaki sposób zrodził się w wyobraźni Nietzschego typ człowieka - myśliciela i jak go sobie Nietzsche przedstawiał. Pani Lou Andreas - Salome wyjaśnia nam genezę tego pojęcia, ze stosunku przyjacielskiego z wspomnianym filozofem Rée'm [1]. Ten ostatni był przeciwieństwem Nietzschego. „Na podstawie indywidualności przyjaciela swego Nietzsche wytworzył sobie pewien idealny obraz i przewagę myśliciela nad człowiekiem, nieuwzględnianie wartościowań, wypływających z życia afektów, bezwzględne, stanowcze oddanie się badaniom naukowym. Typ ten wydawał mu się w téj epoce wyższym od czczonego dotychczas geniusza etycznego i artystycznego.“

Jak już powiedzieliśmy, zimne, abstrakcyjne myślenie nie odpowiadało istocie twórczości Nietzschego. Przymuszał się do takiéj pracy a wżywszy się w nowy widnokrąg życia, objąwszy umysłem pole swéj pracy, zmierzywszy, przeszedłszy ją we wszelkich kierunkach, usłyszał głos właściwéj swojéj natury, która domagała się praw jéj przynależnych.

IV.

Ta przemiana daje początek trzeciemu, największemu i najgenialniejszemu okresowi życia Nietzschego, okresowi dążności do nowych ideałów. Tłumione i krępowane życie uczuciowe, wewnętrzne,

---

[1]) „Freie Bühne für den Entwicklungskampf der Zeit.“ Rocznik III, zeszyt III, artykuł p. t. „Aus Briefen Friedrich Nietzsches.“

zléwa się w całość z życiem myślowém, tak żywém, osobistém, że wkracza czasem w krainę wizyi.

Lata 1879 do 1882 były znowu epoką choroby, z któréj uzdrawiają autora owe nowe ideały trzeciego okresu. Okres ten rozpoczyna się z r. 1882 i trwa do r. 1888.

Przeszedłszy przez dwie fazy, z których w pierwszéj sądził, że tylko umysł artysty, nie zaś myślenie, świat zbadać i pojąć może, w drugiéj zaś zdolność do takiéj pracy przypisywał jedynie rozumowi krytycznemu, Nietzsche łączy obecnie te swoje poglądy, ucząc, że prawdy metafizyczne nie są ludziom dostępne, że jednak należy je czémś zastąpić, należy za pomocą intuicyi, afektów nowy sobie stworzyć ideał. Podczas epoki pozytywistycznéj udowadniał, że wszystkie ideały religii i metafizyki zasadzają się na pomyłkach i względach utylitarnych — obecnie usiłuje wykazać zawisłość wszelkich danych intelektualnych od życia popędów. O ile dawniejsza twórczość była wprost nienaturalną i gnębiła jego umysł, o tyle obecna napawała go zadowoleniem i rozkoszą: znalazł w niéj bowiem teoretyczne usprawiedliwienie swego praktycznego „ja."

Pierwszemi dziełami téj epoki, dziełami tkwiącemi poniekąd jeszcze w epoce poprzedniéj, są prace p. t. „Jutrznia. Myśli o przesądach moralnych" [1]) i „Wesoła wiedza" (*La gaya scienza*) [2]).

W dziełach tych, podobnie jak we wszystkich następnych, Nietzsche zastanawia się nad samą moralnością, jako nad zagadnieniem, jako nad czémś, co należy zbadać na równi z wszelką inną własnością ducha ludzkiego. Rzecz dziwna, że najśmielsi nawet badacze przyjmowali dotychczas moralność jako pewnik trwały, niezmienny, do którego nigdy nie przystąpili ze skalpelem krytycyzmu. Dlatego to usiłowania wszystkich filozofów od Platona począwszy, usiłowania w celu wzniesienia stałego gmachu filozoficznego były daremne, ponieważ gmach ten stawał na podwalinie moralności — niezbadanéj. Ślepa wiara w moralność zawieść ich w nadziejach musiała. Pierwszy Nietzsche śmiało hydrę tę za łeb chwyta, przemocą ku słońcu ją zwraca, przyglądając się odważnie niezgłębionym dotychczas jéj rysom.

Podstawą każdéj moralności, a więc i naszéj, jest pewna tablica wartości, pewne ugrupowanie przymiotników „złe" i „dobre" w stosunku do wszystkiego, co nas otacza. Ludzie byli w błędzie sądząc, że wiedzą, co jest „dobre" a co „złe," że nie ma nic łatwiej-

---

[1]) „Morgenröthe, Gedanken über moralische Vorurtheile."

[2]) „Fröhliche Wissenschaft."

szego nad ustanowienie tablicy wartości. Ot, przyczepiało się poprostu określniki te do odnośnych pojęć, stanowiąc tém samém, które z nich są etyczne i moralne, a które niemoralne. W ten sposób nadano światu znaczenie etyczne. Jest ono tak nieuzasadnione i tak bezwartościowe, jak dawna wiara w płeć słońca a pamiętajmy, że niegdyś niemało się o płeć tę sprzeczano.

Pojęcia „złe“ i „dobre“ nie są niezmienne: moralność jest bowiem posłuszeństwem wobec obyczajów, obyczaje zaś są tradycyjnym sposobem działania i oceniania. Człowiek wolny jest niemoralny, ponieważ nie chce być zawisłym od tradycyi. Już tu rzuca Nietzsche kilka nasion, z których w późniejszych dziełach wyrasta, jak potężny dąb — oryginalny jego pogląd na moralność, rozwój ludzkości i jéj kultury.

Wszystkie obyczaje towarzyskie dają się — według Nietzschego wytłómaczyć na podstawie życia zwierząt i ich zwyczajów. Wytłómaczyć więc np. w ten sposób można staranne unikanie śmieszności, zarozumiałości, ukrywanie cnót jak niemniéj i gwałtowniejszych żądz, przystosowywanie się i t. d. Przypatrując się państwu zwierząt, zrozumiéć dopiéro możemy właściwy cel tych obyczajów: tym celem jest uchylenie się od prześladowań i znalezienie sposobności dla zdobycia najlepszych łupów. Nawet zmysł dla prawdy, który właściwie jest zmysłem dla bezpieczeństwa, wspólną jest cechą człowieka i zwierzęcia... Początki sprawiedliwości, podobnie jak początki mądrości, waleczności, umiarkowania, słowem tego wszystkiego, co oznaczamy nazwą cnót sokratycznych, są — zwierzęce: są wynikiem owych popędów, które uczą szukać pożywienia i wystrzegać się nieprzyjaciela. Zważywszy, że i najwyższy człowiek wzniósł się tylko co do rodzaju pożywienia, jakiego sobie szuka i pod względem pojęć o tém, co mu jest szkodliwe, powiedziéć możemy, że cały „fenomen“ moralny jest zwierzęcy [1]).

Nader sympatycznie brzmi formułka: społeczeństwo jest na najlepszéj drodze przystosowania jednostki do potrzeb ogółu, szczęście i ofiarność jednostki tkwią w poczuciu, iż osobnik jest użytecznym członkiem społeczeństwa. Różne są zdania co do tego, jaka ma być forma uszczęśliwienia społeczeństwa, wszyscy jednak zgadzają się na jedno, że *„ego“* należy ukrócić. Dąży się tém samém do osłabienia i zniszczenia indywidualności. Nie ma jednak uczuć nieegoistycznych. Litość np. pozornie najbardziéj od sobkowstwa oddalona,

[1]) „Morgenröthe“ str. 25 i dalsze.

jest mimo to uczuciem samolubném. Ratując bliźniego z litości, myślimy wprawdzie i o nim, ale świadomie lub nieświadomie kierujemy się pragnieniem pochwały, choćby — własnego zadowolenia za spełniony obowiązek, pragnieniem nagrody, podziękowania i t. p., słowem pobudkami egoistycznemi. Tak zwani nielitościwi są również egoistami. Lecz nazwanie jednych „dobrymi,“ drugich „złymi“ jest rzeczą moralnéj mody: długo atoli panowała moda wręcz przeciwna. Litość, o ile sprawia ból, jest afektem ujemnym, osłabiającym, zwiększającym sumę cierpienia w świecie. Współczesne pojmowanie litości, jako czynnika dla życia korzystnego, zasadza się na tém, że od wieków celem całéj czynności intelektualnéj jest poznanie nędzy ludzkiéj, cierpień ludzkich, przez co w oczach dziedzicznych pesymistów litość nową otrzymuje wartość — wogóle na wartości zyskuje. Przypuśćmy, że ten popęd przywiązania do drugich, ta „sympatyczna afekcya“ stanie się dwa razy tak silną, jak obecnie, a życie będzie niemożliwe.

Żądamy od osobnika wyzucia się z egoizmu, poświęcenia jego „ja“ dla innych. W myśl więc tego żądania powinnibyśmy wszyscy nie być egoistami; w tym jednak razie nie pozwalalibyśmy na niczyje dla nas poświęcenie, anibyśmy żądali ofiar z cudzego „ja.“ Oto zasadnicza sprzeczność współczesnéj moralności, uczącéj z jednéj strony: Wyrzeknij się samego siebie i przynieś ze siebie ofiarę; a nakazująca z drugiéj strony: Przyjmuj ofiary i korzystaj z nich (utylitaryści).

Współczesny człowiek wyrokuje: to jest dobre i wnioskuje: tak więc należy uczynić. Wywnioskowany z założenia takiego czyn zwie się moralnym. Co powiedziało człowiekowi temu, że czyn ów jest dobry? „Sumienie,“ które nigdy niemoralnie nie radzi. Tymczasem i sumienie nie jest czémś bezwzględném i nieomylném, zrodziło się bowiem z całego szeregu popędów, sympatyi, antypatyi, doświadczeń własnych i doświadczeń przodków, wogóle z całego szeregu nader nieuchwytnych czynników i składników.

I w mózgu dzisiejszych ludzi zaczyna świtać świadomość, że obecny stan świata jest stanem przełomowym, że pojęcia i poczucia uledz muszą zmianie, że potrzebne są nowe cele, nowe dążenia, nowe ideały, któreby zdolne były zastąpić dotychczasowe wierzenia.

Wartości współczesne koniecznie muszą być zmienione. Ludzkość ocknąć się musi, wyrwać z ciasnego koła dotychczasowych swych pojęć pseudo-moralnych. Nietzsche podejmuje się wskazać jéj drogę do tego. Podobnie jak w pierwszéj epoce, tak i obecnie celem jego są nowi ludzie i nowa kultura. Za zasadniczy instynkt działania ludz-

kiego uważa — wolę ku władzy. Jest to jego zdaniem siła poruszająca w historyi, w życiu prywatném, w narodach i w osobnikach, jest to popęd zasadniczy, warunkujący wszystkie inne popędy ludzkie, „nić Aryadny w labiryncie duszy ludzkiéj.“ Z tego założenia wychodząc, Nietzsche pojmuje psychologię jako morfologię i naukę o rozwoju woli ku władzy. Afekty: nienawiść, zazdrość, chciwość, dążność do panowania są integralnemi i koniecznemi częściami składowemi gospodarstwa życiowego, one bowiem życie warunkują. Należy je przeto zwiększyć, dążąc do rozwoju i podniesienia życia. Żadnéj moralności nie uda się uczynić z ludzi jagniąt, nie znających rogów i duszących się we wzajemnéj miłości, bo stanie temu na przeszkodzie — wola ku władzy.

W celu dojścia do nowych ludzi i nowéj kultury, Nietzsche szuka sobie nowych dróg i nowych krajów. „Dlaczego koniecznie w tym jednym kierunku, w którym dotychczas zachodziły wszystkie słońca ludzkości? Może kiedyś powiedzą o nas, że, płynąc na Zachód w nadziei odkrycia jakichś Indyi — rozbiliśmy się o — nieskończoność. ...Albo bracia moi... albo?...“ [1]). Drogę ową wyznacza w trzech dalszych dziełach tego okresu p. t. „Tak rzekł Zarathustra“ [2]), „Poza kresem dobra i zła“ [3]) i „Przyczynki do genealogii moralności“ [4]).

Najważniejszém z trzech tych dzieł jest „Tak rzekł Zarathustra.“ Pisane w stylu Zend-Avesty, zawiéra ono całą naukę Nietzschego, wypowiedzianą w tonie proroczym, pewnym zwycięstwa, w słowach twardych, jak granit, a potężnych i świetlanych, niby grzmoty i błyski. Zaznaczyć należy, że nauki Nietzschego, zwłaszcza ostatnio wymienione dzieło, bywają uważane jako wyraz mistycyzmu. Naszém zdaniem, Nietzsche téj epoki nie jest mistykiem, lecz jednym z najgenialniejszych filozofów, patrzącym intuicyjném okiem geniusza w przyszłość, wcielającym przyszłość tę w siebie a siebie — w nią. Jest on nadto, o ile to się odnosi do Zarathustry, jednym z największych poetów niemieckich a nawet jednym z największych poetów świata. Zarathustry nie należy tedy oceniać jedynie ze stanowiska nauki i filozofii, bo ocena taka byłaby połowiczną, lecz równocześnie ze stanowiska poetyckiego. Zarathustra jest dziełem sztuki — podobnie, jak dziełem sztuki jest Faust Goethe'go. Nie znaczy to bynajmniéj, byśmy go stawiali na równi z Faustem, owszem

---

[1]) „Morgenröthe,“ str. 363.

[2]) „Also sprach Zarathustra.“ Ein Buch für Alle und Keinen.

[3]) „Jenseits von Gut und Böse.“ Ein Vorspiel zur Philosophie der Zukunft.

[4]) „Zur Genealogie der Moral.“

stoi on nieskończenie wyżéj od tegoż, jest bowiem najpotężniejszym dotąd tworem umysłu niemieckiego. Nietzsche tchnął w Zarathustrę cały ideał przyszłości, jaki nosił w sercu, przedstawił w nim w najpoetyczniejszych barwach człowieka nowéj kultury. Ponieważ sam powiada, że zrozumiéć może Zarathustrę ten tylko, kto tętnem krwi własnéj odczuł każde jego słowo, więc gromada okrzyczała go chórem — zarozumialcem — waryatem. Z miną wielkiéj skromności jęto głosić: nic z tego nie rozumiemy, boć to waryat stworzył. My natomiast jesteśmy zdania, że nie waryat pisał Zarathustrę, lecz człowiek, który siebie samego poznał i który, ganiąc w obecnéj moralności fałszywą skromność, pierwszy dał przykład moralności nowéj — nie zabraniającéj jednostce samooceny. I zdaje nam się daléj, że kto pojął ducha kilku bodaj myśli Zarathustry — należy do ludzi lepszych, umysłem wyższych.

Nietzsche jest zwolennikiem teoryi Darwina, nie widzi więc żadnéj przyczyny, dla któréjby człowiek miał być najwyższym szczeblem rozwoju, dla któréj zamknąćby się na nim miała ewolucya przyrody. Wierzy przeciwnie, że ze zwierzęcia „człowiek“ rozwinie się wyższy gatunek, który oznacza nazwą nadczłowieka. Z ludzi obecnych, żaden nie stanie się nadczłowiekiem, podobnie, jak z małpy człowiek się nie zrodził; lecz największy z pośród ludzi geniusz będzie przejściem do owego wyższego gatunku: geniusz taki stworzy nadczłowieka. Już w pierwszéj swéj epoce twierdził Nietzsche, że celem ludzkości jest wydawanie geniuszów i umożliwienie im istnienia. Geniusze to niby matereryał wybuchowy, w których nagromadził się ogrom siły. Ich założeniem historyczném i fizyologiczném jest składany, zbiérany, oszczędzany i wydatkowany na nie przez długie lata materyał. Tylko z takiego ogromu siły powstać może wszechgeniusz — z niego zaś — nadczłowiek. W Zarathustrze Nietzsche staje się mistrzem i apostołem w jednéj osobie, dłonią ugniata tysiącolecia — niby wosk, z podwyższenia spogląda na dotychczasowe tory ewolucyi i według woli swéj kieruje przyszłą jéj drogą.

Opowiedziéć treść Zarathustry to znaczy opowiedziéć blask słońca, woń kwiatów, huk bałwanów... Zarathustrę czytać i odczytywać gotówem bez końca.

Kiedy Zarathustra miał lat trzydzieści, opuścił swą ojczyznę i powędrował w góry. Przez lat dziesięć rozkoszował się tam swym duchem i samotnością. Lecz w końcu nagromadził takie skarby ducha, że był jak pszczoła, która zbyt wiele zebrała miodu i pożąda rąk, któreby jéj miód ten odebrały. Wraca więc między ludzi, by dać im mądrość, by uczyć ich i wychowywać. Po drodze spotyka

staruszka świętego, któremu zwierza się ze swoich zamiarów, wyjawiając, że niesie ludziom podarek. Stary usiłuje go wstrzymać, radząc by ludziom conajwyżéj dał jałmużnę i to, skoro go o nią poproszą. „Nie daję jałmużny — odpowiada Zarathustra — na to nie jestem dość biédny.“ Idzie więc daléj i przybywa na targowisko, gdzie przemawia do ludu: nauczam was nadczłowieka, bo człowiek jest czémś, co przezwyciężyć należy. Wszystkie zwierzęta stworzyły gatunki od siebie wyższe — ażaliż chcecie być odpływem téj wielkiéj fali i wrócić raczéj do zwierzęcia, niż przezwyciężyć człowieka?.. I mówi im o życiu i śmierci i o ostatnim człowieku. Lud śmieje się z Zarathustry. Odchodzi więc smutny, idzie przed siebie bez celu, aż przybywa do lasu, gdzie siada i zasypia. Zbudziwszy się, rzecze do swego serca: nie do ludu mam mówić, bo nie chcę być trzody pasterzem i psem. Wiem, że życie jest źródłem rozkoszy, lecz gmin zatruł to źródło wyziewami swojemi. Wiem, że nie niejeden, rzucając życie, rzuca tylko gmin. Ziemia pokryta jest skórą, skóra zaś ta, pokryta jest wrzodami. Jednym z takich wrzodów jest gatunek ludzi tych, których jest „aż zanadto.“ Gdzie kres samotności, tam zaczyna się targowisko, wrzask kuglarzy i brzęk much jadowitych. Nie do ludu więc mówić będę, lecz do towarzyszy. Odciągnę ich od trzody, nienawidzącéj osobnika, który łamie ich wartości, który tworzy. Znalazłszy towarzyszy, zasiada wśród nich i zwierząt swoich: węża i orła, i tak zaczyna swe nauki. Wszelki świat transcendentalny jest tylko dziełem człowieka, jego cierpień i niemocy — końca, spoczynku pragnącéj. Wmówiono w ludzi brak wartości w świecie, brak piękna w życiu i brak znaczenia ciała: uwierzyli, kochając je jednak mimo to bezwiednie. Niechże świadomie czynią, co dotychczas nieświadomie czynili, niech posiądą zdrowe ciało i niechaj je miłują. Człowiek dzisiejszy to zbiorowisko słabości, kłębek dzikich wężów (instynktów); gdy choruje, napada go owe zło, które dziś złém zowią. Gdy chory, chcąc innym ból sprawić tém, co jego samego boli, popełni czyn jakiś, piętnują go nazwą zbrodniarza. Nie takimi niech będą ludzie: niechaj będą odważni, bezwzględni, szyderczy i śmieli. Mądrość pragnie ludzi czynu, bo jest kobiétą i pożąda tylko bojowników. Liczni są ci, co znieważając ziemię i życie, śmierć wysławiają. Precz z nimi. Ani oni, ani ci, którzy im wierzą, nie będą drogą do nadczłowieka. W wędrówce po téj drodze, siły trzeba i walki, bowiem walka i odwaga większych rzeczy dokonały, niż miłość bliźniego. Wasza miłość dla bliźniego jest tylko niską miłością dla was samych. Chciałbym, iżby sprzykrzyli się wam bliźni i ich sąsiedzi, natenczas musielibyście stworzyć sobie sami przyjaciela... Jeden

z was ucieka się do bliźniego, bo szuka siebie, inny — bo chciałby się zatracić. Niska wasza miłość dla was samych czyni wam z samotności — więzienie. Miłość waszą dla „bliźniego“ opłacają „dalsi“: gdy zbierze się was pięciu, szósty umrzéć musi. Nauczam was tedy nie bliźniego, lecz przyjaciela, bo przyjaciel jest ucztą ziemi i przeczuciem nadczłowieka. Bliźni twoi będą zawsze niby muchy jadowite: cokolwiek w tobie jest wielkiém, jadu im jeszcze przysporzy. Nienawidzą wielkich, czując ich pogardę. Ludzie maskują, kryją się wzajemnie, nawet w przyjaźni: dlatego zniesławili otwartość. Ci ludzie nie są nawet jeszcze ludźmi: co u jednych jest dobrém, złém jest u drugich, każdy bowiem ma swoją odrębną tablicę wartości. Grecy mówili: „Bądź zawsze pierwszym, nikomu nie daj się wyprzedzić“ — a byli wielcy; „pycha jest grzechem, bądź najniższym a będziesz wywyższon“ — mówił inny lud... Rzeczy same w sobie nie mają tedy wartości, człowiek dopiéro wartość w nie wkłada, oznaczając ją wedle drogi, po któréj dąży d o w ł a d z y: to bowiem dążenie najwyższym jest w nim instynktem.

Za złe dobrém nie odpłacaj, bo to zawstydza: udowodnij raczéj temu, kto źle czyni, że dobrze ci czynił. Temu, kto ci złorzeczy, nie błogosław a złorzecz. Zemsta, kara, nagroda, odpłata — to pojęcia czcze, zgubne, ujawniające właśnie wolę ku władzy. I w uczonych tkwi ta wola: wolą ku prawdzie zwą ją oni; jest ona jednak tylko dążnością do posiadania wszystkiego, co istnieje. A sprawiedliwość? Téj nie ma: sędzia mówiący: „jestem sprawiedliwy“ (*ich bin gerecht*), zdaje się mówić: „jestem zemszczony“ (*ich bin gerächt*). A jakże brzydką jest owa osławiona dążność do równości! Ludzie nie są równi i równymi niechaj nie będą. Słabsi niech giną, bo tylko tam, gdzie są mogiły, będą zmartwychpowstania. Kto chce być twórcą, musi być wpierw niszczycielem—strzaskać musi tablice stare, by pozyskać nowe. W miazgę rozetrzéć musi owe pojęcia, które na tych dawnych tablicach nosiły nazwę dobra i zła, by stworzyć nowe wartości. „Bliźni“ nie przywykli do czynów śmiałych, przestraszeni hukiem burzonych gmachów, na krzyżu rozepną przestępcę. Lecz on będzie pierwszą błyskawicą nieba, na którém, niby słońce, wejdzie oko nadczłowieka. Ogień téj błyskawicy spali, jak słomę, dawne nauki o cnocie, szczęściu, dobroci, litości — spali i tych, którzy są nauk owych wyznawcami. Bo człowiek jest czémś, co przezwyciężyć należy, jest drogą, nie zaś celem, pomostem jest wiodącym do nadczłowieka.

Wola twoja niech będzie twojém prawem, a wolnym będziesz. Wolnym od szczęścia niewolników, wolnym od bałwanów i kultów,

nieustraszonym a strasznym, wielkim a samotnym. Gdy posiądziesz taką wolność i taką wolę, będziesz „prawdziwym.“ I zaludnisz ziemię wybranym narodem — nadludzi. „O wolo moja — śpiéwa Zarathustra—zwrotnico wszelkiéj niedoli, konieczności moja! Uchroń mnie przed wszystkiemi małemi zwycięstwami, i nieubłaganą bądź w zwycięstwie twojém: iżbym w godzinę wielkiego południa dojrzałym był i gotowym, gwiazdą był iskrzącą się, a przeszytą niszczącemi promieniami słońca—słońcem samém i nieubłaganą jego wolą, gotową do niszczenia w zwycięstwie. O wolo, zwrotnico nędzy, konieczności moja, przygotuj mnie do wielkiego zwycięstwa“...

A gdy nadeszła owa godzina, godzina, w któréj Zarathustra ukończył siejbę wielkiéj niwy przyszłości, opuścił swoją jaskinię, niby żar i siła, niby słońce poranne, wschodzące z za ciemnych gór...

A opuszczając ją, rzekł jeszcze: „Czyż staram się o szczęście, staram się o moje dzieło! Nadszedł mój poranek, już świta mój dzień: Wejdźże więc, wejdź, o wielkie Południe!....“

W dwóch dalszych pracach z tego peryodu, wymienionych już dziełach: „Poza kresem dobra i zła“ i „Przyczynki do genealogii moralności“ Nietzsche opracowuje jeszcze myśli złożone w Zarathustrze.

Powtarza, że pojęcia dobra i zła nie są czémś stałém, daném, niezmiennném, że nie są téż przeciwieństwami, jak sądzili przez długie wieki filozofowie i jak dziś jeszcze ludzkość sądzi. Powstały i rozwinęły się one, a sposób ich powstania i rozwoju daje nam najlepsze wskazówki dla dalszéj ewolucyi moralności i dla ewolucyi rodu ludzkiego. Badając wszystkie moralności, które dotąd panowały i jeszcze panują, Nietzsche znajduje pewne rysy peryodycznie powracające i ze sobą połączone. Krystalizuje z nich dwa typy zasadnicze: moralność panów i moralność niewolników. Typy te nie zawsze występują czysto, bo pojawiają się téż usiłowania znalezienia pomiędzy nimi drogi pośredniéj, co więcéj, dostrzedz nawet można pomieszanie obu typów—nawet w jednym człowieku. Wartości moralne powstały bądź wśród kasty panującéj, bądź wśród podległéj. „W pierwszym wypadku, kiedy kasta panująca określa pojęcie „dobro“—podniosłe, dumne stany duszy uważane bywają jako stanowiące o wybitności i wysokości szczebla społecznego. „Pan“ odłącza od siebie istoty, w których objawia się przeciwieństwo takich podniosłych, dumnych stanów duszy, pogardza niemi. Należy tu zważyć, że w tym pierwszym gatunku moralności przeciwstawienia „dobry“ i „podły“ znaczą tyle, co „zacny, szlachetny, pański“ i „pogardy

godny": — antyteza „dobry" i „zły" innego jest pochodzenia. Przedmiotem pogardy bywa tchórz, lękliwiec, jednostka drobiazgowa, o własnéj tylko myśląca korzyści, przedmiotem pogardy w równym stopniu bywa niedowiarek o skrytém spojrzeniu, osobnik poniżający się, człowiek psiego gatunku, dający sobą pomiatać, żebrzący pochlebca, a przedewszystkiém kłamca: zasadniczém wierzeniem arystokratów jest, że gmin jest kłamliwy. „My prawdziwi, synowie prawdy" — mówili o sobie w starożytnéj Grecyi arystokraci. Na pierwszym planie stoi tu uczucie żywotności, tryskającéj potęgi, szczęście wysokiego napięcia duchowego, świadomość bogactwa, które pragnie darzyć i oddawać: — i pan wspomaga nieszczęśliwego, lecz wcale, albo prawie wcale nie z litości, lecz z wewnętrznego popędu, rodzącego się z nadmiaru władzy" [1]). Kasta panów tworzy więc wartości.

Inaczéj naturalnie dzieje się, jeśli wartość określają podlegli, uciśnieni, niewolnicy. Spostrzegamy natenczas pesymistyczną niewiarę w stan człowieka, a może odsądzenie człowieka wogóle od wartości. Niechętnie patrzy niewolnik na cnoty i zalety możnych, nie chce wierzyć w ich szczęściodajność i wyszukuje wszystko, co uciśnionym byt ułatwia i osładza. Tu już spotykamy cenienie litości, usłużności, dobrego serca, cierpliwości, pilności i pokory. Moralność niewolników jest zatém istotnie moralnością utylitarną. Oto ognisko, w którém powstało owo słynne przeciwstawienie: „dobro" i „zło". Z słabości robi się tu zasługę, — z niemocy, która nie odpłaca — dobroć, z bojaźliwéj podłości — pokorę, konieczność stania u drzwi, konieczność czekania wytwarza — cierpliwość. Jakże oryginalną jest osłoda tych cierpień! Niewolnik mówi, że nędza jego jest odznaczeniem ze strony bóstwa: bije się przecież i psa, najbardziéj nawet lubionego... A może ta nędza jest przygotowaniem, próbą, czémś, co kiedyś z ogromnym procentem zostanie zapłacone i wyrównane.

Cały dotychczasowy swój rozwój człowiek zawdzięcza jedynie społeczeństwom arystokratycznym, które to społeczeństwa stale wierzą w liczne szczeble stanowisk społecznych i w różnicę wartości między człowiekiem a człowiekiem. Tak téż i nadal będzie. „Bez owego patosu odległości, który jest wynikiem odwiecznéj różnicy stanów, ciągłéj, wyniosłéj pogardy kast panujących względem poddanych i narzędzi i równie ciągłego ćwiczenia się w słuchaniu i wydawaniu rozkazów, poniżaniu i trzymaniu niższych zdala: — bez patosu tego nie mógłby

[1]) „Jenseits von Gut und Böse", str. 229.

powstać ów inny patos, patos bardziéj tajemniczy, owa żądza rozszerzenia przestrzeni nawewnątrz duszy; wytwarzanie coraz wyższych, rzadszych, dalszych, szerzéj rozpiętych, obszerniejszych stanów, słowem: wzniesienie typu „człowiek“, dalszy ciąg „samoprzezwyciężania“ się człowieka, by użyć formułki moralnéj w znaczeniu nadmoralném“ [1]).

Zaznacza przytém Nietzsche, że ma na myśli arystokracyę nie taką, która się uważa za funkcyę monarchiczną albo społeczną, lecz taką, która widzi w sobie najwyższą *myśl* społeczności.

W historyi Nietzsche odróżnia trzy epoki, w których nastąpiło wywyższenie rodzaju ludzkiego: klasyczną starożytność (Grecya i Rzym), włoskie Odrodzenie i Francyę arystokratyczną do XVIII-go wieku. Charakterystycznemi cechami każdego takiego wieku złotego są: 1) odwaga do zmysłowości—w najlepszém tego wyrazu znaczeniu, szczera wiara w świat doczesny i jego wartość życiową i 2) porządek stanowisk społecznych, różnica pomiędzy ludźmi wyższymi a niższymi i kult potężnéj osobistości—jako takiéj. Na upadek każdego z tych wieków złotych składały się najrozmaitsze okoliczności, które wywołały ostatecznie anarchię instynktów w jednostce i anarchię w życiu społecznem. Upadek takiéj epoki sprowadza zawsze powstanie niewolników w moralności. Po upadku następowała reakcya, zniżenie albo bodaj wstrzymanie rozwoju typu „człowiek.“

Reakcyą taką dla starożytnego helenizmu był sokratyzm, dla Rzymu—chrystyanizm, dla Odrodzenia — reformacya, a dla okresu Ludwika XIV—rewolucya francuska.

Powstanie niewolników w moralności datuje się od żydów i ich religii; epoką ostatniego wielkiego powstania niewolników jest rewolucya francuska. Rezultatem jéj jest, że moralność nasza obecna jest *moralnością trzodowców*, moralnością demokratyczną, mającą początek w chrześciaństwie. Demokratyzm jest ostatnią odnogą plebejuszowstwa. Z niego to zrodził się dekadentyzm, owa denerwująca trucizna, która czyni ludzi słabymi i pozbawia ich zdolności do czynu. Choroba ta wzmaga się coraz bardziéj, czego dowodem „coraz wścieklejsze wycie i coraz śmielsze szczerzenie zębów psów anarchistycznych, biegających teraz przez wszystkie ulice kultury europejskiéj. Pozornie tworzą oni przeciwieństwo do spokojnie pracujących demokratów, głupkowatych pseudofilozofów i marzycieli o braterstwie, zwących się socyalistami: w rzeczywistości jednak są tém samém, co i tamci w gruntownéj i instyktownéj wrogości dla

---

[1]) Jenseits von Gut und Böse“, str. 225.

wszelkiéj formy społecznéj, która nie jest formą autonomicznéj trzody — we wierze w ogół, jako w zbawcę, we wierze więc w trzodę, w „siebie“... [1]).

Nowa moralność uczyni z człowieka osobę i dobro téj osoby mieć będzie na oku. To więcéj, aniżeli owe litościwe uczucia i czyny na korzyść innych; przesadzi go znowu na grunt natury, nauczy go zapanować nad wszystkimi komentarzami i interpretacyami, któremi dotychczas objaśniano autentyczny tekst „*homo natura*“; sprawi, że człowiek stanie wobec człowieka, jak stoi dziś, zahartowany przez wiedzę, wobec świata nadprzydzonego: z nieustraszonemi oczyma Edypa i zalepionemi uszami Ulissesa, głuchy na wszystkie przynęcające śpiewy ptaszników, którzy aż nadto długo wabili go nawoływaniem: jesteś więcéj! jesteś wyższy! jesteś innego pochodzenia! Jest to może zadanie dziwne, szalone, ale—zadanie“ [2]).

Kwintesencyą nowéj moralności jest zasada: Bądź twardym i życie kochaj nadewszystko.

Zaznaczyć należy dwie jeszcze pomniejsze prace Nietzschego: „*Götzendämmerung*“ i „*Fall Wagner*“. Pierwsza rozwija tylko niektóre myśli z dzieł wyżéj omówionych, druga—jest polemiką przeciwko Wagneryanizmowi i usprawiedliwieniem secesyi autora od Wagnera. W rękopisie -- niewydanym dotychczas — znajduje się jeszcze dzieło p. t. „Wola ku władzy“; część pierwsza „przewartościowania wartości“. Nadto Nietzsche jest autorem dość licznych utworów wierszowanych, ujętych w cykle: „Dytyramby Dyonizosa“, „Pieśni księcia Vogelfrei“, „Żart, podstęp i zemsta“, tudzież poematu „Z wysokich gór“. Wszystkie te utwory odznaczają się głębokim liryzmem i formą bogatą, a zupełnie oryginalną, która w Niemczech licznych już znajduje naśladowców. Wszystkie zachwycają wspaniałym rytmem i tonem, „*timbre*'m“, który przedziwną tworzy harmonię z nastrojem.

V.

Przedstawiliśmy *in nuce* całokształt dzieł Nietzschego. Niby gmach wzniesiony ręką tytana, powiązany cementem nieśmiertelnego geniusza, nauki Nietzschego—mojém zdaniem—stanęły wśród karlich wytworów ostatniego ćwierćwieku. W mroku zaświtały, niby słońce, na które gromada krzykaczy porwała się z motyką. „Nie na

---

[1]) „Jenseits von Gut und Böse“, str. 125—126.

[2]) W tém samém dziele, str. 179 i dalsze.

szczęściu mi zależy — mówił Zarathustra — lecz na dziele mojém.“ A tego właśnie darować mu nie może krótkowzroczny tłum, pragnący tylko szczęścia dziś, a nie myślący o dziele dla jutra. Z natury rzeczy, najzagorzalszymi przeciwnikami Nietzschego są socyaliści, czujący, że z posad poruszył całą ich w pocie czoła wysnutą teoryą. Radykalny arystokrata śmiał się zamierzyć wypieszczoną dłonią na wszystko to, czém znużoną, spragnioną spokoju trzodę, hypnotyzować i do reszty oszołomić chcieli! Rozjuszeni, zacietrzewieni, zapomnieli nawet o tém, że wróg ich pracował i dążył uczciwie, że téj saméj ludzkości, którą oni wrzekomo uszczęśliwić pragną, — on, mimo wszelkich zaprzeczeń miłości bliźniego, złożył w ofierze gorące serce i wielkiego ducha. Zapomnieli o tém, pamiętając jedynie, że jest ich wrogiem, że więc podziękowaniem, na które zasłużył, może być tylko bezcześć i zapomnienie... Nie ma błota, którémby go nie byli obrzucili, nie ma podłości, któréjby mu nie byli przypisali. To szaleniec, waryat, służalec kapitału, sybaryta, kochający rozkosz tak dalece, że w tém jéj umiłowaniu brzydził się nawet wspomnieniem nędzy i biédaka...

W Niemczech powstała cała literatura anti-Nietzsch'owska, która — z natury rzeczy — wywołała na widownię całą falangę Nietzsche'anistów. A w szeregu tych apostołów nauki wielkiego mistrza znajdujemy sam kwiat umysłowości germańskiéj i północnéj, wszystkich najwybitniejszych uczestników turnieju duchowego całéj zachodniéj Europy. Z pod ich pióra powstają arcydzieła poezyi znajdujące oddźwięk w każdéj prawdziwie artystycznéj duszy. Samotni nie są już sami, bo, starając się odnaleść siebie, znajdują w sobie towarzysza. Tak zagrzać, rozbudzić i uszczęśliwić potrafił—waryat... Zaprawdę dziwną jest, a może i nie dziwną wdzięczność tłumu.

Lecz z socyalistycznych przeciwników Nietzschego żaden jeszcze nie pokusił się o rzeczową krytykę jego teoryi. Walczą przeciwko niemu epitetami, ogólnikami, nienawiścią, nie zaś krytycznym obiektywizmem. Inni — mniéj zacietrzewieni — zarzucają mu, że, zburzywszy w genialny sposób gmach współczesnéj moralności i wykazawszy konieczność ewolucyi w tym kierunku, nie dał zarazem pozytywnego systemu. Zarzut ten nie ma żadnego uzasadnienia: wychodząc z zapatrywania, że moralność nie jest stałą i niezmienną, Nietzsche nie mógł dać na nią recepty, recepty na wieczne czasy w rodzaju téj, którą dziś usilujemy zażegnać wszelkie niedomagania naszego sumienia. Jego nowa tablica wartości zawierać więc może i zawiéra téż tylko wytyczne ewolucyi moralnéj.

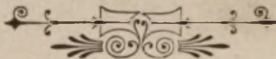
Powiedzieliśmy już, że przy rozbiorze dzieł Nietzschego uwzględnić należy nietylko ich podniosłą treść, ale i nową oryginalną formę.

Nietzsche jest najgenialniejszym twórcą aforyzmu: „aforyzm, sentencya, w których, jako pierwszy z pośród Niemców, mistrzem jestem—mówi sam o sobie—są formami wieczności. Ambicya moja polega na wypowiedzeniu w dziesięciu zdaniach tego wszystkiego, co każdy inny wypowiada w książce całéj,—czego każdy inny w książce *nie* wypowiada“ [1]). Słowa jego płyną już to niby fale morza rozgrzanego przez życiodajne promienie słońca, już to niby srebrzyste światło zawieszonego na obłoku księżyca, już to niby przecudna woń kwiecia po majowym deszczu, już to niby tony strun, poruszanych lekkiém tchnieniem powiewu. Słowa jego — to szum, blask, woń, śpiéw: cała symfonia świateł i dźwięków, barw i odcieni. Niby zręczne sylfidy, poruszają się litery, niebaczne przeszkód, niebezpieczeństw, jakie w oceanie myśli mistrza swego napotkać mogą... Zręcznie ominą wszystkie zapory, wytwarzając wokoło siebie atmosferę piękna i harmonii. Nietzsche stworzył nowy język, którym, bodajby jęli się posługiwać bracia Atta Trolla.

Ukochał ludzkość—w przyszłości. O pięknéj, wzniosłéj przyszłości marzył, pożądał jéj, żyjąc nadzieją, że nadejdzie.

„O, błogosławiona godzino Błyskawicy: uczynię z ludzi latające ognie, apostołów uczynię z nich, o językach z płomienia... Zwiastować będą kiedyś mową z płomienia: nadchodzi, bliskiém już jest — wielkie Południe...“

Dr. Garfein.



---

[1]) „Götzendämmerung“ oder „Wie man mit dem Hammer philosophirt“, str. 129.



SIELANKI.

(PLEIN-AIR).



I.

Za chróścianym, gęstym płotem
Rosną — kwitną słoneczniki;
Płoną — gorą licem złotem
Wiejskich sadów latarniki.

I za słońcom — jasnem słońcem
Niby czarem tknięte dążą;
Krągłem licem gorejącem
Bezustannie — zwolna krążą.

Ja — na łożu traw zielonem
W pół marzeniu, w pół uśpieniu,
Pod szerokim, starym klonem
Leżę — krążę — szukam cieniu.

Krążę wciąż za cieniem — mrokiem,
Jakbym drżał na słońca blaski:
Słoneczniki drwiącem okiem
Patrzą na me wynalazki.



II.

Ciężko patrzeć w letnie słońce:
Płomieniami z nieba wali —
Rozpalone i palące,
Niby w ogniu sztaba stali.

A ma blaski takie jasne,
Że, gdy zamkniesz od nich oczy,
Widzisz ogniów koła kraśne
Lub fioletów deszcz uroczy.

Gdy rozwarta twa powieka,
Ujrzysz tarcz śród firmamentu,
Rospaloną aż do mleka,
Co ma blaski dyamentu.

W okół tarczy mgły przejrzyste
Od promieni jéj odbite,
Pół bezbarwne, pół srebrzyste
Niby strugi dżdżu obfite.

A przez niebo, przez lazury,
W nieskalanéj płyną bieli
Białośnieżne, drobne chmury,
Jak łabędzie lub anieli.

I znów kryję się pod klonem,
Znów się kładę w chłodnym cieniu
I po niebie niezmierzonem
Wiodę okiem w pół marzeniu.

III.

Dość już nieba! Dość błękitu!
Straszno patrzéć w nieskończoność —
Drobniejszego chcę zachwytu —
Ach zieloność, tu zieloność...

I przyparłem wzrok do ziemi,
Trawa bujna tu rozkwita —
Kwiaty różnobarwistemi
Przedziergana i okryta.

Na murawie tu się ściele
Pod cieniami mego drzewa
Różna trawa — różne ziele —
Tymotejka i kostrzewa.

Śród piołunów i łopuchów —
Niby śniegu białe płaty,
Albo łoża białych puchów,
Dzikiéj marchwi białe kwiaty.

Złote jaskry, fioletowe —
Gęste kępy macierzanki,
Rzadsze maki purpurowe:
Pleść je w wianki dla kochanki.

Ponad szumem traw i zgiełkiem
Nad wysoką — nad dziewanną —
Drga skrzydełkiem, niby szkiełkiem,
Złota ważka — zwana panną.

Drobny wietrzyk trawę chyli
I po licach muska kwiaty —
Nadpowietrzny rój motyli
Pląsa po nich w tan skrzydlaty.

W cieniu trawy niewidzialne
Rozmawiają ziół mieszkańce —
Toczą boje tryumfalne,
Lub zawodzą raźne tańce.

Wielką rzeszą — idą — śpieszą
Na igraszki, czy na boje:
Tak mnie bawią — tak mnie cieszą,
Dzieci łąki — dzieci moje!

Na gałęziach w drzew zieleni,
Skryci łąki méj śpiewacy,
Uskrzydleni, — a natchnieni
Śpiewają mi gwarni ptacy.

IV.

Milczcie — milczcie! moje ptaki
Brzmi harmonika harmonik,
Dzwoni śpiewak nad śpiewaki,
Śpiewak lata pasikonik.

Niewidzialny w gąszczu trawy
Przed gawiedzią łąk natrętną
Gdzieś się ukrył, jak wieszcz prawy,
I brzmi pieśnią swą namiętną.

Ach, jak płacze — jak zawodzi,
Zrywa serce swe sieroce,
Skrzydełkami takty godzi:
Smutneż jego dni a noce!

I powietrzną toń przebija
Namiętnością, ogniem, szałem
Niespokojna melodya
Niewidzialnem wstrząsa ciałem.

Naprzód dziwna ta ballada
Drga oderwanemi tony —
Później tryska, jak kaskada,
W dźwięk stłumiony — nieskończony!

I rospiera, i rozdziera,
I upaja, i przestrasza —
I tęsknoty nam otwiera,
I do marzeń nas zaprasza!

I zdumiewa — i kołysze!
W tém jéj druga brzmi, jak echo —
Aż zamilkły. Śpiewak dysze
Pieszczotami i uciechą.

Stary klonie — dobry klonie,
Ileż dumań tchnąłeś we mnie!
Ile pieśni w mojém łonie,
Obudziłeś potajemnie!

Gdybyś dał mi stary klonie,
Pierś i głos pasikonika
I namiętną ich harmonię
Cudnaż byłaby muzyka!

Daj mi stary — dobry klonie,
Taką moc i takie echo!
Ja ci taką pieśń zadzwonię,
Że pod każdą zabrzmi strzechą.

V.

Jaka cisza! Cisza kołem —
Południowe łąk milczenie:
Tylko czasem brzmi za siołem
Psów szczekanie — krów ryczenie.

Słońce pali, słońce gore —
Ziemia w blasku aż omdlewa,
Ledwie dysząc — napół chore,
Usypiają w żarach drzewa.

Rozżarzony promień słońca
Ich zielone listki pieści,
Pocałunkiem srebrnym trąca:
Żaden liść nie zaszeleści.

Nie szeleści nic w tém senném,
Nieruchomém oślepieniu,
W tém płomienném, w tém promienném,
Jednostajném oświetleniu.

VI.

Na około mur zieleni,
W amfiteatr ułożony —
Sto zieleni, sto odcieni —
Różne barwy, różne tony.

Zieleń srebrna, zieleń złota,
W szary popiół, w biel odziana —
Kirem smętna jak sierota,
Lub w błękitach wykąpana.

W téj zieleni srebra tyle —
Bieli — kiru — a błękitu!
Tu szmaragdy w złotym pyle,
Albo ściany malachitu!

Owdowiałe bzy na dole,
Brzozy w szatach z białéj kory,
Stare dęby — i topole,
Młode olchy — i sokory.

Jesion jasno malowany,
Jarzębiny — i kaliny,
I akacye — i kasztany,
I gdzieniegdzie téż choiny.

Wszystkie stoją tak milczące,
Nieruchome przez te żary,
A pośrodku niby słońce —
Usnął dobry klon mój stary.

VII.

Słońce zeszło z niebios szczytu
Po za kres amfiteatru,
Cień na drzewa padł z błękitu,
Wionął świeży oddech wiatru.

Wionął wiatr — i przerwał ciszę
I zaszumiał nad drzewami,
I gałęzie ich kołysze
I zapachy ich balsami.

Szumią — szumią — szumią drzewa
Szumem dziwnéj melancholii,
Szmer falisty brzóz się wlewa
W metaliczny jęk topoli.

Liść z akacyi pada złoty,
Dąb utraca swe żołędzie,
Klon zielone swoje sploty.
Jesień siatkę swą już przędzie.

Szumią — szumią — szumią drzewa
W różne jęki — w różne tony,
Każdy liść inaczéj śpiewa,
Różne szumy z różnéj strony.

Słuchaj co to za kantata!
Te adagia, planta, larga,
Dolorosa i irata:
Szmer — i szept — i łza — i skarga!

Szumią — szumią — szumią drzewa —
Różne szumy z różnéj strony,
Wszystkich szumów dźwięk się zléwa
W chór jedyny — nieskończony.

Wszystko w jeden chór się zléwa —
W cichych skarg i łez symfonię —
Powiédz, o czém szumią drzewa?
O czém, powiédz, stary klonie!

VIII.

Stary klon mi odpowiada,
„Minął — minął czas uniesień —
Mgła osiada — liść opada
Idzie jesień! idzie jesień!“

— „Jesień już? Lecz nie w naturze —
Chyba tylko w mojém sercu!
Lato jeszcze na lazurze —
I na kwietnych łąk kobiercu!..

Stary klon mi na to rzecze:
— „Jesień — jesień niedaleka —
Choć ogniste słońce piecze —
Drzewa czują śmierć, co czeka.

Stary klon mi rzecze na to,
Szepcząc liśćmi zielonemi:
Może w tobie jeszcze lato,
Ale jesień już na ziemi.

Spójrz pomiędzy dwie topole —
Jak przez okno pół otwarte —
Patrz w szerokie szczere pole,
Z złotych kłosów już odarte.

Nad polami szerokiemi
Jako białe trzy niebiany —
Lecą skrzydły rozwartemi
Het — wysoko trzy bociany:

Stary bocian z dwojgiem dzieci
Jakby obłok gonił srebrny,
W górę leci, w górę leci:
Lećcie, dzieci, w szlak podniebny!

Uczy dzieci swoje lotu —
Leci — płynie — leci — znika —
Bo przeczuwa dzień odlotu —
Bo pożegna wnet rolnika.

Już ci pole odpoczywa —
Snopy legły już w stodole:
Pokończone sute żniwa —
Nowa siejba czeka rolę!

Nowa siejba czeka łany —
Niechaj świeci im nadzieja!
Hej, ulecą wnet bociany
W dzień świętego Bartłomieja!

Więc choć słońce pali rżyska
Szumią — szumią smutne drzewa:
Że już jesień taka blizka —
I że wiatr ich liście zwiewa.

Zamilkł stary klon. Drzew liście
Przedjesienną drżą kantatą
Potoczyście — uroczyście...
Ach, czy we mnie jeszcze lato?

A. Lange.

Staw, we wrześniu 1892 r.





HOMER I TROJA.

W dziedzinie poezyi pojawia się geniusz bardzo rzadko, za to jednak zostawia po sobie niezatarte ślady. Gdy osoba genialnego poety i losy jego życia otulają się w coraz mglistszą zasłonę, w miarę, jak je od nas oddalają lata, to szlaki, które wskazał, jaśnieją pokoleniom, a utwór geniuszu zachowuje po upływie wieków tę samę świeżość, którą tchnął w chwili powstania. Najlepszy tego dowód mamy na Homerze. Śpiewak ten, o którego kolejach nie tylko my, lecz już Grecy epoki klasycznéj nie posiadali żadnych pewnych wiadomości, spędził żywot gdzieś pod błękitném niebem jońskich wybrzeży Małéj Azyi czy wysp sąsiednich i zstąpił do grobu, zabierając z sobą tajemnicę geniuszu. Z tego, co o nim wiedzieli jego współcześni, burze wieków obrywały liść po liściu, aż doszło do nas w końcu tylko gołe imię poety. Wobec tego nasuwa się pytanie: jakże się stało, że nie zaginęło to, co wyśpiewał, że pieśni jego nie spisane, lecz ustnie przekazane oparły się wichrom czasu, przetrwały przełomy dziejowe, przeżyły świetność Hellady i świata starożytnego i doszły do nas w całości, gdy tyle innych dzieł, wiekiem późniejszych, zaginęło? Bo że zachowały się starsze od Iliady Wedy, pojąć łatwo, były to bowiem święte księgi Indów; epopeje homerowe atoli księgami liturgicznemi nie były nigdy. Odpowiedź na powyższe pytanie nietrudna: w pieśniach tych tliła iskra geniuszu i ona to osłoniła je przed zamieciami, które tyle dzieł ducha i ręki ludzkiéj zmiotły z widowni świata. — Podobnie miała się rzecz z drugim wielkim poetą, któremu jednemu po Homerze przysługuje miano geniusza: Szekspirem; i o osobie wielkiego angielskiego dra-

maturga skąpe tylko doszły nas wiadomości, dzieła zaś jego błyszczą i dziś całym blaskiem pierwotnéj świetności.

Na czémże—zapytamy—polega ta genialnośń Homera? Bo że w sposób barwny i wspaniały odmalował potężne zapasy szczepu helleńskiego z ludami małoazytyckiemi, że wracającego z pod Troi bohatera wplątał w cały łańcuch najdziwniejszych przygód tak, że poematy jego opromieniały nietylko fantazyą Greka, ale i nam, mimo że czasem dalsze, przedstawiają się za młodu jako szereg cudownych scen bojowych i czarowny świat baśni, — to wszystko nie wystarcza jeszcze, by Homera uważać za geniusza. Tak. Genialność Homera zasadza się na czémś inném. Składa się na nią wiele rzeczy, ale jedna z nich jest główną, tak dalece, że jużby ona sama mogła nadać poecie jońskiemu prawo do tytułu geniusza. Jest nią pomysł artystycznego ugrupowania poplątanego opowiadania około jednego wypadku. Gdyby do Iliady zabrał się był talent, nie geniusz, byłby przedstawił zdarzenia porządkiem chronologicznym: byłby opisał, jak Parys przybywa do Sparty i porywa żonę króla Menelaosa, jak książęta greccy ruszają na wyprawę, by pomścić znieważone prawa gościnności, byłby kreślił dzieje wojny od pierwszego do dziesiątego roku, i w końcu powstałby był z tego wielki może poemat, w który wchodziłby szereg scen bojowych, same przez się bardzo wspaniałych i znakomitych, ale nie mielibyśmy jeszcze wielkiéj epopei. Na to potrzeba było geniusza; geniusz dopiero w wielości umiał znaleść jedność i otworzyć szlaki dla poezyi następujących wieków. Wielkość poety greckiego polega na tém śmiałém zerwaniu z niewolniczym porządkiem chronologicznym, na zręczném wynalezieniu węzła, około którego skupiają się wszystkie wypadki jakby około swéj osi. Była to myśl tak wielka,—zwłaszcza gdy zważymy, że rzuconą została na tysiąc lat przed Chrystusem, kiedy poezya grecka była jeszcze w kolebce a cywilizacya w zarodku — iż w dziejach poezyi nie spotykamy drugiéj równie doniosłéj. Wypadkiem tym, około którego grupuje się reszta zdarzeń w Iliadzie, jest gniew Achillesa. Poróżniwszy się z Agamemnonem o brankę, bohater grecki usuwa się od walki; Achajom zaczyna się niepowodzić; trzeci już dzień, mimo wysiłków najdzielniejszych bohaterów, spadają na nich same tylko klęski. Wówczas Patroklos wdziewa zbroję Achillesa i rusza do walki, z któréj już nie wraca. Na wieść o śmierci drogiego przyjaciela zbroi się Achilles i zapominając o urazie, rzuca się w wir walki. Na sam jego widok pierzchają Trojanie, nawet Hektor nie ma odwagi stawić mu czoła, a gdy zmuszony koniecznością przyjmuje walkę na śmierć lub życie, zostaje w niéj

pokonany. Śmierć jego rozstrzyga o losach Troi. — Z tém jedném zdarzeniem artystycznie powiązane są wszystkie inne, zarówno współczesne jak dawniejsze, tak że w biegu opowiadania poznajemy dzieje całéj wojny od samego jéj początku.

Z innych niezwykłych zalet poezyi homerowéj podnieść wypada niedościgłą obiektywność, sprawiającą, że w poemacie ginie zupełnie osoba jego twórcy a występują tylko zdarzenia, osoby i rzeczy, że te zdarzenia, osoby i rzeczy traktowane są wszystkie z równą starannością i szczegółowością bez względu na to, że jedna może być ważniejszą od drugiéj; — podnieść daléj wypada cały sposób pojmowania świata zewnętrznego, dak dalece różny od naszego sposobu zapatrywania się nań; — wreszcie szeroką skalę uczuć, od najdelikatniejszych do najgwałtowniejszych. Marzenia miłosne królewny, głębokie przywiązanie małżonki, z dziecięciem na ręku żegnającéj ruszającego w wir walki męża, wzruszająca do głębi braterska przyjaźń dwu młodzieńców, nieprzejednany gniew z powodu doznanéj obrazy obok litości nad sędziwym rodzicem zamordowanego nieprzyjaciela, kiedy ten przychodzi błagać z pokorą zwycięzcę o wydanie zwłok drogiego syna,—to są dźwięki które genialny śpiewak mistrzowską ręką umie dobywać ze strun swéj harfy. Charaktery, tak rozmaite, że nie znajdziesz między nimi dwóch do siebie podobnych, wyrzeźbione są z taką plastycznością, że nie ma poematu, któregoby osoby wbijały się w pamięć tak głęboko i z taką siłą jak postaci homerowe. Postaci te tak są prawdziwe, tak żywe, że zdają się być fotografiami ludzi żyjących, a tak świeże i młode, jak świeżym i młodym był ten świat, w którym żyły, jak świeżą i młodą była cywilizacya, która je wydała. Żywe i gwałtowne usposobienie młodocianego narodu splotło się tu z pogodą i poezyą świata helleńskiego w jedną harmonijną całość; lazurowe niebo i lazurowe wody wybrzeży jońskich odbijają się w poemacie jak w zwierciedle; nawet nad scenami wojennemi unosi się pogoda ducha greckiego. Jakąż świetlaną błogością tchnie świat bogów, owych jasnych postaci olimpijskich, myślących i czujących jak ludzie, tylko od nich nieskończenie potężniejszych! Bogactwo treści łączy się ze sztuką przedstawienia w doskonałą całość. Pieśni Homera bowiem nie przedstawiają eposu czysto ludowego; obok żywiołu ludowego występuje w nich już w wysokim stopniu sztuka.

Jeżeli porównamy „Iliadę” z „Odyseją”, spostrzeżemy między obu poematami pewne różnice. Pominąwszy te, które dadzą się sprowadzić do odmiennego tła, widzimy przedewszystkiém, że w „Odysei” cywilizacya postąpiła naprzód: obyczaje w niéj łagodniejsze, kultura

wyższa, dobrobyt i dostatek większe niż w „Iliadzie". Obok różnic społecznych widoczne i różnice polityczne: władza królewska bardziéj tu ograniczona, szlachta zajmuje wobec króla stanowisko samodzielniejsze. I religia straciła w „Odysei" charakter, który miała w „Iliadzie": Olimp oddalił się od ziemi, bóstwa stały się mniéj ludzkiemi, więcéj powietrznemi, stosunek ich do ludzi uległ zmianie. To téż opierając się na tych różnicach oraz na pewnych drobnych sprzecznościach między obu poematami, wystąpili już za czasów aleksandryjskich uczeni, nazwani chory zontami, z twierdzeniem, że „Iliada" i „Odyseja" nie są dziełem tego samego poety. Zdanie ich odrzucił jednak znakomity krytyk i uczony aleksandryjski Arystarch, wychodząc z założenia, że różnice i sprzeczności mają podrzędne znaczenie wobec podobieństwa całego tonu, sposobu przedstawienia i ogólnego charakteru obu poematów, wobec zgodności języka i wiersza. Różnicę, zachodzącą między obu poematami, Arystarch tłómaczył tém, że Homer napisał „Iliadę" w młodości, „Odyseję" w wieku podeszłym. Zarzuty choryzontów nie były pozbawione słuszności, ale i apologia wiekowéj tradycyi, podjęta przez Arystarcha, wiele miała za sobą. To téż i dzisiaj między pierwszorzędnymi uczonymi zdania w téj kwestyi są podzielone: jedni przypisują oba poematy Homerowi, drudzy uważają je za dzieła różnych poetów. Najwłaściwiéj postąpimy, jeżeli i w tym, jak w wielu innych przypadkach, wyznamy, że kwestyi téj stanowczo rozstrzygnąć nie jesteśmy w stanie.

Ale i w każdym z poematów z osobna znajdujemy sprzeczności. I tak na samym początku „Iliady" (I, 194) bogini Atena schodzi z Olimpu i ukazuje się Achillesowi, gdy zaraz niżéj (I, 423) poeta powiada, że bogowie dniem pierwéj udali się z Olimpu do kraju Etyopów.—W ks. V ginie Pylaimenes, w ks. XIII tenże Pylaimenes idzie za zwłokami syna. Sprzeczności te i inne im podobne dadzą się jednak w tak obszerném dziele wytłómaczyć; wszak spotykamy je i u nowszych pisarzy; znane są np. sprzeczności w „Orlandzie szalonym" Aryosta, w powieści Thackeray'a „*Vanity fair*", a nie brak ich i w naszym „Panu Tadeuszu". Jedne z nich uszły uwagi poety, o inne mógł się nie troszczyć, zwłaszcza że utwory jego wygłaszano nie w całości, lecz ustępami, tak, że słuchacze sprzeczności zauważyć nie mogli. Są jednak obok tych drobniejszych i ważniejsze sprzeczności, których poeta popełnić nie mógł przez prostą nieuwagę. Przytoczymy parę wybitniejszych. W ks. XI jest południe drugiego dnia walki; przez pięć następujących ksiąg poeta opisuje najrozmaitsze wypadki, z których każdy wymaga dłuższego czasu: walkę koło murów, zdobycie bram wśród zaciętego

oporu, zwycięstwo Trojan, bój około okrętów, walkę Patrokla z Trojanami. Po tych licznych wypadkach, których opis zajmuje przeszło cztery tysiące wierszy, czytamy w ks. XVI, że jest południe tego samego dnia.—Inna sprzeczność zachodzi między ks. XI a XIII; według téj okręty Ajasa znajdują się w środku obozu greckiego, według tamtéj ustawione są na samym jego końcu. — Jeszcze bardziéj uderza sprzeczność między ks. XI a XVI. W pierwszéj z nich Achilles wysyła Patrokla do namiotu Nestora, by się dowiedział o nazwisku rannego, którego Nestor wiezie do obozu. Nestor zaprasza przybyłego by odpoczął w namiocie, ale ten odmawia, tłómacząc się, że mu spieszno zanieść odpowiedź niecierpliwemu przyjacielowi. W drodze spotyka jednak rannego Eurypylosa, towarzyszy mu do namiotu, pozostaje tam przez cały czas walk, których opowiadanie ciągnie się przez cztery księgi, a gdy wrócił wreszcie do Achillesa nie tylko nie zdaje mu sprawy z polecenia, ale nawet słowem nie wspomina, że był od niego wysłany.

Podobnych sprzeczności jest w Homerze więcéj; tych już nie można wytłómaczyć zapomnieniem poety. Opierając się na nich oraz na różnicach w formie i treści, wystąpił przed stu niemal laty (po kilku dawniejszych próbach) uczony niemiecki Fryderyk August Wolf z twierdzeniem, że tak „Iliada" jak „Odyseja" nie są poematami jednolitemi, lecz że każdy z nich jest dziełem wielu poetów i płodem różnych czasów. Wychodził on przytém głównie z założenia, że za Homera pismo w Grecyi było nieznane, tak zaś obszerne poematy bez pomocy pisma powstać nie mogły. W czasach owych powstawały zdaniem Wolfa tylko krótkie pieśni; twórcami ich byli śpiewacy, t. zw. rapsodowie. Z takich mniejszych pieśni powstała „Iliada" i „Odyseja" w wieku szóstym za czasów Pizystrata, który wyznaczył osobną komisyą, by te pieśni zebrała i w całość złożyła. Tém tłómaczą się według Wolfa sprzeczności i różnice w poezyi homerowéj.

Twierdzenie Wolfa obudziło żywe zajęcie, zwłaszcza w Niemczech. Obok zwolenników znalazło wkrótce i przeciwników. Jedni i drudzy zajęli się przedewszystkiém dokładném poznaniem poematów Homera. Z czasem urosła olbrzymia literatura o téj tak nazwanéj „kwestyi homerowéj". Pojawiły się najrozmaitsze zdania i zapatrywania, poruszono wiele zagadnień, mimo stu lat badań, nie zdołano jednak dojść dotąd do ostatecznego porozumienia. Między najznakomitszymi uczonymi istnieje jeszcze dzisiaj różnica zapatrywań w wielu punktach. Nie pozostały atoli badania te bezowocnemi; w zasadniczych kwestyach panuje dzisiaj zgoda; wiele spornych

punktów wyjaśniono, inne dadzą się rozwiązać z biegiem czasu, w miarę postępu badań. Z góry jednak musimy się także przygotować na to, że wiele zagadnień pozostanie dla nas na zawsze ciemnych. W ogólności zapatrywanie nasze na poezye Homera zmieniło się z gruntu; dziś jest ono zupełnie inne niż było przed stu laty.

Z uczonych, którzy podjęli teoryą Wolfa, najkonsekwentniejszym i najbystrzejszym był znakomity krytyk Karol Lachmann. Gdy Wolf w twierdzeniu swojém opierał się głównie na dowodach zewnętrznych, Lachmann wystąpił z dowodami wewnętrznemi, zaczerpniętemi z saméj „Iliady", bo do tego poematu się ograniczył. Podobnie jak poprzednio „Nibelungi", usiłował on i „Iliadę" rozłożyć na osobne pieśni i po wyłączeniu dwóch ostatnich ksiąg, jako późniejszego pochodzenia, naliczył w niéj takich pieśni 16. Pieśni te przechowywały się zdaniem Lachmanna ustnie, ulegając zmianom i rozszerzeniom, aż do czasów Pizystrata; za niego dopiéro otrzymały dzisiejszą postać.

Przeciwko téj t. zw. teoryi pieśni wystąpili zwolennicy pierwotnéj jedności (unitaryści). Zwrócili oni słusznie uwagę, że tradycya ustna wcale nie wyklucza możliwości powstania i przechowywania się długich poematów; wszakże pamięć wówczas była świeższa i trwalsza niż dzisiaj, a jeszcze w czasach historycznych wielu Greków umiało całą „Iliadę" i „Odyseję" na pamięć. Badania nowsze dowiodły nadto, że pismo znane było w Grecyi znacznie wcześniéj, niż to przypuszczał Wolf. Wykazali oni daléj, że poematy Homera nie mogły powstać za Pizystrata, bo t. zw. poematy cykliczne już to je wyprzedzają już kontynuują, a poematy te powstały znacznie wcześniéj, w 8—7 wieku. Najważniejszym atoli argumentem przeciw twierdzeniom Wolfa i Lachmanna, podniesionym przez późniejszych, jest to, że w poematach Homera panuje niezaprzeczona jedność, że wszystkie czynności grupują się około jednéj, jedność zaś taka nie może być dziełem przypadku i byłaby wprost niepojętą, gdyby „Iliada" i „Odyseja" były prostym aglomeratem osobnych pieśni. Sprzeczności obu poematów unitaryści usiłują usunąć przez objaśnienia, zwykle sztuczne i naciągane, i w tém leży ich słaba strona, wiele sprzeczności bowiem jest widocznych i żadném objaśnieniem usunąć się nie da.

Tak więc ani jedna ani druga teorya nie mogła zadowolić w zupełności: okazało się, że poematów Homera nie można uważać ani za mechaniczny zlepek poszczególnych pieśni, ani z drugiéj strony obstawać wytrwale przy ich jednolitości. Przystąpiły do tego jeszcze inne argumenty. Niektóre pieśni różnią się ogólnym cha-

rakterem i tonem od reszty: 2 pieśń „Iliady”, zawierająca t. zw. katalog okrętów, jest suchém wyliczeniem nazwisk, obcém sztuce Homera. Pieśń dziesiąta „Iliady”, t. zw. „Doloneję”, już starożytni uznali za dodatek późniejszy, podobnie jak i koniec „Odysei” od ks. 23, 297. Tak samo ma się rzecz z wielu innemi częściami pieśni homerowych. Wobec tego nasunąć się musiała myśl, że niezaprzeczona jedność tak „Iliady” jak „Odysei” da się pogodzić z równie niezaprzeczonym faktem, istnienia w obu poematach sprzeczności i różnic tylko w ten sposób, jeżeli się przyjmie, że w każdym z poematów pierwotne jądro doznało z biegiem czasu rozlicznych rozszerzeń i zmian. Myśl tę rzucił po raz pierwszy w r. 1832 znakomity filolog Gotfryd Hermann; powoli zdobyła ona sobie powszechne uznanie. Dzisiaj nikt już nie wierzy, że „Iliada” i „Odyseja” wyszły w téj formie, w jakiéj je dziś posiadamy, z rąk Homera; z drugiéj strony jednak nikt nie będzie bezwzględnie podzielał zapatrywań Wolfa i Lachmanna, jakoby oba poematy były zbiorem pierwotnie odrębnych pieśni. Nie podlega dziś najmniejszéj wątpliwości, że pierwotny zrąb tak „Iliady” jak „Odysei” jest dziełem wielkiego poety, że jednak w biegu czasu, zwłaszcza w epoce, w któréj się przechowywał za pomocą ustnéj tradycyi, uległ znacznym zmianom, że późniejsi aojdowie i rapsodowie wiele swojego dodali i to nie tylko krótsze lub dłuższe ustępy, ale nawet całe pieśni. Tak więc w gruncie rzeczy nad obu poematami pracowało wielu poetów, ale jeden jest właściwym twórcą głównego pomysłu. Z pomiędzy obu utworów „Iliada” doznała więcéj rozszerzeń i dodatków niż „Odyseja”. Temi to późniejszymi dodatkami tłómaczą się sprzeczności i różnice w tonie i nastroju pieśni.

Niektórzy uczeni usiłowali posunąć się daléj: próbowali mianowicie oznaczyć granice pierwotnego poematu i z osłony późniejszych dodatków wyłuszczyć pierwotne jądro. Nie zdołano jednak w tych próbach dojść do porozumienia, prócz co do niektórych punktów i prawdopodobnie do porozumienia nigdy się nie dojdzie, bo wielką rolę w sądzie będzie zawsze odgrywać zapatrywanie subiektywne.

Pierwszy ów poeta, twórca pierwotnego jądra, którego nazywamy Homerem, musiał mieć poprzedników. Dowodzi tego wysoko wyrobiony wiersz i język, z którémi poeta wcale się nie łamie, którémi przeciwnie włada po mistrzowsku. Znalazł on już gotowy myt i pieśni, sławiące bohaterów z pod Troi jak Achillesa, Agamemnona, Odyseja i t. p. Na tém tle osnuł obraz wielkich zapasów.

Jak wiadomości starożytnych o osobie Homera, tak i podania

o czasie i miejscu jego życia, zawarte w zachowanych żywotach Homera, nie są wiarogodne, żywoty owe bowiem są fabrykatami czasów późniejszych. Skazani więc jesteśmy wyłącznie na kombinacye z samych dzieł poety. Dyalekt joński tychże z lekką przymieszką eolskiego świadczy, że poeta urodził i wychował się gdzieś na jońskich wybrzeżach lub wyspach Azyi Mniejszéj. Epopeje cykliczne, z których jedne opowiadają wypadki, wyprzedzające „Iliadę" i „Odyseję", drugie te wypadki kontynuują, powstały widocznie po obu wielkich poematach; że zaś początek ich przypada na wiek VIII—VII, musiały „Iliada" i „Odyseja" powstać wcześniéj. Utwory Homera są też wcześniejsze od utworów Hezyoda (w. VIII). Stopień kultury, na którym stoi świat Homera, wskazuje wiek mniéj więcéj dziewiąty. „Iliada" powstała w każdym razie wcześniéj niż „Odyseja".

Nasuwa się w końcu jedno ważne pytanie: czy wypadki, opowiedziane w „Iliadzie", mają jakąś podstawę historyczną, czy téż są prostym tworem wyobraźni poety? Na to pytanie odpowiedzieli jedni w ten sposób, że wojnę trojańską uznali za wymysł Homera, drudzy natomiast widzą w niéj mniéj lub więcéj idealny obraz walk kolonistów helleńskich z pierwotnymi mieszkańcami Azyi Mniejszéj, zwłaszcza z czasów kolonizacyi po wędrówce Doryckiéj. Jeżeli zważymy, że i u innych narodów epos ludowe zawiera zwykle w osłonie poetycznéj jądro historyczne — dość wspomniéć „Nibelungi" lub indyjską „Mahabharatę", — jeżeli daléj zważymy, że Grecy w dobie pierwotnéj, nie mając historyi, zastępowali ją, jak każdy naród, poezyą; że czyny swych bohaterów przekazywali pamięci pokoleń w formie pieśni, uznamy za prawdopodobne, że właśnie „Iliada" i „Odyseja" są tém poetyczném odbiciem wypadków historycznych. Nie wynika z tego oczywista, żeby wojna trojańska miała miejsce w saméj rzeczy; poematy Homera wskazują tylko, że niegdyś przyszło do walk między Grekami a mieszkańcami wybrzeży małoazyatyckich.

Takiego przekonania był zmarły niedawno Henryk Schliemann, gdy zabierał się do odkopywania miejsc, które tradycya wzkazywała jako dawną siedzibę Pryama. Syn pastora protestanckiego, urodzony w r. 1822 w Neu-Buckow w Meklemburgu, wypadkami rodzinnemi zmuszony został przerwać wykształcenie gimnazyalne a poświęcić się zawodowi kupieckiemu. W malém miasteczku niemieckiém przepędził przeszło pięć lat jako chłopiec sklepowy. Podania miejsca rodzinnego i opowiadania ojca o upadku Troi i odkopaniu Pompei rozbudziły żywą z natury wyobraźnię chłopca

i zrodziły w nim pragnienie odkopania kiedyś stolicy Pryama. Niezapomniane wrażenie wywarła na młodego chłopca sklepowego deklamacya kilkudziesięciu wierszy Homera, zasłyszana z ust pomocnika młynarskiego, który ukończył był kilka klas gimnazyalnych. Losy rzuciły młodego Schliemanna późniéj do Hamburga. Tutaj wynajął się jako chłopiec okrętowy, ale rozbicie okrętu zakończyło rychło tę karyerę; Schliemann dostał się do Amsterdamu, gdzie znalazł zajęcie najpiérw w mniejszym sklepie, a późniéj jako buchalter w znacznym domu handlowym. Połowę swych szczupłych dochodów i cały czas wolny obracał na naukę języków. Wysłany w interesach handlowych do Rosyi, zdołał w krótkim czasie zdobyć sobie stanowisko niezależne. Przedsiębiorstwa jego wiodły mu się doskonale tak, że wkrótce, głównie na handlu indygiem, zebrał znaczny majątek. Po grecku nauczył się dopiéro, licząc 34 lat. W 41 roku życia porzucił handel i postanowił poświęcić się nauce. Po dłuższych podróżach przybył do Paryża i oddał się tutaj studyum archeologii. W r. 1868, licząc 46 lat, rozpoczął swe poszukiwania. W Troi zaczął kopać w r. 1870 i prowadził badania tamże z przerwami, niemal aż do końca życia, niezrażony niezliczonemi trudnościami, które mu stawały w drodze, łożąc na cele naukowe zebrany majątek. W pracach tych towarzyszyła mu z całém poświęceniem druga jego żona, Zofia, Greczynka. W ostatnich latach życia znakomitego pomocnika znalazł Schliemann w d-rze Dörpfeldzie. Prócz w Troi, kopał on nadto w Mykenach, w Tirynsie, w Orchomenos, w Itace, Maratonie, Pylos i na wyspie Cyterze, a poszukiwania jego uwieńczone zostały świetnemi rezultatami. Śmierć nie pozwoliła mu przedsięwziąć na większą skalę zaczętych odkopywań na Krecie. Umarł w Neapolu w grudniu 1890 roku.

Schliemann nie był fachowym uczonym we właściwém tego słowa znaczeniu, większą część swych wiadomości zawdzięczał swojéj mozolnéj pracy. Ta okoliczność, obok żywości wyobraźni, sprawiła, że mylił się nieraz w swych sądach; mimo to jednak oddał on nauce nieocenione usługi. Nie jeden znakomitszy od niego uczony nie byłby potrafił dokonać tyle co on, bo rzadko w kim spotyka się taką żelazną wytrwałość i nieugiętą energią, taką ufność w powodzenie przedsięwzięcia. Miał on wielu przeciwników, zwłaszcza między własnymi ziomkami, to téż zdobył sławę na drodze nie wysłanéj różami, lecz przykréj i ciernistéj. Jeżeli na kim, to na Schliemannie sprawdziły się słowa poety:

„A gloria non si va per via fioritta“.

Nim przejdziemy do odkryć uczonego niemieckiego, rzućmy okiem na mapę Troi i zobaczmy, jak się przedstawia dzisiaj okolica dawnego Ilionu. Troada jest to kraj pagórkowaty, oblany od zachodu morzem Egejskiém, od północy falami Hellespontu, noszącego dziś nazwę cieśniny Dardanelskiéj. Od południa i od wschodu rozciągają się stoki i kończyny pasma gór Ida. Pagórkowatą tę równinę przerzyna rzeka Mendere, starożytny Skamander, przyjmująca z prawego brzegu dwa dopływy: bardziéj ku południowi dawny strumyk Thymbrios, ku północy Simoeis. Gdy się stanie na wzniesieniu i rzuci okiem na równinę, widać pola uprawne, pokryte zbożem i innemi płodami, porosłe tu i owdzie grupami drzew liściastych, zresztą dokoła widnokręgu pagórki, po większéj części puste. Gdzieniegdzie błyszczy białemi murami o płaskich dachach wioszczyna turecka, strzelająca ku niebu smukłemi wieżyczkami minaretów, ozłocenemi przez słońce. Na krańcu lazurowe fale morskie, z których sterczą nagie skały Chersonesu i wysokie góry wysp Imbros i Samothrake; w oddali wynurzają się płaskie brzegi wyspy Lemnos i kąpie się w morzu Tenedos. Na równinie pojawi się niekiedy karawana wielbłądów, którą prowadzi Turek siedzący na ośle, a przez Dardanelle przebiegnie od czasu do czasu parowiec, pozostawiając za sobą długą wstęgę dymu. W równinie wynurza się miejscami z pośród zbóż i traw srebrny nurt strumienia, by za chwilę zniknąć w zaroślach i ukazać się znowu w pewném oddaleniu.

Gdy Schliemann przybył do Troady z zamiarem rozpoczęcia poszukiwań, miał do wyboru dwa miejsca do kopania. Powszechne wówczas zdanie wskazywało jako siedzibę pierwotnego Ilionu pagórek, położony w pobliżu wioski tureckiéj Bunarbaszi, oddalonéj o 13 km. czyli blizko o dwie godziny drogi od morza. Pagórek ten, z trzech stron niedostępny, opływa rzeka Skamander, z czwartéj łączy on się z pasmem sąsiednich gór. To miejsce wbrew dawniejszéj tradycyi uznał w starożytności Demetryusz ze Skepsis (w II w. przed Chr.) za pierwotną siedzibę Pryama, opierając się na przekonaniu, że równina nad Hellespontem powstała dopiero w czasach historycznych z osadu i namułu morskiego, że więc miejsce wskazane przez dawną tradycyą, leży za blizko morza tak, iż równina byłaby za szczupłą dla pomieszczenia wojsk i jako widownia walk. Zdanie Demetryusza, za którém się około początku ery naszéj oświadczył także geograf starożytny Strabon, przyjął i rozpowszechnił w zeszłym wieku archeolog francuski Lechevalier, głównie dlatego, że podróżując po Troadzie, odkrył w pobliżu Bunarbaszi dwa źródła, które wziął za źródła, opisane przez Homera. Zdanie jego

znalazło bardzo wielu zwolenników między uczonymi, a przyczyniło się do tego jeszcze wyrzeczenie Moltkego, że ze względów militarnych pagórek Bunarbaszi jest najodpowiedniejszém miejscem pod warownię.

Drugiém miejscem, które znów miało za sobą prastarą tradycyą, był pagórek Hissarlik, oddalony o godzinę drogi od morza, a położony w pobliżu ujścia strumyka Simoeis do Skamandru.

Z Homera samego kwestya położenia Troi nie dała się rozstrzygnąć, bo Homer, jak wogóle poeci starożytni, mało się interesuje widownią walk; miejsce istnieje dla niego tylko o tyle, o ile jest tłem dla czynności ludzkich.

Schliemann wybrał drugi pagórek a podjęte prace dowiodły, że się nie omylił. Równina pod Hissarlikiem, jak się pokazało z przedsięwziętych badań geologicznych, nie jest pochodzenia napływowego, ale równiną prastarą, była więc najzupełniéj wystarczającą dla ruchów wojennych. Przeciwnie Bunarbaszi za nadto jest odległe od morza, ażeby wojsko mogło tyle razy przebiedz w jednym dniu równinę od obozu greckiego do murów Troi, ile razy opisuje Homer. Co do źródeł, to znaleziono je także w pobliżu Hissarliku, koło Bunarbaszi zaś istnieje nie dwa, ale trzydzieści kilka źródeł, tak, że odkryte przez Lechevaliera dwa źródła niczego nie dowodzą. Nadto położenie Bunarbaszi jest tego rodzaju, że trudno je pogodzić z wyobrażeniem, jakie wyrabiamy sobie o położeniu Ilionu na podstawie „Iliady"; wiele zdarzeń i rzeczy, przedstawionych przez poetę, jest niezrozumiałych lub wprost niemożliwych, jeżeli Troję przeniesiemy na Bunarbaszi; między innemi np. bieg Hektora dokoła miasta nastręcza w tym wypadku trudności nie do pokonania. Gdyby zresztą tu niegdyś stał Ilion, musiałoby było na Hissarliku wznosić się w tym samym czasie inne jakieś miasto, bo wykopaliska na Hissarliku starsze są od wykopalisk na Bunarbaszi, sięgających najwyżéj IX w. przed Chr.; w takim zaś razie dziwną byłoby rzeczą, żeby Homer nic o tém drugiém mieście nie wspominał, skoro po pod niém musiałyby przeciągać walczące wojska. Za Hissarlikiem oświadczyli się téż z biegiem czasu nawet przeciwnicy Schliemanna i dziś uchodzi on powszechnie za miejsce dawnéj Troi. Odkopywania, przedsięwzięte w Bunarbaszi, wydały rezultaty ujemne.

Hissarlik jest to pagórek otoczony równiną z trzech stron, z czwartéj, wschodniéj, łączy się z pasmem wzgórz, biegnących z zachodu na wschód. Jest on ostatnią ich kończyną, wysuniętą na zachód. Na pierwotnym skalistym gruncie w biegu wieków utworzył się 16 metrów wysoki nasyp z gruzów osad, które na tém miejscu

kolejno powstawały i znikały. Na podstawie wznoszących się jeden nad drugim pokładów czyli warstw, Schliemann naliczył takich osad aż dziewięć. Liczba ta może na pierwszy rzut oka zadziwiać, staje się jednak zrozumiałą, gdy się zważy, że w Troadzie inny był sposób budowania niż u nas. Materyał budowlany stanowiła tam od niepamiętnych czasów glina w formie niepalonéj cegły, a tylko podmurowania robiono z kamienia. Gdy taki budynek uległ zniszczeniu czy to przez pożar czy z jakiéj innéj przyczyny, nie usuwano gruzów, ale zasypywano je, równano i na uzyskanéj w ten sposób podstawie zaczynano budować na nowo bez względu na kierunek, w którym biegły mury zasypanego budynku. Obszar, odkopany przez Schliemanna, nie jest wielki: liczy on 120 m. długości a 100 m. szerokości. Taką zadziwiająco małą przestrzeń zajmował gród czyli akropolis; w późniejszych czasach powstało u jego stóp właściwe miasto.

Z odkopanych dziewięciu osad pięć należy do czasów przedhistorycznych, cztery do historycznych, W żadnéj osadzie nie znaleziono prawie nic więcéj nad fundamenty murów obronnych i budynków mieszkalnych; w murach zewnętrznych odkryto ślady bram i wież. Przestrzeń między murami wypełniona była gruzem, wśród którego poznajdywano wiele skorup glinianych z różnych epok i wyroby ze złota i innych metali.

Najstarsza z warstw, należących do epoki przedhistorycznéj, przedstawia cząstki osady, dawniejszéj jeszcze niż Troja homerowa. W jaki sposób osada ta uległa zniszczeniu, nie da się wyrozumiéć; to pewna, że nie przez pożar, bo znaczniejszych śladów ognia nie widać.

Pierwszą tę osadę pokrywa warstwa gruzów na półtrzecia metra gruba; ponad nią znajduje się pokład ziemi, mający pół metra grubości; dowodzi on, że miejsce to po zniszczeniu czy upadku pierwszéj osady stało dłuższy czas niezamieszkane. Nad tém wznosi się dopiéro druga osada, mająca dla nas najwięcéj interesu: Troja homerowa.

W osadzie téj wyróżnić można trzy peryody budowania, t. j. miasto to w czasie swego istnienia przebudowane zostało dwa razy. Że to są fazy budowlane tego samego miasta nie zaś trzy odrębne osady, dowodzi ta okoliczność, że, kiedy osady oddziela zwykle pokład gruzów na 1 — 2 m. (raz nawet 5 m.) gruby, to tutaj leżą one ledwie kilka centymetrów jedna nad drugą. Przy tych przebudowach rozszerzano mury na zewnątrz, przenoszono bramy w nowe miejsca i przedsiębrano inne zmiany, które z biegiem czasu okazały się koniecznemi. Miasto to homerowe uległo zniszczeniu przez pożar.

Po krótkim czasie, jak o tém świadczy cienka warstwa ziemi, powstało na gruzach Troi homerowéj trzecie miasto. Nie doszło ono jednak do téj świetności co poprzednie; liczba osadników była niewielka, niewielka téż ich zamożność. Domki były liche i nieregularnie zbudowane. Miasto to częściowo tylko uległo zniszczeniu. Pomiędzy murami, których reszty sterczą jeszcze dzisiaj dwa do trzech metrów w górę, nagromadził się gruz i na tym gruzie powstała czwarta osada, o ile się zdaje, jeszcze uboższa od trzeciéj. Ze śladów wnosić można, że osada ta została zburzoną. Na jéj ruinach wzniosła się piąta, ale i jéj budynki nie były świetniejsze od budynków poprzedniéj.

Z osadą szóstą przechodzimy do rzędu osad historycznych. Podczas pierwszych poszukiwań znaleziono w téj warstwie jedynie naczynia gliniane; w ostatnich dopiero latach dokopano się także budynków. Naczynia przypominają kształtem naczynia mykeńskie z czasów, poprzedzających wędrówkę dorycką.

Następne osady należą do epoki helleńsko-rzymskiéj. Miasto siódme powstało w VI w. przed Chr. Jak i inne kolonie greckie, dostało się ono pod panowanie lidyjskie, po upadku państwa Lidów przeszło pod rządy perskie. Tutaj to Xerxes złożył ofiarę Atenie, ciągnąc na Grecyą; w sto kilkadziesiąt lat późniéj uczynił to samo Aleksander Wielki, który téż uwolnił miasto od podatków i ogłosił je niezależném.

Do większéj świetności doszła Troja (ósme miasto) za czasów Macedończyka Lysimacha, który wzniósł tu świątynię Atenie i otoczył miasto murem na milę długim. Znaleziono jeszcze resztki kolumn korynckich i kapitelów z białego marmuru, należących do świątyni Lysimacha. W ogóle jednak miasto nigdy nie doszło do wielkiego znaczenia, bo cały handel i ruch skupiło w swych rękach sąsiednie miasto portowe Aleksandrya-Troas. Wytrzymawszy oblężenie ze strony Gallów, Troja dostała się w ręce Antyocha, w końcu przeszła pod panowanie rzymskie (dziewiąta osada). Od téj chwili datuje się okres świetności miasta. Rzymianie widzieli w Eneaszu i Trojanach swych przodków, to téż otoczyli miasto niezwykłą troskliwością. Cezar, który się uważał za potomka Eneasza w prostéj linii poddał całą okolicę pod władzę Troi, ogłosił miasto niezawisłém i uwolnił je od podatków. August miał się nawet nosić z myślą przeniesienia stolicy państwa do Troi. Cesarz Karakalla odwiedził miasto i na równinie pod jego murami pogrzebał wyzwoleńca swego Festusa. Konstantyn Wielki zamyślał również zrobić z Troi swoję stolicę, zdecydował się jednak późniéj na Konstantyno-

pol. Z czasem Troja podupadła i poszła zupełnie w zapomnienie; z wiekiem V znikają tu wszelkie ślady ludzkie; pagórek trojański wznosił się odtąd na równinie jako wielki grobowiec dawnéj świetności grodu.

W mieście homerowém t. j. w wykopaliskach warstwy drugiéj Schliemann znalazł dziesięć skarbów, złożonych przeważnie z naczyń i wyrobów z metali szlachetnych. Najważniejszym z pomiędzy nich jest odkryty w r. 1873 „wielki skarb", nazwany z początku przez Schliemanna „skarbem Pryama". Składają się nań najpierw płyty srebrne w liczbie sześciu, o których przypuszczają, że przedstawiają homerowe talenty, daléj dwie srebrne wazy z czapeczkowatemi pokrywami: trzy złote puhary, złota bańka, złote naczynie w formie czółenka o dwóch uchach, które może wyobraża homerowe „*depas amphikypellon*", używane do libacyi, następnie cztery duże wazy srebrne, srebrna czara, bronzowe ostrza włóczni, topory wojenne, ozdoby hełmów, miedziana waza, wielki kocioł i tarcza. W końcu prócz kilku narzędzi niewiadomego znaczenia, należą do tego skarbu złote ozdoby kobiece. Uderzają między niemi przedewszystkiem dwa wielkie dyademy na głowę, odznaczające się misterną robotą (jeden składa się z 16,353 kawałeczków).

W skład innych skarbów wchodzą: kolczyki, naszyjniki, bransolety i inne ozdoby, wśród których odznacza się piękna szpilka do włosów w kształcie rozety.

Wszystkie znalezione przez siebie w Troi skarby Schliemann ofiarował swojéj ojczyźnie. Można je oglądać w Berlinie w „*Museum für Völkerkunde*".

Jakkolwiek ozdoby, znalezione w Troi, odznaczają się artystycznem wykonaniem, noszącem na sobie piętno oryentalne, to jednak stoją daleko w tyle po za tém, czegośmy się mieli prawo spodziewać na podstawie obrazu, jaki nam dają o życiu i kulturze epoki Pryama poematy homerowe. Wszystko, co wykopano, dalekiém jest od świetności, któréj oczekiwaliśmy, i musimy wyznać, żeśmy pod tym względem doznali zawodu. Czyżby to oznaczało, że Schliemann się omylił, że odkopana przez niego Troja nie jest Troją homerową? Bynajmniéj. Byłby to wniosek błędny. Krótkie zastanowienie przekona nas o tém. Homer nie przedstawia nam Troi pryamowéj, bo jéj przedstawić nie mógł. Wypadki, opiewane w „Iliadzie", zaszły kilkaset lat przed nim. Poeta znał je tylko z tradycyi, a przystępując do ich skreślenia, nie przedstawił ich, oczywista, na tle spółczesnéj im kultury, bo téj nie znał. Kultura, któréj obraz nam daje, jest kulturą jego własnego wieku; do-

wodzi tego dokładność w opisach mieszkań, odzieży, zbroi i t. d. Dzisiaj byłaby taka szczegółowość odnośnie do wieków minionych możliwą przy pomocy zbiorów i muzeów; wówczas mogła ją dać tylko autopsya. Pałac Pryama Homer przedstawia nie takim, w jakim faktycznie mógł mieszkać władca trojański, ale takim, jakim bywał dwór książęcy za jego czasów. Między kulturą jego czasów a kulturą epoki, którą przedstawiał, panowała wielka różnica, bo dwie te kultury dzieliło od siebie kilka wieków; ta okoliczność wyjaśnia, dlaczego znalezione przedmioty przedstawiają nam życie epoki bohaterskiéj w barwach daleko bledszych niż poematy homerowe. Choćbyśmy nawet świetność kultury świata homerowego obniżyli o połowę, kładąc ją na karb fantazyi poety, który idealizuje wszystko, co przedstawia, to jednak mimo to jeszcze, szeroka przepaść dzielić będzie obie kultury. Odkopana przez Schliemanna Troja, którą nazywamy dla krótkości „homerową", nie jest świetną siedzibą książęcą z epoki poety, opisaną w „Iliadzie", ale rzeczywistą Troją „pryamową", o daleko niższéj kulturze, daleko uboższą i prostszą. Wynika stąd samo przez się, że wykopaliska Schliemanna do objaśnienia ciemnych kwestyj Homera niewiele przydać się mogą. Troja homerowa wspólne ma z Troją pryamową tylko tło t. j. okolicę, miejscowość.

Na zakończenie nie zawadzi wspomniéć o sporze, który po ustaniu sporu o Bunarbaszi i Hissarlik wywiązał się między Schliemannem a byłym kapitanem niemieckim E. Bötticherem. Bötticher wystąpił z twierdzeniem, że odkopana przez Schliemanna Troja nie była nigdy mieszkaniem ludzkiém, lecz *nekropolą* czyli cmentarzem, na którym palono zwłoki i przechowywano popioły. Przeciwko zdaniu Böttichera przemawiają atoli między innemi następujące argumenty: Pagórek trojański otaczały mury, zaopatrzone w wieże i bramę wypadową, wskazujące techniką budowli, że przeznaczeniem ich było służyć do obrony. Do tego samego celu tylko mogła służyć jedna z bram, mająca wewnątrz czworokątne podwórze. Plany odkopanych na zamku budowli wykazują daléj wielkie podobieństwo do pałaców w Tirynsie i Mykenach. Znaleziono następnie w obrębie murów setki progów z śladami drzwi pod postacią otworów, w których poruszały się zawiasy. Przeciwnie nie znaleziono najmniejszych śladów zwłok ludzkich; resztki żywności i naczynia do wody, świadczą, że niegdyś musieli tu mieszkać ludzie. — I z tego sporu Schliemann wyszedł zwycięsko. Komisya złożona ze znakomitych uczonych europejskich, zbadawszy sprawę na miejscu,

przyznała Schliemannowi słuszność, oświadczając, że Hissarlik nie mógł być nekropolią.

Ze śmiercią Schliemanna ubył nauce wielki pracownik, który nie tylko że w niéj nie szukał zysku ni osobistéj korzyści, lecz przeciwnie własny majątek, usilną zdobyty pracą, poświęcał na cele idealne, na które rzadko kto łożyć ma ochotę. Pytania, których rozwiązaniu poświęcił żywot, w niejednym punkcie jeszcze czekające na odpowiedź, długo prawdopodnie leżéć będą odłogiem, nim się znajdzie człowiek, któryby podjął spuściznę po Schliemannie i godnie go zastąpić potrafił.

Stanisław Witkowski.





Z BELETRYSTYKI ZACHODU.

II.

Edward Rod: *Vie privée de Michel Teissier*, oraz dawniejsze jego utwory powieściowe i krytyczne.

Niezależność i samodzielność państwowa nie wystarcza do stworzenia oddzielnéj i samoistnéj literatury. Dowodem tego jest Belgia i jest Szwajcarya. Wysoce użyteczne wśród politycznego całokształtu Europy, nie zaznaczyły się wszelako odrębném, oryginalném piśmiennictwem. Nie przesądzając, co się stanie pod tym względem w przyszłości, możemy obecnie uważać twórczość piśmienniczą belgijską, jako kształtującą się na modle francuskiéj, a szwajcarską, jako rozpadającą się podług swych plemiennych szczepów i powracającą bądź do niemieckiego, bądź do francuskiego organizmu. Takie intelektualne kolonie, jakie posiadają potężne mocarstwa, są dla nich cennym zasobem choćby dlatego, że te drugorzędne strumyki, zanim utoną w prądzie ogólno-szczepowym, wyrobioną u siebie rozmaitość wprowadzają, jako ożywczy czynnik do jednolitego pasma. Tego rodzaju przysługi oddała już Szwajcarya Francyi nieraz w ciągu dawniejszych wieków. Ze współczesnych znowu pisarzy dość będzie wymienić Amiela z jednéj strony, a Secretan'a z drugiéj, aby węzły łączące małą rzeczpospolitą z wielką uczynić zrozumiałemi. Ale oprócz nich, możnaby kilkunastu innych szwajcarskiego pochodzenia i szwajcarskiego umysłowego nastroju pisarzy wymienić: każdy z nich stał się dla literatury francuskiéj pożądanym nabytkiem. Żaden z nich jednak nie zajął w niéj tak wydatnego stanowiska, jak Edward Rod. Jako nowelista i powieściopisarz, jako

krytyk, jako publicysta należy on do najwybitniejszych osobistości świata paryskiego. Bierze udział czynny w kampaniach literackich francuskich ostatniego lat dziesiątka i gdy się wymienia pisarzy subtelnych, wyrafinowanych, których typ dosięga wyrazu najpełniejszego w Pawle Bourget, to jego nazwisko znajduje się niechybnie na ustach każdego sędziego kompetentnego. Z urodzenia Szwajcar, jest Rod z powinowactwa wyboru Francuzem i to jednym z najpoważniejszych, najwykształceńszych, najbardziéj utalentowanych. Zdaje się nam tedy usprawiedliwioném pomieścić go w tym długim różańcu, którego paciorki przesuwamy jedne po drugich dla czytelników naszych.

Edward Rod urodził się w Nyon, drobnéj mieścinie na wybrzeżach jeziora genewskiego, w 1857 roku: liczy zatém dopiéro 36 lat życia i można się dziwić, że, będąc tak młodym, już tak gruby snop zżął na niwie piśmienniczéj. Uniwersyteckie studya rozpoczął w sąsiedniéj Lusannie, a ciągnął daléj w Bonn, Berlinie i Paryżu. W tym ostatnim pozyskał dyplom licencyata w 1879 roku i osiedlił się tam odtąd stale, biorąc czynny udział w piśmiennictwie, współpracując w różnych dziennikach i przeglądach, wydając przez parę lat *Revue contemporaine*, organ młodéj, szkoły psychologicznéj. Gruntownie obznajmiony ze wszystkiemi literaturami nowożytnemi, posiadając rzadką wytrwałość pracy i szukając wypoczynku od jednéj w przejściu do drugiéj, młody Rod pozyskał szybko taką ustaloną reputacyę, że nie wywołało żadnego zdziwienia, gdy go w r. 1885-ym uniwersytet w Genewie powołał na katedrę literatury porównawczéj, osieroconéj przez śmierć Marka Monnier. Od tego czasu p. Rod przestał stale zamieszkiwać w Paryżu, ale jak sam powiedział, nie przestał gościć tam duchem. Imię jego jest raz na zawsze wplecione do współczesnego umysłowego ruchu francuskiego. Nie można wątpić, że jest on dla doktryn i idei francuskich wielce użytecznym rozsadnikiem. Jako dowód wpływu, który wywiera na swych słuchaczy, można przytoczyć ofiarowane mu dzieło jego ucznia, p. Ernesta Tissot, *Evolutions de la critique française*, a będące naturalnym oddźwiękiem wszystkich jego poglądów zasadniczych.

Zaliczając Edwarda Roda do kategoryi beletrystów, czynimy mu mimowolną ujmę. Jest on, nie powiemy, czémś więcéj, bo beletrystyka nie jest bynajmniéj podrzędną gałęzią twórczości, ale jest oprócz tego jeszcze czémś inném: jest krytykiem, myślicielem, moralistą, essayistą i tak głęboko przesiąkł wielostronnemi a głębokiemi studyami, które dokonał, że każdy jego powieściowy utwór posiada zalety i cechy charakterystyczne wyjątkowo tylko w téj sferze spo-

tykane. Nic nie wprowadziłoby nas snadniéj do jego powieści, nie dałoby do nich duchowego klucza, jak rzut oka na pisarzy, których badał i w których ducha wniknąć usiłował. A samo się przez się rozumié, że umysł o podniosłych aspiracyah, jaki tego pisarza odznacza, mógł się jedynie zwrócić do wyborowych. Widzimy go w pierwszéj epoce rozwojowéj, zwracającego się do Veristów włoskich, i szukającego u takich pisarzy, jak Capuana, Verga, Tronconi, oddźwięków myśli nowożytnéj. Nie można się dziwić, że przeszedł od nich do tego poety włoskiego, który najgłębsze piętno na wczorajszém pokoleniu wycisnął — do Giaccomo Leopardi. Jak w późniejszych studyach swoich zatrzymuje się nad drugim wielkim kapłanem pesymizmu, Schopenhauerem, — tak już w téj pierwszéj swéj dobie rozwojowéj czuje się pociągniętym do poety, który jak pelikan rozkrwawia pierś własną, abyśmy się w jego zwątpieniach i boleściach rozpoznali sami. Trudno powiedzieć, żeby i Rod był pesymistą, chociaż bohatérów swych powieści nieraz w tém stadyum duchowém chwytać lubił; ale należy niezaprzeczenie do téj generacyi, która podług określenia Sully Prudhome posiada duszę melancholiczną. Nie ma potrzeby bezwątpienia raz jeszcze wznawiać tego nużącego sporu, czy jest lub nie jest pożądaném owo pesymistyczne usposobienie, które współczesny świat wykazuje na każdym kroku. Nawoływania do wiary, do nadziei w lepsze jutro, nie tracą na swéj energii, chociaż nie można przewidywać, ażeby z dziś na jutro nasz stan duchowy zmieniły. Jeszcze w epoce romantyzmu gnieździł się robak *Weltschmerzu*, ale dopiéro gdy głębiéj wniknięto w naturę rzeczy, gdy zdano sobie sprawę, do jakiego stopnia powikłane są zagadnienia, z któremi się szamotamy, dopiéro wtedy ogarnęło nas zniechęcenie i zaćmiła się energia woli. Spadliśmy z całéj wysokości humanitarnych marzeń! Ale nie ulega wątpliwości, że tak samo, jak tylko ludzie o wyższéj inteligencyi mogli uledz wpływowi pesymizmu, tak tylko podrzędniejsze z pośród nich raz na zawsze w nich ugrzęzły. Wystarczyło wprowadzić do tego świata, którego niedostatki i brak harmonii nas rażą, zasadę obowiązku indywidualnego i społecznego dla jednych, albo zasadę religii dla drugich, ażeby powrócić do równowagi i wybrnąć z moczarów pesymizmu raz na zawsze. Rod był naturą zbyt artystycznéj wrażliwości, zbyt ciekawie zaglądał do wszystkich intelektualnych fenomenów dzisiejszych, aby nie można było na nim z łatwością dostrzedz śladów téj wewnętrznéj walki. Ale bo, gdzież to on nie udawał się po informacye co do kierunków współczesnego rozwoju duchowego! W Anglii szkoła pre-rafaelitów wabiła go do siebie naturalnie i jest istotnie zastanawiającém, jak

trafnie ją osądził, jeżeli nie co do plastyki jéj, to przynajmniéj co do jéj literackiéj modły. Dante Gabryel Rosetti jest nie tylko dlań krysztełowo jasny ale wysoce sympatyczny. Daléj widzimy go zwracającego się do muzyki Wagnera, z któréj usiłuje wysnuć wskazówki symptomatyczne temperamentu współczesnego: niepodobna wyrzucać mu mglistości i braku pewności, bo znajdujemy się tu w sferze z natury swéj nieuchwytnéj. Romansopisarze ruscy są następnie przedmiotem nietylko jego badań sumiennych, ale łatwo spostrzedz z ciągłych napomknień i wzmianek o ich bohaterach, że się zżył z nimi. Jeżeli mniéj może niż inni powieściopisarze francuscy uległ ich potężnemu wpływowi, przypisujemy to nadzwyczajnéj równowadze, jaka istnieje u niego pomiędzy inteligencyą a wrażliwością. Zmysł artystyczny każe mu podziwiać rozczłonkowanie motywów działania u bohaterów Tołstoja i Dostojewskiego, ale rozum przeciwdziała uczuciowości, gdy ta chorobliwe przybiera rozmiary. Nakoniec wymienić tu należy pomiędzy rozmaitemi kierunkami, w których Edward Rod szukał wschodzącego światła, Henryka Ibsena. Studyum, jakie mu poświęcił a które służy za przedmowę do tłumaczenia kilku wcześniejszych jego utworów dramatycznych, świadczy także o téj saméj trzeźwości umysłowéj, jaką okazał gdy rozbierał romansopisarzy ruskich. Posiada w wysokim stopniu najwyższą zaletę krytyka: możność i władzę rozdwojenia się, to jest, że jedocześnie wnika w najskrytsze tajniki duchowe stojącego przed nim pisarza, i ocenia je z niezaprzeczoną sympatyą, a mimo tego nie zatraca swéj własnéj indywidualności, swojego ja. Łatwo przewidzieć, że mu taki nastrój wewnętrzny pozwalał pisywać powieści, zazwyczaj nazywane psychologicznemi.

Kilka innych prac krytycznych Roda zasługuje także na wzmiankę. Wymienimy tu naprzód studyum nad Dantem. Monografia ta, stanowiąca część składową wydawnictwa popularyzującego pisarzy klasycznych, nie ma na celu nauczenia czegokolwiek tych, którzy obrali sobie za specyalność mistycznego wieszcza średniowiecznego. Chociaż nasz autor od pierwszych lat czuł niezwyciężony popęd do *Vita nuova*, nie jest atoli fanatycznym Danteistą, jak to nie jeden z dzisiejszych pisarzy pragnie wmówić w siebie a przedewszystkiém w drugich. Ocenia go z obiektywnością niezaprzeczoną i ze zmysłem krytycznym, uznania godnym. Punktem zasadniczym jest w jego oczach to, że Dante nie jest bynajmniéj, jak to powtarza cała rzesza, pierwszym w szeregu pisarzy i artystów epoki Odrodzenia, ale przeciwnie, że zamyka on cykl świata dawniejszego. Gdy się weźmie na uwagę, że Dante w filozofii posiłkuje się Arystotelesem a w teologii Tomaszem z Akwinu, to się mu przyzna miejsce wielkie-

go scholasty o imaginacyi i o geniuszu pisarskim pierwszorzędnym, lecz nie będzie się robiło zeń proroka przyszłości,

Jako romansopisarz z zawodu nie dziwota, że Ed. Rod poświęcił wyczerpujące studyum Stendhalowi, gdyż on i Balzac uważani są powszechnie jako ojcowie romansu współczesnego, Tak przyzwyczajeni jesteśmy obecnie do bezwzględnych panegiryków Stendhala, że trzeźwy, umiarkowany sąd Roda, łatwy do zrozumienia zresztą, gdy się jego chronologiczną datę weźmie na uwagę, datę przypadającą po przejściu epidemicznéj gorączki Stendhalowskiéj, zastanawia i że się ma chętkę przeciwko niemu protestować. Nie brakuje mu bynajmniéj gorliwości w oddawaniu hołdu autorowi *Rouge et Noir*, ale cała jednostronność i oschłość téj pisarskiéj natury, to zadowolenie z siebie samego, ta pewność, że się znajduje w posiadaniu prawdy bezwzględnéj, są tak dalekiemi od jego własnego temperamentu, że się zastrzeżeniom czynionym co chwila dziwić nie można. Gdyby ów Stendhal, uważający się za wyższego od współczesnego pokolenia, przepowiadający sobie koło wyborowych czytelników u schyłku naszego stulecia, gdyby on wiedział, że właśnie sympatyzujący z nim hegemonowie umysłowi traktować go będą jako filistra, wzdrygnąłby się w grobie z oburzenia!

Jak łatwo przewidzieć, Wiktor Hugo nie znajduje łaski u p. Roda. Gdy poświęcone mu studyum wyszło w *Revue Contemporaine*, narobiło hałasu i było wyrazem protestacyi młodéj grupy piśmienniczéj przeciwko urzędowemu kultowi i deifikacyi sędziwego wieszcza. Ale gdy się je odczytuje obecnie, po upływie lat kilku i po przebrzmiałéj reakcyi, nieprzyjemnie razi ciasnota poglądu. Krytyk posiada wszystkie możliwe zalety prócz jednéj—entuzyazmu. Bez niego niepodobna naturalnie wejść w naturę poety. Użala się na jego jednostronność, na jego powierzchowny optymizm, nie może zrozumiéć deizmu i spirytualizmu, nie odstępującego ani na krok poetę. Zgoda. Ale czy mimo tego nie jest potężnym wieszczem?

Za odwrotną stronę tego zapatrywania można uważać studyum krytyczne nad Zolą, stanowiące część zbioru, noszącego nazwę *Les idées morales du temps présent*. Ponieważ Ed. Rod sam hołdował w pierwszéj epoce swéj twórczości powieściopisarskiéj naturalizmowi, gdyż dwie jego powieści, a w każdym razie jedna *Côte-à-côte* (1882) jest objawem tego nastroju i téj metody, zatém sąd wypowiedziany o jéj przywódzcy, nie jest pozbawiony interesu. Naturalnie, przyznaje on Zoli ogromne zalety, które chyba zła wola zaprzeczać mu potrafi, ale z nieubłaganą surowością traktuje on płaski materyalizm, będący jądrem jego syntezy. W pokoleniu, co się rozwinęło za drugiego cesarstwa i do którego Zola zaliczonym być musi, przemagało

przeświadczenie, że wszystkie problemata społeczne są do rozwiązania łatwe, że w świecie duchowym nie ma żadnego obrębu niedostępnego że przez $a+b$ da się wyrazić i sformułować najbardziéj skomplikowane zagadnienie psychiczne. Tak jak razi go u Wiktora Hugo jego wiara, tak razi go niewiara u Zoli. Ażeby zyskać sobie jego bezwzględny poklask nie należy także być sceptykiem *à la* Renan — świadczy o tém rozdział poświęcony mu na początku tego dzieła—ale trzeba chyba zapisać się do cechu Pawła Desjardins, tego jego przyjaciela, któremu pracę tę dedykował i z którym, podług własnych słów jego, łączy go najściślejsze pokrewieństwo ducha. Dla czytelników, którzy znają wysoce interesujące studya p. Desjardins, skarżącego się z młodzieńczą naiwnością na brak wiary religijnéj, ale niezdolnego do przyswojenia jéj sobie w téj lub innéj formie, będzie ta dedykacya cenną wskazówką do wniknięcia w osobisty p. Roda temperament. Wogóle ten ostatni zbiór jego studyów krytycznych jest wybornym przewodnikiem do wędrówki około najprzedniejszych pisarzy francuskich chwili dzisiejszéj. Rozdziały poświęcone najbliższym nawet przyjaciołom i towarzyszom nie schodzą nigdy do śmiesznéj wzajemnéj admiracyi a odznacza je zawsze niezależność i bystrość oceny. Nie znamy świetniejszéj analizy krytycznéj jak ta, w któréj mówiąc o Juliuszu Lemaitre, wykazuje przeciwieństwo istniejące pomiędzy uczciwością charakteru a zepsuciem umysłu; tak samo oddać téż należy hołd przenikliwości, z jaką odgadł z góry u Pawła Bourget'a nieuniknioną konieczność religijności po wyczerpaniu żyły dyletantyzmu i dekadentyzmu. Dzisiaj fakta to sprawdzają, ale Rod wypowiedział tę opinię na kilka lat przed „Ziemią obiecaną“ i „Cosmopolis“.

Zatrzymaliśmy się umyślnie nad krytyczną i literacką częścią działalności Roda, ażeby przygotować czytelnika iż szukać powinien, i że znajdzie niewątpliwie w jego powieściach podkłady psychiczne, podmalowanie, jeżeli tak wyrazić się wolno; gdy się ma z tak poważnym i tak gruntownie wykształconym pisarzem do czynienia, gdy w dodatku pisarz ten badać nie przestaje stanu duszy pokolenia dzisiejszego z czujnością nadzwyczajną, to można być przygotowanym, iż to nawet co u pierwszego lepszego powieściopisarza mogłoby uchodzić za niedoświadczenie, za brak obmyślenia, jest u niego umyślném i systematyczném.

W rozwoju swym powieściopisarskim przeszedł już Ed. Rod dwie fazy, naturalistyczną i tę, którą uważaćby można jako gwałtowną przeciwko niéj reakcyę, fazę abstrakcyjną, czysto psychiczną i obecnie gdy można talent jego uważać już za dojrzały, osiadły,

znajduje się w trzeciéj, którą on sam ochrzcił nazwą intuitywizmu. Przegląd pobieżny dawniejszych powieści doprowadzi nas do ostatniéj, któréj tytuł położyliśmy na początku.

Côte-à-côte datuje z r. 1882. Nie długi to przebieg lat a mimo to tak daleki jest już obecnie nasz ideał od naturalizmu krańcowego, któremu wówczas Rod hołdował, że wydaje się nam przedpotopowym. Szukając dla sympatycznego nam autora łagodzących winę okoliczności, nie możemy znaleść ich gdzie indziéj jak w chęci pokazania w czynie ciasnéj bigoteryi protestanckiéj na tle niesprzyjającego jéj życia francuskiego. Urodzeniem i wychowaniem do téj sfery duchowéj zbliżony, autor zdawał się już wtedy całkowicie z jéj wpływu wyzwolonym, ale ponieważ znał dokładnie ten świat namaszczonych pastorów, zagorzałych prozelitek uosabiających wszystkie cnoty oprócz miłosierdzia i wyrozumiałości na wykroczenia bliźnich, udało mu się narysować kilka żywych postaci. Jerzy Mallange, bohater téj powieści, jest zgnębiony przez despotyzm wysoce religijnéj matki, i przez reakcyę względem téj moralnéj klauzury, staje się, w następnych życia kolejach, cynicznie wyuzdanym. Sceny, w których uwodzi służącą pod dachem swéj własnéj żony a potém naturalne dziecko do rodzinnego ogniska wprowadza, są godne osławionego „*Pot-Bouille*“ Zoli. Ale gdy u tamtego najbardziéj wyuzdane malowidło płynie obficie ze źródła i nie zdradza najmniejszego wysiłku, Rod widocznie gra rolę nie nadającą się do jego temperamentu. Cała ta powieść jest szara, bezbarwna pomimo melodramatycznych sytuacyi, i nie podobna powziąć najmniejszego interesu a tém mniéj sympatyi do żadnéj z figur przesuwających się przez tę umyślnie zakopconą latarnię.

„Tatiana Leïlof“ choć jeszcze do téj saméj kategoryi zaliczona być może, jest już wszelako o wiele lepszą powieścią. Bohaterka, rzucona na bruk paryzki cudzoziemka, szuka na deskach teatru nie tyle zawodu ile urzeczywistnienia mglistych pragnień, z duszy jéj się wysnuwających. Walka zmysłowych instynktów z tą rzewnością, jaką zachodni pisarze uważają za niezbędny czynnik składowy duszy słowiańskiéj, naszkicowana jest z pewnym już siebie talentem. Nie ma wątpienia, że samobójstwo popełnione przez aktorkę teatru francuskiego do téj saméj narodowości należącą, dało autorowi pohop do napisania powieści na téj osnowie i rozwiązującéj się w ten sam sposób. Ale gdy się przypomni, że i inni romansopisarze, a przedewszystkiém Claretie, zużytkowali jednocześnie ten epizod, a to z wielkim, z niezaprzeczonym talentem, i że do nich fawor publiczny się zwrócił, to rodzi się przypuszczenie, że Edw. Rod sam uznał wówczas, iż do powie-

ści jak dwie powyższe i jak kilka pomniejszych, o których tu nawet wspominać nie widzieliśmy potrzeby, nie ma powołania i że mu drogę zmienić wypada.

Istotnie następna powieść jego, *Course à la mort* datuje się z 1885 roku, t. j. z epoki gdy Rod wydawał *Revue Contemporaine* i obracał się w kołach owego kwiatu inteligentnéj młodzieży, zarażonego robakiem chronicznego pesymizmu. On sam zagłębił się wówczas w Hartmanna i Schopenhauera, ale nie tego Schopenhauera, którego powierzchowni Francuzi obrali jako wygodny szyld do okrycia swéj własnéj nicości, nie czytając go, jeno powtarzając jedni za drugimi powyrywane zeń aforyzmy, lecz do pisarza i myśliciela, który swe piętno na współczesnéj cywilizacyi wycisnął. Utwór napisany pod wpływem tych studyów nie jest istotnie powieścią, ale jak żartobliwie powiedziano raczéj biblią pesymizmu. Doktryna ta wyłożona jest tam *con amore* w postaci dziennika spisywanego przez bezimiennego bohatera tego opowiadania. Autor nie daje mu imienia, tak samo jak niedaje go żadnéj z niewielkiéj liczby postaci, z któremi rzekomy autor w styczność wchodzi. Nie ma tam także wypadków, zdarzeń, lecz jedynie i wyłącznie snuje się pasmo wrażeń otrzymywanych, pasmo uczuć odczuwanych przez piszącego. Nie ma żadnéj skry elektrycznéj, któraby wyrwała zmęczonego, znudzonego spostrzegacza z atmosfery kontemplacyjnéj. Wstręt do bezcelowego życia czasami przybiera nieledwie rozmiary nienawiści do niego. *Non veder*, *non sentir* oto godło tego skorupiaka człowieczego. Sam dla siebie widocznie jest początkiem i końcem świata, i tak samo zapomniał o klasycznéj, elementarnéj definicyi, że człowiek jest zwierzęciem towarzyskiém, jak o téj latarni będącéj w stanie rozproszyć ciemności duchowe, którą nazywamy—obowiązkiem. Nic dziwnego w takim razie, że człowiek wykształcony, a niepotrzebujący dla kawałka chleba borykać się z prozą życia, zapytuje się na co żyć ma daléj i na co się życie indywidualne, życie plemion przydać może. Śmierć jest nieuniknionym życia końcem, ale miałażby być jego celem? Gdyby pesymista p. Roda był logicznym umysłem i gdyby tego rodzaju jednostkowe, egoistyczne medytacye nie były zużyły w nim prawdopodobnie energii woli, skończyć by musiał samobójstwem. Nie możemy istotnie zrozumiéć, dla czego autor skazuje go na dobrowolne wygnanie do poetycznéj jakiejś Tebaidy, do któréj się on udaje zabierając z sobą kilkadziesiąt tomów wyborowych pisarzy, co mu mają być jedyném towarzystwem, zastępującém ludzi. Jest to po prostu połowiczna tylko mizantropia o literackich zachciankach, a autor jeżeli pragnął dać wizerunek odstraszający

następstw pesymizmu, nie wywiązał się całkowicie z postawionego sobie zadania.

Le sens de la vie, powieść uwieńczona przez akademię francuską, do któréj się, mówiąc nawiasem, też p. Rod kwalifikuje i do któréj prawdopodobnie wejdzie jak wszedł jego ziomek Wiktor Cherbuliez po dopełnionéj formalności naturalizacyi, należy także jak poprzednia, do kategoryi powieści abstrakcyjnych. Bezimienny bohater jéj, którego znamy jedynie ze spisywanego przezeń dziennika, szuka celu życia, zapytuje się jakie jest jego znaczenie istotne. Cztery części, na jakie się ta spowiedź rozpada, noszą nazwy: Małżeństwo, ojcostwo, altruizm i religia. Małżeństwo chociaż dobrane nie wypełnia duchowych pragnień spowiadającego się przed nami. Miłość, będąca tylko egoizmem we dwoje, jest środkiem potęgującym siły indywidualne, ale sama w sobie celem nie jest. W braku żywéj wiary religijnéj, w braku także téj mglistéj ale szlachetnéj w gruncie wiary w nieprzerwany postęp człowieczeństwa, życie razi nas swą czczością i próżnią. Pierwszy żywszy interes rodzi się w niém wtedy dopiéro, gdy się rodzi dziecko; ale rola ojca jest tak podrzędną w pierwszéj epoce bytu dziecka, że przełomu w życiu nawet ta nowa istota nie czyni. Daleko ciekawszemi mogły być dwa drugie rozdziały, ale pomimo pochwał jakie się nam o nich czytać zdarzyło—a do nich włączamy krytyczną ocenę Edm. Scherer'a, jedną z ostatnich prac tego głębokiego i potężnego umysłu — nie podobna nam uznać ich za zadawalniające. Nie tylko że autor nie rozwiązał zagadnienia podwójnego, ale nie postawił go nawet jasno i nie wiemy ani w jakim stopniu indywidualność pierwotna jest dotknięta i przeistoczona przez zetknięcie się i obcowanie z otaczającym ją światem, ani o ile zasady religijne są w stanie przyjąć się na wyjałowionym przez sceptycyzm gruncie. Podejrzewamy autora, że będąc sam kołysany w prawo i lewo przeciwnemi wiatrami nie miał odwagi doprowadzić swego bohatera do żadnéj stanowczéj decyzyi. Jeżeli pragnął po prostu wykazać na przykładzie, że pomiędzy uczciwymi i wykształconymi ludźmi naszego pokolenia przemaga liczba chwiejnych, pozbawionych energii jednostek, zdolnych do chwilowego nerwowego naprężenia, nie zaś do wytrwałéj, systematycznéj woli, to celu swego dopiął. Wyznajemy jednak, że od pisarza tego kalibru miało się prawo oczekiwać czegoś więcéj. Filozoficznym wynikiem powieści, która miała rozwiązać to wielkie pytanie, jakie ma znaczenie życie, jest, iż życie nie przedstawia żadnego jasnego, uchwycalnego celu, że jest dymem i próchnem *vanitas vanitatis*.

Nie można wątpić, że taki negatywny rezultat, albo taki zupeł-

ny brak rezultatu był w zamiarach autora, bo w następnym roku (1890) ogłoszona powieść jego, *Les trois coeurs*, około téj saméj obraca się osi. Autor porzucił w niéj już na szczęście krańcową abstrakcyjność i od człowieka wyłącznie gubiącego się w rozumowaniach, przechodzi do takiego, który nietylko rozumuje, ale i działa. Działalność to atoli nader ograniczona. Ryszard Noral, chociaż ma u boku swego żonę i córeczkę, obie istoty przedziwne, jest niezadowolonym i skwaszonym. Rzeczywistość jest mu wstrętną, a rwie się do jakichś nieuchwytnych marzeń. Zdaje mu się, że jego ideał pełnéj miłości ucieleśnia się w osobie Rose-Mary, międzynarodowéj awanturnicy, albo mającéj przynajmniéj jéj pozory. Staje się jéj kochankiem, męczy i unieszczęśliwia swą żonę, zabija chorobliwie tkliwą córeczkę; nie znajduje jednak w tym stosunku ani szału, ani zaspokojenia swych idealnych marzeń, ani przelotnéj nawet chwili szczęścia. Opuszczona Rose-Mary, która istotnie go kochała, zabija się w dali od niego, ale ta katastrofa, o któréj nie wié, tak samo, jak wspomnienie jéj nie przychodzi mącić jego życia. Zaczyna on właśnie wtedy sztucznie wyrabiać w sobie miłość do trzeciéj kobiéty, pani d'Hays, w któréj salonie bywa przyjmowany. Ale jeżeli miłość do niéj skończyła się na literacko-artystycznym flircie, to moralnie przynajmniéj nowe popełnił wiarołomstwo. Koniec téj powieści jest opłakany swym sceptycyzmem. Ryszard Noral, straciwszy wszystkie swe złudzenia, zawiedziony w poszukiwaniu szczęścia w małżeństwie tak samo, jak i w cudzołóstwie, powraca po prostu do swojéj żony, która mu przebacza, z którą ma znowu inną córeczkę, noszącą to samo imię, co jéj zmarła siostrzyczka i przędza życia szarego, bezbarwnego snuje się nadal bez błyskawic na niebie i nawet bez jednego słonecznego promienia. Bohatér téj powieści, jak wszystkich poprzednich, należy do téj kategoryi, wyrafinowanych umysłowo, ale sercowo strupieszałych egoistów, którymi świat mu się wypełnionym być zdaje. W przedmowie do nowego wydania tego utworu, którego powodzenie było wielkie, autor powiada, że będąc intuitywistą, rozglądając się w świecia okolnym i w sobie samym, szuka jako pisarz symbolu tego świata. Musimy wyrazić żal, że w oczach jego taki Ryszard Noral za symbol jego służyć może!

Jedna już tylko powieść poprzedziła tę, którą obecnie mamy przed sobą. Jestto *La Sacrifiée*. Uważaną ona była przez wielu wytworniejszych krytyków za najlepszą powieść Roda. Subtelne zagadnienie psychiczne jest podstawą akcyi żywéj i romantycznéj. Nie można zaprzeczyć, że autor wydobył się w niéj nareszcie z tych nici pajęczych, które go tak długo usidlały i że nie tracąc nic ani na

filozoficznéj głębokości, ani na ścisłości w analizie, potrafił stworzyć istoty żyjące, z krwi i ciała. Można nie dzielić poglądów bohatéra powieści, d-ra Morgex i uważać jego wyrzuty sumienia za rodzaj obłędu, ale trzeba przyznać, że po mistrzowsku wewnętrzny proces wyłożony został. Osnowa powieści jest do streszczenia łatwą. Dr. Morgex, kolega szkolny adwokata Audouin, wprowadzony do jego domu po jego ożenieniu, czuje się żywą sympatyą, a powoli miłością przyciągniętym do jego młodéj żony, Klotyldy. Pomiędzy delikatną, tkliwą jéj naturą, a grubym, zmysłowym materyalizmem jéj męża, nie ma harmonii i cicho uwielbiający ją doktór widzi, jak pierwsza pada ciągle ofiarą egoizmu drugiego. Mąż ten, tknięty apopleksyą, wymógł od przyjaciela swego doktora obietnicę, że w razie drugiego ataku oszczędzi mu bezużytecznych, a upokarzających cierpień, i skróci jego konanie. Dr. Morgex uczynił tę obietnicę, nie przewidując, że mu ją wypełnić przyjdzie, a przedewszystkiém nie przewidując, że osobisty jego interes, bo miłość dla żony jego pacyenta, nada jéj charakter podwójnéj zbrodni. Gdy jednak widzi cierpienia Klotyldy, pod brzemieniem których upada, gdy całe otoczenie pacyenta wyrzuca mu, iż go bez potrzeby i sztucznie przy życiu podtrzymuje, ulega on pokusie, i zadawszy mu większą dozę morfiny, zabija go. Ocalił w ten sposób ukochaną całemi siłami szlachetnego serca kobiétę od męczarni, ale natychmiast zgotował je dla siebie samego. Dręczą go wyrzuty sumienia, i chcąc przynajmniéj pozbawić popełnione przez się zabójstwo indywidualnéj nagrody, którąby mu osiągnąć było możliwém, postanawia zerwać wszelkie stosunki z Klotyldą. Ale czując, że jest kochanym przez nią, ulegając więcéj swéj własnéj miłości, aniżeli namowom przyjaciół i zewnętrznym okolicznościom, które wszystkie do tego małżeństwa go popychają, żeni się z wdową zabitego przez się kolegi. Lecz nawet wśród upajających chwil szczęścia, które w tém małżeństwie znajduje, nawet widząc swą żonę uśmiechającą się znowu do życia i po długiéj męce i niezasłużonych cierpieniach, dr. Morgex nie może znaleść równowagi duchowéj i spokoju. Coraz silniéj dręczy go poczucie moralnego kału, który nosi na swéj duszy. Nie będąc w stanie znieść dłużéj téj walki wyczerpującéj jego siły, udaje się po radę do dwóch z kolei przyjaciół. Pierwszy jest poważny sądownik, p. Viry. Gdy mu dr. Morgex popełniony przez się występek i jego pobudki odkrywa, nie potępia go, przeciwnie, w imieniu społecznego zachowawczego instynktu—usprawiedliwia. Nie poprzestając na takim powierzchownym wyroku, udaje się po radę i światło do księdza

Borant, chociaż mu wyznaje na spowiedzi, iż nie posiada wiary religijnéj. Duchowny w imię religii potępia go bezwarunkowo i udowadnia mu, że zbrodnia jego powstała w chwili, gdy zgrzeszył przeciwko przykazaniu, zabraniającemu pożądać żony bliźniego. Jako pokutę, jako jedyną odpowiadającą doniosłości przewinienia, wskazuje mu opuszczenie dobrowolne téj żony, którą nieprawnie posiadł. Napróżno przeciwko temu nieubłaganemu wyrokowi protestuje potępiony, napróżno przewiduje mękę, na jaką skazuje niewinną ofiarę, Klotyldę, nie daje się powstrzymać, ani rozbroić jéj zaklęciom i istotnie raz na zawsze ją opuszcza, skazując się na samotną, mozolną pracę w innych życiowych warunkach. Klotylda zostaje poświęconą i pada ofiarą wyrafinowanego egoizmu swego męża.

Nazwano tę powieść okrutną i chociaż ze stanowiska przeciętnego czytelnika trudno innym określić ją epitetem, to można zostawić na stronie anegdotyczną obsłonkę i wziąć na uwagę tylko duchowy wizerunek nakreślonéj przez autora postaci. Jest ona pokrewną wszystkim dawniejszym, bo mamy znowu do czynienia z człowiekiem pozbawionym wiary religijnéj, kierującym się moralnością podniosłą, szlachetną, ale teologicznéj sankcyi pozbawioną i jesteśmy postawieni wobec kryzysu bez wyjścia. Ten człowiek tak potężny swą duchową niezawisłością, popełniwszy czyn zdrożny, ucieka się do wyroku owéj religii, któréj powagi dotąd nie uznawał: jestto abdykacya łatwiejsza do wytłómaczenia w powieści, niż w oderwaném rozumowaniu. Koniec końcem, sprowadzić można moralną tezę, do jakiéj autor mniéj lub więcéj konsekwentnie nas doprowadza, do tej elementarnéj prawdy, że każdy występek popełniony spada nietylko na tego, który jest jego sprawcą, lecz i na inne niewinne ofiary i że obawa gruzów, jakie po nim się sypią, niezawodnie winna od popełnienia go powstrzymać.

Wszystkie wnioski, jakie „Poświęcona“ wywołać może, pozostawia autor czytelnikowi. Co do niego samego, to włożywszy całe pasmo opowiadania w usta bohatéra, zamyka się w wygodnym obiektywizmie. Wprawdzie po mistrzowsku przedstawiwszy nietylko walki duchowe, ale i logiczne błędy taktyki, interwencyą instynktu i t. d., nie potrzebuje uczynić niczego więcéj. Mimo tego, dydaktyzm tak głęboko w naturę czytającéj masy wniknął, że dziwić się nie mamy prawa żalowi mimowolnie powstającemu wobec pisarza, który stawia przed nami zawikłane zagadnienie moralne, a nie chce sam w jego rozwiązaniu wziąć czynnego udziału. Im większego talentu mamy dowód w tym utworze, tém żywiéj oskarżamy

autora o brak odwagi cywilnéj, że się zatrzymał przed wydaniem wyroku, albo przynajmniéj przed wyrażeniem swego osobistego zdania.

Oddawna już zapowiadał p. Rod powieść pod tytułem „Chcieć i módz“. Stosunek woli do czynu jest istotnie najważniejszą kwestyą dla każdego moralnych zagadnień badacza, i dotykał jéj, rzec można z téj lub innéj strony, w każdym ze swych dawniejszych utworów. Jak powiedzieliśmy wyżéj, u większości jego bohatérów uderza właśnie ów brak woli roztapiającéj się wśród różnorodnych rozkładowych wpływów i czynników. Obecnie przynosi nam tę oddawna zapowiadaną powieść, a przynajmniéj pierwszą jéj część pod tyt. „Życie prywatne Michała Teissier“. Jakkolwiek rozwinie się to życie w drugiéj części, już obecnie mamy przed sobą całość organicznie zbudowaną i nie mamy potrzeby stawiać hypotez wobec malowidła, nie dopuszczającego najmniejszéj wątpliwości co do istotnéj zasadniczéj myśli autora. Nie kładziemy już nacisku na to, że p. Rod i w tym nowym utworze nie wyciąga wniosków, że pozostaje absolutnie obiektywnym i nieosobistym: jestto system, któremu postanowił pozostać wiernym. Pozostawimy także nietkniętą kwestyę, którą się dużo prasa angielska chwilowo zajmuje, czy autor wziął Parnella jako model do swego obrazu i czy na nim chciał wykazać niepogodzalność roli wielkiego agitatora politycznego z niemoralnością osobistą, raz dlatego, że kwestya taka nie jest w stanie powiększyć interesu powieści, już saméj w sobie prawdziwie patetycznéj, a potém dlatego, że nie ma żadnego zewnętrznego, materyalnego szczegółu, udowadniającego tożsamość Michała Teissier z Parnellem.

Często już romansopisarze i dramaturgowie przedstawiali kolizyę pomiędzy zasadami publicznie wyznawanemi przez męża stanu i głowy stronnictwa, a temi, które są sprężynami jego prywatnego życia, i trzeba było być tak subtelnym psychologiem, jakim jest Rod, ażeby na sytuacyę tę nowe rzucić światło, a raczéj nowe wewnętrzne odkryć w niéj czynniki. Michał Teissier przedstawiony nam jest jako polityk, należący do stronnictwa zachowawczego, jako wódz staczający walki pod sztandarem wysokiéj a czystéj moralności; z całą energią swéj natury i ożywiony wewnętrznym zapałem stacza on bój ze świéżo wprowadzoną instytucyą rozwodu, w któréj widzi istotne niebezpieczeństwo dla niezachwianych dotąd podstaw społeczeństwa. Drastyczną przeciwstawą téj publicznéj jego roli jest to, co się jednocześnie odbywa u jego ogniska domowego. Michał Teissier przestał już kochać starzéć się zaczynającą młodych lat i walk swych

towarzyszkę, żonę o niezaprzeczonych zaletach, ale czyniącą wszystko, co może, ażeby serce mężowskie do reszty dla siebie wyziębić. A obok niéj wzrosła liliowo-biała i urocza dziewica, Blanka Estève, wychowanica od lat dziewczęczych; ku niéj biegnie jego serce, têm naturalniéj, że jest przyciągane magnetyczną siłą entuzyastycznéj miłości. Walka, jaką z sobą samym stacza Teissier, jest odmalowana nieporównanie: żaden podmuch lubieżnéj zmysłowości nie zhańbił tego uczucia, które wszelako pomiędzy nim a jego żoną nieprzebytą wyryło przepaść. Otwarte zwierzenia, jakie kochająca się bezgranicznie para czyni dobrowolnie zawiedzionéj i rozżalonéj pani Teissier, nie jest sposobem załatwienia sprawy. Następują pomiędzy temi trzema *dramatis personae* sceny, gdzie namiętności instynktowe, szlachetne porywy poświęcenia i prozaiczne a wszechpotężne materyalne interesy jedne po drugich na pierwszy plan występują. Nareszcie brzemię, jakie na nich ciąży, staje się nie do zniesienia i pierwsza pani Teissier proponuje mężowi rozwód, w następstwie którego będzie mógł poślubić Blankę. Nie żąda wdzięczności za tę ofiarę, jaką rzekomo mu czyni, bo przepowiada, że nowe małżeństwo będzie jego nieszczęściem, a jéj zemstą. A przepowiednia ta ziszcza się najzupełniéj. Rozwodowy proces pociąga za sobą tyle wstrętnych formalności, porusza tyle brudów, wymaga tylu kłamstw, że obdziéra parę kochanków z poezyi w ich własnych oczach, i nietylko z poezyi, ale z szacunku dla samych siebie. Czują się poniżeni, splamieni, obezwładnieni na wstępie do nowego życia i gdy autor opuszcza nowożeńców w podróży poślubnéj, czujemy, widzimy, że otaczają ich śmiertelne widziadła, wyrzuty sumienia i trujące jady. A oprócz tego mąż polityczny własną ręką skruszył podwaliny gmachu, na którym swą reputacyą i swoją działalność był oparł. Czuje, że ciąży na nim publiczna i prywatna klątwa. Dla ambitnego polityka trudno wymarzyć dotkliwszą karę. Nie wiemy, jak się dalsze jego życie rozwinie pod piórem autora, ale wiemy, że ani Michał, ani Blanka szczęścia w têm małżeństwie nie znajdą. Okupili jednorazowe zaspokojenie swych pragnień zbyt wielkim wysiłkiem; poczucie dokonanéj niesprawiedliwości nie da się zagładzić w duszach rozkochanych w ideale.

Wszystkie uwagi, któreśmy mieli sposobność sformułować wyżéj z okazyi dawniejszych powieści Roda, nadawałyby się do powtórzenia tutaj, że nie ma tego potrzeby, i w przekonaniu, że charakterystyczne rysy krytyka i powieściopisarza są już dostatecznie wykazane, rozstajemy się z nim, polecając wszystkie jego utwory tym

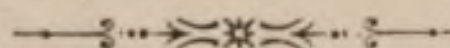
czytelnikom, którzy w dziełach imaginacyi lubią znajdować poważne fundamenta. Jedno tylko spostrzeżenie zdaje się nam na miejscu, a mianowicie to, że nawet pisarze o tak niezależnéj myśli i głębokiém filozoficznėm wykształceniu, jak Rod, przebiegłszy wszerz i wzdłuż cały świat myśli i czynu, zmuszeni są powrócić do odwiecznéj kwestyi mistycyzmu i wiary religijnéj, i uznać w niéj pierwiastek pierwiastków. Płytka, powierzchowna negacya, odznaczająca epokę wczorajszą coraz mniéj ma przedstawicieli w pośród wyższego piśmiennictwa.

N. T.





Z TEORYI I FAKTÓW PRZYRODNICZYCH.



Elektryczność atmosferyczna. — Stos galwaniczny z tlenu, azotu i wody. — Ozon i jego elektryczność odjemna. — Stały ładunek elektryczny kuli ziemskiéj. — Para wodna i jéj udział w przenoszeniu elektryczności. — Powietrze przewodnikiem elektryczności wskutek promieniowania słońca. — Elektrolity. — Elektrolityczne przewodnictwo powietrza. — Zjawiska elektryczne w rurkach Geisslera. — Wpływ światła na stan elektryczny powietrza. — Promienie ultrafioletowe i ich wpływ na ciała odjemnie naelektryzowane. — Działanie promieni ultrafioletowych na rozmaite ciała. — Tarcie wody o lód. — Chmury kłębiaste i pierzaste.

Jakkolwiek półtora już niedługo będzie stulecia od chwili, gdy Franklin w prosty a przekonywający sposób dowiódł istnienia napięć elektrycznych w atmosferze, a późniejsi badacze wielokrotnie stwierdzali, że nietylko podczas burzy, lecz i w zwykłych warunkach powietrze jest siedliskiem zjawisk elektrycznych, — mimo to wszakże dziś jeszcze twierdzić nie możemy, iż potrafimy zadawalniające dać odpowiedzi na pytania: gdzie szukać źródła owych gwałtownych ładunków elektrycznych, wyzwalających się w postaci błyskawic; jakim procesom fizycznym lub chemicznym przypisać należy powstawanie zwykłéj elektryczności atmosferycznéj? Przed kilku już laty naliczono dwadzieścia i cztery hypotezy wypowiadane w tym przedmiocie, ostatnie zaś lata znów przyniosły garstkę domysłów i przypuszczeń. Wszystkie prawie dawniejsze sposoby objaśnienia zjawisk elektrycznych w atmosferze uległy dziś niemal zapomnieniu, gdyż albo zupełnie były dowolne, albo też nie opiérały się na tak przekonywających dowodach, ażeby je za prawdopodobne uznać było można. Nie będziemy też sięgali daleko wstecz, lecz zajmiemy się tu

tylko kilku nowszemi próbami, podjętemi w celu rozwiązania zagadki elektryczności powietrznéj [1]).

Rozpoczynamy od teoryi Suchslanda, dla któréj punktem wyjścia jest ogólnie znany stos Volty, powstający przez wielokrotne nakładanie na siebie trzech ciał: miedzi, cynku i wilgotnego przewodnika. „Zamiast cynku użyjmy ołowiu i zbudujmy z ziarn śrótu i kapiszonów (bez nabojów) pewną liczbę ogniw Volty, zbijając ze sobą każde dwa takie ogniwa. Zmieszajmy te ogniwa z kulkami wilgotnéj, cienkiéj jedwabnéj tkaniny a wszystko razem sformujmy w kulę. Okazuje się, że taki konglomerat ma dwa bieguny, a gdy te zetkną się z galwanometrem, dostrzeżemy silne odchylenie igły.“

Suchsland upatruje w każdéj chmurze burzowéj i gradowéj podobny stos elektryczny jak i w powyższym konglomeracie woltaicznym. W chmurach nie ma wprawdzie metalów, lecz zamiast nich występują gazy: azot i tlen, składające powietrze. „Uprawnieni jesteśmy — mówi S. — uważać każdą chmurę burzową za wielki konglomerat woltaiczny, złożony z azotu, tlenu i wody, w którym przed wybuchem burzy cząsteczki gazów w dowolném względem siebie znajdują się położeniu.“ W tych warunkach mają w poszczególnych punktach chmury występować napięcia elektryczne, które coraz bardziéj się wzmagają. Gdy zaś doszły do pewnéj siły, wówczas działać poczynają centry (ośrodki) elektryczne, porządkując sąsiednie atomy powietrza według ich biegunowości. Po odpowiedniém uszeregowaniu biegunów, należy oczekiwać silniejszego ich oddziaływania na otoczenie, a w ten sposób przy dostatecznym udziale kuleczek wody cała chmura staje się ogniskiem, skupiającém w sobie elektryczność bardzo znacznego natężenia.

Teorya ta, jak widzimy, opiéra się na trzech rozmaitych przypuszczeniach: na elektryczném pobudzeniu rozmaitych gazów skutkiem zetknięcia, czynności stosu woltaicznego, zbudowanego z nieprzewodników (izolatorów) i wreszcie na osobliwszém działaniu stosu Volty na otaczającą go chmurę, a mianowicie, że sąsiednie elektryczne cząstki gazowe układają się szeregami według swéj biegunowości.

---

[1]) Wobec ciągłych badań na tém polu i istotnéj „aktualności“ téj sprawy w nauce, często i w naszych pismach znaleść można notowanie postępów w tym kierunku. Ostatnie roczniki „Wszechświata“ zawiérają wiele artykułów przedmiotowi temu poświęconych. W niniejszéj kronice streszczam teorye Suchslanda, Wurstera, Exnera, Arrheniusa i Sohnckego według tego ostatniego „Neuere Theorien der Luft- und Gewitter-Elektrizität.

Wiadomo istotnie, że rozmaite gazy oddziaływają na siebie elektropobudzająco; na téj zasadzie Grove i Beetz zbudowali baterye gazowe. Lecz dla objaśnienia tego wzajemnego działania gazów przyjąć trzeba, że w zetknięciu znajdują się ze sobą pojedyncze atomy gazów. Znacznie mniéj jest przeto prawdopodobném, ażeby dwuatomowe cząsteczki tlenu i dwuatomowe cząsteczki azotu, które w chemicznie obojętnéj mieszaninie składają powietrze, mogły przez zetknięcie stawać się elektrycznemi. Lecz gdyby nawet to przyznać było można, powstaje jeszcze daleko większa przeszkoda dla pogodzenia się z teoryą Suchslanda, która w sposób dotychczas w fizyce niezrozumiały buduje stos galwaniczny z nieprzewodników. Gazy naszéj atmosfery, przy zwykłém, umiarkowaném ciśnieniu, należą do najlepszych, jakie znamy, nieprzewodników. A także absolutnie czysta, destylowana woda, według badań F. Kohlrauscha, jest niezwykle złym przewodnikiem elektryczności. Kropelki zaś składające chmurę są właśnie taką niezmiernie czystą wodą. W tych tylko razach, kiedy przypadkowo znajdą się w powietrzu drobne ilości kwasu azotnego, kropelki te stają się nieco lepszemi przewodnikami. Bądź co bądź stos zbudowany z azotu, tlenu i wody składa się z dwu niewątpliwych izolatorów i jednego ciała, które w największéj liczbie wypadków również nader źle przewodzi elektryczność. Póki doświadczenia nie przekonają, że tego rodzaju stos może sprowadzać podobne działanie, co zwykły z przewodników zbudowany stos Volty, póty oczywiście powyższa teorya nie może być uważana za odpowiadającą wymaganiom. A do tego przybywa jeszcze całkowita niepewność trzeciego przypuszczenia, które żąda, ażeby w otoczeniu stosu elektrycznego cząsteczki gazowe układały się ze zwróconemi ku sobie naprzemian biegunami przeciwnemi.

Z innego zupełnie założenia wychodzi teorya Wurstera. Według niéj, zjawiska elektryczne w atmosferze są wynikiem promieniowania słońca, a to dzięki tworzeniu się ozonu, któremu zawsze towarzyszyć ma powstawanie elektryczności. Wurster argumentuje w sposób następujący.

Gdy promienie słoneczne padają na tlen i wodę, wówczas tu i owdzie zdarzy się, że cząsteczka tlenu rozszczepi się na swoje dwa atomy. Jeden z nich łączy się z całkowitą cząsteczką tlenu na ozon, drugi z cząsteczką wody na wodę utlenioną (nadtlenek wodoru). W ten sposób skutkiem promieniowania słońca powstaje ozon zawsze w najwyższych warstwach chmur. Wielokrotnie spostrzegał to Wurster, kiedy w podróżach morskich okręt już to wstępował w masę mgły, już téż z niéj się wyłaniał. Gdy więc chmury narastają od góry, czyli coraz to nowe warstwy mgły od góry układają się na nich,

to tworzą się tam w blasku słońca coraz nowe ilości ozonu. Lecz najdelikatniejsza warstwa chmury przeszkadza tworzeniu się ozonu pod nią; również nie można ozonu wykryć w gęstéj, całemi dniami nieraz nie znikającéj mgle.

Autor przypuszcza, że wszędzie, gdzie się tworzy ozon, występuje także elektryczność odjemna. „Wszyscy bowiem badacze, którzy zajmowali się własnościami elektrycznemi ozonu, przypisują mu elektryczność odjemną.“ Wobec tego, cała górna część chmury, musiałaby stopniowo stać się odjemnie elektryczną, a gdy napięcie staje się dość silném, musi nastąpić wyrównanie z ziemią, i oto mamy błyskawicę.

Lecz Wurster nie zwraca uwagi na jedną okoliczność, która niweczy całkowicie jego hypotezę w dzisiejszéj jéj szacie. Skoro powstający ozon jest elektrycznie odjemnym, to jednocześnie wytworzyć się musiała równa ilość elektryczności dodatniéj; nie mamy bowiem w całéj fizyce ani jednego zjawiska, w którém tworzyłby się jeden tylko rodzaj elektryczności. Zawsze i wszędzie powstawaniu pewnéj ilości elektryczności jednego znaku towarzyszy tworzenie się takiejże ilości elektryczności przeciwnego znaku. Jeżeli więc tworzący się ozon jest istotnie odjemnie elektrycznym, gdzież się podziała równa ilość elektryczności dodatniéj? I dla jakiéj przyczyny w tym wypadku odłączają się od siebie obadwa różnoimiennie naładowane ciała: odjemny ozon i owo drugie ciało dodatnio elektryczne; dlaczego odbiegają od siebie tak daleko, że całe masy chmur dzięki swéj zawartości ozonu stają się elektrycznie odjemnemi? Tego pytania teorya Wurstera nie uwzględnia wcale i dlatego również nie może rościć pretensyi do prawdy.

W wielu teoryach, usiłujących objaśnić wyładowanie elektryczności w atmosferze, przyjmuje się, że kula ziemska od początku swego istnienia zawiéra pewną określoną ilość elektryczności. Poglądu tego oczywiście ani bezpośrednio dowieść nie można, ani téż obalić; może on być zarówno prawdziwym jak i fałszywym. Dla sprowadzenia zmian w ładunku elektrycznym ziemi i spowodowanie burzy elektrycznéj potrzeba, ażeby pewna przynajmniéj część tego ładunku podniosła się ze stałéj skorupy ziemskiéj do chmur. I oto właśnie na sposób tego przenoszenia się elektryczności rozmaite teorye różnie się zapatrują. W nowszych czasach wypowiadali w tym kierunku swe poglądy Exner i Arrhenius.

Według F. Exnera, w przenoszeniu elektryczności z powierzchni ziemi do strefy chmur pośredniczy para wodna, unosząca się ustawicznie nad wodami i nad wilgotnym gruntem. Lecz ścisłe doświadczenia

fizyczne nie pozwoliły stwierdzić, że istotnie zjawisko takie może mieć miejsce, przynajmniéj na tak wielką skalę, ażeby można tém objaśnić owe olbrzymie nieraz wyładowania podczas burz elektrycznych.

Bliżéj wypada nam się zająć poglądami Arrheniusa. Prócz przypuszczenia, że bryła ziemi ma stały ładunek, w teoryi tego uczonego spotykamy inny jeszcze pogląd następujący: pod wpływem bezpośredniego promieniowania słońca powietrze, będące w zwykłych warunkach zupełnym izolatorem, w nieznacznym stopniu staje się przewodnikiem elektryczności. To przewodnictwo nie jest podobne do przewodnictwa metalów, lecz do przewodnictwa elektrolitów (np. rostworów soli), które pod wpływem prądu rozkładają się na dwie elektrycznie różnoimienne części składowe. Tym więc sposobem elektryczność skorupy ziemskiéj unosi się w chmury wprost, dzięki przewodnictwu opromienionego światłem słonecznem powietrza.

To przypuszczenie o przewodnictwie powietrza pod wpływem bezpośrednich promieni słońca nie jest czystą hypotezą; opiéra się ono rzekomo na licznych doświadczeniach i dlatego sprawia wrażenie dobrze uzasadnionéj prawdy. Zanim wszakże z doświadczeń wnioski mamy prawo wyciągać, musimy samo doświadczenie w najdrobniejszych szczegółach pojąć, musimy wykluczyć wszelkie domysły, dopuszczające inny niż jeden określony, nieraz z góry powzięty sposób tłómaczenia. Z tego stanowiska, idąc śladem krytyki Sohnckego, poświęcamy nieco więcéj uwagi punktom, na jakich hypoteza Arrheniusa się opiéra.

Powiedzieliśmy, że powietrze pod wpływem promieni słońca ma się stawać przewodnikiem elektrycznym. Dotychczas przewodnictwo elektryczne znamy tylko dla związków chemicznych (np. rościeńczonego kwasu siarczanego, rostworów soli i t. p.), które, przewodząc prąd elektryczny, ulegają jednocześnie rozkładowi. Podczas takiego rozkładu elektrododatnia część składowa związku chemicznego wydziela się w tém miejscu, w którém prąd występuje, część zaś elektroodjemna w miejscu wstępowania prądu do substancyi elektrolitycznéj. Wiadomo, że na tém polega proces galwanoplastyczny: w wodnym roztworze soli ciężkiego metalu, np. siarczanu miedzi, metal (miedź) jest składnikiem elektrododatnim, a kwasowa część soli elektroodjemnym.

W jakiż, zapytajmy, sposób wyobrażać sobie mamy przewodnictwo elektryczne powietrza? Czy przypuścić należy, że w dwuatomowéj cząsteczce tlenu jeden atom jest elektrycznie dodatni, a drugi odjemny? Nie mamy na to żadnego dowodu. I wtedy cząsteczki tlenu podczas przepływania prądu elektrycznego musiałyby rozpadać

się na swe atomy; w miejscu wstępowania prądu występowałby tylko tlen odjemnie elektryczny, a w miejscu występowania tylko dodatni. Lecz zjawisko takie zupełnie jest nieznane. Tę samą napotykamy trudność, gdy staramy się przypuścić, że druga część składowa powietrza, azot, jest owym przewodnikiem elektrolitycznym. A może przyjąć, że obadwa gazy, tlen i azot, które w mechanicznéj swéj mieszaninie składają powietrze atmosferyczne, w rzeczywistości tworzą złożone cząsteczki, w których azot odgrywałby wówczas rolę składnika elektrododatniego, a tlen elektroodjemnego? W tym razie, skutkiem elektrolitycznego przewodnictwa, dodatni azot w przeważającéj ilości musiałby się skupiać na elektrododatniéj skorupie ziemskiéj, a w znaczniejszych natomiast wysokościach musiałby przeważać elektroodjemny tlen. Lecz i temu przeczą fakty. Aż do najznaczniejszych wysokości znajdowano zawsze w powietrzu jednakowy stosunek ilościowy pomiędzy tlenem i azotem. Wreszcie pozostaje jeszcze domysł, że może para wodna stanowiąca domieszkę powietrza, jest właściwym elektrolitem. Lecz i temu przeczą doświadczenia. Już rozważania powyższe wzbudzają pewną nieufność do poglądu o elektrolitycznem przewodnictwie powietrza. Nie poprzestańmy wszakże na nich i zwróćmy się do samych doświadczeń.

Arrhenius powołuje się przedewszystkiém na piękne, przed dziesięciu mniéj więcéj laty dokonane spostrzeżenia Hittorfa. Znane są ogólnie t. zw. rurki Geisslera, rurki szklane, z których wypompowano powietrze do bardzo znacznego rozrzedzenia (do ciśnienia kilku milimetrów, a nawet ułamka milimetra rtęci). Jak wiadomo, wnętrze takiéj rurki staje się jasno świecącém, jeżeli elektryczność o silném napięciu przepływa od jednego końca rurki do drugiego. Do przepuszczenia prądu elektrycznego służą wtopione u obudwu końców rurki druty z platyny lub glinu. Otóż Hittorf posługiwał się rurką Geisslera, w któréj prócz tych wtopionych elektrodów w dwu jeszcze przeciwległych punktach w bocznych ściankach tak były umieszczone dwa platynowe druciki, że odległość pomiędzy nimi wewnątrz rurki wynosiła zaledwie dwa milimetry. Przez te ostatnie druciki przepuszczał prąd, połączywszy ich wystające na zewnątrz końce z biegunami słabego stosu galwanicznego. Doświadczenie wszakże pozostało bez skutku, ponieważ miejsce przerwy pomiędzy drutami stanowiło tamę dla przepłynięcia elektryczności o słabém napięciu. Skoro wszakże wzdłuż rurki w kierunku głównych jéj elektrodów, przepuszczano prąd, wytwarzany przez silną baterye o tysiącu ogniwach, a wnętrze poczęło się świécić, wówczas występował także prąd w kierunku poprzecznym pomiędzy owemi na 2 milimetry zbliżonemi druci-

kami. Główny prąd przeto wprawił, rzec można, cząsteczki powietrza w taki stan, w którym stały się one wogóle zdolne do przewodzenia elektryczności, nawet gdy tej ostatniéj dostarczało stosunkowo bardzo słabe źródło.

Osobliwe to zjawisko badał Arrhenius w najrozmaitszych warunkach, chcąc ujawnić, w jaki sposób na przewodnictwo powietrza świécącego w rurkach Geisslera wpływają zmiany w sile głównego prądu, w sile prądu przepływającego w poprzek, w gęstości powietrza wypełniającego rurkę i t. p. Z badań tych Arrhenius dochodzi do wniosku, że gazy w stanie świécenia (fosforescencyi) są elektrolitami.

Lecz w dalszym ciągu dowiódł tenże badacz, że owo przewodnictwo (w poprzecznym kierunku) występuje tylko wówczas, kiedy na rozrzedzone powietrze padają promienie określonego światła, mianowicie światła iskier elektrycznych.

Nie zapominajmy jednakże, że zjawiska, o których tu mowa, występowały w powietrzu o ciśnieniu nadzwyczajnie małém, o jakiém w powietrzu otaczającém kulę ziemską nigdy mowy być nie może. Lecz i same te doświadczenia zapewne w inny sposób dadzą się wytłómaczyć, jeżeli uwzględnimy szereg innych spostrzeżeń, dokonanych w pracowniach fizycznych nad powietrzem pozostającém pod zwykłém ciśnieniem. W tym względzie przedewszystkiém na wzmiankę zasługuje następujące odkrycie Hertza.

Jeżeli pomiędzy dwiema małemi kulami, połączonemi z biegunami działającego przyrządu indukcyjnego, przeskakują iskry, to możemy, oddalając stopniowo te kule od siebie, dojść wreszcie do takiéj odległości, przy któréj iskry przestaną się ukazywać. Lecz i przy téj odległości iskry natychmiast wystąpią, jeżeli na przestrzeń pomiędzy kulami padać będą promienie wysyłane przez inne iskry elektryczne. Hertz dowiódł z całą dokładnością, że nie ma w tym razie żadnego działania elektrycznego, lecz że zjawisko to wynika wyłącznie z promieniowania elektrycznego światła iskier. Ten sam bowiem wpływ, co iskry elektryczne, wywoływało także np. światło magnesu, a w słabszym stopniu światło Drummonda (rozżarzone wapno), płomień świécy, lampki Bunsena. Natomiast rozżarzona para sodu i niektóre inne źródła światła zupełnie nie działały. Szczegółowsze jeszcze badania przekonały, że promienie, posiadające wpływ na sprowadzanie iskier w opisywanych warunkach, leżą daleko poza granicą widocznego dla oka widma, mianowicie w najskrajniejszych częściach ultrafioletu. Najsilniéj działają promienie elektrycznéj lampy łukowéj.

Nie koniec wszakże na tém. Okazało się również — co niezmiernie dla zajmującéj nas tu sprawy jest ważném — że nie całkowita droga, po któréj iskra pomiędzy kulkami przebiega, jednakowo jest wrażliwa na wpływ światła. Jeżeli zasłonimy całą odległość pomiędzy kulkami z wyjątkiem tylko dwu punktów samych kulek z którémi iskra bezpośrednio się styka, to nie zmieni to w zupełności efektu: padające na te punkty promienie wywołują wystąpienie iskry zupełnie tak samo, jak gdyby padały na całą drogę pomiędzy kulkami. Lecz osłonięcie katodu, czyli miejsca na odjemnym biegunie, gdzie iskra występuje, znosi zupełnie działanie promieni światła. W następstwie Wiedemann i Eberth dowiedli, że zasłonięcie dodatniego elektrodu nie pociąga za sobą tego skutku i pozostaje ono bez wpływu, podobnie jak i ocienienie przestrzeni pomiędzy biegunami. Okazało się zaś to prawdziwém zarówno dla powietrza pod zwykłém ciśnieniem atmosferyczném jak i dla niezmiernie rozrzedzonego. Widać więc już z tego, że powietrze pomiędzy elektrodami nie staje się przewodnikiem (ani elektrolitem) wskutek opromienienia, lecz że mamy tu do czynienia ze zjawiskiem inszéj zupełnie natury, zjawiskiem, którego główną siedzibą jest elektrod odjemny.

Pogląd ten potwierdzają w zupełności inne szeregi doświadczeń. Hallwachs ustawiał dwie pionowe płyty cynkowe, umieszczone na izolujących podstawach, równolegle atoli siebie w odległości 3 centymetrów i każdą płytę łączył z elektroskopem. Jednę ładował elektrycznością odjemną, druga zaś, połączona z ziemią, stawała się przez wpływ dodatnioelektryczną. Gdy następnie w przestrzeń pomiędzy płytami i równolegle pomiędzy temiż padały promienie elektrycznéj lampy łukowéj, nie wywoływało to absolutnie żadnego wpływu na ładunek płyt. A jednakże powinnoby przecie było nastąpić tu wyrównanie ładunków, gdyby powietrze pomiędzy płytami stało się przewodnikiem. Z drugiéj strony zarówno badania Hallwachsa, jak i doświadczenia Stoletowa i Bichata pouczają najwyraźniéj, że ultrafiletowe promienie ułatwiają spływanie elektryczności odjemnéj z katodu oraz ze wszystkich ciał naładowanych odjemną elektrycznością. Jedynie tym wpływem promieni ultrafioletowych objaśnić sobie należy postrzegane przez Hertza zjawiska. Na czém polega ostatecznie ten wpływ światła, na to odpowiedź trudna, obecnie nawet niemożliwa; lecz fakty wpływ ten stwierdzają, a głębsze badania każą wierzyć, że nie wystarcza w tym celu jedynie tylko padanie owych czynnych promieni na odjemnie naładowaną powierzchnię, lecz potrzeba koniecznie, ażeby promienie były przez tę powierzchnię pochłaniane, absorbowane.

Powróćmy atoli do głównego przedmiotu, do warunków występowania elektryczności w atmosferze.

W przypuszczeniu, że ziemia posiada stały ładunek elektryczności, oraz w przypuszczeniu, że padają na nią czynne promienie, które na powierzchni ulegają pochłonieniu — powinny się z powierzchni ziemi unosić cząsteczki masowe odjemnie elektryczne. Lecz kiedy w doświadczeniach laboratoryjnych owe odjemne cząsteczki przenoszą się na odległość kilku milimetrów, w najskrajniejszych wypadkach na odległość 10 centymetrów, trzeba koniecznie wymagać, ażeby unoszące się z powiechni ziemi, wbrew sile ciążenia, przebiegały w górę ku chmurom setki metrów, przezwyciężając opór otaczającego powietrza. Trzeba przyznać, że podobne zjawisko bardzo jest nieprawdopodobne. I teorya Arrheniusa nie przypuszcza téż tego, przyjmuje natomiast prawdziwe przewodnictwo elektryczne powietrza.

Pozostaje nam w sprawie teoryi Arrheniusa poruszyć jeszcze jedno, zasadnicze pytanie: czy promienie słońca, dochodzące do powierzchni ziemi wogóle są w stanie wywoływać te same działania wyładowań elektrycznych, co i ultrafioletowe promienie w opisanych doświadczeniach? Otóż dawniejsi badacze wogóle nie mogli dostrzedz podobnego działania. Hertz powiada: „co do światła słonecznego, nie mogłem nigdy postrzedz niedwuznacznego działania, bez względu na porę dnia i roku, w jakiéj miałem sposobność doświadczenia te dokonywać.“ Inny badacz, Righi twierdzi toż samo, i to powód, dlaczego późniejsi eksperymentatorowie posiłkowali się innemi źródłami światła, lepiéj działającemi, zazwyczaj łukowém światłem elektryczném.

Dość łatwo odpowiedziéć, dlaczego światło słoneczne tak słaby wykazuje wpływ. Pierwotnie zawiéra ono bezwątpienia mnóstwo czynnych, ultrafioletowych promieni, które wszakże już w wyższych warstwach atmosfery zostają pochłonięte, tak, że promienie słoneczne niejako przesiane dochodzą do powierzchni ziemi. Mamy na to także doświadczalne dowody w pracach Hertza, Righiego, Wiedemanna i Ebertha.

Udało się późniéj pp. Elsterowi i Geitelowi dowieść, że światło słoneczne może wprawdzie, bądź przez bezpośrednie promieniowanie, bądź téż jako zwykłe światło dzienne, rosproszyć w niektórych ciałach ładunek odjemnéj elektryczności. Ciałami takiemi są elektrododatnie metale: cynk, glin, magnes, potas, sód, oraz aliaże dwu ostatnich, daléj amalgamaty rubidu, potasu, sodu, litynu, magnezu, talu, cynku, cyny, wreszcie pewne fosforyzujące ciała i fluspat. Aże-

by wszakże wywołać to działanie, wszystkie te ciała muszą miéć zupełnie świéże powierzchnie. Bez wpływu pod tym względem okazały się: cyna, kadm, platyna, miedź, mosiądz, żelazo (metaliczne i rdza), węgiel, cozyna, fuksyna, woda, rostwór soli kuchennéj, śniég, kwarc, łupek, kaolin, liście roślin.

Gdy zważymy, że powierzchnia ziemi przeważnie pokryta jest ciałami, które pozostają bez wpływu pod działaniem promieni słońca (woda morska, woda słodka, śniég, liście, łupek, piaskowiec, kwarc), zrozumiemy, że wyładowania elektryczności ziemi przez wpływ promieni słońca w najlepszym wypadku będą miały miejsce w wyjątkowych tylko, bardzo nielicznych punktach, i to kto wié, w jak słabym stopniu, ponieważ owe ciała wrażliwe na promienie nie mają świeżych powierzchni, tak jak to się działo w doświadczeniach.

Nie wiele więc pozostaje z teoryi Arrheniusa. Hypoteza pierwotnego, odjemnego ładunku ziemi postawiona jest bez dowodu. Przewodnictwo elektryczne, które posiadać ma powietrze pod wpływem odpowiedniego oświetlenia, nie istnieje; zamiast tego ma miejsce tylko rospraszanie się odjemnie naładowanych cząstek naelektryzowanych ciał, i to w obrębie najbliższego otoczenia, co nie może być dostateczném do podniesienia elektryczności na wysokość chmur. Wreszcie, ciała stanowiące powierzchnię ziemi okazują się nieodpowiedniemi, ażeby pod wpływem promieni słońca doznawały rospraszania swych ładunków elektrycznych.

W końcu pozostaje nam do rozpatrzenia jedna jeszcze próba objaśnienia zjawisk elektryczności atmosferycznéj.

Już Faraday odkrył, że wzajemne tarcie wody i lodu sprowadza ładunek odjemnéj elektryczności w wodzie, dodatniéj zaś w lodzie. Wyobraźmy sobie naczynie, zawiérające silnie zagęszczone powietrze; naczynie to jest zamknięte za pomocą kranu o szerokim otworze. Przez szybkie otworzenie kranu powietrze z naczynia nagle wypływa, a rozszerzając się skutkiem zmniejszonego ciśnienia, oziębia się znacznie. To oziębienie pociąga za sobą zagęszczanie zawartéj w powietrzu pary wodnéj na kropelki: tworzy się mgła, zwłaszcza łatwo w tych razach, kiedy powietrze zawiéra pył, każda bowiem cząstka pyłu staje się jądrem, naokoło którego skrapla się para wody. Otóż taki, szybko wypływający prąd powietrza, obładowanego drobniutkiemi kropelkami wody, puszczamy na kawałek lodu, umieszczony izolująco, i następnie prędko lód zbliżamy do metalicznego grzebienia, połączonego z elektrometrem. Przekonać się można w ten sposób, że lód zawsze staje się dodatnio elektrycznym, jeżeli padają nań krople wody z prądu powietrza; że natomiast elektryczność nie wy-

stępuje, gdy prąd powietrzny nie zawiéra kropelek wody. Dowód to niezbity, że tarcie czystego powietrza o lód nie wytwarza elektryczności, że natomiast potrzeba koniecznie tarcia wody o lód, ażeby tenże uczynić dodatnio elektrycznym.

Elektryzowania nie ma także wówczas, kiedy lód znajduje się już w stanie topnienia, a więc gdy jest pokryty warstwą wody. Wynika stąd — jak łatwo zresztą przewidziéć — że tarcie wody o wodę nie wytwarza elektryczności. A również wynika, że w doświadczeniu przy wypływaniu strumienia powietrza kropelki nie ładują się elektrycznością wskutek tarcia o ścianki kanału w kranie, bo w takim razie musiałyby elektryczność swą oddać wilgotnemu lodowi. Doświadczenia te wielokrotnie dokonywane nigdy nie zawiodły. Aby je zaś spożytkować w celu objaśnienia zjawiska elektryczności atmosferycznéj, należy przypomniéć następujący fakt meteorologiczny. Liczne dawniejsze i nowsze spostrzeżenia stwierdziły, że przy każdéj burzy, a zwłaszcza tuż przed powstaniem burzy, na niebie ukazują się dwa rozmaite rodzaje chmur: t. zw. kłębiaste chmury, złożone z kropel wody, i t. zw. piérzaste, składające się z kryształów lodu. Że te ostatnie istotnie złożone są z cząstek lodu, dowiedziono przez obserwowanie występujących w ich obecności pierścieni świetlnych dokoła słońca lub księżyca. Zjawisko tych pierścieni już Fraunhofer sprowadził z całą dokładnością do załamywania się światła w sześciobocznych kryształach lodu. Nie powinniśmy się téż bynajmniéj dziwić, że w owych wysokościach istotnie lód występuje. Liczne spostrzeżenia, dokonywane podczas naukowych wycieczek balonami, stwierdziły, że w naszych szerokościach geograficznych podczas najgorętszych nawet letnich miesięcy już przeciętnie na wysokości 3,000 do 4,000 metrów temperatura atmosfery wynosi około zera.

Możemy chyba słusznie przypuszczać, że obadwa te rodzaje chmur nie płyną podczas burzy spokojnie obok siebie, lecz są w ożywionym wzajemnym ruchu. Wyższe warstwy powietrza prawie zawsze znajdują się w silnym, poziomym ruchu (najczęściéj z zachodu na wschód), nawet wówczas, kiedy na powierzchni ziemi nie ma widocznego wiatru. A pamiętać téż trzeba, że niemałą odznaczają się siłą ruchu pionowe, wznoszące się prądy powietrzne. Stąd widać, że w strefach zetknięcia kłębiastych chmur z piérzastemi silne muszą zachodzić starcia, a zatém także, że podczas burzy zawsze znajdą się wszystkie warunki dla wytworzenia elektryczności skutkiem tarcia kropel wody o kryształy lodu.

Ta teorya elektryczności atmosferycznéj, wygłoszona już w roku 1885 przez fizyka monachijskiego, profesora L. Sohnckego, dotych-

czas nie napotkała żadnych poważniejszych zarzutów, a nawet w wielu punktach meteorologicznéj treści została przez późniejsze spostrzeżenia doskonale poparta.

Czy zawiéra ona całą prawdę? Trudno na to w téj chwili stanowczo odpowiedziéć. Trzebaby bądź co bądź, — nie poprzestawszy na doświadczeniu, że strumień powietrza obładowany kroplami wody wytwarza elektryczność, trąc się o kawał lodu — dowieść jeszcze doświadczalnie, że elektryczność powstaje i wówczas, gdy ociérają się o siebie dwa strumienie powietrza, jeden zawiérający krople wody, a drugi obładowany kryształami lodu. Tego doświadczenia zapewne wykonalnego, choć bardzo zawiłego, dotychczas nie zrobiono.

Maksymilian Flaum.





REFORMA WYBORCZA W PRUSACH.

Najnikczemniejsze z pośród istniejących praw wyborczych, — to dawne wyrzeczenie księcia żelaznego o ustawie wyborczéj, obowiązującéj w monarchii dziedzicznéj Hohenzollernów,—odezwało się znowu echem o sklepienia izby poselskiéj pruskiéj, ale tak słabém i przytłumioném, iż w cudzoziemcu okoliczność ta mogła wzbudzić pewne zdziwienie, zwłaszcza jeśli pamięć jego wskrzesiła obrazy przeszłości parlamentarnéj tego kraju. Sprawa bowiem reformy wyborczéj nieraz już była na porządku dziennym w Prusach i wywoływała starcia dość energiczne między stronnictwami. A tymczasem w ciągu trwania ostatnich rozpraw sejmowych nadaremnie poszukiwalibyśmy roznamiętnienia dawnego; nawet obóz wolnomyślny, który niegdyś domagał się stale usunięcia zasady trójklasowéj z życia społecznego, wyrzekł się dzisiaj swego tradycyjnego stanowiska, o ile rzecz dotyczy wyborów do zarządów gminnych i municypalnych. Działa tutaj obawa, ażeby żywioły krańcowe, które zewsząd podmywają gmach istniejących stosunków, nie wdarły się gromadnie do rad miejskich, z uszczerbkiem wolnomyślności i nacyonalliberalizmu. Znalazła ona swój wyraz w bolesném utyskiwaniu pewnego posła i w zarzutach przeciwko głosowaniu powszechnemu, które powołało do życia takie np. zdarzenia skandaliczne, iż jakiś nieznany robotnik z fabryki cygar ośmielił się wystawić swoją kandydaturę przeciwko Herkulesowi wieku XIX-go, a nie dość na tém— doprowadził do wyborów powtórnych. Atoli strach ów przed wyrastającém widmem czerwoném nie wyjaśnia całego stanu rzeczy. A mianowicie spotykamy się, co do ustawy wyborczéj pruskiéj, z jakąś wprost obojętnością ze strony całego kraju, a w téj liczbie też

wśród warstw, nie potrzebujących się obawiać widma czerwonego, gdyż są one jego zastępami bojowemi. To niedbalstwo tłómaczono niegdyś tém, że podczas rządów ex-majordoma nie było czasu na krytykę trójklasowości pruskiéj. Niemcy całe włożono wtedy na łoże szablonu biurokratyczno-policyjnego, krajano, kurczono, wyciągano. Była to epoka wyuzdanego wszechwładztwa żywiołów junkierskich i wielko-przemysłowych, kiedy usiłowano kraj cały, ba, nawet rzeszę niemiecką zamienić na jedne olbrzymie koszary hohenzolerskie. Prusaczenie ojczyzny niemieckiéj stanowi istotne hasło rządów majordomskich, a walka kulturalna przeciwko katolikom, prawa kagańcowe, wymierzone przeciwko żywiołom pracującym, prześladowanie wszelkiéj opozycyi, nawet zachowawczéj, rugi poznańskie, wszystko to wiąże się wzajemnie ze sobą. Niemcy, zagrożone w podstawach najważniejszych swego rozwoju kulturalnego i duchowego, nie miały czasu myśléć o dalszém rozszerzaniu widowni dla walki dziejowéj, bo zajęte były obroną stanowisk dawniéj już zdobytych, a obecnie zagrożonych przez samowolę buty junkierskiéj majordoma. „Otto wielki“ mógł żartować ile mu się podobało z najnikczemniejszego z pośród praw wyborczych, ale nikt nie korzystał z popełnionéj przezeń niezręczności — dzień każdy niemal był świadkiem starć o prawa ważniejsze.

Tak tłómaczono obojętność dotychczasową, dając tém samém do zrozumienia, że teraz kiedy cofnięto jednę obrożę po drugiéj, kraj rozejrzy się po sobie i weźmie się do uprzątnięcia i oczyszczenia stajni augiaszowéj, którą pozostawił po sobie w spadku książę żelazny. Podczas ubiegłego lata prasa berlińska przez kilka tygodni, póki nie zawitały pierwsze wieści o nowéj ustawie militarnéj, zajmowała się gorliwie prawem wyborczém. Uniewinniono obojętność uprzednią, wynicowano „nikczemność“, żądano reformy szerszéj lub szczuplejszéj, stosownie do stronnictwa, a pobudki bezpośredniéj dostarczyły projekty podatkowe Miquela. Słowem, zdawało się, że z chwilą otwarcia sejmu pruskiego nad ustawą wyborczą zerwie się burza istotna meetingów i nawoływań prasy. Przyszła godzina oczekiwana i przyniosła z sobą tylko jedno, a mianowicie sprawdzenie przysłowia, że deszcz bardzo mały bywa niekiedy z groźnéj chmury. Podczas rozpraw sejmowych nawet główny organ krańcowéj opozycyi poświęcił sprawie wyborczéj zaledwie część trzecią szpalty, naturalnie prócz zwykle podawanych sprawozdań z działalności sejmu. Widocznem jest przeto, że przyczyna obojętności rozpatrywanéj, bo jestto obojętność w najszerszém słowa znaczeniu, tkwi głębiéj, niż wskazywały głosy podane. Sądzimy, że należy jéj poszukiwać

gdzieindziéj. Kto baczniéj się przygląda życiu społecznemu rzeszy niemieckiéj, spostrzegł zapewne, że w ciągu ostatniego dwudziestolecia posunięto się sporo po drodze ujednostajnienia stosunków na przestrzeni kraju całego. Sprawy ogólno-niemieckie wystąpiły na plan pierwszy. pruskie, bawarskie, reuskie zmalały. Życie rzeszy płynie coraz szerszém korytem, w którém pojedyńcze księstewka i królestwa zanikają, jako coraz drobniejsze strumyki, a ideały dawnéj zaściankowości znajdują wielbicieli gdzieś w ustroniach górskich Bawaryi, wśród włościan, a pielęgnowanie ich dzisiaj powstaje wskutek usiłowań różnych Puttkamerów—biorę to nazwisko, jako typowe upostaciowanie gwałtu pruskiego nad Niemcami — zwiększenia rozkoszy podatkowych i marszów wojskowych. Zwłaszcza w Berlinie to rozrastanie się „duszy niemieckiéj“ występuje z olbrzymią siłą, z wielką korzyścią dla téj stolicy kasków i biurokratów. Otóż te sprawy ogólno-niemieckie, rozstrzygające się w *Reichstagu*, przykuły do siebie uwagę publiczną, a odciągnęły ją od zagadnień, nie wybiegających po za obręb jakiegoś pojedyńczego państwa rzeszy. Tém to można wytłómaczyć owo zjawisko, że w cieniu ustawy wyborczéj ogólno-niemieckiéj kryją się niekiedy istotne dziwolągi. Matka Germania przypomina wspaniałą niewiastę, na wyniosłym tronie i w stroju bogatym, w którego fałdach ukrywa się mnóstwo nagich i brudnych dzieciaków. Mamy tutaj na myśli stosunki meklemburskie, nawskroś feudalne, a których przedstawiciele niemal, iż myślą o wkrzeszeniu dawnego przymocowania do gleby; wolne miasto Hamburg, gdzie rej wodzą uprzywilejowane rody dawnych patrycyuszów, które dla ocalenia kilku frachtów okrętowych nie zawahały się oddać ludność hamburską na pastwę cholery; monarchię pruską ze swoją trójklasową zasadą.

Jakiś poddany Henryka XVII-go, księcia Reuss jakiéjś linii, spogląda prawdopodobnie z zadowoleniem na to, jak różne zaścianki i zaścianeczki ojczyzny niemieckiéj tracą swoją samoistność i rozpływają się w morzu ogólno-niemieckiém, bo to jednocześnie zwiastuje nastanie warunków dla tém silniejszego rozwoju kulturalnego. Z tego powodu może on mało zwracać uwagi na gromadę brudnych dzieciaków — dla niego są one oddanemi na pastwę śmierci. Inaczéj jednak rzeczy stoją z niektóremi dzielnicami—wschodniemi—monarchii pruskiéj. Tutaj istnieją odmienne wymagania kulturalne, dla których nie ma miejsca w ogólno-niemieckiéj ojczyźnie. Ponad interesami rzeszy niemieckiéj przemagają tutaj sprawy miejscowe. Ustawę trójklasową pruską miejscowości te sądzić muszą ze stanowiska swoich interesów lokalnych samorządu gminnego i municypalnego, oraz udziału

w prawodawstwie sejmowém. A tymczasem ustawa trójklasowości panuje wszędzie. Nietylko jest ona zasadą, według któréj wysyła się posłów do sejmu, ale téż rządzi życiem municypalném, a zatém sprawą opodatkowania lokalnego, dobroczynności publicznéj, dozorem szkolnym, sanitarnym, policyjnym.

* *
*

Istniejąca ustawa wyborcza pruska posiada dzieje dość szczególne. Konstytucya z dnia 8 marca 1848 r. wprowadza głosowanie powszechne. Potém dochodzi pomiędzy sejmem a rządem do nieporozumienia, z którego to powodu tamten ulega rozwiązaniu, a inny powołują do życia na podstawie nowéj ustawy wyborczéj, dającéj prawo głosu jedynie „samodzielnym" obywatelom kraju. Atoli ciało prawodawcze, wybrane na podstawie téj uszczuplonéj ordynacyi wyborczéj, równie nie odpowiedziało pokładanym nadziejom, uległo rozwiązaniu, a równocześnie w dniu 30 maja 1849 r. wydana nowa ustawa, która obowiązuje w państwie pruskiém do dnia dzisiejszego. Głosi ona, że każdy poddany pruski, który skończył lat 24 i znajduje się w posiadaniu praw obywatelskich, jest wyborcą, ale nie bezpośrednim. Wyobraźmy sobie jakiś okrąg, wysyłający posła do sejmu. Rozpada się on na liczbę pewną gmin prawyborczych. Przypuśćmy jeszcze, że ogólna suma podatków w jakiéjś gminie wynosi 3,000 marek (mówimy jedynie o podatkach bezpośrednich różnéj natury). Układa się listę opodatkowanych—na czele idą uiszczający sumę najwyższą, późniéj opodatkowani niżéj i t. d., w miarę ubywania kwoty opłacanéj. Otóż, bierze się taką liczbę najwyżéj opodatkowanych z pośród wyborców, póki nie otrzyma się trzeciéj części całéj sumy podatków, t. j. tysiąca marek. Będą oni stanowili klasę pierwszą prawyborców. Tak samo bierze się daléj idących, póki opłacane przez podatki nie wyniosą drugiego tysiąca marek—dostaniemy w ten sposób klasę drugą prawyborców. Wreszcie reszta osób w wieku odpowiednim stanowi klasę trzecią. Każda klasa prawyborców wybiera w swojém imieniu jednego wyborcę (stosunki są nieco bardziéj złożone, ale ponieważ nie zmieniają istoty rzeczy, nie wchodzimy w ich ukształtowanie). Ci wyborcy zgromadzają się z całego okręgu i prostą większością głosów wysyłają posła do sejmu (względnie zarządu municypalnego).

Zasada trójklasowa daje zatém panowanie w sejmie i w radzie miejskiéj żywiołom najwyżéj opodatkowanym. Jest ona w całéj pełni obwieszczeniem znaczenia plutokracyi. Już w r. 1849, według ówczesnych źródeł urzędowych, klasa pierwsza stanowiła jedynie

4,7% z pośród ogółu osób uprawnionych do głosowania, druga 12,6%. Taki sam widok przedstawiają zarządy miejskie. Tablica, poniżéj przytoczona a wzięta z r. 1861, da nam jakie takie wyobrażenie o liczebności prawyborców każdéj klasy przy wyborach municypalnych. A mianowicie było prawyborców:

	klasa pierwsza	klasa druga	klasa trzecia
w Królewcu	389	1,284	15,370
w Toruniu	107	348	2,018
w Berlinie	2,362	8,172	93,174
w Poznaniu	162	512	8,503
w Inowrocławiu . . .	24	92	899
w Düsseldorfie . . .	240	725	7,938 i t. d.

Cyfry podane obejmują ludność męską całego miasta, które zawsze bywa podzielone na mnóstwo gmin prawyborczych (w gminie takiéj nie może się znajdować więcéj nad 1,750 mieszkańców wszelkiéj płci i wieku). To téż niekiedy się zdarza, że klasa pierwsza liczy bardzo niewielu prawyborców, jak np. w Wągrowcu, gdzie klasa pierwsza zawiera jednego prawyborcę, druga dwóch, a trzecia 141. Prawie w każdém mieście jest kika gmin prawyborczych, gdzie jeden prawyborca stanowi sam klasę pierwszą i ma najzupełniejszą możność wybrać siebie samego lub kogoś innego na wyborcę; np. w jednym Wrocławiu znajdowało się ich aż 35. Niekiedy nastają, wskutek większych rozmiarów gminy prawyborczéj, pewne zmiany w zasadniczém prawie wyborczém, prowadzące do tego, że klasa pierwsza lub druga wysyła po dwóch wyborców. Otóż i wtedy, jak to miało w r. 1861 [1]) miejsce aż w 3 gminach prawyborczych Poznania, ów jedyny prawyborca klasy pierwszéj wysyła według woli swojéj dwóch wyborców. Nie wykształcenie, lecz kiesa posiadana rozstrzyga o posłach. Zwłaszcza w drobniejszych miastach zarząd przechodzi wprost w ręce kliki krewniaków, którzy z kasy municypalnéj czerpią obficie pod różnemi pozorami, jak tego świéżo dowiodły skandale w kilku miejscowościach nad Renem.

Atoli daty powyżéj przytoczone zgoła nie dają pojęcia o dzisiejszym stanie rzeczy. Zasada bowiem wyborcza, oparta na wysokości uiszczanego podatku bezpośredniego, jest niestateczną w najwyższym stopniu.Ześrodkowywanie kapitałów w Niemczech jest faktem najwidoczniejszym, a wraz z tą centralizacyą majątkową liczba prawy-

---

[1]) Trzymamy się téj daty 1861, ponieważ ostatni materyał statystyczny urzędowy w sprawie wyborów pochodzi z tego roku.

borców klasy pierwszéj wciąż spada, trzeciéj się podnosi. Otóż Prusy od roku 1861-go, zwłaszcza zaś od czasów wojny francusko-niemieckiéj, wkroczyły na drogę silnego rozwoju ekonomicznego. Nieznaczne ongi gałęzie przemysłu rozrosły się olbrzymio, jak to widzimy chociażby w zakresie cukrownictwa; inne, dawniéj nieznane, się ukazały. Punkt ciężkości bogactwa narodowego usadowił się wśród warstw kapitalistyczno-miejskich. A każda taka zmiana w rozmieszczeniu bogactwa narodowego, pociąga za sobą skutki odpowiednie w zakresie praw politycznych. Sprawa owa zaś zapanowywania wielkich kapitałów i ruiny drobnych posiadaczów występuje niemal wszędzie z jaskrawą wyrazistością. Z wielu przykładów weźmiemy te, które dotyczą dzielnic wschodnich. „Całe masy mieszczaństwa po naszych miastach i miasteczkach, czytamy o Poznańskiém, pracują w pocie czoła na kawałek chleba dla swojéj rodziny; uchodzą pod naciskiem wielkich kapitałów i konkurencyi, idącéj z głębi Niemiec i od Niemców z nami mieszkających, z przednich ulic na tyły miasta, nie mając po części wyobrażenia o walce, jaką prowadzić muszą o lichą swoją egzystencyę. ....Popatrzmy po naszych miastach, czém i kim się one dźwigają, czy nie niemieckim przemysłowcem i żydowskim kapitalistą? Popatrzmy na takie Nakło, Piłę, Leszno, a nawet Gniezno i Inowrocław, jak wszędzie albo się już wybił Niemiec ze swym warsztatem, albo Polaka trzyma w oskrzydleniu.“ W danym przykładzie owo zapanowywanie kapitałów wielkich występuje jaskrawo, ponieważ antagonizmy ekonomiczne ukazują się odziane w szatę innego rodzaju. To samo dzieje się i na przestrzeni całego państwa pruskiego, z tą różnicą, że zarówno zwyciężający wielki kapitalista, jako też zwyciężony drobny są tego samego pochodzenia narodowego. Stąd władza przechodzi coraz bardziéj do rąk owéj zwycięskiéj plutokracyi. Dość, ażeby gdzieś w okolicy ustronnéj usadowiła się fabryka i znalazła grunt pod nogami, a już jéj właściciel z czasem w swojéj gminie prawyborczéj wyruguje wszystkich z klasy pierwszéj i sam jeden ją zapełni, a niekiedy i drugą. Np. w Essenie Krupp mianuje sam jeden jednę trzecią, a wyżsi jego oficyaliści drugą trzecią wszystkich radców. A to zapanowanie kiesy w zakresie praw wyborczych podąża nader szybko w miaręześrodkowywania kapitałów. W Gelsenkirchenie — źródło nasze nie podaje w jakim przeciągu czasu—liczba prawyborców klasy pierwszéj spadła z 92 na 25. W Berlinie spostrzegamy to samo, chociaż z mniejszą wyrazistością, gdyż liczba bezwzględna prawyborców klasy pierwszéj to spada, to znowu się podnosi. W każdym razie przytoczona tabliczka daje

pojęcie o panujących tutaj dążnościach. A mianowicie było prawyborców:

	w klasie pierwszéj	trzeciéj
w r. 1873	5,579	111,872
„ 1885	4,964	236,673

Słowem, sakwa staje się panią społeczeństwa. A swoje to panowanie obwieszcza w sposób najrozmaitszy. Właściciele sal baletowych—kto zna Berlin, wié, jaką rolę spełniają tam te urządzenia — głosują w klasie pierwszéj, Caprivi zaś w trzeciéj. Znane są miasta, posiadające w swoich murach sąd okręgowy, gimnazyum i szkołę realną, a gdzie pół tuzina rzeźników posiada większe prawa polityczne, niż ogół nauczycieli, sędziów i adwokatów. A ta wszechwładza kapitału wielkiego będzie i nadal wciąż wzrastała. Wywłaszczanie chłopstwa z gruntów idzie nader szybko wszędzie, gdziekolwiek usadowiły się cukrownie lub przemysły rolne; wielki kupiec i przemysłowiec wypiera mniejszych na tyły miasta, a natura działających czynników pozwala mniemać, iż sprawa ta raczéj ulegnie w przyszłości spotęgowaniu, niż złagodzeniu.

Wobec tego wszystkiego ustawa trzyklasowa jest środkiem, umożliwiającym kapitałowi ruchomemu zapanowanie polityczne w społeczeństwie. Ale na tém rzecz się nie kończy. Tu i owdzie wybicie się kapitału wielkiego odbywa się w odpowiedniéj szacie wyznaniowéj lub rasowéj. Jeżeli np. zatrzymamy się nad dzielnicami katolickiemi na Szląsku, ujrzymy, że rdzeń tego wyznania stanowią włościanie i rzemieślnicy, t. j. właśnie te żywioły, które tegoczesny rozwój ekonomiczny spycha gwałtownie na stanowisko upośledzonych kopciuszków. Wyrastające fortuny znajdują się w ręku przybyszów protestantów, którzy wraz z większym dochodem zyskują coraz znaczniejszy wpływ w życiu miejscowém publiczném — nawet w zakresie takich potrzeb, jak dawanie wsparć z dobroczynności lub doglądanie szkoły, — a w następstwie wpływ téż i w życiu ogólno-państwowém. Dążność tę zrozumiało centrum i z tego powodu stanęło przeciwko ustawie trójklasowéj. Niekiedy obok wyznaniowéj spostrzegamy nadto szatę rasową. Kapitały wielkie w dzielnicy litewskiéj, w Poznańskiém, znajdują się w ręku Niemców i wraz z rozwojem takiego stosunku żywioły rdzenne zostają usunięte od życia municypalnego, jakkolwiek stanowią wśród ludności większość. Np. w Inowrocławiu w roku 1885-ym zarząd miasta składał się z 8 Polaków, 7 Niemców i 9 żydów [1]), mimo iż żywioł miejscowy w mieśce przeważa.

---

[1]) Nie podajemy liczniejszych przykładów z Poznańskiego dlatego, że nie

Słowem, ustawa trójklasowa, w miarę tego jak nowoczesny rozwój ekonomiczny posuwa się coraz bardziéj w kierunku stwarzania wielkich fortun, przyczynia się do zawładnięcia steru rządów w kraju, jakotéż w samorządzie gminnym, przez grupy plutokratyczne. Tu i owdzie zaś prowadzi ona jeszcze do zupełnéj przewagi jednego wyznania lub kultury nad innemi.

* * *

Jak to widać z wywodów poprzednich, życie społeczne pod wpływem rozwoju ekonomicznego, czyni zasadę trójklasową czémś, coraz nikczemniejszém, że użyjemy wyrażenia bismarckowskiego. Odbywa się to jednak zwolna, nie rzucając się w oczy. Inaczéj względem pruskiego prawa wyborczego zachowały się reformy finansowe, podjęte przez Miquela celem uratowania skarbu pruskiego przed grożącym mu deficytem. Już wprowadzone, w zakresie podatku od dochodów, zmieniły w stopniu silnym rozmieszczenie ludności pomiędzy różne klasy wyborcze i odrazu dały plutokracyi silniejszą, niż dotychczas, przewagę polityczną. Dalsze, które obecnie roztrząsane są w komisyi sejmowéj, idą jeszcze daléj. W znacznym stopniu zmniejszają one ciężar podatkowy, spoczywający na własności nieruchoméj, a natomiast pociągają do odpowiedzialności kapitały ruchome. Wraz z tém punkt ciężkości politycznéj zostaje nader gwałtownie przesunięty w kierunku kapitału ruchomego. Otóż wniesiona do sejmu przez rząd poprawka prawa wyborczego winna była zapobiedz téj zmianie, o ile dokonaną została już przez zatwierdzone reformy podatkowe. Polegała ona na dążności, ażeby osoby, które dotychczas głosowały jako członkowie téj lub innéj klasy, pozostały w niéj bez względu na zmiany podatkowe. A zatém zaprojektowano, ażeby nadal do klasy pierwszéj należeli wszyscy ci wyżéj opodatkowani, którzy opłacają pospołu $^5/_{12}$ ogółu podatków bezpośrednich swojéj gminy; do drugiéj — uiszczający $^4/_{12}$ téj saméj sumy ogół, wreszcie do trzeciéj pozostali. Aż nadto widoczném jest, że cała ta reforma była tylko odchyleniem następstw projektów finansowych Miquela, lecz w żaden sposób nie powstrzymuje coraz większego zapanowania plutokracyi, względnie protestantyzmu i niemieckości.

---

mamy pod ręką żadnych materyałów. Odszukaćby je można w dziennikach poznańskich, ale cóż, kiedyśmy ich nie znaleźli w królewskiéj bibliotece berlińskiéj, posiadającéj prawo bezpłatnego otrzymywania gazet. Biblioteka widocznie uznała za niepotrzebne gromadzić dzienniki, wychodzące w księstwie.

I zdawało się, wobec zachowania się sejmu pruskiego przy pierwszém czytaniu, że wniosek rządowy przejdzie, nie doznając głębszéj zmiany i na długo utrwali dalsze panowanie plutokracyi. Atoli przy drugiém czytaniu najniespodziewaniéj zerwała się burza nad wnioskiem urzędowym — ze strony centrum. W następstwie tego usiłowano wyznaczyć najwyższe *maximum* podatkowe, które będzie liczone. Takiém *maximum* byłaby suma 2,000 marek podatku. Na czém się to skończy, nie wiemy, gdyż właśnie w chwili, kiedy piszemy, rozprawy tylko co się rozpoczęły.

K. R. Żywicki.





NAJNOWSZA LITERATURA DLA MŁODZIEŻY.

Rok ubiegły nie odznaczył się wcale ilością nowych nabytków w dziedzinie literatury dla młodzieży; jeżeli nie weźmiemy w rachubę przedruków dawniejszych, zwłaszcza tłómaczeń z obcych literatur, to zaledwie parę przybyło oryginalnych książeczek jak również parę znanych przekładów.

Do niezbyt pocieszających faktów zaliczyć wypadnie ubieganie się o wydawanie tłómaczeń: chyba bardzo wysoka wartość wewnętrzna usprawiedliwiać może to przeszczepianie na nasz grunt obcych produkcyi, a i wtedy zajdzie jeszcze pytanie, czy są one dla naszych dzieci dość zrozumiałe, czy rzeczywiście przynoszą pożytek, jakiego koniecznie mamy prawo się domagać.

Przeglądając zaś te naleciałości, spotykamy nieraz świat tak obcy, tak odległy, że chociaż niektóre z tych książeczek z talentem są pisane, dziwić się przychodzi, iż wydawcy i tłómacze nie widzieli konieczności albo ich przerobienia czyli zastosowania do miejscowych warunków, albo przynajmniej objaśnienia w przypiskach, aby je uczynić przystępnemi. A są — niestety, pomiędzy niemi i takie, że życzyćby należało, aby w rękach naszej młodzieży nigdy nie postały.

Zaznaczając te ujemne objawy, podniesiemy i dodatnie zjawisko: jest niem pojawienie się tanich a dobrych książeczek dla uboższej młodzieży.

Sprawozdanie, które przedstawiamy obecnie, obejmuje nietylko utwory z roku ubiegłego i bieżącego: jest tu mowa i o tych książecz-

kach, które wyszły nieco wcześniéj, ale które na tém miejscu omawiane nie były.

Zajmiemy się tutaj rozpatrywaniem utworów tak oryginalnych, jak tłómaczonych, przeznaczonych dla młodéj dziatwy, oraz dorastającéj młodzieży, a obejmujących t. zw. książeczki obrazkowe, które prócz wierszyków stosownych dla dzieci, mają cel obznajmienia ich poglądowo z faktami otaczającemi; bajki z życia zwierząt, powiastki z życia dzieci i młodzieży, baśnie, powiastki historyczne oraz popularne wykłady z życia starożytnych ludów. Pomiędzy tłómaczonemi książeczkami — prócz wyżéj wymienionych rodzajów, spotkamy i opowiadania fantastyczno-naukowe (Verne), oraz opisujące przygody podróżników.

I. Utwory oryginalne.

1) „Książki obrazkowe.“ Wydawnictwo nasze obrazkowe wzbogacone zostało w ostatnich latach paru cennemi nabytkami. Nakładcy powołali do części literackiéj pierwszorzędne siły poetyczne; część obrazkowa pozostała wprawdzie po dawnemu produkcyą zagraniczną; skierowano się przecież do wyboru rzeczy mających wartość artystyczną, a w każdym razie nie psujących gustu dzieci, jak to ongi bywało.

Co do tego ostatniego punktu nie możemy powstrzymać się od pewnéj refleksyi: szczycimy się licznym bardzo zastępem artystów malarzy; niektórzy z nich tworzą wielkie dzieła, inni mniéj wzięci, licząc się z potrzebami materyalnemi życia, nie odmawiają swych usług, gdy idzie o poparcie artyzmem reklamy firm wódczanych i piwnych, o malowanie portrecików wskazanych wielkości na pudełkach do cukierków firm zagranicznych. Nie robimy z tego zarzutu, pytamy tylko, dlaczego dziatwa została całkiem zapomniana przez naszych artystów.

Czy odpowiedzi na powyższe pytanie tylko u wydawców szukać mamy? Przeciwnie, nie poszczędzili oni nakładu: p. Arct wzbogacił rzetelnie literaturę dziecięcą kilku poważnemi wydawnictwami; przedewszystkiém 5 książeczkami z wierszami Konopnickiéj, a w ostatnim roku 400 obrazkami do nauki poglądowéj z wierszem Or-Ot'a; p. Paprocki dał poważny nakład na „Historyą Naturalną“ w obrazach (2 tomy) z tekstem Dygasińskiego i Wermińskiego.

Przystępujemy do poszczególnego przejrzenia książek obrazkowych.

I. Pięć książeczek wydanych przez Arcta z wierszami Maryi Konopnickiéj. Ilustracye, jak to już wyżéj zauważyliśmy, odznaczają się wartością artystyczną. Treść stanowią sceny z życia dzieci na tle przedewszystkiém nadającém się do malarstwa i do poezyi t. j. na tle przyrody. Stąd téż książeczki te inne mają znaczenie dla dziatwy wiejskiéj, inne dla miejskiéj i kto wié, czy nie więcéj będą miały uroku dla téj drugiéj, jako zaczerpnięte z krainy mniéj znanéj.

Znakomita ta poetka miała dużą trudność do pokonania, dorabiając wiersze do obrazków gotowych; z trudności téj przecież wyszła zwycięsko. Wiersz toczy się gładko i swobodnie, jest nawskroś swojski, a od czasu do czasu wznosi się do poezyi przepięknéj.

Nie przeczymy, że tu i owdzie znajdzie się wyrażenie mniéj zrozumiałe dla dzieci, obraz mniéj uchwytny; że część pewna wierszy ma znaczenie tylko łącznie z obrazkami: większa przecież część to prawdziwe brylanciki — nabytki na całe życie. Wzbogacają one naszą literaturę pedagogiczną i wejdą niezawodnie do elementarzy i wypisów.

Zbiorek ten przedstawia się w porządku następującym:

a) „Wesołe chwile“ (Warsz. 1889) z 17 obrazkami H. Benneta. Z 13 poemacików, zawartych w téj książeczce zasługują na wyróżnienie: „Rankiem“ (Zaszumiało nasze pole...), „Co słonko widziało“ (Cały dzionek słonko po niebie chodziło...), „Co robią ptaszki“ (Od wschodu, od rzeczki wietrzyk tuman niesie...).

„Co Staś widział w polu;“ „Nasz domek“ (Naznosimy piasku, naznosim kamiemi).

b) „Moja książeczka“ (Warsz. 1889) z 15 obrazkami H. Benneta.

Z 10-u poemacików, tu pomieszczonych, wyróżniamy: „Na fujarce,“ „Druciarczyk,“ „Nasz koniczek,“ „Z łąki do domu,“ „Czytanie,“ „Na polu.“

c) „Wiosna i dzieci“ (Warsz. 1890). Godne zaznaczenia: „Piosnki majowe,“ „Wieczór w lesie,“ „Wesele w maju.“

Pastereczka.

Oj nie chcę ja być ptaszyną, co gdzieś leci w dal...
Bo téj naszéj wioski miłéj byłoby mi żal!

Oj nie chcę ja być czółenkiem, co gdzieś płynie w dal...
Bo tych naszych pól i lasów byłoby mi żal!

Oj nie chcę ja być tą chmurką, co gdzieś wieje w dal...
Bo tych naszych wzgórz różowych byłoby mi żal!

Tum wyrosła jako trawka, jak ten polny kwiat...
Tu owieczki będę pasła, tu mój cały świat!

d) „W domu i w świecie“ (Warszawa-Kijów 1891). Książeczka ta różni się od innych; wiersze nastrojem i rozmiarami odpowiadają pojęciom starszych nieco dzieci, mniéj więcéj od lat 10. Obrazek naczelny przedstawia chłopca z książką w ręku, zapatrzonego w tęczowego krasnoludka — personifikacyą poezyi drgającéj w duszy młodocianéj na łonie natury. Zjawisko to podobało się nazwać poetce „Duszkiem tęczowym,“ przyczem niezupełnie może trafnie dodaje:

Czy z książeczki, czy też z głowy
Frunął duszek ten tęczowy...

Inne wydatniejsze poemaciki: „Niezabudka,“ „U okienka“

Z mojego okienka — to istny dziw!
Co rok więcéj widzę i pól i niw...

„Do mamy,“ „Chrystus i dzieci,“ „Dziadek przyjdzie,“ „Paciérz dzieci,“ „Stopnie poznania,“ „O co się modlić,“ „Nasz domek,“

e) „Pod majowém słonkiem“ (Kijów, Odesa, Warszawa 1892). Znajdujemy tu 20 poemacików tryskających poezyą i humorem, niektóre może tylko przydługie jak dla małych dzieci, jak np. „W państwo,“ „Na zasadzce,“ „Nasza Hania,“ „Żabka Helusi,“ „Gosposia,“ „Co gołąbki widzą“ i inne.

II. „400 obrazków z wierszykami i pogadankami o rzeczach,“ nakład Arcta (Warszawa 1893). Jest to książka dużego formatu, składająca się z 24 tablic, zapełnionych dobremi obrazkami do nauki rzeczy, odbitemi u Brockhausa w Lipsku. Zbiór taki, ilustrujący dokładnie wiele przedmiotów z życia domowego, sielskiego i miejskiego, wchodzących w zakres pojęć dzieci, jest dobrym nabytkiem w każdym domu nie tyle do zabawy ile do nauki dzieci. Przychodzi nam jednak zaznaczyć z żalem, że są tu rzeczy zbyteczne, jako obce, a z drugiéj strony wielu swojskich brakuje. Nakładca, chcąc podnieść wartość wydawnictwa powołał poetę Opmana (Or-ot) do tekstu poetycznego, postarał się prócz tego o sporządzenie tekstu informacyjnego.

Tak więc lewą stronę każdéj tablicy zadrukowano symetrycznie: u góry wierszem, w odcinku — pytaniami i objaśnieniami. Jedno i drugie może mieć wartość samo w sobie, pedagogicznéj przecież do-

niosłości wydawnictwa nie podnosi. Wiersze — gładkie wprawdzie — zdają nam się zbyteczne do objaśnień poglądowych. Zresztą zaciemniają one rzecz, albowiem poeta odnosząc się do różnych, martwych — nieraz wcale nie poetycznych — przedmiotów, namalowanych obok, ubarwić musiał opowiadanie wprowadzeniem akcyi, fabuły, co naturalnie odrywa dzieci od obiektywnego rozpatrzenia się w przedmiotach, o co głównie w nauce rzeczy idzie.

Tekst informacyjny opracowano bardzo starannie, za drobiazgowo nawet — ale nieumiejętnie, bez żadnego systemu. Tekst ten może tylko obałamucić osoby, które nie wiedzą, jak naukę uzeczy prowadzić. Jest tu zresztą sporo niedokładności, błędów: gąbka np. nie jest częścią tabliczki, nie możemy np. usłuchać szkodliwéj rady autora, aby brudną pajęczynę przykładać dla zatamowania krwi.

III. Inne książeczki świéżo wydane p. Arcta.

a) „Dzieci i zwierzęta“ z 16-ma tablicami obrazków, wierszem opisał Artur Opman (Or-ot). — Książeczka dla małych dzieci — podniesiona gładkiemi wierszykami Or-ot'a; rysunki zwierząt i dzieci wyraziste, dobre; parę obrazkow kolorowanych przyciągną dziatwę umiarkowaną jaskrawością kolorów i humorem.

b) „Dla grzecznych dzieci,“ powiastki i wierszyki, napisała ciocia Janina z 16-ma obrazkami. Do miłych dość obrazków, przedstawiających dzieci i lalki dorobiła tekst ciocia Janina, uciekając się do pomocy to wiersza to prozy naprzemian.

c) „Uciechy dziecięce“ opisała wierszem i prozą Helena Bojarska z 16-ma obrazkami. Książeczka odpowiednia dla małych dzieci równie jak dwie powyższe; kilka obrazków bardzo miłych, wierszyki i proza gładkie.

IV. „Złote abecadło“ z obrazkami dla dzieci. (Nakł. Hösicka, Warsz. 1892). Są tu duże, złocone litery, przy każdéj obrazki z życia dzieci — jaskrawo kolorowane — i to cała wartość książeczki. Dodano parę kartek sylab, wyrazów i zdań, ale te pokazują, jak się obecnie elementarza pisać nie powinno.

V. „Skarbczyk obrazkowy,“ nakł. Maur. Orgelbranda. Książeczka niewielka dla małych dzieci, składa się z 12-tu tablic, mieszczących około półtory setki obrazków, przedstawiających różne przedmioty; większą część obrazków objaśniono dwuwierszem, nie zawsze udatnym.

VI. „Naszym pieszczotkom,“ książeczka dla dzieci z obrazkami i wierszykami z różnych autorów przez Y. Z. (Nakład Cybulskiego w Poznaniu). Obrazki ładne, wierszyki zastosowane do nich —

niektóre znane np. Gniazdko (Mateczka tobie ściele łóżeczko...) Kraj ojczysty

Cudze chwalicie, swego nie znacie;
Sami nie wiécie co posiadacie!

VII. „Bajki i fraszki“ Dudusia (Józefa Waśniewskiego) (Warszawa 1892, Nakład M. Wołowskiego). Książka obrazkowa, ładnie wydana, z oryginalnemi ilustracyami, zawiera 76 bajek. Może ona ozdobić stół w salonie, może dać wiele do myślenia w czytaniu, jako satyra prądów współczesnych, — nic przecież wspólnego z literaturą dla młodzieży (oprócz pozoru, formatu) nie posiada.

Wł. Nowicki.

2) „Las“. Książka przeznaczona dla dzieci od lat 6 do 10, przez Maryą Weryho.

Od wieków uważano bajkę ezopowską za najodpowiedniejszą lekturę dla dzieci. Powstawał przeciwko niéj Rousseau, nie przekonał jednak ani ogółu, ani pedagogów. Kiedy już dorośli zaprzestali ją czytywać, pojawiły się bajki przeznaczone zgóry dla dzieci i do ich pojęć zastosowane. Mamy bajkopisarzy, bal poetów-pedagogów, którzy przeważnie działalność swoją autorską poświęcili dziatwie. Niemcy mają Hey'a, Francuzi Ratisbonna, my Jachowicza, pisarza-pedagoga, który dwom pierwszym bynajmniéj nie ustępuje, a pod niektórymi względami—ich przewyższa.

Bajki Jachowicza cechuje pobożność, serdeczność i umiejętność w przemawianiu do dzieci; łatwość i wdzięk formy działa więcéj na uczucie, niż na rozum. Stąd dziś wydaje się nam, często niesłusznie, zbyt czułostkowym. Niektóre znów bajki nie różnią się niczém od dawniejszych, przeznaczonych dla dorosłych.

Obok bajki powiastka moralna zajęła najpoważniejsze stanowisko w literaturze dla dzieci. Idąc za przykładem Hoffmanowéj, pisarze w utworach dla dzieci starali się wysunąć na pierwszy plan morał, o rozpowszechnienie innych pożytecznych wiadomości, w powieściowéj treści mniéj dbano, o pobudzenie i rozwój fantazyi jeszcze mniéj. Kiedy gdzieindziéj, szczególnie w Niemczech, baśnie ludowe i inne utwory fantastyczne uważano za odpowiedni dla dzieci pokarm umysłowy, u nas lekceważono je, a nawet uważano za niebezpieczne. Zaznaczamy tylko fakt, nie zastanawiając się głębiéj nad tém, czy baśń ludowa niemiecka jest podatniejsza jako materyał pedagogiczny, niż nasza, czy téż dzieci nasze wymagają innéj strawy umysłowéj, niż niemieckie.

W ostatnich dwóch dziesiątkach lat ogólny prąd przyrodoznaw-

czy dotknął i literaturę dla dzieci. Nauczanie w łatwy sposób pewnych faktów naukowych stało się główném zadaniem piszących w nowym kierunku. Okazało się wszakże niebawem, że owe historye naturalne, chemie, fizyki i fizyologie w formie pouczających rozmów lub powieści, przy wyraźnéj dążności dydaktycznéj, jak z téj saméj przyczyny dawne powiastki moralne i bajki, nudne jako lektura po za lekcyami, pod względem zaś systematyczności wiele pozostawiają do życzenia.

Zapewne pod wpływem powieści Verne'go i innych, pojawiły się i u nas fantastyczno-naukowe rozprawki w formie baśni ludowéj lub czarodziejskiéj opowieści. Za ogólnym prądem przyrodniczym poszła i panna Marya Weryho. Zajmuje jednak stanowisko odrębne. Powieści takie, jak np. „Gucio zaczarowany“ p. Urbanowskiéj, przeznaczone były dla dzieci starszych. Panna W. jest jednocześnie przedstawicielką kierunku przyrodniczego i froeblowskiego. Ponieważ więc utwory jéj przeznaczone są dla dzieci młodszych i nacechowane doktryną froeblowską, różnią się przeto od poprzednich. Nie wchodzimy w to bliżéj, czy panna W. stworzyła u nas (bo gdzieindziéj już istniał) nowy kierunek w powieściopisarstwie dla dzieci, czy téż wznowiła tylko myśl podejmowaną kilkakrotnie już dawniéj; o ile jednak wiemy, w ostatniéj dobie pedagogiki naszéj, panna W. pierwsza ogłosiła powiastki oryginalne, których rodzaj określimy poniżéj.

Już Jachowicz wprawdzie w kilku bajeczkach zaleca dobre obchodzenie się ze zwierzętami, ale czyni to nawiasowo, dla morału. W bajkach jego, jak i w innych występują charaktery i stosunki ludzkie w zwierzęcéj szacie; jak i w innych, tak i tutaj zwierzęta są raczéj automatami, aniżeli żywemi istotami. Najtragiczniejsza nawet sytuacya, która w życiu ludzkiém budzi grozę i współczucie, w bajce, kiedy chodzi o zwierzęta — śmieszy lub przynajmniéj obojętne robi wrażenie.

Panna W. rozpowszechnia u nas dla młodszéj dziatwy krótkie opowiadania, w których bohatérami są zwierzęta, ale już we właściwéj sobie postaci, idealizowane wprawdzie, często nie bez cech ludzkich, ogólnie jednak autorka usiłuje przedstawić je we właściwych im stosunkach, ich przymioty fizyczne i umysłowe, radości i cierpienia, zwyczaje i obyczaje, walkę o byt, w któréj to zwyciężają, to padają ofiarą nie tyle z własnéj winy, ile skutkiem rządzących praw przyrodzonych; dążenie autorki stanowi zarówno zaznajomienie młodziutkich czytelników z organizmem i życiem zwierząt, jakotéż i wzbudzenie

dla nich współczucia. Z założenia tego wynikają zalety i wady utworów p. W.

Ostatni zbiór jéj powiastek „Las“ posiada wiele cech wspólnych, ale i różnych od poprzednich; dlatego omawiając go, nie możemy ominąć dawniejszego pod tytułem „Nasi przyjaciele“. A tylko przez zestawienie dwóch zbiorów porównanie stanie się możliwém. Dla téjże przyczyny nie omawiamy tych dwóch zbiorów oddzielnie, lecz wspólnie, grupując utwory według podobieństw i różnic między sobą, bez względu, czy pomieszczone były w „Lesie“, czy w „Naszych przyjaciołach“.

W powiastkach „Pies Dandon“, „Przygarnięty kotek“, „Szczygiełek“, „Wilk“ i kilku innych przedstawione jest uczucie wdzięczności i przywiązania, jakie okazują zwierzęta ludziom, opiekującym się niemi. Nie zawierają one wogóle nic nowego, podobnych powiastek mieliśmy już wiele.

Powiastka o wilku przypomina znaną anegdotę o lwie Androklesa—chłopczyk spotyka w lesie wilka, który wszakże nietylko go nie krzywdzi, ale mu się łasi, okazuje się bowiem, że to ten sam wilk, którego niegdyś chłopczyk wychował. Lubo przyrodnicy i podróżnicy twierdzą, że to, co opowiadają o wspaniałomyślności lwa w znacznéj części zmyślone, dlaczegóż jednak nie opowiedziéć podobnéj bajeczki o wilku? Ale cóż, bajki i anegdoty tak przyzwyczaiły nas do uosabiania w zwierzętach skłonności ludzkich, że wspaniałomyślność lwa wydaje się nam prawdopodobną, a we wdzięczność i przywiązanie wilka trudno nam uwierzyć, uosabia bowiem w bajce żarłoczność, drapieżność i podłość.

W powiastce „Przebiegły lis“ przedstawiony jest wiernie charakter zwierzęcia ten sam, co i w bajce Ezopowskiéj i opowiadaniach myśliwych, dlatego tutaj, choć jak w dawnéj bajce zwierzęta mówią, rozczulają się nawet, obyczaje oraz warunki bytu zwierzęcia przedstawiają się wiarogodniéj i nawet wypukléj, aniżeli w „Wilku“, gdzie zwierzęta są zwierzętami i przedstawione są w stosunku do ludzi.

W opowiadaniu „Chrabąszcz i szpak“ autorka nadała pierwszemu zwierzęciu cechy przebiegłości, drugiemu zaś dobroduszności i łatwowierności, nie razi to jednak, ponieważ zwierzęta te rzadko w bajce występują; żywość i humor w opowiadaniu, oraz poprzestanie na stosunkach zwierzęcych, sprawia, że utwór ten do bardzo udatnych zaliczyć można. Opowiadania: „Kuna“, „Komar“, „Dlaczego dzięcioł wciąż kuje?“ i inne pozbawione są akcyi, wszelako są bardzo

zajmujące, przedstawiają bowiem w sposób to humorystyczny, to poważny, zawsze jednak żywo i wiernie życie zwierzęcia.

Podobne zalety przy żywéj akcyi posiadają „Rodzina wiewiórki“, „Przygody Bizi“, „Dzika kaczka“, „Dwa czyżyki“, „Ja sama“, „Dudek“; wszakże jest tu pewna przesada w przenoszeniu cech i stosunków ludzkich na zwierzęta.

W „Dudku“ (najudatniejszéj może ze wszystkich) ptaki leśne zaintrygowane są nowoprzybyłym ptakiem, dudkiem, którego dotąd nie widziano nigdy, zaznajamiają się z nim, zachwycają się urodą i zaletami towarzyskiemi; dudek staje się ulubieńcem wszystkich, zazdrosna wszakże sroka-plotkarka oczernia go z początku bezskutecznie, w końcu wszakże przekonywa naocznie ptaki, że faworyt ich jest brudasem, nie umié budować porządnego gniazda, składa jajka w próchnie, — towarzystwo ptasie wyklucza dudka z swego grona, sroka tryumfuje, biédny wygnaniec żyje odtąd samotnie.

W „Ja sama“ młoda mrówka jest kapryśném dzieckiem, następnie znanym urwisem, a późniéj pożytecznym pracownikiem, w końcu dzielnym wojownikiem, dowódcą wojska i zbawcą rodzinnéj osady. Wesoły ton i zajmujące szczegóły sprawiają, iż rzecz ta należy do najlepszych powiastek w zbiorach p. W.

Rażą więcéj te mamusie kozy, wiewiórki, które córeczkom swoim tonem matek postępowych udzielają lekcyi o rzeczach, opowiadając, ile posiadają zębów, jaki pożytek przynoszą ludziom za życia i po śmierci.

Dziwne wrażenie sprawia kaczka, znalazłszy po polowaniu osierocone kaczęta: „Spłakała się razem z niemi kaczka, zawołała sierotki do siebie i zaprowadziła je do stawu, przyłączyła do swéj gromadki i od téj pory zaopiekowała się niemi, jak własnemi dziećmi.“

W opowiadaniu „Dąb“ długoletni przyjaciel dębu, kruk, umiéra po nim z żalu i tęsknoty pod ławką, sporządzoną z tegoż drzewa. Ależ to wprost niesmaczne!

Albo też opowiadanie „Brzoza“; chłopcy przez łakomstwo pozbawiają brzozę żywotnego soku, drzewo usycha; wyliczone następnie pożytki z niego po śmierci, między innemi sporządzono bramę wspaniałą, któréj jedyną wadę stanowiło ustawiczne skrzypienie, niby jęki żałosne.

„Może brzoza żaliła się na łakomych chłopaków, którzy przyczynili się do jéj śmierci.“ Czyż to nie sentymentalizm?

Właściwy autorce talent i zupełne uzasadnienie obranego przez siebie kierunku jest tam, gdzie zachowuje ton wesoły w opowiadaniu i poprzestaje na główném zadaniu swojém — zaznajomienia ze świa-

tem zwierzęcym; natomiast sytuacye dramatyczne nie udają się, gdziekolwiek stara się okazać uczuciowość, wpada w sentymentalizm.

W ślady p. W. poszło wiele innych autorek, nie umiały jednak zachować miary właściwéj, brały za wzór słabsze utwory, i otóż pisma nasze dla dzieci zapełniają się powiastkami ckliwemi, często niedorzecznemi o zwierzętach i drzewach, stają się coraz to fantastyczniejszemi, bez fantazyi wszakże, są bowiem robione w celach dydaktycznych.

Długo zamykaliśmy drzwi i okna przed piastunką dziecięcéj fantazyi, starą, poczciwą baśnią ludową; obecnie otwiéramy jéj na rozcież podwoje, ale odmłodzonéj już i zmonidernizowanéj z biretem doktorskim w miejsce czépka, binoklami w miejsce okularów, z przyrządami naukowemi w miejsce pończochy w ręku. Owa trzeźwość myśli jednak, któréj tak przestrzegały nasze przyrodniczki-powieściopisarki, nie skorzystała na téj zmianie: przeciwnie, wpadamy w nową chorobliwą uczuciowość, nie wypływającą z przepełnionego miłością ku dzieciom serca, jak u Jachowicza, nie widzimy téż swobodnego polotu fantazyi, jak u Andersena lub w baśni ludowéj, lecz tylko sztuczność, manierę, pedagogię jakąś skomplikowaną, nieraz śmieszną.

W ostatnim zbiorze p. W. „Las“ widzimy już pewne zmiany, które na korzyść temu rodzajowi literatury wychodzą. Nie chodzi tu już tyle o szczegóły, które jedynie w systematyce zwierząt mają znaczenie, np. ile i jakie zwierzęta posiadają zęby lub nogi; nie ma tyle przesadzonych anegdot o zmyślności zwierząt, a więcéj obrazków wiernych z ich życia; główną wszakże różnicę stanowi przedstawienie pewnéj społeczności życiowéj—lasu. Nie udało się wprawdzie autorce wykazać jasno wzajemną zależność od siebie u organizmów lasu, nie dała nam wyraźnéj jego charakterystyki, ominęła bowiem niejeden ważny szczegół na korzyść mniéj ważnego, pomieściła nawet takie utwory, które z lasem żadnego związku nie mają, ale i za to usiłowanie znalezienia nowych dróg należy się autorce uznanie.

W nowym zbiorze znajdujemy téż i powiastki, w których występują sami ludzie bez zwierząt. Niektóre z pomiędzy nich są utworami starego typu. Udatną bardzo powiastką jest „Pożyteczna zabawa.“ Dzieci, przebywające na letniém mieszkaniu, zbiérają dla staréj choréj kobiéty chróst w lesie i znoszą go wczesnym rankiem w wielkiéj tajemnicy przed jéj chatę. Etyczne znaczenie pracy, jako myśl przewodnia, zawierają również powiastki „Dobre dzieci“, „Pierwsza robota Stasia.“

„W noc gwiazdkową“ należy do nowego kierunku społecznego, który równolegle z przyrodniczym panuje w literaturze dla dzieci. Wiejski chłopiec ścina z ojcem choinki w lesie, odwozi je do miasta i tam dopiéro dowiaduje się, do czego służą, stoi przed oknem przez całą noc, gdzie obchodzą gwiazdkę, nad ranem dopiéro znajdują go śpiącego, na wpół żywego.

Do społecznych również należą „Marcin kaleka“; szkic ten dowodzi, jak, nie goniąc za efektami, a zachowując prostotę, można dać rzecz ładną, zajmującą i pouczającą. Stary drwal i bednarz traci nogę w lesie przy pracy, tak jak żołnierz na polu bitwy, nie przestaje jednak być użytecznym.

W końcu jedna jeszcze uwaga — stosujemy to samo prawo do literatury dla dzieci, co i do ogólnéj: utwory beletrystyczne winny mieć wartość artystyczną, winny być naturalnym płodem twórczości autorskiéj, „rzecz robiona“ choćby najlepiéj obmyślana, nie zadowolni...

W. Osterloff.

3) „Dla dzieci.“ „Powieści i baśnie“ z rysunkami, zebrała z różnych autorów R. M., część I, r. 1890,—i tenże sam tytuł, część II-ga, zebrała i ułożyła M. G., r. 1893.

Książeczki, których tytuły wymieniliśmy, zasługują przedewszystkiém na uwagę dlatego, że przez swoję t a n i o ś ć zadosyć czynią wielkiemu brakowi w naszéj literaturze dla młodzieży. Wskutek bowiem d r o ż y z n y książek, młodzież uboga, a w szczególności należąca do sfer ludowych, pozbawiona była tego rodzaju pokarmu duchowego. Wpływało to bardzo ujemnie na szerzenie oświaty tam, gdzie jéj najwięcéj potrzeba, bo nie było ani środka zachęcenia do niéj, ani podtrzymywania chęci już rozbudzonéj: sądzę bowiem, że takie książeczki, które stanowią p r z y j e m n o ś ć, dodatnio bardzo wpływają na te dwie okoliczności. Nadto ochraniają one jeszcze od demoralizacyi: młodzież bowiem, która lubi czytać, chwytała często pisma, książki przeznaczone dla osób starszych i dowiadywała się często przedwcześnie o rzeczach jéj wiekowi niewłaściwych. Powieści i baśnie wypełniają nadto jedną jeszcze lukę w lekturze ubogiéj dziatwy: mają przeważnie charakter powiastek i wierszyków u m o r a l n i a j ą c y c h, a takich między przeznaczanemi dla dzieci ludu, było bardzo mało; wydawane poprzednio — brały sobie za cel wyłącznie prawie zaznajomienia z przyrodą. Dopełniają więc one braków, jakie w wychowaniu czuć się dawały dotkliwie. Obecny

zbiorek zawiera 15 powiastek, bajek i wierszyków w I-éj, a 38 w II-éj części.

Rozpatrzmy treść i formę tych zbiorków.

Treść po większéj części wzięta z życia ludu, lub wogóle ludzi uboższych. Nie mamy nic przeciw temu: owszem, więcéj to odpowiada potrzebom czytelników, na których wydawcy liczyli, a nadto życie ludzi ubogich więcéj przedstawia sytuacyi szczerego współczucia, szczeréj ofiarności.

Zaznaczymy tu jeszcze jedną ważną okoliczność: uprzedzeń do innych sfer, stanów nie ma żadnych; owszem, do pewnego stopnia zauważyliśmy dążność do pogodzenia tych sfer i stanów; szlachta, duchowieństwo bierze tu dodatni udział w życiu ludu, a stosunek ten w bardzo naturalny sposób przedstawiono. Wogóle pod względem etyki, oprócz paru powiastek (o czém niżéj), książeczkom tym zarzutu robić nie można.

Forma przystępna: język po większéj części prosty a szlachetny. Co do formy tylko powiastek z życia ludu, zrobilibyśmy uwagę, że takich wyrażeń, jak: i n o, d y ć, b o g a ć t a m, m a m r o c i ć należy się wystrzegać, — są one dla dzieci inteligencyi niezrozumiałe, lub obniżają mowę, do któréj przywykły, a dla dzieci ludu niepotrzebne. One je rozumieją, uczyć więc takich wyrażeń nie potrzeba; a upoważniać do ich użycia nie należy, bo wzorową mową, do któréj mają zdążać, zawsze musi być literacka.

Nie należy brać za wzór pod tym względem w powieści lub komedyi dla osób dorosłych; dla dzieci i młodzieży są one niewłaściwe. Na szczęście, wyrażeń takich w danym zbiorku niewiele.

Przystąpimy teraz do uwag nad poszczególnemi utworami, głównie pod względem ich wartości literackiéj, zaznaczyć téż nie omieszkamy, jeśli spostrzeżemy coś godnego uwagi i pod innemi względami. O ile między powiastkami i baśniami znajdujemy sporą ilość ładnych utworów, o tyle wierszyki często grzeszą pod względem estetycznym. Są między niemi i wyjątkowo ładne, jak: Chęcińskiego „Dobrem za złe“ (część I), do udatniejszych téż należy policzyć i wierszyki Jachowicza i Bojarskiéj. Ale rzec można, że takich jest niewiele, a nadto u tych samych autorów, których tu znajdujemy wierszyki, daleko ładniejsze znaleść można. Poszukajmy tylko w Śpiewnikach Jachowicza i w „Przyjacielu Dzieci“ pomieszczanych przez Bojarską, a przekonamy się o tém. Na dowód braku staranności w wyborze przytoczymy taki przykład:

Biegał chłopczyk po zielonéj łące,
Biorąc tu i owdzie kwiatki woniejące,

To znowu podnosił kamyk po kamyku,
By wrzucić je w wodę wartkiego strumyka (czy strumyku?).

Pocieszmy się atoli utworami w mowie niewiązanéj.

Powiastka „Chłopiec i pies“ zajmująca niezawodnie. Ale pedagogowie zrobiliby jéj zarzut: krzywda, jaką chłopiec wyrządza psu jest taka pomysłowa, że kto wié, czy zły chłopiec nie zechce skorzystać z dowcipnego sposobu dręczenia zwierząt, dzięki powiastce. „Uczciwość“—za to—prosta, rzewna a szlachetna. Powiastka „Zmarznięty“ zaznacza się niewyzyskaniem pomysłu. Ileż byłaby skorzystała i pod względem dydaktycznym i estetycznym, gdyby autor (Góralczyk) odmalować był zechciał, w jaki sposób poczciwy Maciuś ratował od śmierci—zmarzniętego. Bez tego wyszła na poczciwy ale blady morał. „Gorące gruszki“ dosadną dają nauczkę łakoméj Ewce. „Marcinek“ (z „Wieczorów rodzinnych“) byłby wcale dobry, bo jest i życie w téj powiastce i charakterystyka osób wyrazista; ośmieszenie jednak staréj babuni, opiekunki Marcinka—budzi niesmak. „Zapóźno“ („Wieczory rodzin.“) bardzo poetyczna. Może się ta powiastka wydać komuś sentymentalną, ale tu i tendencya niezwykła i obrazek bardzo ładny. Poczciwy, ale lekkomyślny Michałek, obiecał choremu oddawna Jasiowi przynieść ziół i kwiatków z łąki, do któréj Jaś tak tęsknił. Zapomniał jednak o obietnicy na razie. Przypomniał sobie potém, zapragnął nagrodzić zawód, ale—za późno. Jaś już nie żył.

„Chatka z lodu“, bajka, bardzo interesująca i pouczająca.

„Plotkarka“ (Góralczyka). Temat dobry, ale nierozwinięty. Szkic taki pobieżny nie zrobi wrażenia na dzieciach, które grozy następstw z plotkarstwa nie zrozumieją. Za to „Papiéros“ dosadnie, może zbyt dosadnie maluje skutki złego.

„Miłosierna dziewczynka“, litująca się nad cierpieniem żydka, który jéj niegdyś psoty wyrządzał, prawdziwie po chrześciańsku postępuje. „Korale“ (z baśni ludowych), zajmujące, plastyczne, pouczające.

„Staś“ (Maryi Weryho), ładna powiastka o chłopcu wiejskim, biédnym sierocie, który nie miał możności uczyć się, a całą duszą tego pragnął. Szkoda tylko, że autorka nie uwydatniła lepiéj przyczyn, które rozbudzały w chłopcu pragnienie nabycia wiedzy. Albo trzeba było o tych przyczynach nic nie mówić, albo staranniéj je wykazać. Te, jakie są przedstawione, nie odpowiadają swą siłą natężeniu energii chłopca w zwalczaniu przeciwności. Stąd wada estetyczna: brak równowagi pomiędzy przyczyną a skutkiem.

„Źródło żywéj wody“ (z baśni ludowéj) przez M. R. Pięknie

odmalowane przywiązanie córki do choréj matki. Biédna Magdusia zwalcza największe trudności, niebezpieczeństwa, a siłę czerpie w miłości do matki.

„Placek Wielkanocny“ (Paulina Kraków), ładnie opowiedziane wydarzenie o szlachetnéj rodzinie poczciwego szewca. Niesmak tylko budzi ta okoliczność, że miłosierna Anusia dwa użytki robi z jednéj ofiary: uczciła sędziwego dziadusia swoim placuszkiem i oddała ten sam placuszek ubogiemu. Dziwne to czasem popełniają niezręczności pierwszorzędni pisarze.

„Pudel“ (Maryi Weryho). Autorka każe wierzyć, że prawdziwe było zdarzenie, iż pudel z własnego natchnienia opiekował się opuszczonemi szczeniętami. „Były to słabe, chude stworzenia, opuszczone widocznie przez matkę, bo żałośnie skowyczały. Pudel zbliżył się do nich, wyjął z kosza jedną bułkę, rozerwał ją na części, dał każdemu szczenięciu po kawałku i odbiegł pośpiesznie.

„Zielona panienka“ (baśń) przez Maryę Świderską. Bardzo ładnie, z wdziękiem skreślone opowiadanie o królewnie, co rozkoszowała się tylko swoją pięknością, a nigdy nie myślała o pracy, ani o tém, aby być ludziom pożyteczną. W tém piękność znikła i królewna, chcąc zyskać prawo do bytu między ludźmi, jęła się pracy i usług dla bliźnich. Pozyskała ich serca; piękność utracona cudownie też wróciła: „królewna znów była biała i piękna, jak dawniéj, ale odtąd pozostała słodką, dobrą, śpiewającą jak ptaszek, a pracowitą jak mrówka.

„Lalka“ (Zofia Kaplińska). Doskonała to charakterystyka zepsutéj, chciwéj, podstępnéj Uliny.

„Pierwsza praca“ (z francuskiego); szkoda, że pomysł dobry, nie wyzyskany należycie. „Opiekun sierot“; nie byłoby śmieszne to opowiadanie, gdyby nie zbytek cudzoziemszczyzny między kurami.

„Tajemnica Ignasia i Józi“ (z „Wieczorów rodzinnych“). Najlepsza z powiastek tego zbiorku: żywość, barwność w opowiadaniu, naturalność w charakterystyce Józi, dzielnego a sympatycznego dziewczęcia wiejskiego, obok obrazu łagodnego, lubiącego książkę brata Ignasia, poczciwych rodziców i proboszcza: wszystko to składa się na bardzo ładną nowelkę z życia dzieci wiejskich.

Ignaś napróżno nakłania Józię, siedmioletnią siostrzyczkę, aby się nauczyła czytać. Powiada jéj, że to wielka radość umiéć sobie książkę przeczytać.

— A mnie to na co? proboszczem nie będę — odrzekła, wzruszając ramionami.

— Patrz, to jest „a“—rzekł Ignaś.

— Nie zawracaj mi głowy, patrz oto lepiéj na gęsi, widzisz te niecnoty w jęczmień prosto idą.

Uwagi dopiéro Ignasia, że będzie jéj ładnie, gdy na książce będzie się modliła, że jéj kupi książkę, w któréj będzie Matka Boska, Pan Jezus, Święty Józef, że ksiądz proboszcz dawać jéj będzie obrazki — przemawiają do serca dziewczyny, tak, że nareszcie powiada: „No, pokaż to „a“, ale jak nie dostanę dwóch obrazków na kolędę i książki od ciebie, to się oduczę czytać—zobaczysz!“

Nauczyła się dziewczyna czytać po pewnym upływie czasu przy cierpliwéj pomocy brata, a kiedy rodzice, którzy o nauce Józi nic nie wiedzieli, razu pewnego wybierali się wraz z dziatwą do kościoła, „matka zawiązała Józi śliczną niebieską chusteczkę na głowę, Ignaś podał siostrze książeczkę, oprawioną w czerwoną okładkę, pięknie złotem ozdobioną i rzekł:

— A weźże, Józiu, książeczkę do nabożeństwa.

— Co to? — zawołali na raz oboje rodzice — co to za książka? skąd? dla kogo?

— Tę książkę, tatusiu, ja kupiłem za własne pieniądze dla Józi—odrzekł chłopiec czerwony z radości—bo kiedy Józia umié czytać, toć trzeba, żeby się z książki modliła.

Rodzice wierzyć nie chcieli, a gdy dziewczyna otworzyła książkę i drżącym nieco od wzruszenia głosem, zaczęła czytać modlitwę za rodziców, ojciec i matka popłakali się na dobre.

„Norymberskie jajko“ (z „Wieczorów rodzin.“), „Zemsta słonia“, „Krzak cierniowy“ są dobrze napisane i pouczające, również jak „Szczerość Maciusia“, „Liszka i chrabąszcz“. Jestto bajeczka, opowiedziana prozą, a mająca za cel obznajmić czytelnika z cechami zoologicznemi liszki i chrabąszcza. Nie brak w téj bajeczce pomysłowości, styl gładki, przystępny. Czy naturalista jednak zgodziłby się na te pomysły? to rzecz inna.

„Znalezione jaje“ i „Trzy motylki“ (przez H. Wernica), powiastki bardzo udatne. „Trzy motylki“ nawet bardzo poetyczne. „Litościwy koń“ (z „Przyjaciela Dzieci“) bardzo sympatyczne opowiadanie o koniu pewnego Tadeusza, co się zatrzymywał przed każdym ubogim.

„Historya o dobrym synu“ (z podań ludowych) interesować będzie czytelników niezawodnie, tylko nie usprawiedliwia treści: właściwie przypadkowość, a nie dobroć syna jest sprężyną głównych czynności powiastki.

Ogółem biorąc, zbiorki, które rozpatrywaliśmy, mają wiele stron dodatnich; życzymy też im serdecznie powodzenia. Dodamy

tylko w końcu uwagę, którą Piotr Chmielowski zrobił niegdyś w „Kuryerze Warszawskim“, że w dawniejszych zbiorkach, czasopismach dla dzieci—znajduje się niemało prawdziwych pereł, które warto wydobyć z zapomnienia.

F. Łagowski.

4) „Dobre dzieci“. Zbiór powiastek p. Annę Załęską. Ilustracye Pankiewicza. Warszawa, 1893 r. Nakład księgarni Paprockiego.

Książkę p. Załęskiéj witamy jako nowość w literaturze dziecięcéj, nie wnosi ona wprawdzie nic osobliwego, nie odstępuje wybitnie od zwykłéj formy powiastek dla dzieci, — powiększa przecież skromny szereg pracowników na téj niwie, wnosi pewną świéżość obserwacyi. Powiastki p. Z. nie znudzą małych czytelników: morał nie kładzie się tu na talérz, ale wynika z saméj fabuły. Bohatérowie naszéj autorki, to nie ckliwe maryonetki, ale istoty żywe, nie pozbawione temperamentu i wad, wiekowi ich właściwych. Nawet tytuł książki „Dobre dzieci“ nie zupełnie odpowiada jéj treści, znajdujemy tu bowiem tylko mniejszość dzieci dobrych.

Żałować wypada, że całość książki nie odznacza się harmonią: pomieszczono tu 18 powiastek widocznie w różnych okolicznościach, a może i w różnym celu pisanych. Najlepszemi nam się wydały powiastki drobne, a raczéj obrazki,—występują w nich małe dzieci: Zawstydzona Zosia, Sprzeczka, Zajączek. Większe powiastki potrącają o biédniejsze warstwy społeczeństwa: „Dobry syn“, „Odważny strażak“, „Pamiętniki lalki“, ciągnące się aż przez VIII rozdziałów z epilogiem, to pomysł dobrze już zużyty, niczém nowém nie podniesiony w opowiadaniu autorki. Nie odznacza się również świeżością pomysłu „Choinka“. W „Skarbach staréj skrzyni“ opowiada się o dzieciach bawiących na wsi, na wizycie u babuni. Stary Błażéj, który dzieci zaprowadził do lamusa, krótko widzi, skoro zapewnia, że nie ma tam nic ciekawego. Dzieci skorzystały tylko ze staréj skrzyni, w któréj znalazły gałganki przydatne na maskaradę. Czyż autorka nie mogła poważniéj dobrego tego tematu wyzyskać: czyż przez znalezione tu stare sprzęty, stare obrazy, stos papierów nie mogłaby przeszłość przemówić do dzieci i to jeszcze do tych dzieci, które podobno tak chętnie jakichś opowiadań Błażeja słuchały. — Powiastka „Nieprzyjaciel ludzi“, wprowadzająca małych czytelnikow na bal dorosłych, nie licuje z całością książki. W innych powiastkach bohatérami są uczniowie niższych klas gimnazyum, tematem — koleżeństwo, łakomstwo, samowola i t. p. Autorce widocznie udało się wy-

studyować jakiegoś drugoklasistę i przedstawiła nam go w różnych sytuacyach; a już całą epopeę takiego bohatéra stanowi najdłuższy utwór (w X rozdziałach) p. t. „Przygody Wicusia“. Jest on wprost niesmaczny, kiedy na delikatne zapytanie matki, co mają zadane na jutro, odpowiada stanowczo: tak jakby nic, bo nie myślę nic dziś robić (str. 202). Żal nam tego Wicusia, pozbawionego męskiéj opieki, a postępującego samowolnie pod kierunkiem słabéj matki.

Styl p. Załęskiéj wogóle łatwy, nie pozbawiony miejscami humoru, chociaż tu i owdzie znajdzie się nienaturalność, przesada, a nawet nielogiczność, np. ...„jutro niedziela, więc zobaczymy się u cyklistów“ (str. 144) ...przyjm, mamo, te pantofelki i niech ci w nóżki ciepło będzie, bo to ja własnoręcznie je wyhaftowałam“ (str. 218), ...„nawet uszy Wicusia przybrały postać niechęci i lekceważenia“ (str. 211).

Faktura w większéj części powiastek przesadna: bohatérowie, otoczeni dobrobytem i wygodami życiowemi, zajadają przysmaki, urządzają zabawy, baliki, flirtują z podlotkami — palą papierosy, „przy tańcu nie mogą się obyć bez wina“ (str. 245); wogóle „w każdéj sprawie mają gust wykwintny i nie lubią pospolitości“ (str. 72).

Zamykając nasze uwagi, przychodzimy do następującéj konkluzyi: powiastki p. Załęskiéj mają więcéj artystyczne niż pedagogiczne znaczenie; w domach biédnych, a nawet w domach średniéj zamożności wywołać mogą zniechęcenie do istniejących warunków życia, a podsycić pragnienie nad stan, nad wiek dziecka. Wiadomo, że jest pewna liczba dzieci, mających wstręt do czytania; tym nie należy dawać książek nudnych, choćby najlepszych, ale podsuwać utwory napisane żywo, a nawet jaskrawo, — takich mamy niewiele, a książka p. Załęskiéj wzbogaca właśnie ten dział literatury dziecięcéj.

Wł. Nowicki.

5) „Nadzwyczajne przygody kapitana Harisona i jego towarzysza Długiéj-strzelby do Ameryki“ (Warsz., 1892), są powiastką tendencyjną. Nieśmertelny „Robinson Kruzoe“ ze swymi potomkami duchowymi, oraz pełne przygód bohatérskich podróże Mayne-Reida i Verne'a działają zapalnie na wyobraźnię młodych czytelników; od czasu do czasu napotykamy téż w dziennikach wiadomości o niefortunnych próbach młodocianych miłośników wypraw, którym wawrzyny Selkirka spędzają sen z powiek; czujne oko wychowawców z niepokojem dostrzega nieraz gorączkę podróżomanii w szeregach klasowych. Powiastka pana G. w sposób prawdziwie pedagogiczny, bronią zręcznie ukrytéj satyry karci nierozważne zapędy tego rodzaju.

Dwaj uczniowie zakładu prywatnego wybierają się pokryjomu na wyprawę do Ameryki i puszczają się łodzią z Warszawy w dół Wisły ku Gdańskowi; łódka osiada na mieliźnie; chłopcy chcą się dostać wpław do brzegu i o mało nie toną w okolicy Bielan; wyratowani przez poczciwego wieśniaka, wpadają w ręce władzy gminnéj, która osadza ich w areszcie wiejskim aż do nadejścia potrzebnych wskazówek od policyi warszawskiéj; zawiadomieni o tém rodzice wyzwalają lekkomyślnych synków z niemiłego położenia. Oto treść książeczki, opowiedziana z prostotą, stylem nazbyt może ucinkowym i nieco za sucho. Wrażenie jednak sprawia należyte: zajmuje i uczy, gdyż myśl przewodnia jest łatwo zrozumiała, jak to miałem sposobność sprawdzić po przeczytaniu jéj przez paru chłopczyków. Starczy to za pochwałę i daje wskazówkę, jak należy pisać dla dzieci utwory moralno-dydaktyczne. *K. Król.*

6) „Druga matka“ przez Bronisławę Porawską, 1892 r. Autorka znaną jest z prac literackich dla młodzieży. Powieści jéj „Reginka“ i „W imię koleżeństwa“ cieszyły się poczytnością w ostatnich czasach. Obecny jéj utwór ma tendencyę szlachetną i jest udatny. Oto jeden z bohatérów powieści, profesor Tański jest wdowcem od lat kilku. Dwie jego córki, Madzia i Pola, starannie wychowywane przez ojca, właśnie kończą nauki szkolne i są na progu wejścia w świat. Ojciec pragnie im dać opiekunkę, niezbędną w téj epoce ich życia, i w tym celu zawiéra związki małżeńskie z osobą dobrą, pełną wewnętrznych zalet. Ta druga matka jest przyczyną smutku i goryczy dla Madzi i Poli, żywo mających w pamięci pierwszą matkę, tyle je kochającą i tak opłakiwaną. Madzia jest wrogo usposobioną dla macochy, nie słucha jéj w niczém, sprzeciwia się, dokucza, nie mogąc się pogodzić z myślą, że ma ją kochać i szanować jak rodzoną matkę. Gdyby nie łagodność, takt w postępowaniu i rozum macochy, spokój i szczęście domowe prof. Tańskiego byłoby złamane. Macocha przecież takiém serdeczném ciepłem, taką troskliwością, takiém poświęceniem istotnie macierzyńskiém otacza swe przybrane córki, że w końcu zyskuje ich serca. Powiastka ta, nie obfitująca w sceny żywsze, czyta się jednak ciekawie i dla dorastających panienek będzie pożyteczną lekturą. *St. G.*

7) „Różne ścieżki“ przez Teresę Jadwigę. Ostatnia powieść utalentowanéj autorki jest nawskroś tendencyjna. Akcyi mało, charakterystyka osób słaba, rzecz cała wogóle naszkicowana tylko, w wielu bowiem razach postępowanie osób niedostatecznie lub wcale

nie umotywowane, przeważa refleksya, rozumowanie na temat zawodowéj pracy kobiét.

Bohatérka Lusia, córka zamożnych rodziców na wsi, w dzieciństwie żywa i roztrzepana pod wpływem spadających na nią nieszczęść, dojrzewa, staje się kobiétą rozważną i rozumną, pod wpływem zaś otoczenia — przejmuje się ideą pracy kobiét, w zawodach dotąd dostępnych wyłącznie mężczyznom; dzięki znów ciotce, która zapisała jéj testamentem niewielki kapitalik, pod warunkiem, że odda się studyom medycznym,—jedzie do Szwajcaryi, zdobywa dyplom doktorski, osiada w Warszawie i widocznie niezgorzéj się jéj dzieje, już po roku praktyki jeździ własną karetą. — Szkoda, że autorka nie wykazała nam stopniowego przekształcenia się duchowego w dziewczęciu; proces taki, walka skłonności z przyjętemi zasadami, kształcenie siebie saméj nietylko ciekawém jest, ale i pouczającém dla młodych czytelniczek.

Życie i stosunki na pensyi można było wyraźniéj i żywiéj przedstawić, należało zaś k o n i e c z n i e dać obraz życia studentek polskich w Szwajcaryi. Ale cóż, autorka gorąco przejęła się sprawą nawoływania panien do pracy zawodowéj, każdy więc niemal przytoczony fakt, każde zdanie przez osoby występujące w powieści wypowiedziane ma barwę tendencyjną.

Obok bohatérki, przedstawiła autorka kilka typów młodych panien tegoczesnych. Widzimy salonową damę rozpróżniaczoną, poziomą w myślach i czynach; obok niéj dzielną, ale szorstką dziewczynę, pozbawioną delikatniejszych uczuć. Towarzyszka Lusi w Szwajcaryi jest znowu kobiétą egzaltowaną, z pociągiem do życia domowego, serdecznie dobrą. Tylko dla „idei“, czyli raczéj dlatego, że tak inne robią, bez potrzeby naglącéj do pracy zarobkowéj, oddaje się ona studyom medycznym. Gdy ją wszakże Lusia przekonała, że nie ma ani zdolności, ani zamiłowania do medycyny, rzuca tę naukę i zostaje dzielną nauczycielką, idealną „ciocią“, jak ją autorka nazywa, wychowuje bowiem siostrzeńców swoich.

Bardzo to słuszne, że autorka stara się powstrzymać niepowołanych od studyów medycznych. Czy tylko czytelniczki zrozumieją, że do każdego zawodu potrzeba odpowiednich zdolności, czy też wyobrażą sobie, że medycyna wymaga wyższych zdolności, niż pedagogia?

Dlaczego towarzyszka Lusi nie studyuje teoryi pedagogiki? Może dlatego, że ma ona być tylko ciocią-nauczycielką, ot, tak zwyczajną kobiétą, nie „bohatérką“ pracy zarobkowéj?

Czyż Lusia nie wydałaby się sympatyczniejszą, gdyby autorka

zamiast wzmianki o karecie, przedstawiła w szpitalu, w dzielnicy ubogich, ratującą bezinteresownie nędzarzy?

Zdaniem naszém, autorzy dla młodzieży winni przedewszystkiém starać się przytłumić uczucia egoistyczne, rozwinąć za to altruistyczne.

To też zrozumielibyśmy Lusię, walczącą z trudem o byt, stwarzającą kąt rodzinie, lub żyjącą dla społeczeństwa. Lusia, która bez żadnego prawie wysiłku zdobywa sobie stanowisko w krótkim czasie, nie dzieli się jednak z nikim zapracowanym chlebem i nieprawdopodobna i nie sympatyczna. Nie, mamy lepsze wyobrażenie o naszych dziewczętach. Jesteśmy pewni, że nie wiele znajdzie się dziewczyn, które jedynie rozgrzeje i zachęci do pracy perspektywa karety.

W. O.

8) Stefan Gębarski, „Zdobycie Konstantynopola". Opowiadanie historyczne. Warszawa. Nakładem redakcyi „Przyjaciela dzieci", 1891.

W panu St. Gębarskim literatura dla młodzieży zyskała od lat paru bardzo dobrą siłę. Rozpoczął on zawód piśmienniczy od prac, do niéj należących, albo z nią związanych (krytyka pedagogiczna); czy poprzestanie na pracy dla młodzieży i całkowicie jéj się odda — nie mamy prawa prorokować; że jednak byłoby to pożądane — twierdzimy otwarcie. Pan G. posiada bowiem potemu warunki, nie w każdym, wyżéj nawet uzdolnionym, pisarzu zjednoczone: zna i kocha młodzież; po drugie, umié dla niéj pisać; a nadto pióra jego nie można nazwać leniwém. Lepsze wyrobienie formy literackiéj zapewne z czasem przyjdzie; lecz już i teraz brak jego wynagradzają liczne zalety wewnętrzne. Obecny kierownik „Przyjaciela dzieci" pisze po prostu, naturalnie, jędrnie, bez użycia sztucznych środków: malując rzeczy, przeznaczone do działania na wyobraźnię, unika obrazów dziwacznych i wymuszonych; przemawiając do serca, nie nudzi moralizowaniem; podając wiadomości i prawdy naukowe, odrzuca zbyteczny balast dodatków i mdłéj przyprawy, mających niby ułatwiać zdobywanie wiedzy. Przy szlachetnéj dążności zdrowy realizm jest wybitną cechą prac p. G., czy to prozą, czy wierszem pisanych, drobniejszych, czy obszerniejszych. Zalety powyższe cechowały pierwszą książeczkę jego, przed kilku laty wydaną („Dwa dni w podróży"); odznaczają się niemi i dwie późniejsze.

„Zdobycie Konstantynopola" opiéra się w główném swéj treści na powadze źródeł historycznych; sama tkanka powieściowa jest może pomysłem fantazyi, dobrze zresztą przypadającym do tła dziejowego.

Powtórzmy tu przy sposobności, co już tylokrotnie, lecz nie zawsze z należytym skutkiem, wypowiadano: że o taką zgodę fantazyi z prawdą ma obowiązek starać się nietylko poważny powieściopisarz historyczny, lecz niemniéj także autor podobnych dzieł dla młodzieży. — Dwaj młodzi Serbowie, zebrawszy okup, szukają ojca w niewoli tureckiéj; przypadek zapoznaje ich z władcą Osmanów, Mahometem II, który w przystępie wspaniałomyślności pozwala starszemu czynić bez przeszkody poszukiwania, młodszego zaś przyjmuje do swéj służby i obdarza wysokiém stanowiskiem. Pierwszemu z braci po usilnych staraniach udaje się uprowadzić ojca z niewoli; poczém obaj dostają się do oblężonego już Carogrodu. Na młodszego po pierwszém niepowodzeniu spada niełaska padyszacha, który go też na wygnanie skazuje. Ostateczne obaj z ojcem powracają szczęśliwie nad brzegi Sawy. Oto wątek powieści. Przeplatają go dobrze skreślone opisy: jest tu Adryanopol, charakterystyka sułtana, obraz zgromadzonych sił wojennych, wreszcie sceny z oblężenia Konstantynopola i jego zdobycia. Całość czyta się z zajęciem, a szczegóły odbijają się łatwo w wyobraźni. Forma stylowa jest dość urozmaicona i żywa; gdzieniegdzie jednak rażą błędy językowe: str. 25 „skąd wzięliście *go*“ zam. *je* (mówiąc o złocie); str. 28 „wiele złego przyczynił państwu“, zam. wyrządził, sprawił—barbaryzm, niestety, dość rozowszechniony; str. 43 i in. okrążyć zam. otoczyć — również barbaryzm, i t. p. *K. Król.*

9) M. Zielińska, „Branka litewska“. Powieść na tle historyczném dla młodzieży. Z 4-ma rycinami rysunku Illinicza. Wydanie drugie, przerobione. Petersburg. Księgarnia polska Br. Rymowicz, str. 287.

„Branka litewska“—to młoda Polka, porwana w latach dziecinnych i uprowadzona z kraju w jednéj z łupiezkich wypraw Litwinów na Polskę za czasów Łokietkowych. Przywędrowało to niemowlę na Litwę razem z niańką Jagną i wraz z nią oddane zostało na własność wieszczce litewskiéj w twierdzy Pullen. Wieszczka zaś na gorące prośby ochmistrzyni dworu Giedyminowego, dała je staréj Witginsowéj, która, mając nielitościwego i chciwego męża, wolała własne dziecko oddać na wychowanie wieszczce, a wzamian wziąć od niéj do domu obce, które przezwała po litewsku Baniutą. Tak tedy Baniuta, a raczéj Basia, córka Stanisława i Zofii Horskich, wychowuje się na dworze Giedyminowym i ściśle się zaprzyjaźnia z córką Giedymina, Aldoną. Na dworze jest między innymi niewolnik, przezwany Butwodem, który także potrafił pozyskać względy rodziny Giedymi-

na i szczególnie się zaprzyjaźnił z dzielnym Kiejstutem. Butwod i Baniuta widują się czasami ze starą niewolnicą Jagną, która wpaja w nich zasady wiary chrześciańskiéj, staje się łącznikiem pomiędzy dwojgiem młodych ludzi. Stara Jagna wszczepia chrześciaństwo i w młodą Witginsównę, pozostającą przy boku wieszczki litewskiéj, nie wiedząc wcale o zamianie, uczynionéj przez Witginsową, i nazywając wychowanicę wieszczki „złotą panienką."

Tymczasem w stosunkach pomiędzy Litwą i Polską nastają zmiany. Księżniczka Aldona ma poślubić królewicza polskiego Kazimierza i w wianie ma odprowadzić z sobą do Polski 24,000 jeńców polskich. Strach przejmuje pogańską księżniczkę na myśl, co téż ją czeka w chrześciańskiéj Polsce, chce wiedziéć cokolwiek o swoich losach i oto, za pozwoleniem ojca, w towarzystwie swojéj piastunki i ochmistrzyni dworu Giedyminowego, Witginsowéj, udaje się do ważniejszych świątyń litewskich w celu złożenia, ostatni może raz, ofiar bogom pogańskim i dowiedzenia się o przyszłości. Odwiedziła więc najpierw w Wilnie starą świątynię Perkuna, w dolinie Szwentoroha; stamtąd zaś udała się do Romowe, przy ujściu rzeki Dubissy do Niemna, gdzie płonął ogień wieczysty, przyniesiony, jak mówiły podania, przez Litwinów z Indyi. Tutaj odwiedziła Aldona arcykapłana litewskiego, Kriwo-Kriwejto, który chociaż niechętnie, przystaje na wolę bogów, ażeby Aldona opuściła progi ojczyste, nie robi jéj za to wielkich wyrzutów, bo ogień święty ostatecznie zagaszonym będzie przez... inną, która przyjdzie na Litwę za lat kilkadziesiąt... Surowiéj przyjęła Aldonę w Pullen wielka wieszczka litewska. „Jak śmiesz stawać u stóp Znicza — zapytała ją — gdy zamierzasz go zdradzić?..."

„Ja, ja — jąkała Aldona — nie zdradzam, przeciwnie, ja ofiarę z siebie czynię dla Litwy!..." Inaczéj jednak sądziła wieszczka, w końcu wreszcie i ona dodaje, że przyjdzie z czasem... tamta, i wtedy to właśnie pogasną wszystkie płomienie. Omdlałą z przerażenia Aldonę podniosła i uprowadziła wgłąb podziemia młoda dziewica, „Złota panienka", mająca sama wkrótce pozostać kapłanką. „Złota panienka" wywnętrza się przed Aldoną, opowiada, że w duszy jest chrześcianką i że woli raczéj śmierć ponieść, aniżeli być kapłanką bogów pogańskich. Dobra księżniczka stara się wydobyć z Pullen przyszłą kapłankę pogańską i ułatwia jéj ucieczkę przy pomocy dzielnego Butwoda i rycerskiego brata Kiejstuta, który, chociaż szczerze oddany bogom pogańskim, rad zawsze dopomódz w uczciwéj i szlachetnéj sprawie. Wkrótce się wyjaśnia, że Butwod i Baniuta są to brat i siostra, Władzio i Basia Horscy — poznają siebie po wykłutym

przez matkę na szyi znaku krzyża św. Zjawia się wreszcie poselstwo z Polski, które ma zabrać piękną Aldonę. W liczbie posłów jest przybrany syn Horskich, Władysław-Znajdek, na którego królewicz włożył odpowiedzialną misyę przyjrzenia się zblizka księżniczce litewskiéj i zawiadomienia, jaką mu się wydała. Horski-Znajdek zapoznaje się z Władysławem i Basią Horskimi i odprowadza ich do domu rodzicielskiego, a potém żeni się z Basią Horską.

„Złota panienka“ towarzyszy Aldonie do Polski, ale tęskni do kraju, wraca więc na Litwę, gdzie osiada w Wilnie i staje się gorącą krzewicielką wiary Chrystusowéj pomiędzy Litwinami.

Tylko piękna Aldona, „przesadzona w grunt niewłaściwy“, pozostała w Polsce, gdzie i umarła — „zwiędła jak ruta“. Powieść napisana zajmująco. Z życia Litwinów-pogan znajdujemy dużo szczegółów charakterystycznych. Całe tło historyczne przedstawione wyraziście. Tradycyjnie błąkający się wyraz: Znicz na oznaczenie ognia św. i tu się jeszcze utrzymał, pomimo że nauka dawno go już usunęła. *A. J.*

10) Zuzanna Morawska, „Z dziejów Słowiańszczyzny kresowéj.“ Opowiadanie historyczne. Warszawa. Nakładem „Przyjaciela Dzieci“, 1890, str. 124.

Treść do tego opowiadania zaczerpnięta z czasów Lechowych (w. VII). Lech, osiwiały w walkach z Niemcami, umiéra od ran zadanych przez wrogów. Przed śmiercią przywołuje do siebie Dodka, starego i ślepego druha swego, mającego wielkie poszanowanie u Słowian w okolicy „Gniezda hospodarskiego“, czyli Gniezna, oddaje mu opiekę nad nieletnim wnukiem swoim, Bodarem, i czyni go doradcą starszego swego syna Wyszomira, który zostaje kneziem po Lechu. Zwołany lud, acz z natury swarliwy, przystaje na wybór Wyszomira; tylko Lis i Złoń, niechętni Dodkowi i Wyszomirowi, a sami chciwi władzy, zdradzają kraj i przywołują za pośrednictwem niewolnika niemieckiego, Lunka, Niemców, którzy mają Lisowi i Złoniowi oddać władzę nad Słowianami. Rzeczywiście, przyszli Niemcy pod dowództwem Herzoga i spustorzyli, w czasie nieobecności Wyszomira i Dodka, kraj, przyczém nie oszczędzili i siedziby zdrajcy Złonia, przeciwnie zabrali go wraz z synem Ciarkiem do niewoli. Zrabowali także siedzibę Dodka i uprowadzili wnuczkę Dodkową Krasę, piastunkę jéj Siwuchę i wiernego, z nad Łaby, niewolnika Ziewonia. Ale i kneziowi Wyszomirowi powiodło się w jego dalekiéj na Zachód wyprawie: pokonawszy jedno z plemion germańskich, wraca do kraju z bogatemi łupy, których część postanowił złożyć w ofierze Radegastowi,

w Retrze, w ziemi Lutyków, ofiarując przyjaźń i braterstwo Lutykom. Pomiędzy służbą boga Radegasta odnalazł się najmłodszy syn Dodka, ojciec pięknéj Krasy, a pomiędzy niewolnikami własny syn Wyszomira, Mirko. Tutaj wreszcie zdążają uciekający z niewoli niemieckiéj Siwucha, Krasa, Ziewoń i Ciarek. Co prawda, Siwucha uprowadziła Krasę z dworu Herzoga w sposób nadto oryginalny — zapędza ją do lasu pod pozorem złożenia jéj w ofierze bogom, ażeby ocalić życie chorego dziecka Herzoga, na co Niemcy, już chrześcianie, przystają. Wreszcie po złożeniu ofiar Radegastowi, Wyszomir z wyzwolonymi jeńcami wraca w zwycięskim pochodzie do kraju. O czasach poprzedzających pewne dzieje Polski tak mało wiemy, że w odtwarzaniu dziejowego tła z czasów dawniejszych, szczególnie z wieku VII-go, jak w danym wypadku, musi panować najzupełniejsza dowolność. Nie zgodzimy się jednak z autorką „opowiadania historycznego“, ażeby już w czasach Lechowych (w. VII) „żniwo było najważniejszém zajęciem Słowian“ (str. 62) i żeby „zboże nietylko wystarczało na potrzeby ludu, lecz zarazem było przedmiotem handlu“ (str. 63). A daléj, nie dajemy już dzisiaj wiary wielkiemu przeciwieństwu, jakie miało być pod względem obyczajowym pomiędzy drapieżnymi (!) Germanami i potulnymi (!) Słowianami. Niemiecki niewolnik Lunk, u p. Morawskiéj, „patrzył z pode łba... niespokojnie biegającemi oczyma“, słowiański niewolnik Ziewoń ma „jasne i pogodne wejrzenie“, pierwszemu niewola dała „niepohamowany wyraz dzikości“, drugiego napiętnowała cichém cierpieniem. „U Germanów uważany był niewolnik na równi z bydlęty i, mimo pozornego chrystyanizmu, na ofiarę bogom, podawnemu był zabijany“, — mówi w innémiejscu p. M., — „Słowianin zaś nigdy nie opuści tych, co u niego szukają opieki, z nikim nie zadziera, a każdego przygarnie.“ Dla Słowian z opowieści p. M. Niemcy są przybłędami, psubratami, bestyami. Nieprawdopodobną jest taka różnica obyczajowa pomiędzy Słowianami i Niemcami w wieku VII-ym, a i pod względem pedagogicznym zaznaczanie takiego przeciwieństwa pomiędzy Słowianinem i Germaninem nie wydaje nam się dodatniém. U p. M. i przyroda i zwierzęta wspólnie z ludźmi nienawidzą Niemców. „Las zaszumiał złowrogo“ na Niemców, „psy warknęły“ na kłamstwo Lunka, ptaki „z żałośliwą skargą zrywają się“ na Złonia, zamierzającego zdradę. Fabuła powieściowa jest nie skomplikowana. Autorce widocznie szło przedewszystkiém o przedstawieniu ogólnego tła historycznego, na którém nieco szczegółowiéj przedstawione losy wnuczki Dodka, pięknéj Krasy, która właściwie jest więcéj postacią, symbo-

lizującą piękniejsze cechy charakteru słowiańskiego, aniżeli żywą powieściową istotą. *Adam Jaczynowski.*

11) „Opowiadania ciotki Ludmiły o dawnych czasach i ludziach" przez Teresę Jadwigę (Papi). Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa, 1891.

Nie są to powiastki, które najczęściéj więcéj mają fantazyi (i to nie zawsze szczęśliwéj), niż historyi; są natomiast przystępne dla młodzieży wykłady historyi, liczące się ściśléj z badaniami naukowemi. Ustępy, nadające się do ilustracyi, przedstawiane są w formie beletrystycznéj, barwnéj a jasnéj. Na końcu rozdziałów spotykamy streszczenia, ułatwiające powtórzenie i spamiętania wykładów.

Zbiorkowi temu możnaby zapewne zarzucić, że jakiś szczegół nie jest przedstawiony lub oświetlony według najnowszych badań, lub że zaznaczono tylko jakiś epizod, godny dokładniejszego odmalowania, a rozszerzono się zbytecznie stosunkowo do innych nad faktami mniéj ważnemi i t. p. Niechaj tylko korekta będzie koniecznie ściślejsza, bo usterki językowe psują częstokroć efekt pięknych obrazów.

F. Ł.

12) *a*) „Mieszkania ludzkie, jakie gdzie były, jakie są i do jakiéj doprowadzono je doskonałości." Napisał M. Malinowski. Warszawa, 1891 (wydawnictwo redakcyi „Zorzy").—*b*) „Egipcyanie. Ich religia, zwyczaje, urządzenia społeczne i sztuki przed tysiącami lat." Opowiedziała M. R. (w Księgarni tanich wydawnictw), 1892.

Mamy przed sobą dwie książeczki, opatrzone rycinami, których treść zaczerpnięta jest z dziejów oświaty. Książeczki te wprawdzie napisane są dla ludu, lecz i przez młodzież z pożytkiem mogą być czytane, tém bardziéj, że treść ich jest bardzo pouczająca i bardzo odpowiednia dla młodocianego wieku.

„Mieszkania ludzkie" M. Malinowskiego dzielą się na 3 rozdziały: 1) mieszkania pierwotne, 2) mieszkania ulepszone, 3) mieszkania i ich dzieje u narodów dziś oświeconych. Książeczkę kończy dodatek p. t. „Jak się powinno budować domy, żeby one stanowiły zdrowe mieszkania ludzkie." Dodatek ten, mający cel raczéj praktyczny, mógłby podać treść do osobnéj książeczki, bardzo pożytecznéj; w dziełku niniejszém jakoś nie licuje z treścią rozdziałów poprzednich, które przecież mają przedstawić historyczny rozwój mieszkań ludzkich. Rozkład treści, któremu zresztą nic zarzucić nie można, daje jednak powód do niejakiego zamieszania i powtórzeń. Tak np. w rozdziale trzecim, mówiąc o mieszkaniach narodów europejskich,

powraca autor do pierwotnych nor i chat, o których już opowiadał w dwóch poprzednich rozdziałach. W tymże trzecim rodziale czytamy także o mieszkaniach Asyryjczyków, Egipcyan i innych narodów starożytnych, których przecież do dziś żyjących zaliczyć nie można. Dobór materyału niezupełnie odpowiedni, Autor mówi o piramidach i świątyniach starożytnych, a nawet o pałacu kryształowym w Londynie, a więc o budowlach, których żadną miarą do mieszkań zaliczyć nie można. Za to nie wspomina ani o namiotach Beduinów, ani o jurtach kirgizkich, ani o mieszkaniach pływających na wielkich rzekach chińskich; nie wspomina o koszarach dla żołnierzy, o barakach dla robotników, ani o blokuzach osadników amerykańskich. Uderzają także niektóre inne opuszczenia. Tak np. nic autor nie powiada o wpływie rolnictwa na życie osiadłe i na budowanie stałych mieszkań; przemilcza również o wynalazku szyb do okien i o tém, jak sobie przedtém bez nich radzono. Niedostateczne jest także przedstawienie materyałów budowlanych i opis oddzielnych części domu w historycznym rozwoju. Nie ma np. ani słowa o progu, o podłodze, o pułapie, okapie i t. d., a nareszcie ani słowa o rzemiosłach i cechach budowlanych.

Co do samych faktów, podanych przez autora, znajdujemy w nich niektóre usterki i błędy. Madagaskar nie leży, jak chce autor, na zachodzie Afryki, a Eufrat i Tygr nie płyną na północo-zachodzie Azyi. Mieszkańców Indyi azyatyckich nazywamy Indami, Indyjczykami lub Hindusami, a nie Indyanami, jak ich nazywa autor; bo ta nazwa oznacza zwykle czerwonoskórych Ameryki. Autor pisze, iż Grecy, „jak wiadomo“, do Europy przybyli z Azyi Mniejszéj; tymczasem wiadomo skądinąd, że kolonie greckie w Azyi Mniejszéj założone zostały późniéj przez Greków europejskich, którzy do Europy przybyli prawdopodobnie drogą lądową przez tak zwaną bramą narodów. Myli się autor również, podając ludność miasta Chicago na 100,000 z górą, kiedy jest jéj cały milion.

Co się tyczy języka, to znać u autora widoczne dążenie do przemawiania zrozumiale i popularnie, co mu się najczęściéj udaje. Tylko niekiedy z dążenia tego wynika pewne zaniedbanie w stylu, zupełnie niepotrzebne. Że autor unika wyrazów cudzoziemskich, jak np. cywilizacya, kultura, to tylko pochwalić można: wystarcza tu zupełnie wyraz polski, zrozumiały dla ludu, o ś w i a t a. Więc niepotrzebnie obok tego wyrazu tak często autor powtarza wyrażenia „rozgarnięcie umysłowe, rozgarnięcie i nauka, o ile ludzie bardziéj byli rozgarniętymi“ i t. p. Wyraz r o z g a r n i ę c i e ma znaczenie o wiele ciaśniejsze i w żaden sposób wyrazić nie może tego, co autor chciał powie-

dzieć. Błędne formy „pletą,“ „myślić“ kładziemy na karb korektora. Wogóle, książeczka p. M. zasługuje na rozpowszechnienie wśród ludu i młodzieży.

Książeczka p. t. „Egipcyanie“ przez R. M. dzieli się na następujące rozdziały: 1) Kraj egipski, 2) Religia starożytnych Egipcyan, 3) Jak się Egipcyanie rządzili, 4) Prawa i zwyczaje, 5) Budynki, rzeźby, malowidła, rękodzieła, 6) Pismo starożytnych Egipcyan, 7) Z dziejów Egiptu.

We wszystkich tych rozdziałach treść jest umiejętnie wybrana, przystępna dla każdego i prawie zupełnie wolna od błędów faktycznych. Tylko kilka omyłek możemy w niéj zaznaczyć. Astarta nie była boginią egipską, lecz fenicką. Ozyrysa nie można wprost utożsamiać z bogiem słońca (Amun-Ra, czyli Ptah); oznacza on raczéj siłę przyrody twórczą i zapładniającą, w przeciwieństwie do Tyfona, siły niszczącéj. W opisie religii Egipcyan, należałoby pomówić o czci oddawanéj zwierzętom, o procesyach, o pielgrzymkach i o 6-iu głównych świętach narodowych. Ani w rozdziale „Z dziejów Egiptu,“ ani w opisie dzisiejszego Egiptu nie wspomina autorka ani słówkiem o najściu Arabów, po których przecież najtrwalsze ślady w dzisiejszym Egipcie pozostały, bo Arabowie to dzisiejszym Egipcyanom narzucili język i religię. Opis strasznego ucisku ze strony Turków do dzisiejszego Egiptu żadną miarą stosowany być nie może. Autorka nie wspomina o chrześciańskich Koptach, w których zachował się czystszy typ starożytnych Egipcyan, niż w Fellachach. Jeżeli autorka rządcom prowincyi nadaje grecką nazwę, to dlaczegóż nazywa ich zfrancuska nomarkami zam. nomarchami?

Przedstawienie treści jest barwne i zajmujące, nie pozbawione pewnéj werwy. Styl jest wszędzie jędrny i szlachetny, a mimo to prosty i popularny. Wyrazy, któreby dla czytelnika miały być niezrozumiałe, jako to: kasta, cech, dynastya, prowincya, muzeum, rzeźba, sandały, i t. p. objaśnia autorka krótko i umiejętnie. Jest to wogóle praca starannie i dobrze napisana.

Antoni Krasnowolski.

13) „Życie domowe starożytnych Greków“ — przedstawił Stanisław Majewski. We Lwowie, 1887. Mała 8-a, str. 146.

Tegoż autora: „Stosunki religijne u starożytnych Greków.“ Lwów, 1887, str. 204.

Przedmiot obu książeczek jest bardzo ciekawy i pouczający i mógłby być wyzyskany z wielkim pożytkiem dla młodzieży. Niestety, autor nie sprostał własnym swym chęciom i zadaniu: dopuszcza

się nieraz błędów, przedstawia rzecz bezbarwnie i powierzchownie, językiem i stylem często niepoprawnym.

Młodzież może się z tych książeczek dowiedzieć czegoś o życiu prywatnym i stosunkach religijnych dawnych Greków, ale przy czytaniu potrzebna jest kontrola wyrobionego filologa. Prw. recenzyę w „Przeglądzie pedagogicznym“ z r. 1888, Nr. 3. O wiele lepszą jest następująca książka:

14) „Życie publiczne, prywatne i umysłowe starożytnych Greków i Rzymian“ do użytku młodzieży szkolnéj — skreślił Franciszek Terlikowski. Z 48-a rycinami. We Lwowie, 1889, 8-a, str. XII + 343.

Jest to jakby mała systematyczna encyklopedya życia dwu klasycznych narodów. Dziełko, przeznaczone dla młodzieży dojrzalszéj, obznajmionéj już z dziejami politycznemi Greków i Rzymian, może się okazać szczególnie pomocném przy czytaniu autorów starożytnych, a następnie i w wieku późniejszym jako książka informacyjna; sądzimy, że przydałoby się wielce i niektórym ludziom dorosłym. Autor przedstawia kolejno tak zwane starożytności państwowe i prywatne, następnie religię i mitologię wraz z kultem rozmaitych bóstw, wreszcie literaturę obu narodów. Wykład miejscami zwięzły, miejscami bardziéj wyczerpr·ący, język poprawny, styl prosty i gładki. Najważniejsza zaleta książki spoczywa w dokładności tego co czytelnikowi podaje; niektóre błędy i usterki przedstawienia prawie nikną w masie dobrego. Praca autora zasługuje na rozpowszechnienie zwłaszcza jako dziełko informacyjne. Prw. recenzyę p. Rozwadowskiego w „Ateneum“ 1890, IV, 184—187.

15) Wincenty Zakrzewski: „Historya powszechna“ na klasy wyższe szkół średnich. Tom I. „Historya starożytna,“ Lwów, 1891. Duża 8-ka, str. XII + 268.

Jest to właściwie podręcznik szkolny, przeznaczony dla młodzieży starszéj. Wymieniamy go jednak tutaj, ponieważ jest dziełkiem oryginalném, posiadającém znaczne zalety i mogącém się przydać w nauczaniu domowém. Książka składa się z trzech części, z których pierwsza obejmuje dzieje starożytnego Wschodu, druga historyę grecką, trzecia zaś historyę rzymską, aż do upadku cesarstwa zachodniego. W wykładzie uwzględniona jest literatura naukowa i wyniki najnowszych badań. Prw. szczegółowy rozbiór St. Mieczyńskiego w „Ateneum“ z r. 1892, zeszyt marcowy, str. 573—581.

M. Rowiński.

II. Tłómaczenia.

1) E. Laboulaye. „Bajki i opowiadania dla dzieci.“ Przekład z francuskiego T. Prażmowskiéj. Z 76 rysunkami w tekście. Warszawa. Nakładem Teodora Paprockiego i S-ki., r. 1893.

Różne są zdania wychowawców, jeśli chodzi o danie dzieciom takiéj lektury jak baśnie i opowiadania fantastyczne, w których autor zaznajamia młodocianego czytelnika z upiorami, smokami o dwunastu głowach, królewnami zaklętemi w zwykłe żmije, z czarownicami przemieniającemi w kamienie wszystkich, którzy im się sprzeciwiają i temu podobném otoczeniem. Jedni radzą nie dawać dzieciom zupełnie podobnéj lektury, inni mając na względzie wielką skłonność młodocianych umysłów do tego rodzaju utworów, pozwalają je czytać lecz z wyborem; inni znowu zachowują się obojętnie, mówiąc, że sami nie wiedzą, jak w danym wypadku postąpić; tacy zaś, którzyby gorąco polecali czytanie baśni, należą do wyjątków, utrzymując, że na zapoznanie dzieci z dziełami fantazyi ludowéj będzie czas, gdy podrosną, gdy zmężnieją.

E. Laboulaye, autor baśni, ktorych tytuł na wstępie wymieniliśmy, wierzy i gorąco zaleca dzieciom wszelkie cudowne opowiadania, w mniemaniu, że tylko takie opowiadania będą najmilszemi wspomnieniami dzieciństwa. Autor, o ile wiemy, jest z zawodu historykiem i pisze dla dzieci przygodnie. „Im więcéj uczyłem się — mówi on we wstępie do baśni — znać ludzi, tém więcéj nabierałem przekonania, że jedyną prawdą są ich marzenia, a rozsądkiem najwyższym — ich szaleństwa.“ Łatwo z punktu wychowawczego potępić takie przekonanie, témbardziéj, że autor widocznie w imię tego przekonania wydał swój zbiór baśni. Niefortunny to zbiór i jak dla dzieci nietylko że niewłaściwy, ale poprostu szkodliwy.

Wszelki rodzaj bowiem utworów literackich dla dzieci może być właściwym i pożytecznym, począwszy od dramatu a skończywszy na baśni, jeśli dany utwór posiada przynajmniéj dwa kardynalne warunki: wysokie zalety etyczne i piękno wewnętrzne to jest formę skończoną.

Nie uważa się więc książki napisanéj przez Laboulaye'a za szkodliwą dlatego, że nosi tytuł baśnie, lecz dlatego, że baśnie te nie mają piękna wewnętrznego, że wiele z nich sprzeciwia się etyce pedagogicznéj. Rozpatrzmy się w nich bliżéj. Pierwsza „Iwo i Finetka“ jest względnie najlepsza z całego zbiorku, bohatér bowiem nie robi nic takiego, coby obrażało skromność dzieci, jakkolwiek i w téj baśni są rzeczy rażące, jak naprzykład oświadczenie bohatéra, gdy usiadł obok

bohatérki i po pewnéj pauzie wśród rozmowy przyrzekł jéj, iż wiecznie do niéj należéć będzie (str. 25), a następnie zakochał się w blondynie i o przysiędze zapomniał. Rzecz prosta, iż to nie dla dzieci. Uczyć je stałości w miłości — zawcześnie. A sens moralny takim jest tego utworu.

Nie będziemy przytaczali treści baśni zawartych w zbiorku, bo przecież, jak wiadomo, są tego rodzaju utwory wszystkie do siebie podobne. Treść ich zwykle taka: Bohatér szuka czegoś lub kogoś, po drodze chwyta go w swe szpony smok i więzi. W więzieniu zaklęta królewna już to pod postacią węża już gołębia lub zwyczajnéj posługaczki zajmuje się bohaterem, przyrzeka mu miłość, namawia do ucieczki, co się wkrótce staje i po wielu niebezpieczeństwach, odzyskawszy wolność, bohaterowie żenią się, a w kilkanaście lat po ślubie mają dużo dzieci. Często baśnie kończą się i w inny sposób, ale u Laboulaye'a tylko tak. Bo mówi on, że w bajkach najlepszy jest taki sens, a także i w każdéj dobréj powieści (str. 254).

Powiadamy, że bajek tego autora z punktu pedagogicznego oceniać niepodobna, bo w nich co chwila spotka się rzeczy dla dzieci niemożliwe, dla dorosłych jednak sporo w nich humoru, najczęściéj zaprawionego sporą dozą soli atyckiéj i mających wartość. „Dobra żona“ nie będzie lekturą dla dzieci pod żadnym pozorem, lecz będzie przez ludzi dojrzałych z uśmiechem na ustach czytaną. Laboulaye powiada, że „dobrych żon nie ma na tuziny, jak wiadomo każdemu, szczególniéj zaś w tém, co pożycia małżeńskiego dotyczy, albowiem targu dobiwszy, tyle się kolców napotyka, że niesnadną jest rzeczą wytrwać w niém długo kobiécie.“ To téż z téj bajki dowiadujemy się, że nie ma dobréj żony na świecie i tylko zrzadka się trafi taka. Rzecz i dla dorosłych, zdaje się gorsząca, gdyby była prawdziwą. Za taką zaś chce ją mieć rozczarowany do żon autor, kiedy aż na potwierdzenie swego przekonania cytuje słowa św. Augustyna, bardzo dla nich niepochlebne.

Możnaby wiele jeszcze zarzucać baśniom powyżéj wymienionego zbiorku, ale nie ma potrzeby, bo z tego co się powiedziało, łatwo wnosić, jaki charakter one noszą; że wychowawcy nie powinni ich dawać do rąk młodocianym czytelnikom.

St. Gębarski.

2) „Mała księżniczka z Tower-hill'u,“ przekł. z angielskiego K. P. Warszawa. Wyd. drukarni Noskowskiego, r. 1891.

Przekładów z beletrystyki zagranicznéj u nas nie brakuje, szczególniej w literaturze dla młodzieży. Czy dlatego, że nasi pisa-

rze dla młodzieży pisać nie potrafią zajmująco? Bynajmniéj. Oto poprostu rzecz tłómaczona wydawców-księgarzy mniéj kosztuje niż swojska. O różnicę w pożytku nie chodzi tu zbyt wiele.

Do rzędu właśnie takich niepotrzebnych książek należy zaliczyć i tę, na okładce któréj napisano: „Mała księżniczka i t. d.“

Treści „Małéj księżniczki“ rzecz zbyteczna przytaczać, bo jéj, zwłaszcza dla czytelników, dla których przeznaczoną jest powiastka, prawie że nie ma. Bo co może miéć naprzykład za interes dla młodocianego czytelnika taka scena, jak owa, w któréj dziewięcioletnia bohatérka o czwartéj godzinie zrana zakrada się do pokoju bohatéra i pochyliwszy się nad śpiącym całuje go leciutko w czoło, szepcząc: „Może kiedyś i mnie tak będzie lubił jak teraz Joasię“ (str. 27). Co téż może go obchodzić w gruncie dobry, ale przez otoczenie zepsuty charakter owéj bohatérki Maggy (dlaczego nie Madzi), która z powodu pobłażliwości rodziców uczyć się nie chce, a jeśli w końcu zaczyna myśléć o poprawie, to tylko dla przypodobania się bohatérowi, Ralfowi, który ciągle wspomina o Joasi, dzieweczce ułomnéj, co bardzo się nie podoba bohatérce, pragnącéj wyłącznie pozyskać względy Ralfa.

Czytając ten utwór, wydaje się jakby został przerobiony z jakiegoś romansu lub powieści dla osób starszych.

Wiele tu rzeczy będzie dla naszego dziecka wprost niezrozumiałych, jak naprzykład epizod, w którym bohatérka obiecuje kupić prostéj dziewczynie Zuzi bębenek, aby ta ostatnia mogła na chléb powszedni pracować. Trzeba przynajmniéj było powiedziéć, co Zuzia z owym bębenkiem będzie robiła, bo u nas nie ma we zwyczaju za pomocą podobnego przyrządu zarobkować.

Na tych kilku uwagach można poprzestać przy ocenie „Małéj księżniczki,“ chociaż w czytaniu nastręcza ich się wiele więcéj.

Szkody ona nie przyniesie, ale i pożytku nie da.

St. G.

3) Gennevraye. „Ulicznik.“ Powieść dla młodzieży. Przekład z francuskiego T. W. Dzieło uwieńczone przez Akademię francuską. Warszawa, 1892.

Sierżant Gaveau, weteran z domu Inwalidów, spotkał na drodze ulicznika-sierotę, sprzedającego zapałki, polubił i przygarnął do siebie, umieścił w domu swego zwierzchnika i zajął się jego wychowaniem. Z wielką cierpliwością stara się z niego wykorzenić różne złe instynkta i nałogi oraz nieokiełznane pragnienie swobody, a wpoić w niego zasady porządku, pracy i honoru. Marzeniem jego jest zro-

bienie ze swego wychowańca dzielnego żołnierza. To mu się najzupełniéj udaje. Sierota - ulicznik odznacza się na wojnie niemieckiéj i zostaje dzielnym oficerem. W tą osnowę wpleciona jest dziecięca przyjaźń bohatéra z małą dziewczynką, przyjaźń tkliwa i wywierająca na niego wpływ bardzo zbawienny, która kończy się małżeństwem.

Z całéj téj powieści, bardzo ożywionéj i zajmującéj, wieje duch najoczywistszéj moralności i przemawiają najszlachetniejsze uczucia, nie w formie nudnych i sentymentalnych rozpraw, lecz w czynach i przykładach. Honor, prawdomówność, pełnienie obowiązków, dotrzymanie danego słowa — oto zasady, jakie stary sierżant wpaja w swego wychowańca. Zawód żołnierza przedstawiony jest idealnie, nie jako rzemiosło, lecz jako stan, wymagający poświęcenia i poczucia honoru, dążący do najszlachetniejszych celów. Straszne skutki wojny wystawione są w całéj grozie. Lecz widocznie wojna niekoniecznie pociąga za sobą zdziczenie obyczajów, bo stary weteran, waleczny i surowy, zachował serce tkliwe i szlachetne, współczucie dla wszystkich, a zwłaszcza dla słabych, litość nawet dla zwierząt.

Na każdéj karcie téj książki młody czytelnik znajdzie treść do szlachetnych wzruszeń, zachętę do pełnienia obowiązków, sprostowanie lub utrwalenie poczucia moralnego. Ileż przy tém pięknych opisów, ile zajmujących epizodów. Wojna francusko-niemiecka opowiedziana jest tak żywo, barwnie i zrozumiale, a przytém tak lapidarnie, jak tego nigdzie nie zdarzyło nam się spotkać. Tylko naturalnie dla dzieci francuskich powieść ta będzie zrozumialsza i pożyteczniejsza, niż dla naszych. Zapał wojenny, zrozumiały we Francyi po pogromie z r. 1871., nie odpowiada naszemu położeniu. Razi nas także, że autor bohatéra swego zrobił podrzutkiem, znalezionym pod progiem. Dla młodych umysłów wynikną stąd przykre pytania i refleksye, którychby im należało oszczędzić. Naszém zdaniem wystarczałoby zupełnie, gdyby młody bohatér był sierotą, którego rodzice w młodym wieku odumarli.

Antoni Krasnowolski.

4) „Skarby na wyspie.“ Powieść dla młodzieży przez R. Stephensona. Przetłómaczył W. P. Warszawa, 1893.

Jest to okaz powieści sensacyjnéj dla młodzieży: dużo zdarzeń nadzwyczajnych i ciekawych, żywo opowiedzianych, może uwagę czytelnika utrzymywać w ciągłém naprężeniu. Lecz niestety, treść téj powieści składa się z jednego szeregu scen krwawych i wstrętnych, które nader ujemnie na młodą wyobraźnię wpłynąć mogą. Sa-

me pijatyki, kłótnie, przekleństwa, bójki, grabieże, mordy, zdrady i oszustwa — to chyba trucizna, nie zaś pokarm duchowy dla młodzieży.

Wysoce niemoralna jest główna osnowa powieści, polegająca na zbogaceniu się przez przywłaszczenie sobie skarbów, które rozbójnicy morscy ukryli na nieznanéj wyspie. Nie pomogą tu żadne sofizmaty i zastrzeżenia: przywłaszczenie takie jest i pozostaje grabieżą, a oprócz tego może wzbudzić w młodych czytelnikach żądzę złota i to przekonanie, iż oprócz pracy i oszczędności istnieje jeszcze inna droga do zrobienia majątku, równie dobra, a prędzéj wiodąca do celu. I w innych ustępach powieści, wyznaje autor moralność nader giętką i swobodną. Nie widzi np. nic zdrożnego w tém, jeżeli ktoś sam zabierze z majątku czyjegoś sumę odpowiednią na pokrycie swéj należności.

Nawet owych zwyczajnych wiadomości z dziedziny geografii i nauk przyrodzonych, którymi inni autorowie różnych awantur morskich i lądowych, lubią przeplatać swe powieści, nawet téj zdawkowéj monety wiedzy, w książce niniejszéj nie ma ani śladu. Słowem: nic, oprócz jaskrawych efektów i szukania silnych wrażeń w bardzo złym gatunku. Sam przekład wykonany jest językiem niezbyt dobrym i poprawnym.

Antoni Krasnowolski.

5) „Pamiętnik młodéj dziewczyny," „Księżniczka Katarzyna." Dwie powieści dla dorastającéj młodzieży. Przełożyła z angielskiego J. M. Zaleska. (Gebethner i Wolff, 1892).

Bohatérką pierwszéj powieści jest młoda dziewczyna, która po ukończeniu pensyi w skromnych bardzo ale bez widma nędzy warunków, zajmuje się wychowaniem kilkoletniego braciszka, osieroconego przedcześnie. Obowiązek swój spełnia gorliwie, z wyrzeczeniem się zupełném własnych pragnień i przyjemności. Wychowanka kocha gorąco, szalenie i żąda takiejże miłości od brata, ale to właśnie pragnienie staje się powodem konfliktu. Bohatérka jest bardzo brzydka, wié o tém oddawna, a jednak zabolało ją, kiedy usłyszała to zaraz przy pierwszém spotkaniu z ust braciszka. Malec posiada wrodzone poczucie piękna. Odpycha go brzydota siostry, starania i zabiegi jéj przyjmuje obojętnie, jako obowiązek, a pieszczoty chłodno, prawie ze wstrętem, garnie się zaś do przyjaciółki siostry, dlatego tylko, że piękna. Dziewczyna cierpi w milczeniu i z poddaniem się, niekiedy wszakże buntuje się, tłumiona zazdrość wybucha, staje się niesprawiedliwą, złą, ale wnet odzyskuje stracone panowanie nad

sobą, naówczas podwajaną gorliwością i poświęceniem stara się wynagrodzić wyrządzoną bratu krzywdę. Po kilku latach pracy i zastanowienia nad sobą, przezwycięża gwałtowną swoją uczuciowość, w dawném swojém postępowaniu widzi egoizm, nie żąda zewnętrznych oznak przywiązania, wyłącznie w szczęściu brata widzi własne. Szczytna ta, oczyszczona ze wszelkich pierwiastków ziemskich miłość zwyciężyła, nareszcie zyskuje prawdziwe, głębokie przywiązanie i stracić się go nie boi. W zakończeniu spełniają się najgorętsze życzenia tych artystycznie usposobionych natur, posiadają środki kształcenia się ona w malarstwie, on w muzyce. Akcyi w ogóle mało, konflikt zaostrzają raczéj okoliczności wewnętrzne niż zewnętrzne.

Druga powieść więcéj zajmie młodych czytelników mimo, że myśl w niéj zawarta mniéj doniosła niż w pierwszéj. W szczęśliwych, choć bardzo skromnych warunkach, wychowuje się wcześnie osierocona bohatérka. Wuj jéj i starsze rodzeństwo cioteczne otacza ją tkliwą opieką, młodsze zaś, rówieśne jéj kuzynowstwo okazuje jéj przywiązanie rodzonych braci i sióstr. Wesoło spędza czas do 12-go roku życia przy pracy i zabawie wspólnéj z rówieśnikami, gdy nagła śmierć stryja magnata daje jéj tytuł książęcy i olbrzymie bogactwa. Dziewczynka wychowana w sferze mieszczańskiéj marzyła wprawdzie zawsze o bogactwie i wielkości, nie wiedziała jednak wcale, że matka jéj, siostra skromnego, wiejskiego doktora wyszła niegdyś za syna bogatego lorda; pragnęła zawsze być księżniczką zaczarowaną z baśni, które z przejęciem wielkiém czytywała, nie przychodziło jéj jednak na chwilę na myśl, żeby życzenia jéj spełnić się mogły. I otóż mała mieszczanka przeniesioną zostaje w inną zupełnie sferę. Opieką zajmuje się siostra ojca, dumna ze swego rodu, surowa, w miejsce rodzinnego ciepła otacza ją chłód konwenansów. Popełnia nie jeden błąd przez nierozwagę, ale nigdy przez złą wolę, nieposzlakowana prawość, objawiająca się w bezwarunkowéj prawdomówności, bez względu na możliwe skutki, jako téż szczera naiwność i wesoły humor, wynikające z dobroci i czystości serca, budzą żywe współczucie względem biédnego ptaszka w złoconéj klatce.

Powieść wolna jest od wszelkich uprzedzeń stanowych — światła i cienie podzielone równomiernie między oba stany, góruje tylko myśl, że szczęśliwe może być dziecko zarówno ze sfery mieszczańskiéj jak i arystokratycznéj, w bogactwie i ubóstwie; jedyne i prawdziwe słońce, oświetlające dzieciństwo, to szczere przywiązanie wychowańców i wesołe towarzystwo rówieśników.

W. O.

6) „Przygody młodego chłopca w szkołach.“ A. Laurie. Wolny przekład z francuskiego. Warszawa, 1887. Nakład M. Orgelbranda.

Chociaż to książka dawniejsza, zwracamy jednak na nią uwagę, gdyż uważamy ją za jednę z najlepszych w swoim rodzaju; gdyż pragnęlibyśmy, aby rozpieszczona, rozleniwiała nasza młodzież przejęła się tęgością małego bohatéra.

Inżynier francuski Grivaud, dostawszy się do Duwru, oddaje syna z konieczności do szkoły angielskiéj. Następuje opis porządku szkolnego, zwyczajów, obyczajów i zabaw młodzieży angielskiéj na pensyonacie; wobec tego wszystkiego delikatny francuzik staje się pośmiewiskiem starszych kolegów. Szereg upokorzeń pobudził godność osobistą naszego bohatéra, a ćwiczenia ciała rozwinęły w nim energię; takim sposobem przerobił się on na dzielnego chłopaka, jednającego sobie szacunek i uznanie.

Opowiadanie toczy się nadzwyczaj zajmująco; rozmaitość wielka, obrazy świéże i porywające, jak charakterystyka starych majtków, morskie przygody, wycieczka w góry szkockie. Przez całą książkę, przetyka się, jak złota nić, dążenie do dzielności fizycznéj i moralnéj. Każdy téż z czytelników, wyniesie na zawsze z téj książki następujące postulaty: nie rozleniwiaj się, ćwicz ciało,—stój silnie w obronie godności osobistéj i zasad, z domu rodzicielskiego wyniesionych.

W. N.

7) J. Verne. „Bez przewrotu.“ Przełożyła z francuskiego Julia Zaleska. Warszawa. Nakładem księgarni Teodora Paprockiego, 1892.

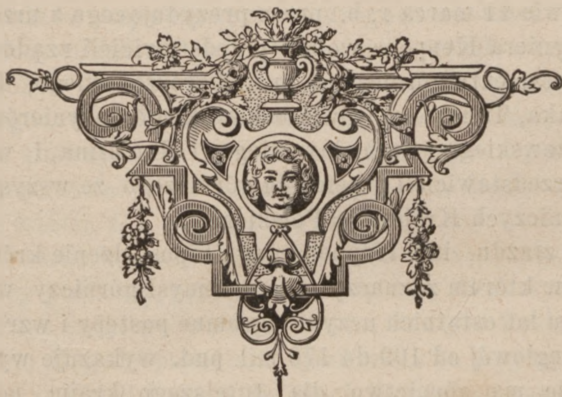
Jak we wszystkich powieściach Verne'a, tak i tutaj mamy treść naukową, połączoną z pomysłami wyobraźni. Co się tyczy zasobu wiadomości naukowych, zawartych w tém dziele, to autor zastanawia się głównie nad zmianami, jakieby nastąpiły w stosunkach klimatycznych kuli ziemskiéj, gdyby można zmienić położenie jéj osi i zwrócić ją prostopadle do ekliptyki. Oprócz tego znajdujemy tu krótką wzmiankę, o węglu kamiennym, jego rozpowszechnieniu i użytkach; daléj suchą i nudną listę, a raczéj kilka list podróżników w okolice podbiegunowe. Już to autor wogóle lubi sążniste spisy imion własnych, daje nam więc także długi spis głównych gazet całego świata, a nawet spis milionerów i milionerek amerykańskich. Jakiebykolwiek były wiadomości, podawane w formie powieści, to prawdziwie zajmować będą czytelnika tylko wtenczas, jeżeli będą wypływa-

ły wprost z toku powieści, t. j. jeżeli czytelnik wraz z bohatérami przedmioty i fakta badane spotykać będzie po drodze i patrzéć na nie własnemi niejako oczyma, oraz jeżeli te fakta i przedmioty wpływać będą na losy i działalność bohatéra. Taki układ powieści jest dość łatwy odnośnie do geografii, historyi naturalnéj, przemysłu i t. p. Trudniéj to się da zrobić, jeżeli mowa o zagadnieniach kosmologicznych; bo niepodobna znaleść bohatéra, któryby był świadkiem gwałtownych przewrotów we wszechświecie. To téż w niniejszéj powieści Verne'a główna treść naukowa słabo jest związana z fabułą. Czytelnik nie widzi, tak samo jak bohaterzy, faktów opisywanych, lecz dowiaduje się o nich z przypuszczeń i rozumowań autora lub osób, występujących w powieści, a nawet z artykułów gazeciarskich, w tym celu wymyślonych. Rozumowania te są oprócz tego zupełnie niezrozumiałe dla czytelnika, nieposiadającego dostatecznego przygotowania naukowego; czytelnik zaś, który je zrozumié, wcale nie będzie ciekawy części powieściowéj, która, powiedzmy to otwarcie, o ile jest dziwaczna, o tyle mało zajmująca. Mamy tu naprzód, jak i w innych powieściach Verne'a galeryą karykaturalnych reprezentantów różnych narodowości, jakby wyjetych z operetki. W galeryi téj, zwyczajem autora, Anglik przedstawia się najniesympatyczniejszym, a Amerykanin najdziwaczniejszym. Mamy tu znowu trzech dziwacznych Amerykanów, bohatérów „Podróży naokoło księżyca;“ niebrak naturalnie i sprytnego, śmiałego a sympatycznego Francuza, który i tu, jak w „Podróży“ zjawia się jako *deus ex machina*. Poznajemy daléj niesmaczny romans matematyka Mastona ze starą wdową. Główny zaś pomyśł, potrzebny autorowi do wypowiedzenia przypuszczeń naukowych, t. j. zamiar trzech Amerykanów zmienienia kierunku osi ziemskiéj przez wystrzelenie olbrzymiego pocisku z potwornéj armaty, wydrążonéj w górze Kilimandżaro, za pomocą tajemniczéj i niemożebnéj materyi wybuchowéj — jest dziwaczny i nieprawdopodobny. Zamiar ten, zupełnie niewykonalny, wydaje się Amerykanom wykonalnym jedynie wskutek ogromnéj pomyłki w rachunku, wykonanym przez Mastona; i dla téj tylko pomyłki zamiar ten mógł być powzięty i naturalnie — chybia. W téj fatalnéj pomyłce nieomylnego matematyka, oraz w jego uporczywém milczeniu wobec sądu, jakotéż w obrazie powszechnego zaniepokojenia na wieść o zamierzonym zamachu trzech Amerykanów, spoczywają jedyne momenta, które choć trochę ożywiają nudną akcyę powieści i choć na chwilę mogą zainteresować czytelnika. Lecz niestety, i tutaj wszystko jest sprowadzone do rozmiarów i kształtów karykaturalnych.

Wogóle więc powiedzieć można, że powieść ta jest o wiele słab-

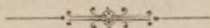
sza od innych utworów Verne'a. Co się tyczy spolszczenia p. Zaleskiéj, to wogóle odznacza się dobrym językiem i starannością. Zauważyliśmy tylko kilka błędów językowych, jak np. n a i l e b y ć m o ż e (str. 8), r ó w n o o s a m é j d w u n a s t é j (str. 49), c z e m b y n i e b y ł t e n m a t e r y a ł p a l n y (str. 160). Znajdujemy także niektóre błędy, wynikające może z pośpiechu; np. 80 kilos (zam. kilogramów), stopień czterdziesty czwarty i stopień ośmdziesiąty ósmy, w obydwu razach zam. 84°. W liście najpoczytniejszych dzienników, podanéj przez autora, p. Z. niektóre dzienniki niemieckie, hiszpańskie lub angielskie nazywa po francusku, natomiast francuskie i inne po polsku, a tytuł oryginalny słowiański „Srpska Nezawisimost" przekręca do niepoznania na „Spaska N."

A. Krasnowolski.





TRZECI ZJAZD GÓRNICZY.



Trzeci zjazd górniczy otwarty został w sali ratuszowéj w Warszawie 11 marca r. b. przez prezydującego z urzędu rz. r. st. inżyniera Keppena wobec przedstawicieli rządowych, inżynierów departamentu górniczego pp. Choroszewskiego, Kondratowicza, Grywnaka, Tańskiego i Świętochowskiego, inżynierów komunikacyi pp. Rydzewskiego, Stanisławskiego i Łachtina i wobec licznie zebranych przedstawicieli przemysłu górniczego ze wszystkich trzech okręgów górniczych Królestwa Polskiego.

Prezes zjazdu, inż. Keppen, zagaił posiedzenie krótkiém przemówieniem, w którém zaznaczył, że przemysł górniczy w Król. Pol. w ciągu kilku lat ostatnich uczynił ogromne postępy i wzrost tylko np. produkcyi węglowéj od 109 do 170 mil. pud. wykazuje wymownie, jakie znaczenie ma górnictwo dla tutejszego kraju; pomieszczenie w programie obrad projektu organizacyi i przepisów przyszłych zjazdów dowodzi zaś, jak wysoką wagę rząd przywiązuje do zjazdów górniczych.

Po odczytaniu programu obecnego zjazdu i przytoczeniu przez p. Mauvego, pełnomocnika zjazdu z r. 1885-go, rezultatów uchwał z przed lat 8-miu, przystąpiono na wniosek prezydującego do wyboru komisyi, mających zająć się wypracowaniem referatów w pewnych określonych kwestyach, lub przejrzeniem już gotowych, opracowanych przez niektórych członków zjazdu.

Wszystkie przedstawione na następnych posiedzeniach (które trwały do 20-go marca włącznie) zjazdowi referaty można podzielić na trzy grupy:

I) referaty w sprawie rozwoju przemysłu górniczego,

II) referaty w sprawach przemysłu hutniczego: żelaznego i cynkowego,

III) referaty w sprawach ogólnych.

I. Referaty w sprawie rozwoju przemysłu górniczego.

1) Referat p. Łubińskiego.

P. Łubiński stawia w referacie swoim następujące wnioski:

a) „wyjednać na kolejach wiedeńskiéj i dąbrowskiéj powiększenie liczby wagonów, przeznaczonych dla przewozu węgla“;

b) „uzyskać zniżenie taryfy przewozowéj w ciągu miesięcy letnich“;

c) „uzyskać dla producentów pozwolenie przewożenia węgla własnemi wagonami według odpowiednio zniżonéj taryfy.“

Brak środków przewozowych na drogach wiedeńskiéj i dąbrowskiéj dotkliwie uczuwać się daje w pewnych porach roku dla zakładów górniczych i dla miejscowości zasilanych przez węgiel dąbrowski. Brak wagonów na drodze wiedeńskiéj powtarza się peryodycznie w miesiącach zimowych, z powodu zwiększonego zapotrzebowania paliwa dla ogrzéwania domów mieszkalnych, na drodze zaś dąbrowskiéj w porze letniéj, t. j. w porze największego zapotrzebowania węgla przez cukrownie w gub. zachodnich. Zwiększony popyt sprawia to, że składnicy podnoszą, przeważnie zimą, ceny do znacznéj wysokości, a konsumenci dotkliwe ponoszą na tém straty. Ponieważ węgiel kamienny, leżąc długo na powietrzu, traci wiele na przymiotach, zgromadzanie go w znacznéj ilości w składach na miejscu konsumpcyi jest środkiem względnéj tylko wartości, należałoby więc, aby drogi żelazne miały zawsze na pogotowiu zapasową ilość wagonów, odpowiadającą peryodycznie zwiększającemu się popytowi w pewnych porach roku, lub w ostateczności odpowiednią zniżką taryfy przewozowéj w ciągu miesięcy letnich, kompensującą straty, jakie wynikają z „lasowania“ się węgla, kilkakrotnego przeładowywania, etc., zachęcały producentów tego paliwa do odstawiania go do składów warszawskich i robienia zapasów przed zimą.

W odpowiedzi na powyższe argumenty, przytoczone w referacie p. Łubińskiego, lub wypowiedziane przez przemysłowców w toku dyskusyi, inżynier Rydzewski dał następujące wyjaśnienia: dla rzeczywistych potrzeb normalnych droga wiedeńska posiada dostateczną

ilość wagonów; przewóz węgla wyraża się letnią porą cyfrą 473 wagonów, — dla zimowéj produkcyi wystarcza 591 wagonów dziennie; zarząd drogi wiedeńskiéj jest w możności dawać kopalniom przytoczoną ilość wagonów, letnią porą stale 1,300 węglarek jest nawet bezczynnych,—pomimo tego, droga wiedeńska postanowiła zwiększyć obecną liczbę węglarek do 4,300, z których dziennie przeznacza się na wyłączny użytek kopalń 732, aby zapobiedz nagłym i niespodziewanym potrzebom w zimie. Powtarzający się od pewnego czasu w téj porze brak wagonów tłómaczy się tém, że w razie silnych mrozów i zwiększonego, nagłego zapotrzebowania węgla po cenie wyższéj od normalnéj, każda z kopalni chciałaby cały żądany nadmiar dostawić po téj zwiększonéj cenie: stąd nienormalne zapotrzebowanie i raczéj fikcyjny, niż istotny brak wagonów, gdyż w razie nawet zadośćuczynienia wszystkim producentem składnicy niezwłocznie zmniejszyliby popyt do stałéj przeciętnéj normy; w roku bieżącym dla zadośćuczynienia klientom droga wiedeńska wypożyczyła kilkaset wagonów na 60 dni i straciła na tém niemało, gdyż używano wypożyczonych wagonów tylko w ciągu 24 dni.

Po wysłuchaniu obustronnych głosów, zjazd przyjął na wniosek prezydującego wywody referatu p. Łubińskiego i postanowił starać się o przeprowadzenie ich u władz odnośnych.

2) Referat p. Cichowskiego.

Pan Cichowski proponuje „popiérać starania o koncesyę na budowę kolei wązkotorowéj od st. Dąbrowa do kopalni Łagisza.“

Starania o koncesyę na pomienioną drogę czynione były w swoim czasie przez inż. Bagińskiego, który zawarł odpowiednią umowę z koleją wiedeńską. Miuisteryum wojny ze względów strategicznych pozwolenia odmówiło. Wobec tego, że pozwolenie na budowę drogi do Grodźca udzielone zostaje i obecnie trzeba by przeto uzyskać zezwolenie tylko na małe zboczenie do Łagiszy, zjazd postanawia popiérać starania p. Cichowskiego.

3) Referat p. Grabińskiego.

Treścią referatu p. Grabińskiego jest „wyjednanie pozwolenia na przewóz węgla z zagłębia Dąbrowskiego *transito* przez Prusy do Kalisza i jego okolic.“

Gub. Kaliska jest dotychczas w komunikacyą kolejową najuboższą, a wskutek tego zmuszoną posiłkować się węglem, sprowadzanym ze sąsiedniego Szląska w ilości 2,500,000 pud. rocznie. Wysokie ce-

ny węgla szląskiego na miejscu, témbardziéj zaś w Kaliszu i jego okolicach są bezwątpienia jedną z przyczyn małéj przemysłowości téjże gubernii. Przewóz węgla z kopalni Dąbrowskich przez Szląsk pruski kolejami zagranicznemi do Ostrowa i Szczypiorny dla Kalisza i do stacyi Strzałków dla Słupcy kosztowałby 6 do 7 kop. od puda; różnica w cenie tańszego węgla dąbrowskiego, przewiezionego *transito*, bez cła, przez Prusy i droższego zagranicznego, opłacającego oprócz tego 2 kop. w złocie od puda, wytworzyłaby na miejscu oszczędność od 14 do 15 kop. na pudzie, co bezwątpienia podniosłoby znacznie produkcyjność fabryczną i ogólny stan ekonomiczny Kalisza i jego okolic.

Wobec tego, że pewne konsorcyum przemysłowe otrzymało już pozwolenie na przewóz jednorazowy miliona pudów (wskutek czego ceny węgla spadły znacznie w gub. Kaliskiéj), należałoby więc tylko pozwolenie to uogólnić do czasu pobudowania kolei w kierunku Kalisza.

Wniosek p. Grabińskiego został przyjęty bez dyskusyi.

4) *Referat p. Niedźwiedzkiego.*

Referat p. Niedźwiedzkiego zawiéra następujące wnioski:

a) „wyjednać zrównanie taryfy przewozowéj dla gatunków węgla dąbrowskiego i donieckiego w komunikacyi z gub. Ekaterynosławską (Kamienskoje), a *respective* zniżenie taryfy dla węgla dąbrowskiego“;

b) „wyjednać zmianę taryfy przewozowéj dla węgla dąbrowskiego w komunikacyi z Moskwą“;

c) „uzyskać zrównanie taryf przewozowych na węgiel drogami wiedeńską i dąbrowską.“

Węgiel dąbrowski, z powodu niektórych swych odrębnych własności, jest przydatny dla pewnych fabrycznych operacyi, do których mniéj nadaje się doniecki i dlatego może być z korzyścią zużyty nad Dnieprem, nie robiąc konkurencyi węglowi donieckiemu. Dla umożliwienia dostępu węglowi z naszego zagłębia do gubernii Ekaterynosławskiéj konieczną jest jednak obniżka taryfy do minimalnych granic.

Transport węgla do Moskwy kosztuje obecnie 81 rs. 30 kop. za wagon; przy tym nawet koszcie korzystniéj jest tam palić węglem aniżeli drzewem, kosztuje tam ono bowiem średnio 32 rs. za sążeń, gdy odpowiednia jednostka węgla z Dąbrowy wypada 27 rs. W r. z. wyprawiono do Moskwy przeszło 1,000 wagonów, — w celu szerszego

jednak uprzystępnienia taniego opału i zastąpienia nim drzewa, będącego obecnie w przeważném użyciu w Moskwie, wskutek miejscowych przyzwyczajeń ludności, jak również i w celu uprzystępnienia taniego paliwa dla zakładów fabrycznych Moskwy i jéj okręgu, należy wyjednać obniżenie taryfy z 81.30 od wagonu 610 pud. do poziomu 72 rs. za wagon, czyli do $^1/_{125}$ kop. od puda i wiorsty, jak to sobie ma przyznane węgiel doniecki w transportach do Moskwy, lub na wzór taryf przewozowych, jakie ustanowione zostały dla przewozu węgla dąbrowskiego do Petersburga i Odesy.

Pierwsze dwa punkty referatu p. Niedźwiedzkiego nie znalazły opozycyi,—nad trzecim żywa rozwinęła się dyskusya. Wniosek ten (*c*), dążący do obniżenia taryf w komunikacyi miejscowéj na drodze wiedeńskiéj z $^1/_{36}$ do $^1/_{55}$, a przy większych od 200 wiorst odległościach do $^1/_{65}$ kop. od puda i wiorsty napotkał silną opozycyę ze strony przedstawiciela kolei wiedeńskiéj, p. Rydzewskiego.

Inż. Rydzewski wyraża wątpliwość, czy przez obniżenie taryfy zwiększy się konsumcya i przewóz i czy to zniżenie będzie miało za skutek odpowiednią zniżkę cen węgla dla ostatniego konsumenta, czy téż stanie się tylko czystym zyskiem i tak już bogatych kopalni; żąda mówca gwarancyi, że czysty zysk z téj zniżki nie przejdzie do kieszeni spekulantów; utrzymuje, że pomimo obniżania się taryf węgiel podnosi się w cenie; oświadcza nakoniec, że droga wiedeńska będąc przedsiębiorstwem, w którém bezpośrednio zainteresowaném jest i państwo, nie może zmniejszać swoich dochodów.

Przeciwko powyższym zarzutom replikuje p. Niedźwiedzki, że w razie zniżenia taryf konsumcya węgla, jako artykułu pierwszéj potrzeby zwiększyć się musi; daléj, że obok spekulacyi istnieje pewna regulująca miara, normująca zyski i spekulacyjne zapędy, a jest nią konkurencya: ona to sprawia, że względne obniżenie się ceny węgla wiąże się niechybnie ze zniżeniem taryfy przewozowéj, jakkolwiek dla uniknienia błędów należy mieć na uwadze, że cena węgla na rynku zależy nietylko od kosztów transportu, ale i od wielu innych okoliczności. I tak, utrzymuje np. p. Niedźwiedzki, że w miarę jak droga wiedeńska taryfę na węgiel powiększała w ciągu ostatnich 15-tu lat, węgiel w sprzedaży zamiast drożéć, wciąż taniał: lat temu 12 transport jednego korca kosztował 28 kop., węgiel się płacił w Warszawie w sprzedaży cząstkowéj do 110 kop., — obecnie koszt transportu doszedł po kilkorazowych wahaniach do 37,74, a cena przeciętna węgla jest 90, a nawet 85 kop. za korzec, czyli że lubo koszt transportu powiększył się o 9 kop., cena węgla spadła od 15-tu do 20-tu kopiejek na korcu.

Co się tyczy ostatniego motywu inż. Rydzewskiego, to mniema mówca, że w sprawach ogólnych interesy poszczególne nie mogą być brane w całéj rozciągłości pod uwagę, zwłaszcza że pogląd państwowy na znaczenie kolei zmienił się zupełnie; dziś nie należy ich uważać za przedsiębiorstwa spekulacyjne, lecz jako arterye społeczno-ekonomiczne, ułatwiające przewóz wszelkich artykułów pierwszéj potrzeby, a przecież do takich artykułów węgiel niewątpliwie się zalicza.

W poparciu wniosku p. N. poważne bardzo argumenta przytoczył p. Strasburger, który przedstawił, że właściwie węgiel powinienby się raczéj w cenie podnosić, niż obniżać, trudność bowiem eksploatacyi, obwarowanie jéj licznemi przepisami, podrożenie siły roboczéj w rzeczywistości powiększają koszta ogólne produkcyi węgla, którego zapasy kopalne jednocześnie maleją.

Że kopalnie nie należą istotnie do wielce zyskownych przedsiębiorstw widać to już z tego, że przynoszą dywidendy zaledwie 6, najczęściéj 5, a nieraz i mniéj od sta.

5) *Referat p. Lipińskiego.*

P. Lipiński proponuje:

a) „wyjednać obniżenie taryf na przewóz węgla kamiennego w komunikacyi miejscowéj na kolejach w Królestwie“;

b) „uzyskać u odnośnych władz wojskowych polecenie zamiany drzewa, jako materyału opałowego dla potrzeby wojsk na węgiel.“

Pierwszy wniosek jest powtórzeniem dezyderatów p. Niedźwiedzkiego co do ujednostajnienia taryf na drogach: wiedeńskiéj, która wozi po $1/_{30}$ — $1/_{35}$ miarę odległości, petersburskiéj — po $1/_{40}$, terespolskiéj — po $1/_{45}$, dąbrowskiéj po $1/_{35}$ — $1/_{65}$ i nadwiślańskiéj — po $1/_{65}$ od puda i wiorsty.

Utrzymując zgodnie z wywodami p. Niedźwiedzkiego, że ujednostajnienie, a *respective* zniżenie taryf rozszerzyłoby pole zbytu, podnosi jeszcze dodatkowo wnioskodawca kwestyę zaprowadzenia zniżonéj taryfy na ten nadmiar węgla, jaki się na giełdzie węglowéj niekiedy okazuje i jaki wpływa na zniżkę cen. Proponuje, aby go można zatrzymywać na zasadach prawa tranzytu, albo też wyprawiać daléj z Warszawy po ujednostajnionéj nizkiéj taryfie „wywozowéj“, ustanowionéj w stosunku do podobnych taryf na sól i naftę.

Druga część referatu zwraca uwagę zjazdu, że na potrzeby wojsk zużywa się znaczna ilość drzewa, które doskonale zastąpićby można było węglem kamiennym. Tak np. w 4-ch tylko guberniach w Królestwie użyto w ciągu roku na potrzebę wojsk 107,925 sążni

sześciennych drzewa, co odpowiada mniéj więcéj 5 i pół miliona węgla kamiennego. Z chwilą wyjednania przepisów, aby w koszarach wojskowych do opału i na użytek kuchenny brano tylko węgiel, produkcya jego się zwiększy z korzyścią dla przemysłu górniczego, przy jednoczesném zabezpieczeniu lasów od niszczenia.

Wnioski p. Lipińskiego zostały przez zjazd przyjęte.

6) Referat p. Strasburgera.

Referat ten, wyczerpująco i z wielką erudycyą opracowany, dotyczy potrzeby pewnych wyjaśnień i zmian w nowéj ustawie górniczéj i w instrukcyi ministeryalnéj z r. 1892-go.

Pan Strasburger żąda, aby celem uniknięcia nieporozumień, mogących wyniknąć z dowolnéj interpretacyi niektórych paragrafów wymienionych ustaw, uzyskać u odnośnych władz górniczych formalne wyjaśnienia urzędowe:

a) „że § 43 ustawy górniczéj z 28 kwietnia 1892 r. odnosi się wyłącznie do zajmowania powierzchni dla celów wskazanych w § 42 téjże ustawy";

b) „że właścicielowi koncesyi przysługuje prawo żądać ustąpienia mu przestrzeni ziemi, na których znajdują się domy mieszkalne, zabudowania gospodarcze, ogrody, lub téż zakłady przemysłowe, o ile tego wymaga prawidłowy bieg robót podziemnych" i

c) „że jeżeli w pewnych poszczególnych wypadkach okaże się potrzeba pozostawienia filarów bezpieczeństwa dla ochrony budowli lub źródeł, to określenie rozmiaru filarów należy do władz górniczych, pod których bezpośrednim nadzorem znajduje się kwestyonowana miejscowość."

Pan Strasburger motywuje powyższe wnioski na zasadzie analogicznych przepisów prawa górniczego pruskiego z r. 1865, a mianowicie §§ 135 i 136 i na zasadzie prawodawstwa francuskiego z 21-go kwietnia 1810 r., z uwzględnieniem zmian z 27 lipca 1880 r.

Tak pruskie, jak i francuskie prawodawstwo odróżnia kwestyę ustępstwa działów ziemi dla robót górniczych na powierzchni od kwestyi wynagrodzenia, lub ochrony powierzchni od szkodliwych skutków robót podziemnych; zakazują dla robót górniczych na powierzchni zajmować zabudowane działy, lecz nie obowiązują bezwzględnie przemysłowców górniczych do ochraniania zabudowanéj powierzchni od szkodliwych skutków robót podziemnych.

Cenne wskazówki, odnoszące się do danéj sprawy, można znaleść

w znakomitém dziele pr. Aquillon'a *Législation des mines française et étrangère.*"

Pr. Aguillon wygłasza w sposób kategoryczny, że władze, których obowiązkiem jest dbałość o sprawy publiczne, winny z wielką ostrożnością korzystać z prawa ochrony prywatnych budowli mieszkalnych od uszkodzenia przez podziemne roboty górnicze; — nie zaniedbywać niczego dla uchronienia ludzi od nieszczęśliwych wypadków na powierzchni; — nie powinny jednak robić szczególnych trudności robotom górniczym, których rezultatem może być uszkodzenie budowli, jeżeli podobnéj ewentualności nie można uniknąć inczéj jak w połączeniu ze stratą materyału kopalnego lub z wysokiemi kosztami nieprodukcyjnemi dla społeczeństwa.

Tenże pr. Aguillon zapewniał osobiście referenta, iż jakkolwiek są mu wiadome pojedyncze wypadki, w których władze górnicze korzystały z prawa zobowiązywania właścicieli koncesyi do pozostawiania filarów bezpieczeństwa, to jednak wypadki te miały miejsce jedynie w miastach, pod któremi prowadzone były roboty eksploatacyjne; nie zna jednak ani jednego wypadku, w którymby zniewalano właściciela koncesyi do pozostawiania filarów dla obrony budynków wiejskich. Nakoniec tenże p. Aguillon kategorycznie zapewnia, że nie jest mu znaném ani jedno prawodawstwo w Europie, które zniewalałoby bezwzględnie właścicieli kopalni do ochrony prywatnych budowli, znajdujących się w granicach koncesyi.

W rezultacie przytacza p. Strasburger dla poparcia swych wniosków wymowne argumenta natury technicznéj. Wykazuje na zasadzie ścisłego rachunku, że dla zabezpieczenia budynku mieszkalnego, a *respective* najlichszego baraku drewnianego, pod którym znajdują się na głębokości, dajmy na to 200 m. pokłady węgla lub drogocennego kruszczu, należy na zasadzie § 76 instrukcyi ministeryalnéj z d. 1 maja 1892 r. zostawić nieruszonym filar o promieniu przynajmniéj 200 m. t. j. o powierzchni 125664 met. kw., co przy grubości pokładu np. o 8-u metrach czyni 1,005,312 kub. met. lub 11,000,000 cet. metr. (!) węgla lub kruszcu.

Reasumując powyższe wnioski, wypowiedział p. Strasburger zdanie, że wynagrodzenie właściciela powierzchni za wyrządzone mu szkody i straty wskutek podziemnéj eksploatacyi zupełnie i w dostatecznéj mierze zabezpiecza jego interesy i nie można wątpić, że prawodawca-autor ustawy z d. 28 kwietnia 92 r. nie miał innego celu na widoku, o czém przekonywa nas zarówno tekst przepisów jak i zupełna analogia ich z prawodawstwami innych państw.

II. Referaty w sprawach przemysłu hutniczego: żelaznego i cynkowego.

Przemysłu żelaznego dotyczyły referaty pp. Stephaniego i Cichowskiego.

1) *Referat p. Stephaniego.*

Autor referatu (odczytuje sekretarz zjazdu inż. Żukowski) żąda „obniżenia taryf przewozowych od żelaza, wyrobów żelaznych, jak gwoździe, druty, naczynia emaliowane i t. d. przy reformie klasyfikacyi tychże towarów.“

W taryfach przewozowych jest pełno anomalii, szkodliwych dla fabrykantów, zwłaszcza wysyłających towary koleją wiedeńską.

Z licznych cyfr, przytoczonych dla poparcia stawianych żądań wyjmujemy dwie charakterystyczne: tak za towar żelazny, wysyłany z Zawiercia (dr. WW.) do Petersburga, płaci się 50 kop. od puda, gdy tymczasem z Bzina (dr. I. D.) również do Petersburga opłata przewozowa od puda kosztuje tylko 30 kop. Różnic rażących, podobnych przytoczonéj jest wiele i ostatnie wymagają one rewizyi taryfy przewozowéj, oraz jéj unormowania.

2) *Referat p. Cichowskiego.*

Zaznaczywszy na wstępie rozwój zakładów górniczych w ciągu ostatnich lat w okręgu wschodnim i znaczny wzrost produkcyi, autor projektuje:

a) „zniżenie taryfy przewozowéj na rudę żelazną, przywożoną z Krzywego Rogu do zakładów hutniczych w Królestwie,“

b) „zastosowanie zniżonéj taryfy przy przewozie węgla drzewnego ze stacyi dr. żel. Połud. Zachodnich, Nadwiślańskiéj i Brzesko-Chełmskiéj przy ładunku o 360 pudach, nie zaś 450-u.“

Powyższe wnioski zjazd przyjmuje, — wnioski zaś:

c) „o wyjednanie rozszerzenia przepisów nowéj ustawy Banku Państwa w kwestyi udzielania kredytu na maszyny i wogóle rozszerzenia praw kredytu górniczego,“

d) „przyprowadzenie do porządku dróg na terytoryach Niekłań, Bzin i okolicznych“

wobec robót komisyi pracującéj nad reformą ustawy dla operacyi Banku Państwa i jego filii — z jednéj strony — i następnie wobec przyjęcia wniosków p. Mauvego (patrz niżéj: referaty w kwestyach ogólnych) w sprawie utrzymania dróg szosowych, sformułowane zosta-

ły w formie ogólnego wniosku: szybkiego o ile można roztrzygnięcia poruszonych kwestyi.

3) Referat p. Skibińskiego.

Treścią referatu p. Skibińskiego były sprawy przemysłu cynkowego.

Proponuje on podjąć starania „o podniesienie cła ochronnego od cynku, przywożonego z zagranicy, do jednego rubla w złocie — i w stosunku do cynku surowego — od blachy i bieli cynkowéj.“

Motywował p. Skibiński swój wniosek stałém u nas zmniejszaniem się produkcyi cynku z powodu wyczerpywania rudy z wierzchnich poziomów, trudności osuszenia niższych, stosowania starego i nieracyonalnego systemu wypławiania cynku a wreszcie z powodu konkurencyi z cynkiem szląskim. — Wskazywał p. S., że gdy w r. 1830 wydobywano u nas 250,000 pud. cynku, w r. 1890 tylko 230,000 p., a w 1892 zaledwie 170,000 pud., gdy na Szląsku w r. 1837-ym 80,000 p., w r. 1870-ym 2 milj., w 1890-ym 5 milj. pudów. Ceny nasze wahały się w tym peryodzie czasu równolegle do szląskich i były w r. 1856—3,50, w 1857—2,70, w 1861—1,60, w 1883—2,50 w 1891—4,50 — 5,00, w 1892 r. znowu 3,50 k. za pud.

Wniosek p. Skibińskiege został przez zjazd przyjęty. — Zaznaczamy, że jest jednak wątpliwém, aby dezyderata p. Skibińskiego były uwzględnione w Petersburgu. Zastosowanie więcéj nowożytnych systemów wytapiania cynku bezwątpienia wszechstronniéj rozstrzygnęłoby kwestyę rozwoju przemysłu cynkowego a przy tém z większą korzyścią dla konsumentów.

III. Referaty w sprawach ogólnych.

W kwestych ogólnych przemysłu górniczego odczytane zostały referaty pp. Surzyckiego (4), Strasburgera (1), Mauvego (2), Hartingha (1), Kontkiewicza (1) i Grabińskiego (1).

1) Referat p. Surzyckiego (1-szy).

Autor proponuje „zaprowadzić codzienne, osobne pociągi robocze do kopalń ze zniżoną taryfą, na wzór istniejących zagranicą i na niektórych drogach w Cesarstwie.“

Trudności formalnéj natury przy stawianiu domów mieszkalnych w pasie pogranicznym i brak siły roboczéj w kopalniach zagłębia Dąbrowskiego skłaniają referenta do zaproponowania, aby koleje

wiedeńska i dąbrowska zaprowadziły osobne i tańsze pociągi robocze.

Zjazd wniosek ten przekazał do bliższego rozpatrzenia specyalnéj komisyi, złożonéj z pp. Surzyckiego, Strasburgera, Niedźwiedzkiego, Łempickiego, z udziałem przedstawicieli kolei żelaznych.

Rezultat narad komisyi przedstawiony został zjazdowi przez p. Łempickiego. W sprawozdaniu komisya proponuje zjazdowi: 1) „robić starania o ustanowienie na drogach wiedeńskiéj i dąbrowskiéj specyalnych pociągów roboczych, z oznaczeniem możliwie nizkiéj taryfy przewozowéj, takiéj mianowicie, żeby opłata, pobiérana za przejazd, była jednakową od wiorsty, ze wszystkich punktów, zaczynając od Częstochowy na drodze wiedeńskiéj i ze stacyi Bzin na Dąbrowskiéj do wszystkich stacyi dąbrowskiego zagłębia,“ 2) „co się tyczy codziennych pociągów roboczych pomiędzy stacyami drogi wiedeńskiéj i dąbrowskiéj w granicach okręgu przemysłowego dąbrowskiego, to wobec sprzeczności różnorodnych interesów rozstrzygnięcie téj kwestyi należy pozostawić dla każdego poszczególnego wypadku prywatnéj inicyatywie oddzielnych zakładów fabrycznych i kopalni.“

Powyższe wnioski komisyi zjazd przyjmuje.

2) *Referat p. Hartingh'a.*

Proponuje on „rozszerzyć przepisy § 6 ustawy górniczéj z r. 1870 w ten sposób, aby objęły koleje konne na równi z drogami żelaznemi, wązkotorowemi.“

Referent wykazuje znaczenie kolei podjazdowych, parowych lub konnych z kopalń rudy do fabryk lub do stacyi głównych dr. żel., zaznaczając, że brak komunikacyi często uniemożliwia istnienie kopalni, gdyż dostawa rudy furmankami nieraz nie opłaca się. Uzyskanie koncesyi na budowę kolei konnych podjazdowych połączone jest z tak licznemi trudnościami, że należałoby wyjednać w tym względzie przepisy, dające prawo udzielania koncesyi departamentowi górniczemu na zasadzie opinii inżyniera okręgowego. Ponieważ zaś trudność w budowie kolei podjazdowych zachodzi i przy nabywaniu gruntów, przez które ma koléj przebiegać, właściciele bowiem przestrzeni, a szczególnie włościanie stawiają tak wygórowane żądania, że niepodobna nieraz przeprowadzić z nimi układów, należy przeto wyjednać na drodze prawodawczéj przepis, aby grunty pod koleje podjazdowe były wywłaszczane na ogólnych zasadach użyteczności publicznéj.

Zjazd uchwalił popierać powyższy wniosek.

3) *Referat p. Mauvego (1-szy).*

Pan Mauve stawia wnioski:

a) „o uzyskanie poparcia rządu dla budowy szos i otrzymania prawa wywłaszczania gruntów pod budowę dróg na zasadzie użyteczności publicznéj“ i

b) „o wyjednanie prawa pobiérania opłat od podwód, przejeżdżających szosami w celu zgromadzenia funduszu konserwacyjnego.“

Na wstępie zaznaczył autor, że jakkolwiek kwestya dróg w zagłębiu dąbrowskiém poruszoną była już na pierwszym zjeździe i wskutek przedsięwziętych starań ówczesny gubernator piotrkowski polecił naczelnikom powiatów, oraz wójtom gmin zwrócenie baczniejszéj uwagi na polepszenie stanu dróg, nie na wiele się to zdało, bo jak wówczas tak i obecnie drogi w powiatach: Będzińskim, Olkuskim i Częstochowskim są w najgorszym stanie. Poprawa i budowa nowych dróg na przestrzeni miejscowości: Będzin, Dąbrowa, Sosnowiec, Gołonóg, Zagórze, Sielce, Niwka, Ignacy, Milowice, Łagisza, Siemonia, Strzyżowice i Granica, w ogólnéj ilości 116 wiorst, licząc na koszt konserwacyi jednéj wiorsty szosy rocznie około 400 rs., wyniesie około 48,000 rs. rocznie.

W dyskusyi nad tym referatem brali udział pp. Hartingh, Kondratowicz, Kontkiewicz i Grywnak. P. Hartingh zastrzega się przeciwko przymusowym opłatom na utrzymanie dróg szosowych, utrzymując, że dla dąbrowskich zakładów górniczych większe znaczenie mają koleje podjazdowe (konne lub parowe) niż drogi szosowe.

Odpiéra powyższy zarzut p. Kontkiewicz, oddając wyższość drogom szosowym, służącym nietylko dla przewozu specyalnych materyałów fabrycznych, lecz wszelkich produktów ogólnéj potrzeby; przemawiają za wnioskiem i względy ogólnéj kultury kraju.

Do powyższych wywodów p. Kondratowicz dodaje w poparciu drugiego wniosku, że ustanowienie myta drogowego jest koniecznéｍ, ze względu iż z drogi wybudowanéj i kosztownie konserwowanéj przez jednego przemysłowca, korzystają inni, psując tém drogę.

Inżynier Grywnak żąda nakoniec, imieniem przemysłowców II okręgu, rozciągnięcia wniosków p. Mauvego i do pierwszego okręgu, gdzie również daje się odczuwać potrzeba nowych arteryi, a prawo poboru może się przyczynić do budowy tychże.

Wnioski p. Mauvego zjazd uchwala popiérać.

4) *Referat p. Kontkiewicza.*

Obszerny ten referat dotyczył szkoły sztygarów w Dąbrowie. Proponowane przez referenta zmiany w organizacyi szkoły są następujące:

a) „*minimum* wieku oznaczyć na lat 17, bez uwzględnienia *maximum*,“

b) „ulgi wojskowe przyznać uczniom szkoły, przynajmniéj do wieku lat 24-ch,“

c) „przyjmować uczniów do szkoły, po uprzednio przebytéj, najmniéj rocznéj praktyce, w kopalni lub hucie,“

d) „otworzyć przy szkole sztygarów specyalny wydział dle teoretycznego i praktycznego kształcenia mechaników górniczych, wrazie zaś nieuwzględnienia powyższego żądania znieść warsztaty rzemieślnicze a natomiast rozszerzyć naukę teoretyczną,“

e) „zmniejszyć kurs z 4-o letniego (jak obecnie) na 3-letni,“

f) „nadać kursowi lekcyi w pierwszych 2-ch klasach charakter całości dla wytworzenia najniższéj klasy techników górniczych.“

Trzechletnie doświadczenia w ciągu istnienia szkoły uwidoczniło w ustroju jéj pewne braki, które należałoby usunąć. Motywując wszystkie powyższe wnioski w sposób wyczerpujący referent zaznacza, że w Niemczech kurs szkół górniczych jest dwuletni, lecz praktyka uprzednia paroletnia; podobnież i we Francyi, gdzie wykłady teoretyczne odbywają się w zimie i w lecie, a podczas wiosny i jesieni uczniowie otrzymują wskazówki praktyczne w kopalniach lub hutach.

Przy zakładaniu szkoły w Dąbrowie miano na celu kształcenie fachowców wyłącznie z pośród ludności górniczéj. Tymczasem jak dotąd, większość kontyngensu uczniów stanowi młodzież wykolejona, któréj nie udało się dla tych lub innych powodów ukończyć szkół średnich. Obowiązkowa praktyka kwalifikacyjna w kopalniach i hutach, praktyka ciężka i trudna, zmniejszy różnorodny kontyngens, a ludność miejscowa będzie się więcéj garnąć do szkoły.

Po wyczerpaniu obszernéj dyskusyi, w któréj oprócz referenta brali udział pp. Kondratowicz, Strasburger, Bryłkin, Cichowski, Hartingh (autor pierwszéj połowy wniosku *d*), zjazd uchwala popiérać wszystkie wnioski referatu p. Kontkiewicza.

5) *Referat p. Mauvego (2-gi).*

Przedmiotem jego był historyczny przebieg projektu kasy emerytalnéj na poprzednich zjazdach oraz obszerny, nowy projekt, który różni się nieco od dawnego.

Podajemy w bardzo ogólnych naturalnie zarysach treść projektu kasy emerytalnéj dla I i III-go okręgów górniczych.

Kasa powstać ma ze składek pracujących i z dopłat przemysłowców równych składkom robotników.

Udział w kasie biorą wszyscy urzędnicy, oficyaliści i robotnicy, zdrowi i zdolni do pracy, od roku 18-go do 45-go życia. Wysokość składek oznaczać się będzie corocznie za pomocą tablic obrachunkowych. Do emerytury będą mieli prawo wszyscy, którzy ulegną wypadkom, lub z innych powodów do pracy przestaną być zdolni. Uczęstnicy mają być trzech kategoryi t. j. 1-o ci, którzy zarabiają rs. 300 i więcéj, 2-o ci, którzy pobiérają rs. 200—300 rocznie, 3-o zarabiający mniéj niż rs. 200. Wysokość zapomogi emerytalnéj, wyrównywać ma płacy za trzy dni robocze, t. j. wynosić będzie 5 do 6 rs. miesięcznie dla robotnika. Kasą zarządza rada, złożona z 12 członków, 6-ciu ze strony przemysłowców i 6-ciu robotników. Członków rady zatwierdza departament górniczy, delegatów — inżynier okręgowy.

Prawdopodobném jest, że udział w kasie weźmie około 12,000 osób.

Powyższy projekt p. Mauvego spotkał silną opozycyę.—P. Hartingh wyraził zdanie, że praktyczne rezultaty nowego projektu są tak małe, że nie odpowiadają wysokości ofiar, jakie ponoszą tak przemysłowcy, jak i robotnicy i mniema przeto, że ubezpieczanie robotników jest środkiem wyższéj wartości od proponowanéj kasy emerytalnéj.

P. Strasburger wnosi, że wobec niewiadomości, jakie warunki górnictwu krajowemu, a mianowicie węglowemu, wytworzy projektowany traktat handlowy z Niemcami, należałoby odłożyć uchwalenie cennego skąd inąd projektu aż do rezultatu pertraktacyi, aby nie zobowiązywać się do fiar, jakich nie da się może ponosić wskutek możliwego utrudnienia warunków ekonomicznych krajowemu przemysłowi górniczemu.

Ożywiona dyskusya nad projektem trwała parę godzin i w końcu całą kwestyę poddano pod balotowanie. Projekt p. Mauvego został przyjęty w całéj rozciągłości 52-ma głosami przeciw 48-iu.

6) Referat p. Strasburgera.

Pan Strasburger przedstawił projekt ustawy kas dla chorych. Jest on wzorowany na ustawach kas już istniejących w kraju i zagranicą. We wszystkich prawie naszych kopalniach i zakładach

hutniczych istnieją podobne kasy sposobem prywatnym, dając zupełnie zadawalniające rezultaty. — W projekcie, który podajemy z konieczności w streszczeniu, przyjętą została jak przy kasach emerytalnych zasada, iż właściciele składać mają do kasy tyleż, ile będzie strącane na ten cel robotnikom. Robotnicy dzielą się na kategorye stosownie do zarobków,—wyżéj nad 400 rs., 200 do 400 rs. i mniéj niż 200 rs. Stosownie do kategoryi składają pierwsi 35, drudzy 25, trzeci 15 kop. miesięcznie. Urzędnicy mają prawo należéć do kasy. Zapomogi wydają się z kasy w razie choroby żonatym pierwszéj kategoryi 40 kop., drugiéj 30 kop., trzeciéj 20 kop. dziennie, kawalerom 30, 20 i 12 kop. przez trzy miesiące, a w szczególnych wypadkach przez sześć miesięcy. Pomoc lekarska i lekarstwa dla uczestników kasy i ich rodzin bezpłatna. Na pogrzéb kasa wydaje 15 rs., — w razie śmierci z powodu wypadku w fabryce na pogrzéb asygnuje właściciel z własnych funduszów rs. 25. — Zarząd kasy składa się z 6 członków, wybieranych na lat 3, po trzech ze strony właścicieli i z łona robotników. Zebrania zarządu odbywają się przynajmniéj co trzy miesiące. Fundusze kasy zostają w kasie fabrycznéj, przewyżka czyli rezerwa może być lokowana w jakiéj instytucyi bankowéj. — Po dyskusyi, w któréj brali udział pp. Kondratowicz, Hartingh, Keppen i wprowadzeniu do ustawy pewnych zmian, celem nadania jéj większéj elastyczności dla łatwiejszego przystosowania do niéj już istniejących prywatnych kas pomocy dla chorych, zjazd jednomyślnie przyjmuje projekt p. Strasburgera.

7) *Referat p. Cichowskiego.*

Projekt kas zapomogi i przezorności, zredagowany przez p. Cichowskiego, nie wiele różni się od zwykłych ustaw kas tego rodzaju.

Kapitał kasy przezorności tworzy się: ze składek stałych, z wkładów dowolnych, procentów, kar i ofiar. Uczestnikami są: robotnicy, rzemieślnicy i wszyscy oficyaliści zakładów górniczych. Najmniejsza składka miesięczna wynosi 25 kop. Inne punkty obejmują zwykłą w kasach podobnego typu manipulacyę przyjmowania i wypłacania wkładów, jak również określone są warunki udzielania pożyczek.

Ustawa kasy, projektowana dla II-go okręgu górniczego, została jednomyślnie przez zjazd przyjętą.

8) *Referat p. Surzyckiego* (*2-gi*).

Autor odczytał sprawozdanie komisyi z prac nad wygotowaniem projektu organizacyi zjazdów górniczych.

Uznając pożyteczność zjazdów, jak również i pewnéj stałéj organizacyi, któraby utrzymywała łączność pomiędzy przemysłowcami górniczemi, komisya proponuje: urządzać zjazdy peryodycznie w Warszawie co lat trzy, a w razie nadzwyczajnych potrzeb zwoływać zjazdy nadzwyczajne. Utworzyć stałą radę górniczą, złożoną z pięciu członków i trzech zastępców i przy radzie utrzymywać stałe biuro. Wybiérać na lat trzy przedstawiciela do rady doradczéj przy miniseryum dóbr państwa. Potrzebne na powyższe cele fundusze rozłożyć na zakłady górnicze odpowiednio do ich produkcyi, a do kontroli nad funduszami mianować komisyę rewizyjną, złożoną z trzech członków.

Celem zjazdów jest łączyć w jedno ciało, wspólnie działające, cały przemysł górniczy, przygotowywać, studyować i przedstawiać władzom wszelkie kwestye, dotyczące tego przemysłu. Członkami zjazdu mogą być właściciele eksploatujący swoje kopalnie, lub dzierżawcy (jeżeli właściciel sam nie eksploatuje), inżynierowie górniczy, przedstawiciele kolei i przemysłu, wreszcie z głosem doradczym osoby interesujące się sprawami górnictwa.

Celem rady górniczéj jest stanowić łącznik pomiędzy zjazdami, organ wykonawczy i przygotowawczy, która mając stałe biuro, obowiązana jest zbiérać dane statystyczne, studyować kwestyą produkcyi, eksploatacyi, nakoniec ma przygotowywać rozprawy dla zjazdów zwyczajnych i zwoływać nadzwyczajne. Etat roczny obliczono na 18,000 rs. na utrzymanie biura i prowadzenie studyów i interesów; rada i komisya rewizyjna pensyi nie pobiéra.

Powyższa praca komisyi uzyskała zupełną aprobatę zjazdu.

9) *Referat p. Grabińskiego.*

Referat dotyczył kwestyi ustawiania budynków do użytku kopalni i zakładów górniczych. P. Grabiński żąda zmiany p. 5 art. 21 ustawy w tym duchu, aby plany wykonywane przez inżynierów górniczych, zatwierdzane były przez inżynierów okręgowych, bez udziału architektów administracyjnych. Przewodniczący formułując ten wniosek, znacznie go rozszerza, aby inżynierom górniczym w kopalniach prywatnych wolno było samodzielnie planować wszelkie budowle.

Wniosek, z uzupełnieniem rz. r. st. Keppena, został przez zjazd przyjęty.

10) Referaty p. Surzyckiego (3-ci i 4-ty).

a) Autor odczztuje referat w sprawie otworzenia oddziału Banku Państwa w Będzinie, wykazując, że zagłębie dąbrowskie wraz z Będzinem i Sosnowcem obraca w ciągu roku 38 mil. rubli, wskutek czego tak dla depozytów, jak i dla innych operacyi bankowych, oraz kredytu potrzebna jest poważna instytucya finansowa.

b) W drugim referacie żąda p. Surzycki wydania przez zjazd nowych praw i przepisów, dotyczących przemysłu górniczego w Królestwie w dwóch językach: ruskim i polskim, na co należy uzyskać decyzyę departamentu górniczego, w którym obecnie tłómaczone jest nowe prawo na język francuski.

Oba wnioski jednomyślnie uchwalono.

Kończąc to krótkie sprawozdanie z prac III-go zjazdu górniczego, nie od rzeczy będzie nadmienić o metodzie, jaką obecny zjazd stosował przy obliczaniu głosów.

Prawo do jednego głosu służyło producentom: 250,000 pud. węgla kamiennego, lub 250,000 pud. rudy (galmanu); 50,000 surowca, 40,000 żelaza, 40,000 stali, 10,000 cynku oraz blachy cynkowéj; — prawo do 2-ch głosów służyło producentom potrójnéj ilości; — prawo do trzech — 9-ciokrotnéj, etc.





ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

Budownictwo ludowe na Podhalu, przez Władysława Matlakowskiego. Z 23 tablicami i 25 rysunkami w tekście. Kraków. Nakładem Akademii Umiejętności, 1892.

Stosownie do przyjętéj metody wykładu architektury, p. Władysław Matlakowski w rozdziale wstępnym swego dzieła daje opis kraju, w którym wytworzyło się oryginalne budownictwo góralskie. Wielka rozmaitość widoków wspaniałych jest jakby zrównoważeniem ubóstwa materyalnego kraju i ludności Podhala. W tym kraju prawie wyłącznie używanym materyałem budowlanym jest świerk czyli smreka. Chata góralska zbudowana z drzewa składa się z dwóch izb: czarnéj i białéj, ztąd téż całość siedziby lud miejscowy nazywa izbą, albo izbami. Izba biała jest mieszkaniem letniém, w izbie czarnéj góral spędza długie dni zimowe.

Budownictwo na Podhalu zwiększa liczbę przykładów, wyświetlających dwie główne kategorye architektoniczne. Chata góralska bowiem może mieć wyraz otwarty lub zamknięty, a to stosownie do liczby i rozmiarów okien, oraz ugrupowania domów składających siedzibę. Już samo rozplanowanie wsi jest obrazem układu otwartego, co zresztą stanowi własność ogólną osad słowiańskich.

Domy starożytnych siedzib niemieckich ześrodkowane są około jednego placu, zwanego rynkiem głównym. Osady słowiańskie rozwijają się na długość, rzeka jest w nich tętnicą główną. Stosownie do biegu rzeki, góral oznacza sytuacyę domu wyrazami: wysy i dołu.

Przez zamiłowanie słonecznych blasków, budowniczy z Podhala zwraca okna chaty ku stronie południowéj. Zwyczaj ten wyjaśnia nam widok niezwykły domów zwróconych ścianami ślepemi ku gościńcowi głównemu. Pomimo jednak rozmiłowania górala w słonecznych

blaskach, okna jego domu są małych rozmiarów, co stwierdza zasadę ogólną kształtowania architektonicznego, według którój rozmiary i liczba otworów świetlnych, zmieniają się stosownie do położenia geograficznego.

Małe rozmiary okien w domach na Podhalu wytłómaczyć można przyczynami fizycznemi i duchowemi. Dzień cały góral przebywa nazewnątrz domu, podczas lata, zimą zaś prawie zupełnie z chaty nie wychodzi. Zamknięta budowa domów góralskich zapobiega wpływom zewnętrznym wilgoci i chłodu, szkodliwego w kraju górzystym. Charakter architektury zamkniętéj jest jakby odbiciem przeszłości górala i jego życia pod odkrytém sklepieniem nieba. Zgodnie z tą zasadą p. Matlakowski dzieli zagrody góralskie na dwie kategorye: budowli zamkniętych i budowli otwartych.

Kilka przestrzeni, składających całość budowli, pokrywa jeden dach wysoki i rozłożysty. Nieraz jednak oprócz dachu głównego, mniejsze daszki pokrywają oddzielne piętra poddaszne a nawet parkany. Śnieg pokrywając wszystkie poziome i pochyłe płaszczyzny, bieli dachy i daszki, które są znamieniem budownictwa w kraju.

Kształty tych dachów, złożone z dwóch płaszczyzn pochyłych i bardzo szerokiego, czterospadkowego okapu, są oryginalnym pomysłem stylu góralskiego. Teka rysunkowa, dołączona do tekstu dzieła, o którém mowa, zawiéra przykłady dachów budownictwa góralskiego, pomiędzy któremi odznaczają się figury na tablicy V-éj.

Klimat dżdżysty, śnieżny i mroźny skupiając ludzi,ześrodkowywa siedzibę góralską, w którój dom i zabudowania gospodarskie pokryte jednym dachem. Budowa ta sprawia, że góral, jakby pod parasolem, może obejść całe gospodarstwo, ochroniony od śniegu i deszczu.

Nietylko brak kamienia i gliny skłoniły budowniczego na Podhalu do wyłącznego używania drzewa, bowiem w klimacie surowym, domy z kamienia są niehygieniczne.

Ornamenta, nakreślone za pomocą cyrkla i linii są znamionami sztuki stosowanéj w budownictwie na Podhalu. Fazowanie, zastosowane do belek ma kształt żłobień gotyckiéj architektury średniowiecznéj. Ornamentacya odtwarza głównie florę miejscową: podstále, szyszki limbowe i rośliny w kształcie lilii heraldycznéj, konwencyonalnie narysowane. Koło z gwiazdą, utworzoną z przecinających się łuków jest najczęściéj stosowanym motywem dekoracyjnym, wypływającym z łatwego użycia cyrklu w kreśleniu kółek. Granice naturalne i obyczajowe wyosobniły twórczość górala w zakresie architektury i sztuki stosowanéj. Nabijanie gwoździami jako motyw or-

namentacyjny, jest obrazem pierwotnych pojęć piękna w zakresie sztuki stosowanéj, który jednak nie odpowiada ogólnym zasadom ciesiołki.

Półcyrklaste zamknięcia okien i drzwi, jakkolwiek podobne do tego rodzaju motywów szwajcarskich, są jednak oryginalnym pomysłem konstrukcyjnym górali podtatrzańskich. Najpiękniejszemi są ramy okienne z belkami zaciosanemi klinowo. Barwa biała tych belek, ozdobionych kwiatami, pięknie motywuje budowlę; pomiędzy załączonemi przykładami odznacza się szczególniéj rysunek na tabl. VIII, fig. 3. Bardzo oryginalnemi są podwoje, złożone z desek, które wytwarzają wzór oryginalny, a zarazem zapobiegają paczeniu się drzewa. Jedne deski ułożone pod kątem, inne znów promieniście schodzą się w jednym punkcie.

Małe rozmiary szyb okiennych i jednostajność polichromii ornamentacyjnéj wyjaśnia p. Matlakowski ubóstwem materyalném ludu góralskiego, jaskrawość bowiem ubrań góralek i różnobarwne wyszywania na białém tle guniek góralskich wytwarza domysł, że ornamentacya wytworzona na Podhalu powinna być zabarwiona jaskrawo. Pomimo jednak tego domysłu, należy stanowczo zaprzeczyć podobieństwa chaty góralskiéj i szaletu szwajcarskiego, a wnętrza izby z atrium domu helleńskiego i rzymskiego.—Dzieło, o którém tu mowa, ma wartość teoretyczną i praktyczną dla miłośników sztuki swojskiéj.

Kl.

NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

= *Czapski, Comte Emeric Hutten...* **Catalogue** de la collection des medailles et monnaies polonaises du... Cracovie, 1891. Vol. IV, k. nl. 2, str. III—381; k. nl. 1, str. LXXI, tabl. od XXVIII do XL. Mamy przed sobą czwarty tom katalogu jednego z największych zbiorów monet i medali polskich. Pierwsze trzy tomy wydane w Petersburgu w latach 1871, 1872 i 1880, zawierają 6,774 numerów i 27 tablic ciętych na drzewie, oprócz tego masę rycin i znaków menniczych w tekście. Tom zaś czwarty zawiéra opis monet od Nr. 6,775 do Nr. 10,002, ozdobiony również w tekście wielu rycinami, znakami menniczemi i t. d., posiada 12 tablic fotolitograficznych i 71 stronic indeksu całéj bogatéj kolekcyi. Hr. Czapski należy do zbieraczy, co nie urządzają kolekcyi dla zabawki, dla zapełnienia czasu, lub dla czczéj ambicyi; pokochał całą duszą archeologię a szczególnie numizmatykę i poświęcił skompletowaniu swego zbioru niemal całe życie, oddając się umiłowanéj przezeń nauce z największym zapałem. I nie

zmarnował ani czasu, ani pieniędzy: stworzył kolekcyę taką, jakiéj dotąd nikt nie posiadał, a nie poprzestając na tém, wydaje katalogi zbioru, opracowane osobiście z wielką znajomością rzeczy i starannie, wydaje zaś je we francuskim języku z téj przyczyny, żeby dać możność i obcokrajowym specyalistom zapoznać się z numizmatyką polską. Przez cały czas wydawania swych katalogów autor pilnie studyuje wszelkie zdobycze naukowe, z których następnie korzysta. I tak, co było formułą utartą w r. 1871/2, przez późniejsze badania obaloném zostało lub zmienioném, tego autor w późniéj wydanym tomie, opisując dany okaz monety, nie omieszkał sprostować; żałować jednak wypada, że te poprawki i sprostowania nie są pomieszczone w osobnym dziale. Bądź co bądź, szanowny autor swemi katalogami wielce przysłużył się nauce i są one dla niego najpiękniejszym pomnikiem zasługi.—Przypaptrzmy się bliżéj nowowydanemu tomowi katalogu, a najprzód jego zewnętrznéj stronie. Wydawnictwo to jest wogóle bardzo kosztowne, druk tomu ostatniego mniéj więcéj jest taki sam, jak w trzech tomach, tylko więcéj zbity i więcéj niedbały; ryciny w tekście i osobne tablice są także o wiele gorsze. W pierwszych trzech tomach widzimy bardzo piękne rysunki, cienko i delikatnie wykonane sposobem litograficznym, w czwartym zaś—ryciny i tablice są fototypowe; cienkie sztrychy wyszły w nich grubo, wskutek czego podobizny monet są niedokładne, zamazane i niejasne. Tablice zaś przedstawiające dystynktorya kanoników kapituł polskich są czarne; należałoby je zrobić kolorami chromolitograficznie, dla uplastycznienia kolorów emalii, żaden bowiem opis choćby najdokładniejszy nie da dokładnego pojęcia o rozmaitych odcienia barw. — Na wstępie, autor podaje skrócenia wyrażeń użytych w tekście; spotykamy tu niemal wszystko, co piśmiennictwo numizmatyczne nam dało. Następnie zaczyna się opis monet i medali porządkiem chronologicznym, jak i w poprzednich tomach katalogu; późniéj medale osób prywatnych, medale i medaliki religijne, monety prywatne, pieniądze papierowe, monety i medale lenne i zagraniczne, wogóle mające jakkikolwiek bądź związek z naszą historyą, ordery, dystynktorya kanonicze i wagi grzywien monetarnych dawnéj Polski; to wszystko kończy się Nr. 9045. W czasie drukowania tego tomu, autorowi przybyło sporo nowych monet, więc dodaje jeszcze suplement i kończy na Nr. 10,002. W końcu zaś zamieszcza tablice i ogólny spis całéj swojéj kolekcyi monet i medali, opisanych we wszystkich czterech tomach. — Przejdźmy do wewnętrznéj strony dzieła. Tu widzimy ogrom pracy; zdumiewamy się nad cierpliwością autora, który dokonał tę iście mrówczą pracę z całą skrupulatnością i sumiennością; autor przedstawia nam

jaknajdokładniejszy opis przeszło 3,200 okazów! Moglibyśmy chyba autorowi zarzucić, że jest za drobiazgowy w notowaniu nieznacznych bardzo odmian w napisach, np. PR˙, lub takiż sam okaz, lecz z odmianą PR: i t. d.; natomiast autor nie uwzględnia odmiany w rysunku herbów państwa (np. na groszach litewskich Zygmunta I, lub półgroszkach litewskich Zygmunta Augusta), a również odmian w rysunku uzbrojenia, t. j. ornamentacyi uzbrojenia królewskiego (same tynfy koronne Augusta III mają takich odmian przeszło sześćdziesiąt). Zdaje się nam, że to byłoby ważniejszém, co prawda powiększyłoby objętość dzieła, ale w zamian posłużyłoby jako materyał do historyi uzbrojeń, ubiorów, a nawet ornamentyki danéj epoki, skoro do uzupełnienia tych oddziałów archeologii numizmatyka może wiele się przyczynić. Lecz nie wymagajmy wszystkiego od jednego; hr. Czapski i tak zrobił dla numizmatyki tyle, jak nikt jeszcze dotąd; dzięki jego katalogowi, mamy przeszło tysiąc monet, przez nikogo jeszcze nie przedstawionych w dobrych podobiznach. Że odmiany ornamentacyjne i uzbrojeń są niezbędne, zrozumieli już to numizmatycy i z przyjemnością tu zaznaczamy, że wielu już przystąpiło do specyalizowania pewnéj części swych zbiorów (np. same orty koronne Jana Kazimierza, lub szóstaki tegoż króla), by następnie wydać takowe monograficznie z przedstawieniem najdrobniejszych odmian rysunkowych. Lecz wróćmy do katalogu. Daléj znajdujemy, że autor jest za hojny w ustanawianiu stopnia rzadkości monet wogóle, a szczególnie w średniowiecznych. Co zaś do Nr. 9587, w którym autor opisuje półtorak koronny jakoby z 1611 r. z herbem Sas, to uznajemy go za omyłkowy, to jest za wybity w r. 1621; sam autor zaznacza, że w 1611 r. podskarbim koronnym był Baltazar Stanisławski, herbu Pilawa, a dopiéro w 1616 r. został podskarbim Mikołaj Daniłowicz, herbu Sas. Półtoraki zaczęto u nas wybijać dopiéro w r. 1614, w którym to roku ustalił się typ tego rodzaju monet: czteropolowa tarcza; albowiem przedtém zamiast takiéj tarczy umieszczano na nich tylko orła. Nie można też dopatrywać w tym półtoraku okazu próbnego, bo w r. 1611 nikt w mennicy nie mógł wiedzieć, że w kilka lat późniéj zajmie urząd podskarbiego dygnitarz, szczycący się klejnotem Sas. W danym okazie widzimy zwyczajną pomyłkę mincarską—zamiast stempelka z liczbą 2, wbito w matrycę stępelek z liczbą 1 i zjawił się mylny rok 1611; niniejszą monetę należy zatém umieścić pod r. 1621, a w takim razie, zdaje się mi, że można byłoby dużo opuścić ze stopnia rzadkości R^3. Toż samo da się powiedzieć i o Nr. 9609, gdzie przedstawiono grosz koronny z herbem Pilawa z 1617 r.; należy go odnieść do r. 1615, t. j. ostatnieo roku, w którym bito grosze, następnie bowiem poczęto bić grosze

dopiéro w 1623 r. i Nr. 9731, opisujący grosz koronny z 1623 r. z herbem Pilawa jest na swojém miejscu, gdyż jest on cokolwiek odmiennego rysunku i lżejszy od groszy bitych do 1615 r.; tylko tu herb Pilawa zamiast herbu Sas da się objaśnić tém, że prawdopodobnie kazano mincarzowi przygotować stęple do bicia groszy wedle wzoru dawnych groszy, bitych do 1615 r., mincarz zaś machinalnie kopiując grosz, wybił téż i herb poprzednika. Widocznie, że omyłkę zaraz spostrzeżono i dlatego ten grosz należy rzeczywiście do bardzo rzadkich. Również nie możemy zgodzić się z autorem co do objaśnienia liter $\frac{A.-T.}{C.-P.}$ znajdujących się na niektórych szóstakach koronnych Jana Kazimierza (patrz Nr. 9,841); hr. Cz. tłómaczy je, jak i wiele innych numizmatyków: *Andreas Tymf Capitaneus Piasecinensis.* Nam się zdaje, że litery C. — P. mają inne znaczenie. Wątpimy, by mincmistrz Tymf chełpił się swym tytułem starosty i to na monecie takiéj, jaką jest szóstak; gdyby tak było, to kładłby te litery i na monetach złotych i na innego gatunku monetach srebrnych: ortach, trzydziestogroszówkach (tymfach), innych odmianach szóstaków i t. d.; widzimy przecież te dodatkowe litery tylko na jednym gatunku szóstaków, które są bite ze srebra cokolwiek niższéj próby i wagą lżejsze są od reszty szóstaków koronnych, mających również inicyały Tymfa. Wiemy, że Tymf otrzymał pozwolenie na bicie trzydziestogroszówek, przezwanych tymfami, które bito w Poznaniu. Sądzę, że te szóstaki $\left(\frac{A.-T.}{C.-P.}\right)$ jako mające niższą próbę srebra i niższą wagę od innych szóstaków koronnych, są zdawkową monetą, zastosowaną do niższopróbnych trzydziestogroszówek i że one również były bite w mennicy poznańskiéj, gdzie wybijano i tymfy; więc by odróżnić takowe od szóstaków, bitych w Warszawie przez tegoż Tymfa, a stanowiących zdawkową monetę talara i orta, umieszczono obok liter A. — T. inicyałów Tymfa, jeszcze dodatkowe litery C. — P., które tłómaczymy: *Cudit Poznaniae*; tłómaczenie: *Capitaneus Piasecinensis*, z powodów wyżéj przedstawionych, bezwarunkowo nie wytrzymuje krytyki. Z przyjemnością zaznaczamy, że na tém się kończą niedokładności, jakie udało się nam zauważyć w czwartym tomie dzieła. Jak na opis przeszło 3,200 okazów jest to bardzo niewiele! Dzieło to jest pomnikowe i uchylamy czoła przed ogromem sumiennéj pracy autora.

Wiktor Wittyg.

— Komitet redakcyjny **Encyklopedyi Rolniczéj** nadesłał nam następującą odezwę: Dziesięć lat upływało od wydania pierwszéj „Encyklepedyi Rolniczéj,“ kiedy pomnikowe to dzieło było już w zupeł-

ności w handlu wyczerpaném i nabywano je w antykwarniach, po cenach niebywale wysokich. Zastanawiający ten, jak na kraj nasz i ciężkie czasy, objaw pobudką był i podniętą dla zarządu Muzeum przemysłu i rolnictwa do podjęcia nowego wydania Encyklopedyi, dzisiejszym odpowiadającego potrzebom. Złożona w tym celu Redakcya liczyła z początku na to, że pierwsze wydanie w znacznéj mierze pracę jéj ułatwi; wobec jednak olbrzymiego postępu nauki rolniczéj, przekonała się wkrótce, że wszystkie prawie działy nowych wymagają opracowań. Specyaliści, do których się po nie udano, skądinąd obowiązkami obarczeni, nadsyłali prace swoje powoli i nieregularnie, co przerywało od czasu do czasu bieg wydawnicwa. W takiém położeniu rzeczy, komitet wstrzymał druk dzieła do czasu nagromadzenia artykułów w odpowiedniéj liczbie, przybrał sobie większą ilość członków, powołał z grona swego delegacyę wykonawczą do stałego szuwania nad stroną redakcyjną, zaś pieczę nad stroną techniczną przedsięwzięcia Aleksandrowi Trylskiemu powierzył. W skład delegacyi wykonawczéj weszli członkowie komitetu, którzy na roli pracują, lub dawniéj długo pracowali, a mianowicie: Chaniewski Stanisław, Dobrski Maksymilian, Górski Franciszek, Górski Ludwik (junior), Janasz Aleksander, Jezioráński Józef, Kowalski Tadeusz, Natanson Michał i Wroński Stanisław. Na sekretarza Redakcyi zaproszono p. Rugiewicza Bolesława. Uzupełniwszy w ten sposób organizacyę swoją, komitet redakcyjny prowadzić będzie daléj dzieło podług pierwotnego programu, jaki przez jego członka, p. Ludwika Górskiego, w przedmowie do nowéj Encyklopedyi został nakreślony. Spełniając zatém właściwe zadanie swoje, ma być Encyklopedya przedewszystkiém rolniczą, i wszystko, co dla praktycznego rolnika może być potrzebném i użytecznėm, znaleźć w niéj miejsce powinno, w postac dostępnéj i do zastosowania gotowéj. Najbaczniejsza uwaga będzie zwróconą na te strony rolnictwa, których teorya jest już zupełnie wyrobioną i pewną, aby przez to jak najszersze zastosowanie praktyczne naukowych zdobyczy rolnikom w ich zawodzie ułatwić. Z nauk ścisłych pojedyncze działy wejdą do Encyklopedyi o tyle, o ile są bezpośrednio z rolnictwem związane. Wreszcie nie będą pominięte teoretyczne badania, któremi żywo zajmuje się ogół rolników, chociażby jeszcze praktycznego zastosowania nie znalazły. Na tych zasadach gromadzona teka redakcyjna jest już obecnie tak zaopatrzoną, że poczynając od maja roku bieżącego, możliwém będzie wypuszczanie zeszytów bez przerwy, przynajmniéj po 12 rocznie. Jeżeli wszędzie niezbędném jest dzieło, któreby w gruntownem

streszczeniu obejmowało całokształt wiedzy rolniczéj, zapełniało braki i ujednostajniało w czém należy poglądy, to stokroć niezbędniejszém musi ono być u nas, niż tam, gdzie liczne szkoły i stowarzyszenia, jak niemniéj bogata literatura specyalna, rolnikowi trudny jego zawód ułatwiają. Taką właśnie ułożyć księgę pragnie komitet redakcyjny z prac najbieglejszych w każdym dziale rolnictwa specyalistów, których ze wszystkich stron kraju i zagranicy zaprasza. Powierzywszy kierownictwo Redakcyi rolnikom praktycznym, aby utrzymać przez to w zupełności nawskroś rolniczy charakter Encyklopedyi, w tém zespoleniu kierunku teoretycznego z praktycznym, komitet redakcyjny czerpie otuchę, że dzieło odpowie zadaniu i że, odczuwając jego potrzebę, rolnicy kraju naszego do urzeczywistnienia jego przez chętną prenumeratę dopomagać zechcą. Tylko przez współdziałanie ogółu ziścić się może, przedsięwzięcie, wymagające zabiegliwości, pracy i nakładów, wolne od rachuby na zyski, wolne od ambicyi, prócz téj jednéj, aby społeczeństwu przynieść pożytek. — Prezydujący w Komitecie redakcyjnym *Ludwik Krasiński*. Przewodniczący w Delegacyi wykonawczéj *Józef Jeziorański*. Sekretarz Redakcyi *Bolesław Rugiewicz*.

Warunki prenumeraty: Zeszyt pojedynczy (5 ark. wielk. 8-ki) kosztuje w Warszawie kop. 60. Prenumeratorzy, przy zapisie oprócz powyższéj opłaty, uiszczanéj za każdy zeszyt, wnoszą jednorazowo, sposobem zaliczenia, *rs. trzy*, które potrącone zostaną przy odbiorze ostatnich pięciu zeszytów. Redakcya Encyklopedyi: Krakowskie Przedmieście 66. Muzeum przemysłu i rolnictwa. Prenumeratę nadsyłać należy do księgarni Gebethnera i Wolffa w Warszawie, mającéj skład główny i ekspedycyę Encyklodedyi.

= *Beecher Stowe*, **Podjadki szczęścia rodzinnego.** Paprocki, 1892 roku.

Jak płomień — ziarna piasku, tak i duszę naszą
Ludzką nieraz błahostki i drobnostki gaszą,
I tłumiąc wzniosłość uczuć ich marna nawała,
Zatruwa chwilę każdą, co szczęściem być miała.

Opowiadanie pani Beecher Stowe jest niezmiernie łagodną satyrą, mającą za cel wytknięcie wiązanki owych wad pospolitych, które tak wielu ludziom czynią z domu własnego — miejsce tortury. Szkoda, że nie ma danych statystycznych, wykazujących, jaki procent bankructw moralnych, stanowiących taką wybitną cechę charakterystyczną naszego wieku, pochodzi stąd, że dzieciństwo nie nauczyło bankrutów owych szukać odpoczynku duchowego wśroód rdziny, lub też

że drobiazgowe walki w jéj właśnie łonie pochłaniały resztki ich sił nerwowych, zamiast je restaurować. W stosunku do całego życia człowieka — życie jego rodzinne gra rolę korzeni, a cóż stałoby się z drzewem, które wydatkowałoby niemi soki żywotne?... Drażliwość, upór, brak wyrozumiałości, otwartości, delikatności i uprzejmości. Oto są podjadki, które w tylu rodzinach, pomimo wspólnych interesów materyalnych, moralnych, wywołują rozdwojenie, rodzące z kolei takież rozdwojenie w duszach dzieci, nie zdolnych już często na całe życie do odzyskania zgody z samemi sobą: stąd brak zupełny niemal wśród nas charakterów jednolitych. Jak wielkie zniszczenie sprawi książeczka p. B. S. wśród wstrętnych „podjadków", trudno orzec, przyczynić się ona jednak musi niewątpliwie do obudzenia w nas najgroźniejszego ich wroga—samowiedzy, trudno bowiem wyobrazić sobie człowieka, któryby pod jéj wpływem nie zdołał dojrzéć jednéj choć przynajmniéj z belek, leżących na składzie w jego oku. — Przekład polski, któremu nie można miéć nic do zarzucenia, opatrzyła Esteja, garstką ulotnych, mniéj lub więcéj dowcipnych, mniéj lub więcéj slabo powiązanych ze sobą frazesów. Sama nawet autorka tego „wstępu" spostrzega się, że „niektóre z nasuwających się jéj uwag nie mają na pozór żadnéj styczności z „podjadkami" i na ten raz pozory nie mylą. Trudno wprost zrozumiéć, po co czytelnikowi wiedziéć, że tłómaczka (która sama zresztą uznała za stosowne zachować zupełne *incognito*) jest „zacna" i wiernie spełnia rady, króre przekłada. Tchnące szczerą prostotą, a bogate w wielką ilość nadzwyczaj trafnych spostrzeżeń i niemniéj dobrych rad, obeszłoby się tak dobrze bez pretensyonalnego polecenia Estei, jak i weksle Rotszylda bez jego żyra.





KRONIKA MIESIĘCZNA.

„Kwestya kobieca“:—Dumas.—Broszura J. Z.—Prus, biologia, stan obecny.—Odczyty.—Muzeum rzemieślnicze i przytułek rzemieślniczy.

Niedawno Aleksander Dumas odpowiadał na list „panny na wydaniu“, szukającéj męża i zdziwionéj, że go znaleść nie może.

List Dumas'a zwrócił na siebie uwagę. Wart on był tego najzupełniéj. Starszy już obecnie, lecz zawsze żywy i świetny dyalektyk jest niewątpliwie doskonałym znawcą kobiét, ich serc, ich wyobraźni i interesów. Dumas od lat kilkudziesięciu uchodzi w Europie za giętkiego i wymownego adwokata spraw kobiety. Areną jego literackiéj i dramatycznéj działalności była pod tym względem prawie zawsze sfera stosunków miłosnych, właściwiéj może powiedzieć by należało, międzypłciowych.

Brał on najczęściéj na siebie obronę kobiety upadłéj, kobiety uwiedzionéj lub zawiedzionéj. Kobiety jego są albo kochankami z serca, albo z fachu, albo zostały niemi z nieświadomości. Stosownie do tego dla jednych żądał rehabilitacyi, dla innych przebaczenia, dla innych jeszcze litości. Wobec czytelników swoich książek i widzów swoich dramatów najczęściéj wygrywał sprawę.

Nic by w tém nie było dziwnego, bo każdy wielki talent zawsze wygra wobec czytelnika czy słuchacza sprawę, któréj broni. Lecz Dumas, ten śmiały adwokat spraw obyczajowych, oprócz świetnéj i logicznéj argumentacyi, rzucał zawsze dla przechylenia szali—uczucie. Bohaterki jego mają czułe i szlachetne serca.

Wybaczcie, lub wybacz jéj, bo umiała kochać i poświęcać się. Ma serce zranione i zatrute lecz wielkie i gorące. Jego „Dyoniza“

wznosi się do heroicznéj godności i cnoty. Hart, stałość, duma i odwaga cywilna, jakie okazuje, zapewniają jéj sympatye. Kobieta Dumas'a w chwili stanowczéj z podniesioném czołem powie: Zbłądziłam, ale cierpiałam i umiałam spełnić swoje zadanie ludzkie. Mój błąd mnie tylko dotyczy; was obchodzić może mój stosunek do zasady obowiązku; pod tym względem jestem czystą i usprawiedliwiać się nie potrzebuję.

I ten stary a wypróbowany obrońca praw, uczuć i namiętności kobiecych, w liście do „panny na wydaniu“ wypowiedział jéj i jéj podobnym kilka bardzo ostrych wyrazów, sądów i przestróg. Widocznie poglądy klientek nie podobają się obrońcy.

Co to jest panna na wydaniu? Ta z Paryża, na któréj list odpowiadał Dumas, jest bardzo podobna do tych, które widzimy dokoła siebie. Geograficzne, cywilizacyjne i społeczne warunki nie wpływają tak bardzo widocznie na duszę, sytuacyę i dążenia „panien na wydaniu“.

Główném dążeniem ich, jak już sama nazwa wskazuje, jest wyjście za mąż. Jest to rzecz bardzo łatwa przy posagu a dosyć trudna bez posagu. W ostatnim wypadku „panny na wydaniu“ zaczynają „polowanie na męża“. Odbywa się to w sposób wiadomy: „Rodzice wprowadzili mnie w świat, nie wątpiąc ani na chwilę, jako bezzwłocznie znajdzie się mąż upragniony. Powodzenia doznałam najzupełniejszego, tańcowałam po całych nocach z młokosami, którym wydałam się zachwycającą, ale nie spotkałam nigdy prawdziwych epuzerów, 30 i 35 letnich, gdzie ich szukać? Nie umiano mi na to odpowiedzieć. Dość, że dobiegłam lat 20-tu, nie mam już dłużéj chęci zachwycania sobą młokosów, wytańczyłam się do syta, widział mnie ten i ów, męża nie znalazłam i nie znajdę. Dopóki nie zaokrąglę posagu, co robić?“

Na list ten Dumas odpowiedział niemiłosierną krytyką i bardzo ostrém szyderstwem. Panna na wydaniu w liście swoim zdradzała bardzo wyraźną niechęć do wszelkich rodzajów pracy, uważając, że jedne są przepełnione, inne niepopłatne, a inne niewłaściwe dla panny z dobréj mieszczańskiéj rodziny. Dumas w odpowiedzi tak określa tego „anioła egoizmu“: „Co mnie najwięcéj uderza w tém wyznaniu wiary dwudziestoletniéj dziewczyny, jako oznaka klasy, wieku i płci, to wrodzona zewsząd bijąca pogarda pierwiastku żeńskiego dla męzkiego. Ani słowa o miłości, oddaniu się, solidarności, ideale“. Jestem kobietą, dobiegłam lat 18-tu, piękną jestem i czystą, gdzież jest ten głupiec, który to wszystko prawnie zakupić zechce wedle mojéj taksy?

Lecz młody człowiek zmyka i zupełną ma słuszność, bo żeby nie wiem jak wydawał ci się głupim i był nim nawet z innemi, to przecież gdy chodzi o ciebie, to jest o małżeństwo, zobowiązujące go na całe życie, posiada rodzaj instynktu zachowawczego, który go strzeże. Dla czegoby mężczyźni nie mieli od ciebie wymagać posagu, jeżeli ty żądasz od nich fortuny.

Kończy zaś tak: „Stary nasz świat, rozpadający się z każdym dniem więcéj, odbuduje się trwale jedynie przy pomocy tych, którzy pracują. Nie gardź sztuką, nauką, przemysłem, które stanowią życie i duszę każdego społeczeństwa. Zażądaj od nich wartości osobistéj, któréj gałganki nie dają. To najlepszy sposób złapania męża, jeżeli zapragniesz go jeszcze. Nie staraj się więc, aby go mieć, ale pracuj, to może nie łatwo; ale w każdym razie mniéj nudne od nieustannego poszukiwania męża i mniéj upokarzające od niemożności znalezienia go".

Mieliśmy więc w téj wymianie listów przyczynek do kwestyi małżeńskiéj, która jest częścią „kwestyi kobiecéj". Niemożność znalezienia męża stanowi bowiem także znaczną część téj wielkiéj sprawy, nazwanéj kwestyą kobiecą, albo emancypacyą. Są nawet tacy, którzy całą sprawę do braku mężów sprowadzają.

Zapatrywanie takie nie wyjaśnia wcale istotnych przyczyn ruchu kobiecego. W historyi i przebiegu kwestyi kobiecéj odróżniać zawsze trzeba dwie główne strony: idealną i ekonomiczną. Pierwsza, to dążenia intelektualne, to podniesienie umysłu kobiecego do poziomu ogólno-ludzkiego, to samorząd sumienia i inteligencyi; druga strona, i zarazem późniejsza faza w historyi kwestyi kobiecéj, to dążenie do samodzielności ekonomicznéj przez pracę fachową i wykształcenie fachowe. Pierwsze dążenie zostało wywołane ruchem idei nowoczesnych, które, walcząc o wyzwolenie stanów musiało, naturalnym porządkiem rzeczy, żądać i wyzwolenia płci; drugie zaś dążenie zostało wywołane przez warunki ekonomiczne, które nie pozwalają już kobiecie siedzieć tylko w domu i być tylko podścieliskiem i „ozdobą" rodziny, lecz wypychają ją na rynek zarobku, już to jako samodzielną pracownicę, która dzięki wyłącznie własnym wysiłkom istnieć może, już to jako współpracownicę ojca, brata, lub męża.

Ekonomiczno-społecznem stanowiskiem kobiety zajmowała się właśnie broszura „Kwestya kobieca" przez J. Z. Broszura ta wywołała w prasie naszéj trochę ożywienia. Minęły już wprawdzie czasy, kiedy z zapałem czytano i roztrząsano „Poddaństwo kobiet" Mill'a, minęły także zapewne czasy jaskrawych i deklamacyjnych emancypantek. Stało się to, co się zwykle dzieje: nową ideę warunki realne

tłómaczą na język stosunków faktycznych, subtelna dyalektyka ustępuje miejsca plastycznéj prozie.

I kwestya kobieca jest teraz w okresie codziennéj, powszedniéj prozy. Ekonomicznych posterunków, czyli zawodów fachowych, zdobytych przez kobiety, ani nikt im odbierać nie myśli, ani one same wydrzećby ich już sobie nie pozwoliły. Natomiast dalsze, niezdobyte jeszcze posterunki, są silnie przez mężczyzn, wyobrażających porządek społeczny, strzeżone. Równouprawnienie kobiet, to jest dopuszczenie ich do kursów uniwerstyteckich, otworzenie im zarówno jak i mężczyznom wszystkich zawodów i prawa polityczne, są na zachodzie ciągłym przedmiotem sporów teoretycznych i prawodawczych. Jak widzieliśmy w roku zeszłym w Anglii, wniosek o prawach wyborczych kobiét został przez parlament odrzucony.

Broszurka, o któréj wspomnieliśmy, ma téż na widoku przeważnie tylko przyszłe stanowisko kobiety w społeczeństwie, przeznaczając jéj tam wielką rolę, zupełnie równą męskiéj. Instynkta macierzyńskie, nie zatrzymają, według autorki, kobiety w domu, nie przeszkodzą jéj debiutowi i stałéj działalności na polu życia publicznego, bo właśnie wychowanie dzieci zostanie powierzone specyalnym zakładom wychowawczym.

O broszurze téj nie byłoby żadnego szczególnego powodu do rozwodzenia się, bo jakkolwiek jest jasną i treściwą, co na kredyt pióra kobiecego z przyjemnością zapisać można, nie zawiera ani oryginalnych poglądów, ani nowych opinii, ani nowéj, głębokiéj krytyki sprawy. Że jednak mówi o sprawie żywotnéj, któréj rachunek i odległe jeszcze epoki regulować będą, że została napisaną z życiem i przekonaniem, więc zatrzymać się przy niéj należało, tém więcéj, że z powodu téj broszury właśnie emancypacyjne dążenia kobiet zostały mocno poturbowane przez niektórych publicystów.

Naprzeciwko pozycyi zajętéj przez autorkę „Kwestyi kobiecéj“ ustawił Prus swoją humorystyczną bateryę, z któréj wyrzucał na postępową falangę kobiet pociski dowcipu i wesołości. Pociski te pękały z wielkiém śmiechem i zadowoleniem czytelników. Przekonajmy się jednak, czy były to ostre ładunki, które dosięgały pozycyi przeciwniczek, czy tylko trzaskające w przestrzeni rakiety?

Od pewnego czasu, ilekroć w życiu, na scenie lub w książce, ukaże z pod poziomu głowę „kwestya kobieca“ w idealnéj lub realnéj szacie, Prus, spostrzegłszy to, krzyczy, ażeby się schowała i głowy nie wytykała. Zupełnie tak samo, jak w owéj bajce, w któréj każda żaba, za wychylenie się z pod wody „kamieniem w łeb dostawała“.

Odbywa się to bardzo uprzejmie, z uwielbieniem i dobroczynną

intencyą dla płci pięknéj. Prus mówi wówczas: Czego kochana pani od nas chce? Niech pani wraca do domu, do alkowy, do dzieci, do kuchni i do bielizny, tam ci będzie lepiéj i tam twoje właściwe miejsce. Przedewszystkiém zaś do dzieci, bo tak chce „prawo natury“.

Nie inaczéj stało się i teraz, z powodu broszury „Kwestya kobieca“. Prus nie wierzy ani w uzdolnienie kobiety do życia publicznego, ani żeby wychowanie publiczne dzieci mogło zastąpić kiedykolwiek wychowanie domowe.

Byłoby stratą czasu i atłasu powtarzać to, co dotychczas powiedziano o publicznych i społecznych zdolnościach kobiet. Gdyby istniało uprzedzenie, poprzedzone nie przez trzydzieści ale przez trzysta wieków o umysłowéj i politycznéj niższości kobiety, to ostać by się ono nie mogło wobec jednego wypadku, w którym kobieta tych właśnie zdolności dowiodła. Lecz do roztrząsania takiéj kwestyi w téj chwili nie ma żadnego praktycznego powodu i dla tego przejdźmy do owych „praw natury“, w imię których Prus wzywa kobiety, ażeby nie wytykały nosa z alkowy i pilnowały dzieci, bo to nas właśnie doprowadzi do praktycznych, nawet, na dobę dzislejszą następstw.

Cóż więc nam te „prawa natury“ obwieszczają? „Zoologia uczy—mówi Prus—że w całéj żyjącéj naturze, płeć żeńska odegrywa rolę główną, płeć męzka — podrzędną i te gatunki mają zapewnioną trwałość, w których płeć żeńska ilościowo góruje nad męzką. Między skazanemi na zagładę wilkami co najmniéj 20 kawalerów przypada na jedną damę. Zaś w gatunkach: kura, wół, baran, koń, które będą trwać wiecznie, co najwyżéj na 10 dam przypada jeden wielbiciel“.

Ten komentarz zoologiczny zmierza do tego wniosku, że główném a może jedyném przeznaczeniem kobiet jest macierzyństwo, którego zresztą one bez względu na to, czy należą do emancypacyjnego obozu, czy nie, na nikogo zwalać nie myślą. Ale najprzód zoologia wcale tego nie uczy, że wilki zostały skazane na zagładę w skutek przewagi płci męzkiéj nad żeńską, i takiego stosunku cyfrowego między płciami u wilków nie ma. Nie jakaś zoologiczna niesprawiedliwość tępi wilka, bo zoologia przeciwnie w postaci ostrych kłów i pazurów dała mu przewagę nad wołem, baranem i koniem, które się wilka boją, bo on się niemi żywi, lecz tępi go człowiek, który go nie może jak wołu i konia, ani ujarzmić, ani oswoić ani do pługa zaprzęgać. Interwencya człowieka, jego kula i proch, nie zaś przewaga płci męzkiéj nad żeńską, skazała na zagładę wilka. Gdyby nie ta interwencya, wół i koń zostałyby pożarte przez niego. Pies należy do tego samego gatunku, lecz ostał się dzięki użyteczności swojéj w służbie

u człowieka. Jeżeli zaś w gatunkach wół i koń płeć żeńska przeważa nad męzką, to zawdzięcza to tylko sztuce ludzkiéj, zwanéj kastracyą, a nie jakiéjś fikcyjnéj statystyce zoologicznéj. W gatunku ludzkim postęp cywilizacyi ustanowić takiéj przewagi płci żeńskiéj nad męzką sztucznie nie pozwala, więc trudno odgadnąć, do czego te zoologiczne przykłady zmierzają?

„Zamiast mnożyć przykłady z zoologii — mówi daléj Prus — zacytujmy jeden, ale stanowczy—z socyologii. Wyobraź sobie, czytelniku, dwie wyspy: na jednéj znajduje 300 pań i 100 mężczyzn; na drugiéj 300 mężczyzn, a tylko 100 pań. Jakie będą rezultaty? — łatwo przewidziéć. Na pierwszéj wyspie ludność może wzrastać co roku o 200 do 300 głów. Na téj drugiéj roczny przybytek nowych obywateli nie dosięgnie 50 osób, nie licząc tego, że zbyt liczni panowie wymordują się między sobą".

Przykład ten nie jest ani stanowczym, ani socyologicznym. Tak kwestyę stawiają nie socyologowie, lecz hodowcy. W zarodowych owczarniach, oborach i stajniach stosunek matek do reproduktorów wynosi istotnie 30: 1, 20: 1, 10: 1, lecz to także nie dla tego, ażeby taka przewaga płci żeńskiéj nad męzką zapewniała większą trwałość gatunku, lecz dla tego, że inne osobniki płci męzkiéj należycie przygotowane chodzą w pługu i bronie.

Gdyby rodzaj ludzki był w okresie hodowli, gdyby mu zagrażało wymarcie dla braku matek, przykład tych dwu wysp mógłby miéć jakąś wartość. Dziś jednak obarczanie jak największéj liczby kobiet zaszczytem macierzyństwa podlega, jak to zobaczymy niżéj, ostréj krytyce, właśnie z biologicznego punktu widzenia. Przykład ten mógłby miéć zwłaszcza wartość w okresie pierwotnych zawiązków społecznych, w okresie hord. Przypuśćmy, że wyspy, na których znajdowałoby się owych 300 kobiet i 100 mężczyzn lub odwrotnie, nie miałyby jeszcze wodnéj komunikacyi ani między sobą, ani z lądem i innemi wyspami. Wówczas mogłoby dziać się tak, jak Prus utrzymuje, to jest, na pierwszéj wyspie ludność wzrastałaby, a na drugiéj ubywała. A możeby właśnie mieszkańcy wyspy z przeważającą ludnością męską, zamiast mordować się aż do zguby zupełnéj, jak chce Prus, założyli klasztor dla zbywających od reprodukcyi osobników męzkich, lub téż, co jest daleko prawdopodobniejsze, wpadliby na myśl wynalazku łódek i puścili się w nich na inne wyspy po branki. Ten ostatni krok jest nawet socyologicznie najprawdopodobniejszym.

Lecz te jakieś fikcyjne i odległe, w mgle oceanów niknące wyspy, odległe hypotezy i odległe analogie nie są i nie mogą być krytyką kwestyi kobiecéj, nie przyczyniają się ani na jotę do jéj wyjaśnienia,

bo emancypacya kobieca, w dzisiejszém znaczeniu wyrazu, nie narodziła się na dzikich i samotnych wyspach, lecz na łonie cywilizacyi, gdzie w naszém stuleciu urosła do znaczenia kwestyi społecznéj. Takich zaś stosunków cyfrowych między płciami, jak na owych wyspach, nie widzimy w rzeczywistości, lecz chyba w operetkach, w których śpiewają:

„Bez kobiet, bez kobiet
To ciało jest bez duszy",

kiedy my tymczesem, razem ze Skublińską wiemy, że kobiet, kandydatek na matki mamy aż za dużo. To téż, gdybyśmy się znaleźli dzisiaj na owéj dobroczynnéj i wymarzonéj według Prusa wyspie, która posiada 300 kobiet i 100 mężczyzn, nie cieszylibyśmy się bynajmniéj z wzrostu ludności o 200 czy 300 głów rocznie, któréj znaczna część przy dzisiejszym systemie ekonomicznym i rodzinnym zostałaby oddaną na garnuszek i zagładę do Skublińskiéj; lecz zamiast robić z nich kandydatki do macierzyństwa, należałoby je raczéj sposobić na robotnice, buchalterki, nauczycielki, a nawet do urzędów pulicznych, choć im praw do nich odmawiają.

Ludzkości bowiem w chwili obecnéj wymarcie dla braku matek wcale nie zagraża; przeciwnie, strefie cywilizowanéj, grozi raczéj przeludnienie, a jak chcą inni, i degeneracya. Rodzaj ludzki wzrasta bardzo szybko i wyradza się podobno w bardzo zatrważającym postępie, a jeden i drugi objaw zostaje się w ścisłym związku z współczesném socyalném położeniem kobiety.

W społeczeństwach dzisiejszych główną pobudką do małżeństwa są względy ekonomiczne. Jakież stąd pochodzą następstwa? Najprzód takie, że kobieta straciła prawo wolnego wyboru, a następnie, czy ma, czy nie ma powołania do macierzyństwa, zostaje matką, często matką dzieci, skazanych na zwyrodnienie, bo rodziców ich nie złączyły względy wolnego wyboru, lecz względy ekonomiczne, ciążące zwłaszcza przeważnie nad kobietą, która zostaje małżonką i matką jedynie dla zabezpieczenia sobie egzystencyi, dla tego nareszcie, że nic innego do zrobienia jéj nie pozostaje. Gdybyśmy nie trzymali się lekkomyślnego wyobrażenia, że przeznaczeniem kobiety jest tylko macierzyństwo, gdybyśmy jéj nie zamykali drogi do pracy, wyższego wykształcenia i samodzielnéj egzystencyi ekonomicznéj, wówczas ta kobieta, która nie posiada instynktów macierzyńskich, spełniłaby tylko gorzéj lub lepiéj swoje ludzkie przeznaczenie, lecz w każdym razie będąc wolną od konieczności legalnego sprzedania się, nie wydawałaby na świat dzieci skazanych na fizyczną i moralną anemię i degeneracyę.

Ribot w swojéj „Dziedziczności Psychologicznéj" pisze o przy-

czynach gaśnięcia rodzin, pochodzących z małżeństw, zawieranych ze względów konwenansowych, materyalnych i towarzyskich: „Wielcy ludzie zostawiają często niegodne ich potomstwo. Wówczas nawet, gdy te niedobrane małżeństwa nie pociągają za sobą tak poważnych następstw, to jednak nie należy wątpić, iż na mocy praw dziedziczności muszą spowodować upadek, który w ciągu kilku pokoleń koniecznie pociąga za sobą wygaśnięcie bogato obarczonéj rodziny, lub co gorzéj, jéj zwyrodnienie“.

Tę konieczność dla kobiety wstąpienia w związek z mężczyzną tylko z pobudek ekonomicznych Wallace uważa za tak niebezpieczną dla zdrowia i rozwoju przyszłych pokoleń, że w ich interesie zaleca, ażeby społeczeństwo zabezpieczało egzystencyę kobiecie, któraby tym sposobem była wolną od konieczności szukania męża za jakąbądź cenę.

Kobiet zaś, macierzystych i wychowawczych instynktów pozbawionych, ma być według znakomitego biologa—bardzo dużo. One zaś przeznaczenia kobiety spełnić wcale nie mogą.

Ekonomiczna i umysłowa niezależność kobiety jest więc zalecaną, jak widzimy, nie tylko z pobudek humanitarnych i rycerskich, nie tylko dla jéj własnego dobra i interesu, lecz i dla interesu ludzkości, dla interesu przyszłych pokoleń.

Systematycznie odbywane wykształcenie kobiety, jak słusznie biolog angielski uważa, opóźni czas jéj zamążpójścia, i nie mielibyśmy wówczas owych 17-o i 18-o letnich „panien na wydaniu“, którym Dumas, nie mając nawet na widoku rozwoju kwestyi kobiecéj, tak ostre w karnawałową niedzielę odczytał kazanie. Estetyczne i etyczne podniesienie poziomu umysłu kobiecego, oprócz bezpośrednich następstw, zaleca także i biologia w swoich widokach, a mianowicie, że tylko kobieta, krytycznie i estetycznie wykształcona, może uczynić pożądany wybór mężczyzny, oddając pierwszeństwo typowi wyższemu nad niższym. Ekonomiczna zaś niezależność, jak już widzieliśmy, uwolni te kobiety, które ani do małżeństwa, ani do macierzyństwa, ani do wychowywania dzieci powołania nie mają od konieczności szukania w rodzinie za jakąbądź cenę jedynego dzisiaj sposobu egzystencyi.

Następstwa téj interwencyi biologii w kwestyi kobiecéj wyraziłyby się najprzód w estetyczném i moralném podniesieniu rasy ludzkiéj, a następnie w zmniejszeniu liczby przychodzących na świat dzieci, których liczba dzisiejsza raczéj zagraża trwałości i doskonałości gatunku, niż przyczynia się do nich.

Takie jest stanowisko biologii w kwestyi kobiecéj. Nie nawo-

łuje ona bynajmniéj kobiet, jak nasi publicyści, do wydawania na świat możliwie wielkiéj ilości dzieci, nie pragnie ich wcale zamykać w kuchni i alkowie, lecz przeciwnie otwiera przed niemi drzwi na świat szeroki, wskazuje im widnokręgi estetyczne, moralne, obywatelskie i ideały ludzkie. Wskazówki zaś swoje czerpie właśnie z owych „praw natury“, które i publicyści nasi tłómaczą według swego punktu widzenia, i z praw cywilizacyjnego rozwoju. A z głosem jéj zarówno wtedy liczyć się musimy, kiedy nas uczy dezynfekcyi i podaje środki do walki z mikrobami, jak i wtedy, kiedy staje na wysokim szczeblu drabiny życiowéj, z której widzi teraźniejszość i przyszłość naszego rodzaju. To nie głos gorących i deklamujących emancypantek, lecz głos wytrawnego rozumu i szlachetnéj prawdy. Biologia nie przemawia nawet w imieniu sprawiedliwości, lecz właśnie w imieniu interesów gatunku, Co zaś do sprawiedliwości, to Spencer tak mówi: „Kobiety są słabsze od mężczyzn, i dla tego jest w najwyższym stopniu niesprawiedliwie pozbawiać je sztucznie środków do walki o istnienie. Dla tego nie należy stawiać kobietom żadnych przeszkód co do zajęć, profesyi i innych działalności, którym życzą się poświęcić“.

A może zapytacie, co się stanie wówczas z kobiecością, tą wieczystą kobiecością, *Weiblichkeit* Goethe'go, za którym modlą się do niéj i wielcy, i zaściankowi poeci? Nie stanie się nic złego. Kobiecość zostanie. Uspokaja nas pod tym względem głośna w Niemczech pionierka praw kobiecych, pani Kettler: „Emancypacya kobieca dąży do tego, ażeby nasz naród nie chełpił się“ szlachetną kobiecością swoich córek, lecz uczynił ją możliwą dla nich wobec wszystkich okoliczności. Tym sposobem cel emancypacyi wcale nie ten—jak raczą twierdzić obskuranci obojéj płci—ażeby zniszczyć kobiecość, która teraz jest nieskalaną tylko u jednostkowych kobiet, nie, przeciwnie: „cel emancypacyi kobiecéj to ocalić kobiecość, wystawianą obecnie na tysiące niebezpieczeństw u tysiąców kobiet“. Słynna uczuciowość kobieca, wcale, według Kettlerowéj, nie jest rękojmią godności i poezyi kobiecéj; wykształcenie rozsądku, któreby osłabiło energię uczucia, rzucającego kobietę w objęcia przypadku i błędu, jest o wiele pewniejszą rękojmią godności, poezyi i kobiecości.

I bardzo słusznie mówi Kettlerowa. Wielbiciele kobiecości uczynili bowiem z kobiety naczynie dziwnego nabożeństwa. Według nich, jak przekonaliśmy się niedawno, kobieta służyć tylko powinna do zapładniania i wydawania na świat dzieci. Usta służą do przyjmowania pokarmów, ale służą i do mowy. Czy dla tego, że pierwsza czynność

jest niezbędném „prawem natury", mamy nie używać ust do wymowy? I mowa jest także prawem, wyższém prawém rozwoju.

W obecnym stanie kwestyi kobiecéj górują dwa główne prądy: jeden płynie ze sfer wyższéj inteligencyi, drugi z masy i proletaryatu; pierwszy ma zadanie przeważnie intelektualne, drugi — przeważnie ekonomiczne. Chociaż sprawa emancypacyi nie posiada obecnie zbyt ostrego i prowokującego charakteru, wszedłszy raczéj w okres porządnéj i systematycznéj organizacyi, nie jest jednak ani w zastoju, ani nie cofa się wstecz, jak się nie jednemu zdaje, tym zwłaszcza, którzyby ją za pogrzebaną uważać chcieli. Stanowisko, jakie wobec niéj zajęła biologia, nie rozstrzyga wprawdzie wcale sprawy, bo to zależy od wielu czynników społecznych, lecz niewątpliwie bardzo na uwagę zasługuje.

W historyi rozwoju nie było przykładu, ażeby jakikolwiek ruch emancypacyjny zatrzymał się dobrowolnie po środku drogi. Kobieta współczesna mogłaby więc albo powrócić na dawne stanowisko, albo wytrwać w dążeniu emancypacyjném. Ponieważ według historycznie i logicznie sprawdzonych praw pierwsza ewentualność jest wyłączoną, pozostaje więc druga, czyli ruch naprzód. Ruch zaś wsteczny nie da się ani pomyśléć, ani wykonać. Znamy upadek plemion, ras i idei, lecz nie znamy ani ich trwałych i uwieńczonych owocem ruchów wstecznych, ani trwałego zatrzymania na jedném miejscu.

A teraz zwolennicy „sensu moralnego" zapytają zapewne, jaka z tego wszystkiego płynie pożyteczna nauka na niedzielę dzisiejszą?

Nie jedną, ale kilka nauk wyprowadzić z tego można.

Ruch emancypacyjny kobiet u nas nie jest obecnie ani tak wielki, ani jaskrawy, ani karykaturalny, ażeby albo społecznemu i rodzinnemu porządkowi zagrażał, albo żeby sam siebie ośmieszał, na drwiny, szyderstwo i karykaturę zasługiwał. Nikomu i niczemu nie zagraża i walkę z nim, przynajmniéj dziś uważamy za walkę z malowanemi na ścianie dyabłami.

Zapewne, że drwiny z usiłowań nielicznych zresztą umysłów męzkich, które dały inicyatywę i zajęły się szczerze kwestyą kobiecą, i takież same drwiny z małéj garstki rozumnych i szlachetnych kobiet, podobają się bardzo płaskiéj większości. Wyobraźmy sobie dziki i barbarzyński chychot, chychot kuchennych i salonowych gęsi, gąsiorów i filistrów, chychot, któremu akompaniuje popularna publicystyka. Co za radość w tym kojcu gęgającego ptastwa! Jak się te kwoki, nienawidzące wszystkiego, co się nad ich poziom rodzajem pracy, umysłu lub moralności podniosło, serdecznie cieszą i językami trzepocą. Radość tam taka, że aż im się brzuchy od śmiechu trzęsą.

I trudno się doprawdy nadziwić, że Prus podjął się akompaniować na takim koncercie. Zwycięstwo z taką większością jest wprawdzie bardzo łatwe, bardzo popularne, ale tych wawrzynów możnaby przecież odstąpić innym, którzy w gęgającym kojcu się lęgną i dzioba po za obrąb swego gniazda nie wytykają.

I wyobraźmy sobie także tą nieliczną garstkę kobiét, któréj głównem zadaniem, bez względu na nazwy, jest dążenie do poczucia się ludźmi w umyśle, w sumieniu, w samodzielności pracy i charakteru. Że są takie, to na zaszczyt i szczęście tak zwanéj emancypacyi zapisać należy. Że takie jednostki stanowią czoło każdego ruchu emancypacyjnego, to także wątpliwości nie ulega, Że za niemi, jak zawsze za ogonem każdéj większéj idei społecznéj, filozoficznéj czy literackiéj, wloką się stada ciurów, mazgajów, blagierów, kłamców i głupców, to właśnie do tego między innemi służy „zdrowy rozsądek“, ażeby jednych od drugich umiał odróżniać.

Idea emancypacyi kobiecéj miała i ma swoje gwiazdy i przewodnice, swoje pracownice i swój bezużyteczny i szkodliwy balast. Otóż wyobraźmy sobie tą zdrową i szlachetną treść, upostaciowaną w garstce jaśniejszych i podnioślejszych umysłów kobiecych, którym z pewnością żywot i praca pośród nieruchoméj i płaskiéj większości nie płyną lekko, i dodajmy do tego koniecznego osamotnienia, drwiny, pochodzące stamtąd, skądby iść powinno uznanie i zachęta. Zapewne, że w okresie tętniącego ruchu umysłowego, możnaby drwinami za drwiny zapłacić. Lecz inaczéj rzecz się przedstawia w okresie dzisiejszéj trywialności. Trywialna większość jest liczebnie za silną, ażeby nie utrudniała dążeń tak różnych od niéj i samodzielnych, choćby ogniem swoich przekonań, zagrzanych jednostek.

Wprawdzie Prus dowcipnie i wspaniałomyślnie ofiarowuje im posady legalnych utrzymanek. „W tych sferach—pisze—gdzie mężczyzna posiada dobrobyt, kobieta—opływa w zbytki: cała natura płaci jéj daninę z najpiękniejszych swoich dostatków. Dla kogo dziesiątki tysięcy górników wśród jałowych pustyń, kopie brylanty i złoto? Dla kogo tysiące nurków rzuca się w otchłań oceanu, ażeby wydobyć perłę?“

Tegoroczne odczyty na dochód osad rolnych miały sporo słuchaczy. Dotyczy to zwłaszcza prelekcyi Ochorowicza „O tajemnicach kapłanów egipskich“. Te tajemnice, nauka i etyka starożytnego Egiptu, a zwłaszcza stan medycyny miały w Ochorowiczu żywego i dowcipnego tłómacza. Późniéj nastąpił odczyt p. Jankowskiego o człowieku i świecie roślinnym, i nareszcie—p. Szawłowskiego: „Co to jest postęp?“

P. S. opracował swój odczyt pod względem formy dobrze, klasyfikacye jego są jasne, język i terminologia ścisła i myśl przewodnia bardzo konsekwentnie prowadzona.

Muzeum rzemieślnicze powstało przed pięciu miesiącami. Jeżeli weźmiemy pod uwagę ten krótki czas i przekonamy się naocznie o obecnym stanie Muzeum, to widzimy, że czasu tego umiano użyć umiejętnie.

Muzeum rzemieślnicze już dzisiaj jest instytucyą, która swoje przeznaczenie dla rzemieślników spełnia. Prawdziwie dobrego wrażenia doznajemy, zwłaszcza w salach, przeznaczonych do kopiowania i rysunku. Codziennie wieczorem, a w dni świąteczne w godzinach popołudniowych zbiera się tam kilkudziesięciu rzemieślników dla kopiowania. Zajmują się pracą chętnie i gorliwie. Sale do kopiowania posiadają też wzory piękne i bardzo do nauki zachęcające. Zgromadzone tam wzory obrazują systematycznie postęp sztuki, stosowanéj do rzemiosł.

Rzemieślnicy, pragnący swój smak i umiejętność wykształcić, znajdują w tych salach to, o czém przed kilku laty ani nie marzyli, ani zapewne nie wiedzieli. Zaczynając więc od drobiazgów, od składowych części stołu, komody i t. p. aż do rzeźby greckiéj, zebrano tam wszystko co się tylko dało. Wzorowano się zaś na klasycznych pod tym względem muzeach i zakładach zagranicznych.

Patrząc na tych kilkudziesięciu młodych chłopców, a nawet starszych rzemioślników, na ich szczere zajęcie, wykazujące wielką ciekawość, nabieramy przekonania, że staną się oni w przyszłości inteligentnymi rzemieślnikami, i że to oni stworzą kadry, wzmacniające i podnoszące nizkie dotychczas wykształcenie fachowe naszych rzemieślników. Komitet muzeum, złożony z pp. Kiślańskiego, Rotwanda, dr. Benniego, Makowieckiego, Bersona Mat., Lepperta Wł., Szyllera, Łatkiewicza, Szebeki, Otwinowskiego, Szewczykowskiego, Pfeiffera Miecz., Hiszpańskiego, Wojny i dawniejszego kustosza Leskiego, oraz obecnego p. Marcina Olszyńskiego dobrze się zasłużył sprawie rzemieślniczéj.

Dnia 25 z. m. otwarto także stałą wystawę rzemieślniczą przy muzeum, w sali, przylegającéj do sal kopiowania. Wystawa ta zaleca się nie tylko pożytecznym wyborem przedmiotów, ale dystynkcyą, że tak powiemy. Zgromadzono tam cały arsenał narzędzi rzemieślniczych, sprowadzonych umyślnie z Paryża i Berlina. Stolarz, ślusarz, snycerz mogą powziąć na wystawie wyobrażenie dokładne o postępie rzemiosł w Zachodniéj Europie, mając przed oczyma klasyczne ich wzory.

Jeżeli dalszy rozwój Muzeum odpowie dobremu początkowi, to instytucya ta może istotnie przyczynić się do reformy fachowego wzrostu rzemieślników warszawskich. Ponieważ zaś nie jest dopiero projektem, lecz już istnieje i działa i wpływ wywiera, więc należy jéj się dwojaka uwaga: i od intelligentnego ogółu, i od ogółu interesowanych rzemieślników. Co do majątku muzeum, to wiadomo, że powstało ono z ofiary p. H. Wawelberga w summie 25 tysięcy rubli, i z innych ofiar, tak, że kapitał zakładowy muzeum wynosi w gotowiźnie, okazach, książkach, albumach i t. p. przeszło 30 tysięcy rubli, a kapitał obrotowy około 6 tysięcy. Jeżeli muzeum wzbogaci się wzorami i zbiorami têm będzie pożyteczniejsze, a zależy to od środków pieniężnych i od nadsyłanych na wystawy muzeum okazów. Ci, co takie okazy posiadają, niech nie zapominają, że istnieje muzeum dla kształcenia rzemieślników.

Jeżeli rok zeszły w historyi naszych rzemiosł zapisał się dobrze ufundowaniem muzeum, mającego na pieczy dostarczenie wzorów, kształcących młodsze pokolenie rzemieślników, to rok obecny zapisze się prawdopodobnie fundacyą przytułku rzemieślniczego dla weteranów pracy, których w starości czeka opuszczenie i nędza. Inicyatywę założenia przytułku, jak to zresztą z urzędu wypadało, podjęła sekcya rzemieślnicza przy Towarzystwie popierania ruskiego przem. i handlu. Przytułek rzemieślniczy ma dawać schronienie i robotnikom fabrycznym, co fundamenta jego znacznie rozszerzyć i utrwalić powinno, bo sfera pracodawców fabrycznych i przemysłowców nie może pozostać wobec przytułku obojętną.

Nie możemy wprawdzie jeszcze mówić o przytułku rzemieślniczym, jako o fakcie dokonanym, lecz w każdym razie w fazę realną wchodzącym, bo dotąd zadeklarowano ofiar na 23 tysiące rubli.

Z przytułku korzystać będą mogli niezdolni do pracy rzemieślnicy i robotnicy fabryczni, chrześcianie, po ukończeniu lat 60. Pensyonarzy podzielono na 3 kategorye, choć wszyscy będą na jednakowych warunkach utrzymania. Pierwsza kategorya, którzy jednorazowo wniosą rubli 500. Druga—to ci, którzy lub za których wniosą rocznie rubli 100. Trzecia — którzy będą na koszcie ogólnych funduszów przytułku.

Przytułek będzie założony z jednorazowych i peryodycznych składek założycieli. Ma pomieścić 112 pensyonarzy, rozlokowanych w 28 izbach. Koszt budowy obliczono na 30,000 rubli, a ponieważ deklaracye wynoszą 23 tysiące, więc dobra myśl nie jest daleką od urzeczywistnienia.

Zakres przyszłéj instytucyi będzie w początkach naturalnie bar-

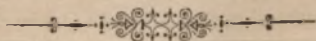
dzo skromny. Ludność rzemieślnicza w Warszawie jest olbrzymia, jak również i fabryczna. Lecz nie zakres inicyatywy, tylko jéj brak jest nieprzyjacielem rozwoju instytucyi i rzeczy ludzkich. Skromny więc zawiązek nie powinien zniechęcać ani interesowanych rzemieślników, ani fundatorów, bo przyszłość przytułku zupełnie od nich zależy.

Dwie te sfery bowiem, to jest pracodawcy fabryczni, oraz robotnicy i rzemieślnicy najwięcéj powinni zająć się przytułkiem. Pierwsi, z obowiązku patronatu, jaki mają nad swoimi pracownikami, drudzy, z dbałości o własną przyszłość i starość. Co do pierwszych, przypuszczamy, że na poziomie obowiązku stanąć potrafią. Co do drugich, zwłaszcza zaś rzemieślników, to istniejące przy cechach kasy chorych i pogrzebowe dostarczają złego prognostyku. Składki do owych kas wynoszą od 60 kop. do 1 rubla rocznie, a pomimo tego podobno większa część czeladzi nie uiszcza ich wcale, lub téż bardzo nieregularnie. I wśród majstrów stosunek nie jest lepszy. Kasy te zależą od dobréj woli swoich członków i nie posiadają prawa egzekwowania składek. Obawa wykreślenia z cechu za niepłacenie składki byłaby możo skuteczniejszą, lecz starsi cechów lękają się tym sposobem wywołać niepopularność u wyborców.

Gdybyśmy więc ze sposobu wnoszenia składek cechowych wnioskować mieli o losach przytułku rzemieślniczego, losy te byłyby chmurne i niestałe. Gdyby przytułek mógł nawet powstać bez udziału rzemieślników, nie możnaby uważać takiego obrotu sprawy za dobry. Warstwa ta powinna miéć przeświadczenie, że własnemi siłami przykłada się do instytucyi dla jéj dobra stworzonéj. To jest egzamin z dojrzałości klasowéj i dojrzałości społecznéj. Ani słowa, że na pracodawcach i kapitalistach, w danych warunkach, ciąży inicyatywa i powołanie do życia instytucyi, lecz do jéj ugruntowania i rozszerzenia muszą się przyczynić robotnicy i rzemieślnicy. Tylko dzikich ciągną gwałtem do szkół, kościołów i szpitali, i nic w tém nie ma dziwnego, bo oni po raz pierwszy te instytucye oglądają i o pożytku ich wątpią.

Rzemieślnicy pożytek z przyszłego przytułku powinni widziéć jak na dłoni, i cechy warszawskie złożyłyby dowód bardzo pierwotnéj lekkomyślności, gdyby ten pożytek przeoczyły.

B. Lut.



NEKROLOGIA.

† **Józef Supiński**, urodzony 21 lutego 1804 r., zmarł we Lwowie 16 Marca r. b. Pierwsze wydanie zbiorowe „Pism“ ś. p. Supińskiego wyszło we Lwowie 1872 r. w 5-u tomach; drugie w Warszawie 1883 r. również w 5-u tomach. Pomiędzy jedném a drugiém w 1877 r. uczczono 5-ą rocznicę działalności literackiéj. Był już wówczas ś. p. Supiński prawie zupełnie ociemniałym, żaden środek lekarski nie zdołał powstrzymać gaśnięcia wzroku. Nie mógł pisać ani czytać; słuchał tylko tego, co mu opowiadano lub czytano; samotne chwile zapełniał robótkami mechanicznemi. „Ateneum“ z powodu nowego wydania „Pism“ ś. p. Supińskiego pomieściło ocenę jego teoryi ekonomicznéj, napisaną przez młodo zmarłego Puchewicza.

Wydawcy: *W. Spasowicz* i *A. Pawiński.* — Redaktor *P. Chmielowski.*

Дозволено Цензурою. Варшава, 30 Марта 1893 г. — Druk Jana Cotty.